

Jak powstała nazwa miasta?

W zamierzczłych czasach, gdy większą część kraju pokrywała nieprzebyta puszcza, człowiek najchętniej wzdłuż rzek wędrował i nad brzegami wód wynajdywał takie miejsca, gdzie bezpiecznie mógł budować swoje siedliska. Woda była potrzebna zarówno człowiekowi, jak i wypasany przez niego stadom bydła. Nad rzekami powstawały więc pierwsze osady i obronne grody.

Największy na tych ziemiach był gród zbudowany w nizinie nad Wisłą, w miejscu, gdzie do królowej naszych rzek wpada niewielka Chodelka. Wokół tego grodu rozsiane były bardzo liczne ludzkie siedliska. Każdy chętnie w pobliżu grodu się osiedlał, bo silny wielce i sprawiedliwy książę tam władał, a wróg daleko te strony omijał.

Książę władcą był nie tylko grodu, ale i ziem żyznych między dolinami Sanu, Wisły i Wieprza.

Stary książę miał jednego syna, którego przy sobie nie mógł w żaden sposób utrzymać.

Książęcy syn z junacką drużyną włóczył się całymi dniami po nieprzebytych kniejach i głębokich jarach. Tropił dziki, jelenie, strzelał z łuku do wodnego ptactwa. W wędrowkach swych przemierzał wzdłuż i wszerz kraj rządzony przez ojca. Odwiedzał rody zasiedlone na skrajach puszczy, gospodarujące na uprawnych polach i wypasające duże stada bydła. Nigdzie jednak dłużej miejsca nie zagrzał. Gnany młodzieńczym niepokojem i ciekawością świata ciągle błądził po polach i lasach.

Stary książę nieraz za te samowolne harce ganił syna, ale miłował go bardzo i w duchu cieszył się, że przyszły władca poznawał ziemie swego dziedzictwa. Syn udaną surowość ojca wykorzystywał i z grodu przy lada okazji z wierną drużyną junacką umykał. Często nawet po kilka dni do domu nie wracał, ale gdy niepokój ojca wzrastał, zjawiał się zwykle objuczony trofeami z myśliwskich polowań.

Zdarzyło się raz jednego, że przeszło tydzień nie było w domu młodzieńca. Ojciec w tym czasie mocno zaśląbł, a obawiając się śmierci koniecznie przy sobie zapragnął mieć syna. Wysłał więc wojów i służbę na poszukiwanie młokosa.

Rozjechali się postaćcy po kraju, a każdy napotkanych ludzi o syna książęcego rozpytywał. I tu i tam widziano go, jak się za zwierzyną uganiał.

Tropiąc ślady młodego książęcia, dotarli wysłańcy do rozrzuconego na kilku sąsiadujących ze sobą wzgórzach siedliska. Z woli księcia skupiskiem tym stary Kmieć zarządzał. Mieszkał on z synami i jedyną córką na urwistym wzgórzu. Zaiste przemyślnie wybrane było to miejsce na ludzkie osiedle. Kto przybywał w te strony, jego piękno i niezwykłą obronność podziwiał.

W szerokich dolinach schodzących się tu trzech rzek rozciągały się piękne pastwiska, a na poprzecinanych jarami wzniesieniach, jak okiem sięgnąć, widać było uprawne pola. Za nimi murem stała pełna dzikiego zwierza puszcza. Spokój i dostatek widziało się w zbudowanych z grubych ociosów chatach.

Gdy przybył w te strony młody książę, stając na jednym ze wzgórz, jął się pięknocią tych ziem zachwycać. Jakże niepodobne były te strony do leżącego na podmokłych łąkach ojcowego grodziska. I dziwił się, czemu to ojciec jego albo

pradziad, tej właśnie ziemi na wybudowanie grodu nie obrał.

Gdy tak rozmyślał i wzgórze sokołim swym okiem po kolei przepatrywał, dostrzegł, jak z urwistego zbocza zbiega z dzbankiem ku rzece dziewczyna. Wydała mu się w lekkości swej i biegu gibka i rączka niby łania. Przez chwilę patrzył na nią z podziwem i zdawało się mu, że to chyba nie dziewczyna biegnie ku wodzie, ale wystraszona przez kogoś rusałka. Gdy znikła mu z oczu u strumienia, nie wiedząc co czyni, wspiał ostrogami konia, ale len zamiast skoczyć do przodu, zaczął się cofać, bo stromizna w tym miejscu była nie do przebycia. Począł więc księżę łagodnego zejścia szukać, a nim je znalazł, minęła dobra chwila.

Do wzgórza, na którym pokazała się postać dziewczęca, prowadził most i zmyślnie usypana grobla. W każdej chwili można ją było zerwać, a rów zaraz zalewała woda. Księżę na groblę uwagi nie zwracał, ale przynaglał konia, by szybciej gonił do tamtego wzgórza.

Gdy podjechał do ścieżki wiodącej do chaty, mignęła mu już tylko przy bramie dziewczęca spódnica i usłyszał odgłos zatrzasujących się wrót.

Na nic zdały się księżęce wołania i pohukiwania. Odpowiadała mu tylko cisza.

Wrócił więc do swoich radząc się, co ma uczynić. Na wzgórzu dom stał bowiem obwarowany jak forteca. Zresztą i obyczaj na to nie pozwalał, by na bezbronne dziewczęta napadać.

W sąsiedztwie dowiedzieli się, że domostwo, w którym ukryła się dziewczyna, należy do Kmiecia. On sam ze swymi synami wołami pole orał. Pięknej swej córce nakazywał, by nikogo z obcych w czasie jego nieobecności do domu nie wpuszczała.

Daleko pod lasem odszukali Kmiecia. Ten w należyty sposób przywitał syna swego pana i zaprosił na wieczerzę.

Przy ognisku krzątająca się dziewczyna wydała się księciu jeszcze bardziej powabna i miła. Schylona nad glinianymi garnkami coraz niby nieśmiało i niechęć, ale z błyskiem ciekawości w oczach spoglądała na nie znanego przybysza. Przy tym zgrabnie i z wdziękiem zarzucała na plecy spadający jej z ramienia warkocz. Księżciu robiło się cieplej na sercu od dziewczęcych spojrzeń. Za każdym jej krokiem wodził oczyma i coraz większa lubość go ogarniała.

Gdy zaczęli wieczerzać, księżę rzekł do Kmiecia w te słowa:

- Ojczy, dajcie mi waszą Lubię - bo lak się dziewczyna nazywała. - Pojmę ją i będę szanował.

- Ha, dla syna mego pana - zaczął starzec - nie godna moja odmowa, ale dziewczyna młoda, a u nas po zmarłej matce w domu żałoba jeszcze nie wyszła i nie wiadomo, jaka waszego ojca a naszego pana będzie wola. Jeśli moja Lubla wam naznaczona, to będzie wasza, ale teraz trzeba jeszcze poczekać.

- Jak to - porywczo księżę zawołał - to ona już może komu innemu obiecana?

- Nie obiecana, ale dziewczyna was nie zna, a ja przyrzekłem, że nie będę wybierał jej męża, a i ona nie pójdzie z domu bez wzajemnego lubienia.

- Co mam uczynić, żeby mnie chciała?

- Pokazać, że wam tylko ona jedna jest miła.

- Zostanę tutaj tak długo, aż ją o mojej lubości przekonam.

I został księżę w domu Kmiecia. W pole z nim i do lasu chadzał i śledził w obejściu

oczywiście każdy krok nadobnego dziewczęcia. I stawała się ona jemu coraz bardziej miła, a w lubości się młody książę tak zapamiętał, że o powrocie do ojca swego zapomniał. Zmienił się przy tym i bardzo spoważniał. Radował się w duszy, gdy spostrzegł, że spogląda za nim modrooka, to znów smutno mu było, kiedy zdawało się mu, że chyba nie jego, ale innego chłopca kocha.

W tym czasie przybyli wysłańcy. Początkowo nie chciał nawet ich słuchać, ale gdy się dowiedział o chorobie ojca, z ciężkim sercem zgodził się odjechać. Przed odjazdem uprosił Lubię, by mu przyrzekła, że będzie na niego czekać. Żegnając się z nim ze łzami w oczach, cichutko szepnęła, że będzie czekała nawet i dwa lata.

Siedząc przy postaniu chorego, młody książę ciągle ku wschodowi spoglądał i ciężko wzdychał. Gdy ojciec nieco wydobrzał, zapytał syna o powód tego wzdychania. Ten mu odpowiedział w te słowa:

- Tato, tam pozostała moja Lubla i tam jest moja lubelnia.
- Jak to twoja lubelnia - pyta rodzic syna.
- Tam na wzgórzu w domu Kmiecia pozostała moja dusza. Tam jest miejsce mego lubienia.

Poprawa zdrowia starego księcia nie była długa. Wkrótce jeszcze większa niemoc go zmogła i przy synu swoim zmarł.

W całym kraju zapanowała żałość wielka, bo sprawiedliwe i mądre były rządy starego księcia.

Syn jego, jak nakazywał stary obyczaj, usypał mu wysoki kurhan i przez długi czas w boleści swej ludziom się nie pokazywał. Dopiero, kiedy nakazana obyczajem pierwsza żałość minęła, zebrał młody książę starszych i tak do nich powiada:

- Jak obyczaj każe, opłakałem swego ojca, a waszego pana, ale tu z wami nie mogę pozostać. Gród nasz jest wielki, ale gdy wiślana fala rozstroży się i powódź nam pola zalewa, to i wałów grodu nie można utrzymać. Za rządów mojego ojca już nieraz woda stała w naszych chatkach. Postanowiłem przenieść gród tam, gdzie nigdy woda nie dosięga, a wróg łatwo nie dojdzie, bo chroni tego miejsca stromość wielka wysokiego wzgórza.

- Wiemy, wiemy, o czym ty gadasz - krzyknęła rozsierzdzona rada. - Chcesz nas tam ciągnąć, gdzie jest twoja Lubla i twoja lubelnia.

- Tak, lam, bo nigdzie nie znajdziecie na gród lepszego miejsca. Kto chce i komu wola, niech ze mną podąży, a kto nie chce, niech tu pozostawa.

Najpierw niewielka z młodym księciem poszła drużyna. Wszyscy starzy nie chcieli rodzinnego gniazda porzucać. Wkrótce jednak po ulewnych deszczach z grodu wygoniła ich powódź sroga, która i wały rozmyła, i chaty z wodą zniosła. W czasie tej powodzi niejedynemu ratując dobytek życie postradał. Wtedy pojęli wszyscy, że winni byli młodego księcia jako jego ojca słuchać.

Na wielkim błoniu zebrała się rada i uchwaliła, że z resztką dobytku i bydła pójdą do Lubelni prosić o przebaczenie księcia.

Przybywszy do niego, skłonili się nisko i poprosili, by ich przyjął pod opiekę i rząd nad nimi, jak niegdyś jego ojciec, sprawował.

Przyjął ich książę z radością, bo na wzgórzu otoczonym wodą nowy gród zaczął wytyczać. Potrzeba mu było wielu ludzi do sypania wałów, do ścinania drzew na palisadę i na domy, do kopania głębokich rowów dookoła wzgórza.

Rozpoczęła się też nad podziw ochotna i sprawna robota, a sam książę wszystkiego doglądał. Zmyślność jego i zapał podziwiali nie tylko miejscowi, ale i ci, co od małego go znali, jeszcze do niedawna jako płochego młokosa. I pytali, skąd u niego aż taka dojrzałość, mądrość i siła.

Za usypanymi już wałami grodu z pni drzew, które tu spławiano rzeką, a potem wciągano wołami na wzgórze, powstawały nowe pachnące żywicą domostwa. Największe zbudowano dla samego księcia.

Gdy zbliżała się zima, robota była prawie skończona. Wtedy książę posłał po Lubię, braci jej i ojca. Kiedy przybyli i zaczęli nowy gród oglądać, wprowadził ich książę do swego domostwa.

Na środku chaty na dużych głazach ułożony był, przygotowany już od dawna do rozpalenia, stos drzewa.

- Pozwolisz, ojcze - zwrócił się książę do Kmiecia - żeby Lubla skrzesała ognia i pozostała u tego ogniska?

I Lubla, i jej ojciec, i jej bracia wiedzieli, po co ich książę zaprasza, ale jak zwyczaj kazał, nie rychło wyszła odpowiedź z ust Kmiecia. Patrzył niby ciekawie po ścianach, na których wisały wilcze skóry i niedźwiedzie futra, na ławy przy zastawionych mięsiwem stołach, a wreszcie na swoją córkę z ojcowską troską i miłością spojrzął.

- No i jak, córko moja, chcesz skrzesać ognia i pozostać tutaj?

- Tak, ojcze - wyszeptła Lubla.

- No to idź, jeśli jest taka twoja wola.

Nie patrząc na nikogo do przygotowanego stosu przysła. Tu trzy razy ucałowałszy ziemię, drżącymi rękami skrzesała ognia.

Książę w tej chwili w ramiona ją porwał i zaniósł na wymoszczone skórami miejsce u długiego stołu. Wpadli wtedy grajkowie do domostwa księcia, z darami przysła wierna drużyna. I ci, co od lat mieszkali w tych stronach, i ci, co niedawno przybyli do nowego grodu i zakładali tu swoje osiedla, przychodzili z darami i śpiewem życząc, oby się darzyła i pomnażała ta wielka miłość powstała od pierwszego wejrzenia. I tak zaczęła się trwająca trzy dni i trzy noce weselna uczta.

Wiele wypito miodu i piwa, a śpiewano, a radowano się od wieczora do rana i od rana do wieczora. Lubla siedziała po prawej ręce księcia i spoglądała na niego ze czcią i lubością jak na swego pana i na swego męża, a książę wielce rad był z takiego każdego spojrzenia i coraz to mocnym ramieniem ją obejmował i do boku swojego przyciskał.

Od tego to czasu młody książę nowym grodem, starymi osadami i przybyszami, i odziedziczonymi ziemiami rządził mądrze i sprawiedliwie we wszystkim naśladowując swego ojca, a w trudnych sprawach o radę Lubię pytał. Ta wielce swego męża kochała i każdego roku przysparzała władcy nowego dziedzica.

Książę szczęśliwie rządził grodem swym przez długie lata, a gród jego i okolica nowymi ludźmi się zapełniały i stawały się coraz bardziej ludne. W grodzie i na sąsiednich wzgórzach budowano wciąż nowe domostwa, bo ludzie z dalekich stron ciągnęli pod opiekę księcia. Wzdłuż rzek i lasów wydeptali ścieżki, z czasem zmieniły

się one w drogi dalekie, którymi przybywali wędrowni kupcy i mistrzowie wszelkiego rzemiosła. Nikt książęcego grodu nie omijał.

Książę kupował żonie swej korale i najcieńsze płótna, a chociaż się z czasem mocno postarzał, w lubości swej do końca gołący pozostał.

Długo jeszcze po jego śmierci i Lubli ludzie w okolicy o ich wielkiej lubości opowiadali, a gród, który książę zbudował, Lubelnią lud nazywał. Inni znów mówili, że książę do żony przybył i na jej ziemi zamieszkał, to i nazwę grodu wywodzili od jej imienia. I tak już zostało. Gród od imienia Lubli Lublinem nazwano, a ziemię wokół niego od książęcej Lubelni nazwano ziemią lubelską.

Jak w każdej baśni i tu znajduje się zapewne jakaś prawda ukryta. Dziwne jest to, że w najstarszym dokumencie, jaki dotychczas odkryto, wymieniającym miasto z imienia, nazwa ta brzmi nie Lublin, ale właśnie Lubelnią. Dokumentem tym jest sporządzona w 1198 roku lista dobroczyńców klasztoru bożogrobców z Miechowa. Na liście tej występuje „Johannes archidiaconus de Lubelnią”.

Czyżby w końcu XII wieku obok nazwy Lublin używana była jeszcze Lubelnią?

Lubelnia, to chyba nazwa miejsca, które się szczególnie kocha. Zapewne Lublin był miejscem lubianym przez ludzi budujących tu pierwsze swoje siedliska. Fakt bardzo wczesnego i ciągłego osadnictwa na to by wskazywał. Mimo licznych najazdów, wojen, zarazy i pożarów gnębiących mieszkańców, ciągle kwitł, a i dziś bardzo pomyślnie się rozwija.

Zaiste, w tej pierwotnej miłości musiała tkwić olbrzymia siła.

Tajemnica lubelskiego koziołka

Lublin ma bez wątpienia najśmieszniejszy herb ze wszystkich miast wojewódzkich w Polsce. Bo i co to za herb, na którym kozioł usiłuje pożreć latorośl szlachetnego wina. Lew, orzeł, tur, ba... wół nawet bardziej nadawałby się jako główny motyw herbu lokowanego na nowych prawach miasta. Kozioł czy koza - to tylko śmiech i kpina.

Dzisiejsza wyszlachetniona przez czas i plastyków postać lubelskiego koziołka jest nawet wdzięcznie filuterna, ale ten najstarszy z zachowanych na pieczęciach herb miasta przedstawia nawet nie kozła, ale paskudnego, grubego, obrośniętego kudłami, zdawałoby się cuchnącego na mil kilka, capa.

Zapewne taki herb ani dumą, ani zaszczytem nikogo nie napawał. Kto miał w herbie kozła, można go było przezywać „cap” albo wytykać mu, że jest uparty jak kozioł lub głupi jak koza.

Mieszczanie lubelscy sporo nacierpieli się w dawnych czasach z powodu swego herbowego zwierzęcia. Najwięcej upokorzeń musieli znosić lubelscy kupcy włączający się z towarem po różnych miastach. Wycierpieli się, oj, wycierpieli, chociażby od takich sandomierzan, którzy zazdrościli a to prawa składu, a to szlaku handlowego prowadzącego z Rusi i Litwy przez Lublin, a to znów szybkiego bogacenia się lubelskich mieszczan. Przy każdej sposobności szydzili z nich i z ich herbowego kozła.

Wystarczyło, by kupieckie wozy z Lublina zatrzymały się w Sandomierzu na popas, a już do któregoś z nich była doczepiona z tyłu koza. Przechodząc obok lubelskich straganów ludzie zatykali nosy udając, że nie mogą zdzierżyć capiego piżma. Gdy karawana z Lublina zbliżała się do miasta, otaczała ją zwykle wyrostków gromada, krzycząc:

- Capy, capy jadą, chować kozy, bo jedzie capia karawana!

Woźnica niejednen rozsierzony na te krzyki z batogiem za wrzeszczącą hałasą uganiał. Niewiele im tam działał, bo rozpierzchali się we wszystkie strony i z daleka beczeli, skrzeczeli na piszczałkach, jakby kto owce albo kozy w pobliżu przeganiał, a może i wyrzynał. Zdarzyło się nieraz, że kozy albo capy przyprawiano lubelskim kupcom do sprzedania, a gdy któryś z nich na widok swego herbowego zwierzęcia sierdził się lub wściekał, największy śmiech i radość były z tego powodu na jarmarkach.

Nic więc dziwnego, że lublinianie bardzo wstydzieli się swego godła i z czasem zaczęli kozła uszlachetniać, przekształcając go w filuternego koziołka. Zapewne już nieraz zmieniliby herb swego miasta, ale chroniły go przez wieki prawo i tradycja.

Skazani na drwiny i pieczętowanie kozłem dokumentów, mieszczanie lubelscy wszystko robili, żeby się nikt chociaż nie dowiedział, w jaki to sposób i kiedy herb ich powstał. Dla zmylenia naiwnych opowiadali bajki o lubelskich winnicach, które miały rosnąć na czechowskich wzgórzach, to znów o tym, że herb pochodzi od niewielkiej osady przedmiejskiej zwanej Wieniawa. To wszystko pleciono, by przypadkiem nie wydało się, jaki był właściwy początek lubelskiego kozła. Do ostatnich czasów tajemnicy tej nie udało się rozszyfrować nawet znanym historykom i regionalistom. Dokładnie, kiedy i jak herb powstał, nikt z naukowców dotąd odpowiedzi jednoznacznej nie dał.

Szperając w starych dominikańskich rękopisach, natrafiłem na opowieść, która w dość przekonujący sposób przedstawia genezę herbu Lublina. A że jest to opowieść zabawna, warto ją tu odnotować.

Opowieść ta sięga jeszcze czasów Władysława Łokietka.

Jak wiadomo, Lublin otrzymał prawa miejskie w 1317 roku od tego króla, wówczas jeszcze księcia. (Niektórzy przypuszczają, że tak zwana lokacja mogła nastąpić jeszcze wcześniej i sięgać czasów Bolesława Wstydliwego, ale są to już tylko nie poparte silniejszymi dowodami przypuszczenia).

Lokacją nazywano nadawanie prawa magdeburskiego albo niemieckiego, ruchliwsi osiedlom lub miastom już istniejącym i rządzącym się starym prawem polskim. Prawo magdeburskie nadawano również i miastom budowanym od podstaw, czyli zasasadzanym na tak zwanym surowym korzeniu.

Wcześniej od Lublina prawem magdeburskim mogły się poczyścić inne małopolskie miasta, takie jak: Opatów, Zawichost, Sandomierz, nie mówiąc o Krakowie. Z miastami tymi lublinianie od lat utrzymywali dość żywe kontakty i zazdrościli im, bo uzyskanie lokacyjnego przywileju wiązało się nie tylko z dużymi uprawnieniami i zaszczytem, ale stwarzało możliwość szybkiego bogacenia. Władca nadawał bowiem lokowanym miastom okoliczne ziemie, czynił ulgi podatkowe i zapewniał kupcom opiekę na handlowych szlakach. Nic więc dziwnego, że mieszkańcy większych osiedli nieraz z dużym nakładem energii i sił wykorzystując nawiązane stosunki i znajomości wszystko robili, by takie prawa uzyskać.

Lublinianie, szcycący się powstałym w zamierzczłym czasie grodem i osiedlem targowym na Czwartku oraz posiadaniem już czterech kościołów i szybko rozwijającą się osadą na wzgórzu nowego (dziś starego) miasta, nie mogli patrzeć bez zazdrości na przybywających do Lublina kupców z Krakowa, Sandomierza, Poznania czy Zawichostu, którzy opowiadali o tym, jak się z bogacili po otrzymaniu miejskiego prawa.

Lublin, nękany w XIII wieku najazdami Tatarów, Jadźwingów, Prusaków, Litwinów i Rusinów, nie mógł wcześniej o swoje prawa zabiegać. Jednak już od roku 1302, gdy rycerstwo sandomierskie i krakowskie wypędziło z lubelskiego grodu sprzymierzonych z Łokietkiem Rusinów i względny spokój w te strony zaczął zaglądać, utrwalony jeszcze po powrocie z wygnania Władysława Łokietka, w Lublinie zaczęło dojrzewać pragnienie zdobycia miejskiego prawa.

Odbływały się narady i przygotowania do oficjalnego wystąpienia. Nieraz zbierała się tu rada starszych, złożona z najbogatszych kupców, rzemieślników i zajmujących się rolnictwem podgrodzian. Zastanawiano się, jak by to najstosowniej dotrzeć do księcia i wycygnąć od niego najkorzystniejsze dla swego miasta przywileje i uprawnienia. Wiedzieli bowiem wszyscy, że od odpowiednich zabiegów i wymowności delegacji oraz doboru argumentów popartych pełnym mieszkaniem zależy szcudrośliwość księcia.

Schodzili się więc najzacniejsi mieszcianie po najbogatszych domach, wysyłali swoich szpiegów do innych miast, by się wywiedzieli, gdzie i dla jakich zasług książę wyznacza najkorzystniejsze przywileje i prawa. Przyjeżdżali z takich wypraw coraz to nowi wysłańcy do Lublina, opowiadali o zamożności innych mieszczan niestworzone

cuda, przywozili na dowód bogactwa innych wyroby pięknego rzemiosła, bajali o spokoju i dostatku zażywany przez wszystkich pod opieką księcia i nowego prawa.

Świeciły się oczy chytrym lubelskim mieszczanom na samą myśl, jak to mogliby napychać sakwy i miechy i jak to by mogli w murami otoczonym mieście bezpiecznie i dostatnio swoich lat I dożywać.

Sprawa o nadanie praw miejskich ciągnęła się jednak przez długie lata, bo księżę Łokietek po powrocie z wygnania zajęty i był licznymi wojnami. Najpierw Henryk Głogowski na ziemię I Wielkopolski napadł, to znów biskup krakowski Muskata knuł przeciw niemu i mieszczan krakowskich, a zwłaszcza Niemców, m podjudzał. To znowu możny ród Święców bunt podniósł na Pomorzu, które korzystając z zamętu zagarnęła krzyżacka łapa, a to znowu Brandenburgia zaczęła mu Pomorze Zachodnie i północną Wielkopolskę szarpać. Jeszcze się od tej zgrai dobrze nie ogonił, a tu już mieszczanie krakowscy, głównie niemieckiego pochodzenia, i sandomierzanie przeciw księciu się zbuntowali, których też i mieczem trzeba było uśmierzać.

Po tym buncie krakowskich i sandomierskich mieszczan nastąpiły czasy bardzo sprzyjające dla innych miast, bo księżę, zrażony i nieufny wobec zdrajców, w innych osiedlach chciał szukać oparcia. Właśnie wtedy lublinianie zrozumieli, że nastąpiła najdogodniejsza pora, by o należne sobie prawa rozpocząć wzmożone m starania. W 1316 roku sprawa ta w mieście już na tyle dojrzała, że Kpostanowiono do księcia Władysława postów wysłać i prosić go o nadanie magdeburskich praw.

Już kilkakroć zbierała się w mieście rada starszych, ale niewiele wychodziło z tych obrad, bo nie było najbogatszego i najroztropniejszego w mieście kupca Kaspra, który wybrał się jeszcze z wiosny prowadząc kilkanaście wozów z wyrobami lubelskich podgrodzian daleko na Litwę. Wracając od Litwinów o Ruś bogatą zwykle zahaczał, a czasem i do Tatarów i Węgrów docierał. Tu coś Kupił, tam znowu sprzedał i dopiero jesienią z tabunem tłustych Kołów wołyńskich i beczkami węgierskiego wina do domu powracał. Całą zimę woły rzezał i mięso w jatkach sprzedawał, i winem też nieźle szynkowa. Bez Kaspra nic ważnego nie mogło się w mieście przydarzyć. Z najpoważniejszymi decyzjami na Kaspra trzeba było czekać, bo jak Kasper do czego ręki przyłożył, to sprawa najpomyślniejszy obrót brała.

Czekano więc na Kaspra. Ten zjawił się wreszcie w połowie września.

Jeszcze nie zdążył w domu otrzepać kurzu z drogi i dzieciakami się nacieszyć, i wysłuchać sprawozdania żony o tym, jaki mieli w polu tego lata urodzaj, a tu zwała się do niego cała rada.

Najpierw niby pytają o ciekawości ze świata, a to o widziane miasta i targi, ale stary Kasper rychło się domyślił, że jeśli przychodzi do niego cała rada, to muszą być poważne sprawy do załatwienia. Kazał więc przynieść żonie garniec piwa, by języki rajców rozwiązać.

- A co to rada ma takiego pilnego? - gdy podano piwo, Kasper zapytał.

- Hm - zaczął stary Michał, co to w mieście łaźnię trzymał - wiecie Kasprze, sprawa jest taka. Postronne miasta mają już swoje prawa, a my ciągiem przy grodzie wisiem jak nie przymierzając ogon u krowiego zadka. Służymy, składamy daniny i podwoły, jak nam kasztelan naznacza, ale kiedy nadejdzie jakiś Litwin, Prusak czy Tatar, to i czasem do grodu dobytku wszystkiego nie wpuszcza. My musimy mieć własne

prawa, żeby się do nas nikt nie wtrącał, a murami miasto opasawszy, sami będziemy dobytku swego bronić i doglądać.

- Widziałem ja różne wschodnie kraje i miasta - zaczął Kasper - i wiem, gdzie wojny nie ma i zgoda, tam się ludzie bogacą, a gdzie mądrość, tam i prawa.

- Kasprze, wy jeździecie ciągiem na Ruś i do Litwy albo do Prusów siedzących w puszczech, tam wszystko po staremu, ale w Krakowie, Sandomierzu, Poznaniu, Wrocławiu, a nawet w takim Zawichoście i Bochni inaczej zupełnie już wszystko wygląda. Jest wójt, jest rada, jest własny sąd, są jarmarki i ziemie książę miastu naznacza, i zwalnia swych mieszczan od płacenia myta na drogach. Jak się dobrze postarać, może dużo nadać. O, nie przymierzając wy, jeśli przypędzicie woły z Wołynia, to żeby móc na łąkach wokół grodu wypasać, musicie o to prosić kasztelana. Nie tylko prosić, ale i sakiewką dobrze potrząsać, a i niejednego oddać dla załogi skota. I na co się przydaje wasza praca? A do kogo, jeśli wam kasztelan zabierze woły, pójdziecie na skargę, jak on sam nad nami wszystkimi i pan, i sędzia?

- Ano racja - przyznał Kasper, bo już od kasztelana miał przedtem posłańca, by czym prędzej do grodu prowadził tłustego wołu, bo załoga bardzo głodna.

Zaczęli więc radzić i opowiadać różne cuda, jak to ludzie żyją po nowych miastach, a jakie gromadzą bogactwa, jak się sami rządzą, a jak słuchają naznaczonego im wójta i jak mogą odwoływać się, jeśli im źle, do samego księcia.

- No tak - po wysłuchaniu ich Kasper zawyrokował - trzeba jechać z poselstwem do Krakowa. Ale czy zebraliście już wystarczającą ilość grosza? Musi mieć za co jeść i pić w drodze miejska delegacja i jeszcze dać komu ile będzie trzeba, a i na dary niemało należy zebrać dla księcia.

Tu się zaczęli po łbach kudłatych skrobać i z nogi na nogę przestępować, bo i z lym wszyscy czekali na Kaspra, licząc na to, że wy trzaśnie on pierwszy na ten zbożny cel ze swojego trzosa.

- Ha, nie macie - z przekąsem Kasper zapytał, bo znalazł ich sknerstwo i ciśnienie mieszka - to z czym się macie do księcia wybierać?

- No, coś się tam nazbiera - któryś z rady zawstydzony bąkał.

- Nie coś, ale dużo będzie trzeba. Książę z Brandenburgią wojnę prowadzi, to mu trzeba grosza, a wy jak hołysze z niczym do księcia i jeszcze chcecie go prosić, by wam, o tak sobie, prawa nadał. I Rozeszli się wszyscy ze wstydem do domostw po tych gorzkich, ale prawdziwych Kaspra słowach. Myśl o prawach miejskich spokoju im jednak nie dawała. Zaczęli więc chodzić od chaty do chaty, Pod kupca do kupca, od rzemieślnika do rzemieślnika, od kmięcia do kmięcia i co kto mógł, to każdy dawał. Garncarze dali ze dwie kopy gliniaków, szewcy kilka par obuwia, kołodzieje cztery koła, kuśnierze i garbarze kilka wyprawionych skór, z których może byłaby i szuba, od młynarza dostali worek mąki, a zajmujący się rolą dali parę korcy żyta, ale gotowego grosza było tyle akurat, co y kot napłakał. Wstyd z tym było jechać i przed innymi, a zwłaszcza krakowianami i sandomierzanami się ośmieszać. Poszli więc jeszcze raz po domach i sami z ciężkim sercem zaczęli denary, grosze, a nawet i węgierskie dukaty z supetków i ze skrytych miejsc wyciągać.

Po kilku niedzielach nazbierało się już tego tyle, że nie bali się pójść do Kaspra. Liczyli przy tym, że im przecie i on sporo doda.

Uśmieł się stary Kasper z takowego wyposażenia i powiedział, że z takimi nędznymi darami nie myśli jechać z posłami do księcia, i nie będzie w drodze głodem

przymierać. Jeśli rada chce, to niech wybierze kogo innego do tego poselstwa. O, chociażby takiego Bartka, Gąską zwanego, który znany był w mieście jako liczykrupa i sknera, ale o swej rozrzutności i hojności umiejący niestworzone rzeczy opowiadać. Żeby jednak, nie myślano, że szczerdzi na wyprawę swego grosza, dodał do nędznego wyposażenia trzy woły i jeszcze nieco gotowizny do wspólnego mieszka. Gdy go nadal usilnie do wyjazdu zaczęto nakłaniać, wymówił się niezbyt dobrym stanem zdrowia, bo w duchu myślał, że z takiej wyprawy nic dobrego nie wyjdzie dla miasta.

Zaczęły się więc na nowo obrady, kogo najlepiej wysłać do Krakowa. Najpierw chciano wyekwipować dwa wozy i pięciu ze zbrojnymi pachołkami mieszczan, ale jak zaczęto przymierać i obliczać, zrozumiano, że należy zmniejszyć ilość posłów do trzech i tylko jeden wóz pośłać, bo i tak nie było czym go załadować.

Trzech ludzi spośród prawie tysiąca dusz wybrać, nie była to łatwa sprawa. Najpierw odrzucono niewiasty, chociaż nie bez oporów, bo byli i tacy, którzy uważali, że niejedna baba potrafi więcej zdziałać niż trzech chłopów, ale śmieszna byłaby ta babska delegacja, jakby już w całym mieście nie było nawet na lekarstwo chłopów. Spośród chłopów odrzucili wszystkich opojów, bo zanim taki do Krakowa dojedzie, to po drodze wszystko przechla. Dalej zostali odsunięci tacy, co to lubieli dobrze zjeść i strojnie się ubierać i przed innymi świecidełkami błyskać.

Po wielu takich przesiewach do wysłania pozostało trzech, może nie najbardziej godnych reprezentowania, ale chyba najlepszych w takiej sytuacji mieszczan. Oczywiście wybrano podanego przez Kaspra niby dla śmiechu Bartłomieja, bo kto, jak nie Gąska, miał w drodze doglądać skromnego uposażenia i w Krakowie nim oszczędnie szafować. Drugim był dzwonnik z kościoła Św. Michała, Wojciech, przezwany Ślepotą, bo ciągle z wieży kościelnej ślepiął i wszystko najlepiej o mieście i o jego przeszłości wiedział i na każdą okazję potrafił odpowiednią opowieść znaleźć. Pamiętał, czym to miasto wspierało w trudnych czasach obecnego księcia Władysława. Z jakimi to bojarami ruskimi i litewskimi lubelski kupiec znał się i handlował i ile z tego korzyści może przyjąć dla całego księstwa.

Trzecim był Mikołaj Wołek, najbogatszy rolnik z podgrodzia.

Znał on, jak swoje, wszystkie najlepsze ziemie wokół miasta i potrafił, jeśli chciał tak każdego omotać, że w chwil kilka na czym mu zależało, bez trudu wycygał.

Tak dobrana trójka uzupełniona jeszcze w ostatniej chwili przez uczonego w piśmie dominikanina wyruszyła z misją do Krakowa. Nakazano im na odjeździe sprawy dobrze załatwić, pieniędzy oszczędzać, a bez przywileju książęcego nie wracać.

Z kilku zbrojnymi pachołkami, ciągnąc za sobą trzy woły, podążała mozolnie ku Krakowowi lubelska delegacja. W drodze mieli dość czasu, by się naradzić, jak przed księciem każdy ma się zachować.

Dzwonnik miał w zależności od potrzeby opowiadać, to o zasługach, to znów o przeszłych nieszczęściach miasta. Wyliczać wszystko, co pamiętał i w stosowny sposób przykładami popierać.

Ustalili, że jak Bartłomiej będzie chwalił się i mówił o zasługach Lublina, to Ślepotą najlepsze czyny mieszczan z pamięci przywoła, a Wołek będzie przymawiał się o nadanie najlepszych kawałków ziemi dla miasta. O tak, że tu potrzebna włoka pola, tam łąn, a ten znów do niego przylega, aby tylko jak najwięcej wszystkiego zbierać.

Dominikanin im tylko przytakiwał i zacinanym po drodze gęsi pióra strugał. Spodziewał się bowiem, że projekt lokacyjnego dokumentu na niego spadnie, bo nikt z delegatów pisać przecież nie umiał.

Po tygodniu mozolnej wędrówki dowlekli się wreszcie do Krakowa. Tu zatrzymali się w najtańszej gospodzie, żeby za darmo nie wydawać grosza. Następnego dnia z rana wybrali się o posłuchanie prosić księcia. Łokietek życzliwie przyjął lubelskich mieszczan, bo pamiętał, jakie wyświadczyli mu przysługi, kiedy z Małopolski musiał uchodzić. Łaskawie więc na prośby ich nadstawił ucha.

Pierwszy przemówił Ślepotą, bo był najobrotniejszy w mowie i kazań w kościele farnym wiele wysłuchał.

- Najlepszy nasz panie, któryś zazna! jako i twoi poddani tyle krzywd i nieszczęścia - zaczął wznosić jak kaznodzieja - znane są ci nasze dzieje, jakośmy byli najechni najpierw w czterdziestym i pierwszym roku ubiegłego stulecia przez Tatarów, jak w trzy lata później Prusowie i Ruś na nas napadła. Po księciu Danielu, to chociaż ten olbrzymi stołp, ta wieża w grodzie pozostała, ale krwią naszych rąk wzniesiona. Możemy się teraz przed wrogiem, jeśli zechce na nas napaść nieźle opętać.

A ile to nieszczęścia Litwini nam przynieśli, którzy w tysiąc i dwieście pięćdziesiątym i piątym roku pańskim całkiem nam domy spalili? O innych nieszczęściach, które nas nawiedziły w późniejszych latach, to nawet nie wspomnę, bo i kto by je tam spamiętał, ale jako dzwonnik z farnego kościoła nie mogę pominąć, jak to Jadźwing z Prusakami na nas najechnął. Szczęściem brat wasz przyrodni, Leszek Czarny, Panie świeć nad jego duszą, na pamięć zwycięstwa nad nimi kościół Świętego Michała Archanioła zbudować kazał. Oby pamięć w naszym grodzie o nim i o was, wielebny książę, oby najrychlej królu, nigdy nie zagasała.

Łokietek po tym wyliczaniu nieszczęść, których i sam wiele zaznał, nie mógł się zorientować, do czego mówca zmierza, więc zniecierpliwiony przerwał:

- No, zacni mieszczanie, czy nie macie już nic oprócz tych żalów do mnie. Znane są mi dobrze wasze nieszczęścia.

- A, tak, tak wielmożny królu - sepleniąc włączył się Wołek. Przy tym zrobił minę takiego nieszczęśnika, że książę pomyślał, że może w Lublinie wybuchła jakaś zaraza lub pożar.

- Tak, miłośniwy królu, po tych najazdach, łupieżach nie pozostało w mieście ani krowy, ani skota, jeno tylko jedna płochliwa koza, która ksyku wojennego strasnie się bojała i uciekła do wozów i tam się uchroniła. Dla dziatków naszych głodnych, gołych i bosych dając po drobinie mleka.

- Opowiadacie mi - przerwał książę - o waszych nieszczęściach sprzed pół wieku, a tak jakby działa się wam dzisiaj jaka krzywda.

- Oj, pamiętamy te czasy, bo niejednego jako sierota i nędzarz po tamtych czasach pozostał, a pola dawniej należące do mieszczan do dziś chwast porasta, bo kasztelan nikomu nie chce ich oddać. Wszystko zabiera i bywała mieszczanom nie daje wypasać na błoniach. W postronnych miastach przywilej książęcy chroni ludzi i nie nachodzą ich tak liczne, jak nas nieszczęścia.

- Nie skarżcie się bardzo, bo donoszono mi, że Lublin w ostatnich latach zubożył się już nieźle i spotężniał.

- A, tak, tak - przytakiwał Ślepotą - panie nasz i całego królestwa, Lublin to już teraz jest bardzo ważny gród na rubieżach waszego księstwa, oby najrychlej

królestwa, bo to dzięki sprzymierzeniu z Rusią i Litwą wszystko się odradza. My to od samego początku wierni byli twardo stali przy boku księcia, oby najrychlej króla. Nie tak, jak te Niemiaszki z Krakowa albo z Sandomierza, a cieszą się oni i ich ziemia w liczniejsze dostatki od nas.

- No tak - rzecze księżę - ale przed piętnastu laty ani miasta, ani grodu przed rycerstwem sandomierskim i krakowskim nie mogliście utrzymać?

- Ano - wtrącił usprawiedliwiająco Bartłomiej - musieliśmy się im wtedy poddać, ale wiedzieliśmy już, że wkrótce będziemy sługami waszego panowania.

- A bodaj was Księżę się roześmiał - kto was nauczył takiego łgarstwa?

- Uchowaj, Panie Boże, łgarstwa! - z przerażoną miną Ślepota zawołał. - My do księcia przybyli w ważnych dla miasta sprawach, nasza delegacja w imieniu wszystkich mieszczan i podgrodzian, i nikt z nas wobec Majestatu nie śmiałby zełgać!

- No, no - uspokoił ich ubawiony władca - nie macie się czego obawiać. Znacie przecie moją życzliwość dla was.

- A i my do was, łaskawy nasz panie i całego polskiego królestwa, nie przybyli bez gościńca. Skromny on, ale szczery, jak od biedaków. Trzy, to znaczy dwa skoty wołyńskie pasione przywiedli my od Kaspra, naszego ziomka, który tu też z nami miał przyjechać, ale w ostatniej chwili zachorzał.

- No i jeszcze psywieźlim nieco grosa - dorzucił skwapliwie Mikołaj - bo, jak nam wiadomo, w czasie wojny grosa dużo potsa.

- Powiedzcież mi wreszcie - księżę zapytał - co was do mnie przygania? Jeśli z darami, to pewnie nie jako pogorzelnicy ani leż was chyba nie gnębi zaraza?

- A uchowaj Boże nas od takiego nowego nieszczęścia! - zgodnym chórem wykrzyknęła cała trójka.

- My, panie nasz, który jesteś znany jako dobroczyńca i mądry władca w księstwie, oby najrychlej królestwie, zechciej nas osłonić płaszczem swego prawa - po kaznodziejsku przemówił Ślepota.

- To czegoście od razu nie mówili, jaka wasza sprawa. O przywileju dla was i o lokacji miasta na niemieckich prawach myślałem już od dawna. Moi ludzie szukają nawet dla was wójta.

- My tu właśnie po to przyjechali - pokornie zaczął Gaska - wysłani jesteśmy przez mieszczan, żeby nas nie spotkała przy okazji jaka krzywda.

- Tak będziecie lokowani jak i inne miasta.

- Tak jak inne miasta? - Bartek niemal załkał. - My tacy biedni, po tylu nieszczęściach, i tak zwyczajnie, jak inne miasta?

- Pięćdziesiąt łanów dostaniecie i ulgi w podatkach.

- Pięćdziesiąt łanów - z żalostí w głosie jęczał Gaska. - Panie nasz, to już lepiej nic nam nie dawaj. Pięćdziesiąt łanów dla tak wielkiego miasta? Cztery u nas kościoły, gród i wysoka wieża, i klasztor świętego Dominika, i tyle głodnych gąb do wyżywienia.

- Myślałem, że pięćdziesiąt łanów i to za wiele po takich zniszczeniach. Któż będzie tę ziemię uprawiał?

- Pięć łanów ja sam i moja celadź obsieje - przechwalał się Wołek - a jak się jeszcze wprowadzi odłogi, a i łąka jest psecie potsebna. Pięćdziesiąt łanów to nawet nie dosięgnie do tego cechówskiego wzgóza, na którym, jak nam powiadał jeden z Ormian, dobrze posłoby winnica. A winem to i najjaśniejszego pana w casie psejazdu psez nas gród rada by ugościła, a i kilka becek każdego roku posłoby na dwór do Krakowa.

- Niech będą wasze i te czechowskie wzgórza. A ile to będzie łąnów?
- Same wzgóza to psetseń niewielka, ale jak po cudzym do nich dojechać?
- Ha, ile tam tego będzie?
- Psy drodze tsy łąny, a po drugiej stronie tsy, a za tymi górami tes ze tsy psylega i...
- I jeszcze między nie i wąwóz się wciska?
- A, tak, tak - spiesznie przytwierdzał Wołek -jakbyś jegomość wiedział.
- Ten wąwóz, w którym ukryła się przed Tatarami ta wasza koza żywicielka? -
Wyrażnie dworował sobie z lubelskich mieszczan księżę Władysław.

- Ten wąwóz, to inny, z drugiej strony miasta.
- Chcecie więc mieć aż dwa wąwozy dla waszych kóz?
- Oj lak, królu, te kozy, to strasne utrapienie. Rozplenily się w ostatnich latach. Tsyma po kilka bydłat tych nasa biedota. Łazi toto po dachach i po grodowych wałach. Wytsymać z nimi nie można, a kastelan psy zamku wypasać nie pozwala. Gdyby dla nich kilka nieurodzajnych wąwozów oddać, to spokój byłby dla całego grodu i całego miasta, a jak ciesyłaby się i wysławiała tve imię miescańska biedota!
- To ile wreszcie tych wąwozów wam potrzeba?
- Tsy, które juz nam najjaśniejsy pan dał, a teraz jesce dwa dla kóz, to pięć, a i jesce jeden by się psydał, taki, psez który psechodzi droga i zeka.
- Niech będzie wąwozów sześć.
- Sześć wąwozów - powtarzając półgłosem dominikanin skrzętnie zapisał.
- Już chyba więcej w okolicy nie ma?
- Są, ale takie małe, których i wymieniać nie warto. Ale teraz las by się nam jesce psydał, by było dzewo na opał.

- Chciwi mieszczanie z Lublina, opanujcie się, bo gotowi jesteście zagarnąć poiowę mego księstwa!

- Jakaż tam połowa? Teraz będzie tego, co jus nam księżę ofiarował, z tymi pięćdziesięcioma łąnami, polami, wąwozami i lasem... Zaraz, spróbujemy porachować. - Tu zbliżył się podniecony do pozostałych posłów, którzy z wybałuszonymi oczyma, osłupiali przysłuchiwali się zuchwałemu targowi Wołka. Ten podszedłszy do kompanów, coś z nimi poszeptał i rozpromieniony, ale z niewinną zupełnie miną, jakby tu o błahostkę zupełną chodziło, rzekł:

- No, najwyżej będzie tego ze sto łąnów dla całego miasta.
- Sto łąnów? A, bodaj was kaduk wygnał, sto łąnów daję wtedy, gdy miasto na surowy korzeń osadzam, a u was od niepamiętnych czasów istnieje osada i pola swoje przecie już macie. Ale dam wam, dani. Niech ci niewierni krakowianie i sandomierzanie wiedzą, że potrafię wynagrodzić wierność w czasie nieszczęścia. Sto łąnów wam daję, Jeszcze jakie macie życzenia?

- A przydałaby się jeszcze jaka wolnizna - nieśmiało bąknął Ślepotą.
- Wolnizna też będzie.
- Ale też zeby nie taka jako w innych miastach zwykła - chytrze rozzuchwalony Wołek dodał.

- W dwójnasób darowałeś nas ziemią - wtrącił nieśmiało Gaska - to i takaż sama wolnizna by się zdała.

- Dobrzy mieszczanie - księżę nagle spoważniał - daję wam szcudrze wolniznę na dwadzieścia lat, a żebyście nie skarżyli się więcej na kasztelana i wojewodę sandomierskiego, biorę was pod opiekę własną, uwalniam ponadto wszystkich

mieszczan lubelskich od płacenia na ziemiach moich myta, a na zielone świętki szesnastodniowy jarmark naznaczam. Chcę, by do starego Lublina przybywało wielu kupców z bogatych stron i dobrych mistrzów rzemiosła. Nie wpuszczajcie tylko Niemców i pogan. Nakazuję wam ponadto, byście myśleli o rozlokowaniu dużego miasta, opasali je wysokim murem, żeby się doń wróg nie dostał i byście wierni byli, jak dotąd, mojej władzy, i oby was już nigdy nie spotykały jak niegdyś klęski i nieszczęścia. Z gotowym już przywilejem przybędę do was na przyszły rok w dzień Najświętszej Panny Wniebowzięcia. 15 sierpnia.

Posłowie słysząc o tak wielkich dobrodziejstwach, o których nie śmieli nawet śnić w marzeniach, otworzyli drżące usta i nie mogli wykrztusić z siebie przez dłuższą chwilę ani słowa. Jadąc myśleli, że przyjdzie im walczyć z księciem o przydział każdego półtanka, a tu naraz aż tyle dano im dobra.

- O, jakżeż my, panie nasz, mamy się tobie wywdzięczyć - pierwszy oprzytomniawszy nieco ze łzami przemówił Gaska. Wołek i Ślepotą przy słowach tych składając ręce upadli na kolana i jakby zupełnie zmysły postradawszy, zaczęli wyciągać, drżącymi rękami zza pasów własne mieszki i zawartość ich u stop księcia wysypywać.

Władysław prowadzący wówczas wojnę z brandenburskimi grafami cieszył się z tego datku, który chociaż niewielki wobec istniejących potrzeb, wszelakoż był dowodem szczerego oddania i zapowiadał na przyszłość, że na lubelskich mieszczanach w razie potrzeby będzie mógł polegać.

- Do tego, cośmy tu złożyli, jeszcze woły tsy, a nie dwa, mamy dla księcia. - Patrząc na pieniądze z dumą w głosie dodał Mikołaj.

- Możecie zapędzić je zaraz wedle zamku do rzeźnika, przydadzą się dla wojska, które zawsze na głód srodze narzeka.

- Dla głodnego wojska? - poderwali się wszyscy z klęczek, jakby na rozkaz.

- Już my bieżym, dla wojska. - Kłaniając się czapkami w pas, tyłem zaczęli się do drzwi, jakby ich kto wyganiał, przepychać.

- A przyjdźcież tu jeszcze jutro, by reszty spraw dogadać - śmiejąc się z tej nadmiernej gorliwości lubelskich mieszczan, ksiązę za wychodzącymi zawołał. W komnacie pozostał tylko z dominikaninem, który jeszcze mozolnie to, co ksiązę przyrzekł, na pergaminie zapisywał.

- Pater - ozwał się ksiązę, gdy klecha przestał piórem skrobać - przeczytaj mi, com tam tym waszym mieszczanom naobiecował.

- Po odczytaniu zapisu dominikanin nieśmiało księcia zapytał, jaki zamierza jeszcze nadać herb lokowanemu na nowych prawach miastu.

- Herb? - ksiązę się na chwilę zafrasował - herb, powiadasz? - Jak przystało dla każdego lokowanego miasta, godzi się jakiś znak przecie nadać.

- No tak, ale jakoś nikt przedtem nad tym się nie zastanawiał, a tu i lubelskich mieszczan gorliwość nadmierna do wołów wymiotła. Można by ich o to zapytać. Pater, czy nie mają oni już jakiegoś upatrzonego dla siebie godła?

- A nikt o tym w Lublinie chyba nie pomyślał.

- No, to co by im leż wydumać? - ksiązę przez dobrą chwilę komnatę w jedną i drugą stronę przemierzał.

- No, niech może mają - zaczął niepewnie - w swoim herbie coś z tej żywicielki, która ich od głodowej śmierci ocaliła. I jeszcze niech mają coś, na czym im zbywa, a

mogliby osiągnąć gorliwości swą pracy. No pater, czego by to najbardziej pragnęli mieć mieszkańcy Lublina?

- Tak jak tu powiadali, to chyba chcieliby na tych ofiarowanych przez was, panie nasz, wzgórzach winnice pozakładać.

- Ano właśnie - roześmiał się władca - niechaj mają w swym herbie coś z kozy i coś z wina.

- Coś z kozy i coś z wina - powtarzając półgłosem dominikanin skrętnie w swym dokumencie zapisał.

- A jak to się ma na tarczy herbowej układać, niechaj już sam herbator Mikołaj zmyślnością swą i pędzla swego wykona. Pijaczyna to wprowadzie, ale lepszego herbatora nad niego w Krakowie nie ma. Po wykonaniu herbu niechaj jutro mieszczanie jeszcze do mnie przyjdą koło południa, by swój znak miejski pokazać.

Dominikanin skończywszy swą pracę skłonił się nisko przed księciem i delegacji po Krakowie poszedł szukać. W miejscu, w którym stali, nikogo nie zastał.

Po zaciągnięciu wołów do rzeźnika lubelscy posłowie jeszcze długo nie mogli się opamiętać. Jakby skrzydeł im kto dodał, albo bobu zadał, nie dotykając niemal ziemi przebiegali po krakowskich uliczkach. Dopiero, gdy pot zalał czerwone od szczęścia ich oblicza, a najstarszego Gąskę chwyciła zadyszka, przystanęli na rynku i zaczęli jako miechy sapać.

- Ano - po głębszym sapnięciu ozwał się pierwszy Ślepotą - w takim razie godzi się nam winem radość naszą zalać.

- A może to nieprawda? - Łapiąc powietrze jak wyłowiona z wody ryba, rzeził Gąska.

- Nieprawda? Nieprawda? - Roześmiał się Wołek - Jakby to nie była prawda, to byś tak nie sapał.

- Ano racja - ocierając pot z czoła przyznał Gąska.

- No to chodźwa do gospody - nalegał Ślepotą.

Rozejrzawszy się po rynku, weszli do najbliższego zajazdu i kazali szynkarzowi duży dzban wina węgierskiego podać. Łapczywie, jeden od drugiego dzban przechwytyjąc, osuszyli spore naczynie w chwil kilka do dna. Po otarciu wąsów roziskrzyły się im jeszcze bardziej ślepie i, jak to zwykle bywa, od razu chęć na drugi dzban wińska nieprzeparta nasza. Już dzwonnik miał zawołać po raz drugi na szynkarza, gdy Bartek czy to z nawyku, czy to jako stróż wspólnego trzosa bezwiednie za mieszek się pomacał. Zamiast sękaty twardości monet z przerażeniem odkrył zupełną miękkość kapciucha.

- Wstrzymajcie się, bracia - z przerażoną miną do kompanów swoich wyszeptał.

- W mieszk naszym nawet złamanego denara nie ma.

- Jak to nie ma? - oburzył się Ślepotą, który największą chęć miał na nowy dzban wina.

- Wszystkom, wszystkom... - ze łzami w oczach jak dziecię usprawiedliwiał się Gąska - wszystkom wysypał u stóp księcia.

- Jak to wszystko? Było mówione, że co dla księcia, to dla księcia, a co dla nas, to dla nas!

- Była wtedy taka chwila, taka chwila - jękał się Gąska - że mi się ręce zatrzęsły jak osika i najpierw ten nasz mi się wysypał, a potem przecie i ten książęcy trzeba było

oddać. Każdy z was także u stóp książęcych, co miał, wysypał.

- A bodaj cię kaduk, nam będzie przymawiał. Każdy wysypał swoje, żeby księżę nie pomyślał, że mieszczanie z Lublina to sknery. I tak się to zwróci przy rozdziale łąnów, które nam księżę ofiarował. A ty miałeś dać księciu z książęcego trzosa, a reszty strzec i na powrotną drogę zachować.

Gdy tak się przemawiali, w progu izby ukazał się szukający ich po całym mieście zakonnik.

- Gloria, radujcie się, bracia! - zawołał - pater za was o herbie pomyślał. O tu - rozwijając przed nimi pergamin, jakby umieli czytać, pokazywał - o, tu wszystko zapisałem, co mi księżę kazał.

Nie rozumiejąc, o co klesze chodzi, strapiiony własnym kłopotem, że wszystek majątek wspólny postradał, pociągnął Gąska za rękaw dominikanina.

- Ojczy, a czy ty przy sobie paru groszy nie masz?

- A skąd u mnie grosz, kiedyś ubóstwo dozgonne przysięgał?

- A to, coś dostał na zakupy do Krakowa?

- Apage satanas, coście się tak przypięli do mojego mieszka? Wytłumaczyli mu po cichu, jak nieopatrznie znaleźli się bez grosza i dlaczego proszą go, by ich z opresji wyratował. Zakonnik z dużą niechęcią z przepaścistych kieszeni habitu kilkadziesiąt denarów wyszperał. Znalazło się tego tyle, że nie tylko na zapłacenie wypitego, ale i na nowy dzban wina wystarczyło. Wszystkim od razu miny się poprawiły, bo i zakonnik do kompanii przystał. Przy winie ustalili, że dla opędzenia potrzeb z poczwórnego zaprzęgu dwie szkapy sprzedadzą w Krakowie i jakoś się tam do Lublina bez głodu dopchają.

- Ale jeszcze trzeba opłacić herbatora - dominikanin dodał.

- Jakiego znowu herbatora?

- Ano tego, co ma herb dla Lublina malować.

- Jaki herb?

- Zwyczajnie, jak dla każdego lokowanego miasta.

- Ojczy, powiedzcie jasno, czy to sam księżę kazał? Zakonnik opowiedział, jak to on księciu o herbie przypomniał, i jak ma wyglądać ustalone przez księcia godło miasta.

- O, Jezus Maryja - ze zgrozą wyszeptał Ślepotka - jak świat światem, jeszcze w żadnym herbie miasta nie było kozy. To wasza, Mikołaju, chciwość i obłuda to sprawiła - zwrócił się z wyrzutem do Wołka - łgaliście o tych kozach do księcia, a teraz będzie na wieki dla miasta sromota.

- Teraz to moja wina - bronił się Wołek - ale jak sto łąnów wygadałem u księcia, to aż się wam świeciły ślepie. Żeby nie wpadła mi do łba opowieść o tej kozie, to może pozostałoby i na tych pięćdziesięciu łąnach.

- Nie turbujcie się tą kozą uspokajał ich dominikanin - tu wcale nie jest napisane, że to ma być koza. Księżę powiedział, że coś z kozy, na pamiątkę, że była ona w trudnych czasach naszą żywicielką, a poza tym ma być na herbie winnica. Można chociażby zamówić u herbatora samą winnicę, a gdzieś z boku rogi albo kawałek koziego wymienia.

- Ano właśnie, jeszcze nam tylko koziego cycka do herbu potrzeba?

- No to może rogi albo kozie kopytka? Najlepiej będzie, jak pójdziemy do herbatora i wspólnie jakoś się wszystko dogada. Najważniejsze to przecie są te łąny, którymi

was księżę, jak nikogo, obdarował, a nie herb miasta, który z czasem można będzie jakoś zmienić albo poprzeinaczać. - Próbował uspokoić ich klecha. Zebrali się i poszli herbatora szukać.

Herbatora odnaleźli wkrótce, gdyż niedaleko rynku mieszkał. Nie można się było z nim jednak dogadać, bo mocno spity w barłogu leżał. Dopiero jego baba, za kudły długie szarpiąc, wyciągnęła go z legowiska. Mistrz ciągle jeszcze nieprzytomny, coś tam niezrozumiale bełkotał. Tarmosząc silnie, kobieta próbowała go do przytomności przywołać.

- A obudźże się, opoju - do ucha mu wrzeszczała. - Panowie mieszczenie z Lublina do ciebie przyszli, a ty jak kłoda!

- Czego mieszczenom lubelskim potrzeba? - bełkocząc niezrozumiale, zapytał.

- Herbu, mości herbatorze, chcemy, byś nam herb wymalował.

- A, herbów się wam zachciewa? Widzicie, czasu dzisiaj nie mam i baba na mnie rozsierdzona.

- Herb potrzebny jest nam na jutro na obiad. Z gotowym mamy być jutro u księcia - do ucha usypiającemu mistrzowi wrzeszczała

- Babie powiedzcie, co wam potrzeba, a jutro robota będzie skończona. Uwalił się znów na postanie i po chwili przeciągle zaczął chrapać.

Strapieni patrzyli posłowie to na siebie, to na chrapiącego mistrza. Widząc niepokój uspokajała ich kobieta tłumacząc, że ona potrafi już męża dopilnować, by robotę wykonał na czas.

- A ile to bierze wasz za herb? - przezornie Bartek zapytał.

- Ano zależy od tego, co ma herb przedstawiać.

- Nasz ma mieć - tłumaczył babie Ślepotą - coś takiego z kozy i coś z wina.

- Z kozy i wina? - zdziwiła się kobieta.

- Właśnie tak księżę pan nakazał, że ma być duża winnica i jeszcze coś z kozy, bo wiecie, dobra kobieto, że nas podczas najścia tatarskiego taka jedna koza uratowała, ale nie koza jest najważniejsza. Może być kawałek kozy, jakieś rogi kozie albo kopyta, no żeby tam coś koziego na herbie trochę tylko było widać.

- Hm - zastanawia się kobieta - z kozy powiadacie? Zdaje się, że mój Mikołaj kiedyś namalował na tarczy herbowej kozę czy kozła. Zaraz poszukam, może się wam to nada?

Zaczęła rozglądać się po kątach, przewracała jakieś rupiecie i przygotowane już do malowania płótna. Wreszcie wydobyła spod wyrka zakurzoną herbową tarczę. Fartuchem z deski kurz starła i obraz przybliżyła do światła.

- No i co, jak wam się to podoba?

Delegaci, nie chcąc czynić przykrości kobiecie, tylko z niesmakiem wykrzywili usta. Zobaczyli bowiem unoszącego się ociężałe na tylnych łapach, obrosłego długimi kudłami capa. Wydawało się im, bo to i zaduch był ciężki w chacie, że właśnie z obrazu unosi się smród na mil kilka.

- Co, takiego kozła nie chcielibyście mieć w herbie swego miasta? Kozioł plenność oznacza. Przy takim herbie darzyć się wam będzie wszystko i rozmnażać.

- Wiecie - zaczął uprzejmie Ślepotą, by kobiety nie zrażać - na herbie Lublina powinna być taka duża winnica, bo niedaleko miasta są wzgórza, na których mamy winnicę zakładać, a oprócz tego coś tylko niewielkiego z kozy trzeba dodać, jak wam już mówiliśmy, może rogi albo kopytka. Najważniejsza jest wszakoż winnica.

- Winnicę chcecie mieć? - ozwała się chytrze kobieta. - Winnica to będzie dużo kosztować, a do tego coś chcecie z kozy i żeby to na jednej tarczy wymalować, to będzie bardzo trudna sprawa i dużo musi kosztować.

- A ile to mistrz bierze od takiego dzieła? - z frasunkiem spytał Gąska

- A z pięć dukatów.

- Co, aż tyle grosza? - z przerażeniem w głosie Bartek zawołał.

- Za szkapę chce nam dać tylko dziesięć dukatów jeden z krakowian.

- To wy do jakiejś ochwaconej szkapy chcecie równać herb swojego miasta?

- Szkapą nie jest wcale ochwacona.

- Dobrego konia za taki psi grosz nikt by przecie nie oddał. Trudno było babie tłumaczyć, że nie mając pieniędzy będą musieli za pół ceny szkapę sprzedać.

- Zresztą, co będziemy teraz gadać. Jutro, jak przyjdziecie po odbiór gotowego malowidła, to z tym starym opojem będziecie się o cenę targować, a teraz dajcie na zadatek jednego dukata.

- Dajcie, ojcie, jednego dukata - zwrócił się, jakby do swego skarbnika, Gąska. Zakonnik, by autorytetu delegacji nie podrywać, wyjął z ciężkim sercem dukata i wręczył żonie malarza. Ta, z wyraźną radością w głosie, zapewniła ich, że wszystko akuratnie mężowi opowie, co i jak ma być na herbie. Niech się nie troszcza, będzie i coś z kozy, i będzie piękna winnica. Ona już wszystkiego dopilnuje, by na czas praca była skończona.

Uspokojeni wymownością żony mistrza poszli posłowie lubelscy na konie szukać kupca. Chytry i przebiegli krakowscy koniarze w lot wyczuli, że przyciskać musi sprzedających wielka potrzeba, bo w żadnym sposobie nie chcieli podnieść na szkapach ani grosza. Nie było innego wyjścia, musieli za dwadzieścia dukatów dwie zupełnie dobre i nieochwacone szkapy oddać.

Po zwróceniu długu zakonnika i opłaceniu gospody, w której stali, niewiele im pozostało w mieszkaniu ponad dziesięć dukatów, a trzeba było opłacić jeszcze herbatora i dojechać do Lublina. Liczyli, że na herbatorze uda się im jeszcze ze dwa albo i trzy dukaty utargować.

Nazajutrz mając wiele czasu poszli na zwiedzanie miasta. Łazili bez celu po wąskich uliczkach. Zaglądali do kramów, oglądali, co kto ludziom do sprzedania wystawiał. Przydałoby się jakie podarki dla dzieciaków i żon przywieźć z Krakowa, a tu nie ma w kieszeni ani grosza. Pieniądze za sprzedane szkapy Bartek w swojej sakwie trzymał i ledwie na lada jaki poranny posiłek trochę wysupłał.

By nie drażnić siebie zapachem mięsiwa i buchających z otwieranych szeroko drzwi gospod oparów wina, a i widokiem różnych świecideł wystawianych na straganach na sprzedaż, poszli nad brzeg popatrzeć, jako płynie Wisła. Łazili nad wodą i patrzyli jak flisacy krypy ze zbożem wyprawiają do Gdańska. Z niejakim lękiem i ciekawością zajrzeli do jamy krakowskiego smoka. Potem długo opowiadali sobie, jaki to ma być ich herb. Troszczyli się tylko, czy baba potrafi herbatorowi wszystko dobrze przekazać. Byłe okazale wyglądała na herbie winnica i by herbator z robotą zdążył na obiad, ale jeśli go książkę polecał, to zapewne można mieć zaufanie do malarza.

Gdy słońce podniosło się już około południa, z dużym podnieceniem poszli do herbatora. Na progu powitała ich znowu kobieta. Zastawiła sobą wejście do domu, mówiąc, by nie wchodzili, bo Mikołaj kończy zakazane dzieło, a bardzo nie lubi, by

mu patrzeć na pędzel, kiedy maluje.

- Już kończę - odezwał się mistrz z wnętrza. - Możecie dukaty szykować.

- Ale stary powiedział - wtrąciła baba - że herb miasta więcej jak pięć dukatów ma kosztować.

- Jak to więcej? - nasrożył się Gaska.

- A bo pięć dukatów kosztuje herb dla zwykłego szlachcica, a dla całego miasta...

- A jaka to różnica?

- Jak to? - wychylił się do nich mistrz z pędzlem w ręku, z którego kapła jeszcze, zielona farba. - Jak to? To wy, mieszczenie z Lublina, zakazujecie herb, żebym wam malował dla całego miasta, a płacić chcecie tyle, co dla jednego człeka?

- Ale tyle grosza? - Z lękiem w głosie westchnął Gaska.

- To idźcie sami chwostami końskimi herb sobie malować. Znajdzie się taki, co i dziesięć dukatów za takie dzieło nie będzie żałował.

- Dziesięć dukatów? A bójcież się Boga! Toż to nie za cały dzień roboty zapłata.

- Moją robotę będą mi wypominać? Biegnijcie, a rychło, do księcia, bo już na was najwyższa pora i powiedzcie mu, że nie macie herbu z waszego sknerstwa.

- Ależ, mości herbatorze - zaczął przemawiać do rozsądku malarza Ślepota. - Toż obrazy święte po pięć dukatów malowali nam lubelscy malarze do kościoła świętego Michała.

- To jedźcie malować herb do Lublina - nieustępliwie stał przy swoim herbator Mikołaj.

Na tych targach czas szybko uciekał i była już najwyższa pora, by śpieszyć do księcia, a herbator zamknął się w chacie i nic już się nie odzywał. Bez herbu nie można było przecie iść do księcia, zaczęli się więc znowu przez zamknięte wrota z herbatorzem o cenę układać.

- No to damy już wam cztery dukaty za herb, tylko kończcie szybko malować - zawołał przez zawarte wrota Gaska. Cisza.

- Cztery i pół dukata damy.

- Cisza.

- Herbatorze, nie bądźcież z kamienia - z błaganiem w głosie prosił przez drzwi malarza. Cisza.

- Damy, już damy, tak jak najpierw wasza baba mówiła, pięć dukatów, byleście rychło kończyli, bo najwyższy już czas do księcia.

Dodajcie jeszcze jednego dukata - odezwał się głos z wnętrza.

- Nie możemy, a księciu powiemy, żeście nie chcieli nam herbu oddać. Zamówimy nowy w Lublinie i przywieziemy później do księcia. Lokacja i tak naznaczona jest dopiero na przyszły rok na piętnastego sierpnia.

- A niech tam już stracę - ozwał się głos mistrza. Nie dla was to czynię, tylko dla naszego pana, który za pieczęcie i herby nigdy nie szczędzi swego grosza.

- To szybko wynoście, bo się nam śpieszy do księcia.

- Dobrze, zaraz, tylko jeszcze muszę wam herb owinąć tak, by się świeża farba po srodze nie rozmazała. - Po jakimś czasie wyszedł malarz, niosąc przed sobą owiniętą w płótno i owiązaną grubym konopnym sznurem herbową tarczę. Zniecierpliwiony Bartek dał mu jeszcze cztery dukaty i chwyciwszy zawiniątko pośpieszył do księcia. Oddalając się, z daleka usłyszał serdeczny śmiech mistrza i jego baby, która za nimi jeszcze wołała.

- A bieżajcie, a skoro, do księcia, by się wam przez wasze sknerstwo tarcza herbowa nie odmieniła, by z winnicy nie została jedna gałązka, a koza by się nie zmieniła w capa!

Nie słuchając tego, co za nimi wykrzykiwała podła kobieta, śpieszyli prawie biegiem spóźnieni posłowie na Wawel. Nie było czasu, by owiniętą w szmaty tarczę rozpakować.

Gdy weszli zziązani do komnaty księcia, ten do nich od progu zawołał:

- A pokażcie, co wam za herb Mikołaj wyrychtował

Nie śmieli się przyznać, że jeszcze dzieła nie widzieli. Spiesznie więc z największą ciekawością zaczęli tarczę przed księciem rozwijać. To, co ujrzeli, przeraziło ich strasznie. Ręce zaczęły im ze złości latać i żaden nie mógł wymówić słowa. Na tarczy herbowej ni mniej, ni więcej tylko ukazał się im ten sam, co wczoraj widzieli, cap, a obok niego była tylko domalowana niewielka gałązka wina, którą jak gdyby cap pożerał.

Książę z uwagą dzieła się przyglądał.

- No, widzę, żeście sobie chcieli dodać męstwa, dlatego kozę zamieniacie w kozła latorośl winna to nawet ładnie się na tarczy wygina. No i czerwone pole splendoru miastu doda. Myślę, że herb taki mieszczanom lubelskim pewnie się spodoba. Nikt jeszcze takiego herbu nie ma.

- O, panie nasz - Ślepotą próbował nieśmiało zmienić jeszcze zdanie księcia - myśmy myśleli, że może księciu taki herb się nie spodoba, to możemy inny zrobić, mamy też niezłych malarzy u siebie, albo sprowadzić kogo można z innych stron do Lublina.

- Tak, tak - skwapliwie przytaknęli pozostali posłowie, licząc, że jeszcze zmienią zdanie księcia. - Możemy zaraz po powrocie do Lublina taki piękny herb miasta zakazać, a tu przecie czasu było tak mało.

- A po co, kiedy ten herb coraz bardziej mi się podoba. Nie jest podobny do innych herbów i żadne z miast takiego nie ma. Zawieźcie herb do swych braci z dobrą nowiną, że przyjadę do was, by gród na nowym prawie lokować. Pamiętajcie jeno, żeby go na ten czas dobrze oporządzić i by nie było na rynku i na grodowych wałach za wiele kóz, które możecie już od wiosny w tych swoich wąwozach wypasać.

Nie mówiąc nic do siebie, jak struci wracali posłowie do Lublina. Nie mogli sobie darować, że tak dali się okpić i że hańbą okryją na wsze czasy mury rodzinnego miasta. Marzyli, by ich jacy zbójcy po drodze napadli i zrabowali nieszczęsny herb, ale gdzie tam, dwukonnego leciutko podskakującego na wybojach wózka nikt nie chciał rabować. Nie odzywając się do siebie dojechali prawie do Zawichostu. Po przeprawie przez Wisłę, gdy poczuli się już prawie w domu, zaczęli naradzać się, jak mają opowiedzieć radzie, jaka ich z herbem spotkała w Krakowie przygoda. Ustalili, że nikomu o niczym nie będą mówić. Po prostu książę taki herb wymalować kazał i kwita.

- Nie frasujcie się, bracia - dominikanin ich pocieszał - sto łąnów przecie wieziecie miastu za jednego capa. Możecie najwyżej na kozła nie patrzeć, a z obsianych łąnów, ile będziecie mieli zboża, a i wina, jeśli się wam tylko uda ta wasza winnica, to i do piwnic klasztornych niejedna spadnie beka za to, żem wam wszystko pisał.

- Ano niby i racja - bez przekonania przytaknęli wywodom dominikanina.

W mieście, gdy się wieść rozniosła o obiecanych przez księcia nadaniach, niemal na rękach, jak jakich zwycięzców, chciano nosić delegatów przybyłych z Krakowa. Nikt się nawet nie domyślił, że gryzie ich za lego kozła robak ukryty. Dopiero po kilku dniach odważyli się pokazać herb mówiąc, że właśnie takiego sam księżę od nich zażądał. Wbrew przypuszczeniom nikt się zbytnio nie przejmował brzydotą.

Wspaniały dar króla

Wielka radość ogarniała wszystkich i święto szykowało się na wieść o przyjeździe króla. Kupcy ściągali z różnych stron towary, a kasztelan komnaty w zamku oporządzał. Król Władysław wprawdzie w przepychu wielkim i zbytkach nie gustował, ale po długiej konnej jeździe wypocząć dobrze i pospać dłużej lubiał. W drodze na Litwę na kilka nawet niedziel w zamku lubelskim zwykł się zatrzymywać i różne tam sprawy okolicznego rycerstwa i mieszczan rozpatrywał. Odbywały się przy tym w pobliskich puszczech, jeśli czas był ku temu, wielkie z udziałem króla polowania. Wesóło było w mieście i na zamku, śpiewano i palono wieczorami ogniska, przy których pieczono zwierzynę przywiezioną z polowań, a że kupcy lubelscy dobrze się starali, to i nigdy nie zabrakło węgierskiego wina, swojskiego miodu i piwa.

Król Władysław nie tylko przez wzgląd na nowy i przestronny zamek, zbudowany przez Kazimierza Wielkiego na miejscu starego grodziska, lubił tu się zatrzymywać, ale i dlatego, że w mieście i w zamku miał starych i wypróbowanych przyjaciół, którym przy każdej okazji życzliwość swoją i łaskę okazywał. Pamiętał bowiem, jako to właśnie lubelscy kupcy przybyli pierwsi do niego z wieściami, że polscy panowie chcą go wyswatać z młodą królową Jadwigą i ofiarować w zamian za połączenie dwu państw koronę królewską.

Za tę wiadomość, jeszcze wówczas wielki książę litewski Jagiełło ze swym bratem Skirgiellą zezwolili, jak to skryba w dokumencie z dnia 18 kwietnia 1383 roku pięknie napisał: „Kochanym naszym mieszczanom z Lublina na wolne prowadzenie handlu na obszarze całego państwa litewskiego oraz na dowolne przekraczanie granicy, ilekroć będą miel i na to ochotę”.

Kupcy lubelscy nie tylko ochotnie z towarami, ale i z najnowszymi wieściami pośpieszali do wielkiego litewskiego księcia, który ich sowicie za każdą taką wiadomość wynagradzał. Przy tej okazji z wieloma mieszczanami serdecznie się zaprzyjaźnił i w późniejszych latach, już jako król polski, nigdy o nich nie zapomniał.

Chociaż najmożniejszych polskich panów była w tym sprawa, by wielkiego księcia litewskiego obrać na polskiego króla, ale kupców z Lublina, jako że często na Litwę wyjeżdżali w handlowych interesach, najporęczniej było wysłać w tajemne przespiegi, by się wywiedzieli, czy książę Jadwigę zechce pojąć i do połączenia dwu państw doprowadzić.

Do obioru Jagiełły na króla i do związku dwu państw najbardziej starosta lubelski Włodko z Charbinowic wszystkich nakłaniał. Znał on bowiem i cenił mądrość i rycerską zdolność wielkiego litewskiego księcia, a gdy już wiadomo było, że Jagiełło na warunki postawione przez polskich panów przystąpił Włodko stanął w roku 1385 na czele poselstwa wysłanego najpierw do Budy, a w roku następnym do Wołkowyska, gdzie jako pierwszy obydwie sporządzone tam dokumenty podpisał. W latach późniejszych przyjaźń króla ze starym starostą lubelskim jeszcze bardziej się utrwaliła.

Ceniąc sobie wielce tę przyjaźń, król Władysław przy każdej okazji swego przyjaciela w Lublinie odwiedzać Weszło już nawet w obyczaj, że w drodze z Krakowa na Litwę albo znów, gdy na Wawel z Wilna powracał, w Lublinie na dłuższy czas się zatrzymywał.

Lublinianie, jako że często wyjeżdżający do wschodnich krajów, bardziej rozumieli obyczaje tamtejsze i samego króla, nie gorszyli się tak jak krakowianie postępowaniem i zwyczajami, jak mówiono z przekąsem: dzikiego i zabobonnego Litwina. Cóż ich tam obchodziło, że król zanim z domu wyszedł, trzykroć się obracał i słomki połamane za siebie ciskał, albo też, że włosy z brody powplatane między palce wodą obmywał. Każdy z lubelskich mieszczan, a i z rycerstwa niejeden, miał jakieś lam własne na szczęście i przeciw nieszczęściu zaklęcia i różne na swoją korzyść praktyki wyczyniał. Nikt również królowi, jako ci księża i biskupi krakowscy, nie wypominał, że matką jego była córka księcia twerskiego greckiego wyznania. Jeżdżąc nieraz daleko na Ruś każdy kupiec lubelski wielokroć w cerkwiach przebywał i do jednego z Ruskimi Boga modlił się w niedzielę i święta.

Byli i tacy, którym nawet bardziej podobały się pięknie wymalowane, pełne postaci świętych i aniołów cerkwie aniżeli ubogie własne kościoły, z których odstraszał ludzi chłód kamienia albo znów czerwona, niczym nie powleczona cegła. Niejeden w skrytości wzdychał, by tak malarzy z Rusi można było sprowadzić do Lublina, ale obawiano się, by ich o schizmę kto nie posądził, a malarzy ruskich z kościołów nie przegnał. Opowiadano tylko po powrocie z Halicza, z Nowogrodu albo i z Moskwy o tych wspaniale malowanych cerkwiach i soborach pełnych świętych ikon, kapiących od złota, jakby o jakich cudach.

Wiedzieli mieszczanie lubelscy i stary Włodko też wiedział, że król Władysław podobnie jak oni w tych malowidłach cerkiewnych już od dawna bardzo się rozmyślał, bo to jeszcze jego matka wiele mu opowiadała o twerskich soborach i cerkwiach, a i on sam w pięknie wystrojonych malowidłami świątyniach najchętniej nabożeństw lubił słuchać.

Z wiosną 1417 roku, gdy król swoim zwyczajem w drodze na Litwę w Lublinie się zatrzymał, a że nie był wówczas okres dobry do polowania, załatwianiem tylko różnych spraw i jazdą konną po okolicy z drużyną się zabawiał. Starosta lubelski Włodko, jako że już był mocno w podeszłych latach, nie mógł królowi w przejażdżkach tych towarzyszyć, ale za to na miejscu, w zamku, jak mógł, wszystkiego doglądał i wszystkim dogadzał. Wieczorami wspólnie przesiadywał z królem i gawędził o minionych czasach, o sąsiednich krajach, jak i o ich bogactwach. Dziwili się zwłaszcza szybko wzrastającemu bogactwu i potędze Wasyla, moskiewskiego księcia, który po zwycięstwie nad Tatarami na Kulikowym Polu szybko kraj w dobrobycie dźwigał. Jagiełło interesował się bardzo wszystkim tym, co działo się w Moskwie, bo żoną Wasyla była córka jego stryjecznego brata Witolda. Często też od żony wielkiego księcia listy otrzymywał i wiadomości o różnych zachodzących w kraju zmianach.

Właśnie teraz do Lublina przybyła do króla z Moskwy z listami delegacja. Żona Wasyla w listach donosiła, że ze stepów doszły wieści, jakoby chan tatarski znowu ordę swoją zbierał i na Ruś, a może i na Polskę zamierzał najeżdżać.

Jagiełło o gotowości niesienia pomocy sąsiadom nie tylko posłów zapewnił, ale szeroko o tym po drodze wszystkim kazał rozgłaszać, by doniosło się do chana i by ten zamierzonej wyprawy zaniechał.

Posłowie z Moskwy kilka dni bawili w Lublinie. Oglądali zamek i wznoszone właśnie nowe mury miasta. Odwiedzali kościoły, ale nie mogli się nadziwić niezmiernemu ich ubóstwu.

Wieczorem, gdy ich król a to o Moskwę, a to o swą stryjeczną bratanicę, a to znów o to, jak się im Lublin podoba, wypytywał, posłowie nie mogli powstrzymać swego zdziwienia, że w tak potężnym królestwie jest wielkie ubóstwo w kościołach. Najbardziej dziwiło ich to, że nawet w miejscu goszczącym przecie często króla ujrzeli w zamkowej kaplicy tylko gołe ściany i ułożoną z cegieł posadzkę.

- U nas w Moskwie - opowiadali - każdy sobór, każdą cerkiew pokrywają piękne malowidła, a książę i jego żona złota na zdobienie domów bożych nie oszczędzają. A najlepszym malarzem w Moskwie jest mnich z Ławry Troicko-Siergijewskiej, który ostatnio przeniósł się do klasztoru Andronikowskiego w Moskwie, imieniem Andrzej. Ikony piękne, a zwłaszcza anioły najlepiej on lubi malować. Jak się wejdzie teraz do takiej cerkwi, to przy zapalonych świecach wszystkim się wydaje, że to wojsko anielskie frunie ze sklepień do samego nieba.

Andrzej był niegdyś uczniem słynnego Teofana Greka. Z Teofanem i z Prochosem z Gorodca malował ściany w soborze Błogowieszczęńskim moskiewskiego Kremla, a razem z Daniłą Czarnym piękne freski w soborze Uspienskim we Włodzimierzu nad Kłamzją, a i sam w soborze Ławry Troicko-Siergijewskiej ikonę Świętej Trójcy przepięknie namalował. Teraz, jak się wejdzie do takiego soboru, to się myśli, żeś dostał się do rajów. Tylko patrzy się człowiek, podziwia i jakby ze świętymi i aniołami ze ścian i sklepień cerkiewnych rozmawiał.

Z zaciekawieniem słuchali tych opowieści i król, i starosta lubelski, któremu wstyd było przed ruskimi posłami, że kaplicy zamkowej wybudowanej przed kilkudziesięciu laty, wspartej pięknie na jednym tylko filarze, nie potrafił jeszcze należycie ozdobić, jakby grosza na świątynię żałował.

- Przydałby się i nam chociaż jeden taki mnich - westchnął starosta spoglądając na króla.

- Powiadacie, że ikonę Świętej Trójcy ten wasz mnich tak pięknie wymalował? - król posłów zapytał.

- A nie tylko jedną ikonę, ale i Matkę Bożą na tronie siedzącą, i apostołów, i ewangelistów i ojców kościoła maluje, ale najlepiej chyba lubi aniołów i archaniołów ze skrzydłami rozłożonymi ukazywać na cerkiewnych sklepieniach.

- To musimy tego waszego mnicha - zwrócił się król do posłów - sprowadzić tu do nas, do Lublina.

- Nasza kaplica - podchwycił szybko starosta - też pod wezwaniem trzech Osób Bożych wystawiona, to i takąż jak w soborze Troicko-Siergijewskim ikona w głównym ołtarzu by się nam przydała.

- Jak myślicie - zwrócił się król do posłów - czy ten mnich najbieglejszy w malowaniu ikon przyjechałby do nas?

- Andrzej to ciągle modły w klasztorze odprawia, a robota to i w naszych cerkwiach, i soborach na niego czeka, ale jakby król napisał do swej stryjecznej bratanicy, a żony naszego księcia, to może by jej Andrzej usłuchał.

- Powiedzcie mu, że złota za dobrą robotę nie będę żałował, a jak mi się malowanie jego spodoba, to najmę go do pracy w innych kościołach.

Król podniecony swoim projektem zaraz do siebie kanclerza wezwał i odpowiednie pisma do Wasyla i jego żony o przysłanie do Lublina mnichów trudniących się malarstwem sporządzić kazał. Poleciał też staroście, by wszystkiego jak należy

dopilnował, a do Moskwy z sowitym zadatkiem kupców lubelskich z poselstwem ruskim wysłał, i by im przykazał, że bez malarzy do Lublina nikt nie śmie powracać.

Zgodnie z życzeniem króla kupcy lubelscy pojechali z posłami ruskimi do Moskwy. Znaleźcie tam, o tak, od zaraz malarza, nie było łatwe, bo każdy przy zdobieniu jakiejś świątyni pracował.

Mistrz Andrzej całymi dniami wysoko tkwił na rusztowaniach i swoje przepiękne anioły malował. Wiele trzeba było zachodu u starszych zakonu, a i wsparcia żony Wasyla, by nakłonić mnichów moskwiewskich do wyjazdu w dalekie strony, kiedy i na miejscu mieli wiele do zrobienia.

Starszym zakonu, zdaje się, że najbardziej do wyobraźni przemówił mieszek pełen złota, który Jagiełło jako zadatek posłom kazał zabrać. Zgodzili się po długich naradach i targach, że wyślą ale dopiero w przyszłym roku wczesną wiosną mistrza Andrzeja, a teraz dadzą teraz dadzą trzech jego uczniów, by wszystko na miejscu do malowania przed przyjazdem mistrza przygotować.

Całą jesień i zimę sprowadzali kupcy lubelscy farby. Przygotowano do tynków wielki dół starego wapna, a i piachu najbielszego zwieziono na początek fur kilka. W kaplicy postawili rusztowania i brud, i zakopcenia zaczęto skrobać. Kilku najlepszych muratorów najął do tego starosta.

Dzięki ich pracy już pod koniec zimy do malowania cała kaplica była gotowa.

Ledwie mróz zimowy zelżał i słońce zaczęło ku wiosnie się przetaczać, z kilkoma jeszcze mnichami sam mistrz Andrzej do Lublina przyjechał. Najpierw całymi dniami w kaplicy przesiadywał i coś tam dokładnie rozmierzał i na ścianach węglem różne pola rysował. Na tych polach znów jakieś niewyraźne postacie niby świętych, niby aniołów rozmieszczał, a do Ewangelii i ksiąg świętych coraz to zaglądał. Nie lubił tylko zbierających się ciekawych, którzy chcieli mu, co i jak ma być namalowane, podpowiadać. Zeżłony poprosił starostę, by na czas malowania kaplicę zamknąć i nikogo do środka nie wpuszczać. Dopiero gdy, jak zwykle wiosną, król jadąc na Litwę w zamku się zatrzymał, mistrz Andrzej zaprosił go do wnętrza i dokładnie, co i jak ma być wymalowane opowiedział.

Królowi bardzo się ten projekt podobał. Prosił tylko malarza, by postarał się zakończyć robotę w kaplicy do sierpnia, na czas powrotu króla z Litwy do Krakowa.

Andrzej powiedział, że bardzo trudna będzie to sprawa, ale przy pomocy swoich uczniów i jeśli tylko będą mieli dobrych murarzy do nakładania tynków, to robotę do sierpnia może uda się wykonać. Król dla zachęty zostawił jeszcze ruskim mnichom sporo złota, a sam w sprawach Litwy do Wilna odjechał.

Od początku kwietnia zaczęła się bardzo mozolna, ale wytężona praca. Mnisi wstawali o świcie i zaraz, po krótkich modlitwach, włączili na rusztowania. Mistrz Andrzej przestrzeń sklepień i ścian dzielił na niewielkie pola, potem murarzom kazał dobrze wyrobioną zaprawą równiutko je zakładać i na świeżym jeszcze tynku postaci świętych i aniołów szkicował. Wykończenie malowideł swym uczniom pozostawiał. Sam zajął się malowaniem obrazu Świętej Trójcy i wielkich postaci aniołów i dwu ewangelistów, a poza tym postanowił namalować wśród aniołów i świętych samego krok., który te malowidła wykonać kazał.

Spieszyli się, jak mogli, wszyscy, żeby tylko ukończyć malowanie fresków przed powrotem króla.

Gdy sporo jeszcze było roboty, przyszła wiadomość, że król zamierza przyjechać do Lublina na dzień świętego Wawrzyńca. Mistrz Andrzej i jego pomocnicy już nie tylko przy dziennym świetle kończyli swoje dzieło, często zostawali na noc pracując przy świecach. Wymizernieli wszyscy przy tym jak po wielkim poście, ale widać było szczęście i radość wielką w ich oczach.

Ciekawi, których mistrz Andrzej do świątyni nie wpuszczał, rozpytywali murarzy o powstające malowidła. Ci, kreśląc rękami wielkie koła, pokazywali, w którym miejscu jaki święty, a gdzie na sklepieniu anioł z rozpostartymi skrzydłami fruwa, a przy tym z zachwytem mówili o żywych, dostojnych zarazem, malowideł tych barwach.

Pod koniec lipca, gdy wiadomo już było, że na czas robota zostanie ukończona, mistrz Andrzej poszedł do starosty, by ten na dzień dziesiątego sierpnia, to jest świętego Wawrzyńca i na przyjazd króla, gości swoich zapraszał do malowideł obejrzenia. Wspólnie z miejscowym prebendarzem ustalili, jak cała uroczystość ma wyglądać.

Jak było zapowiedziane, król z litewskimi, ruskimi i polskimi panami na dzień Wawrzyńca do Lublina zjechał. Mistrz Andrzej postanowił, by oglądanie malowideł odbyło się nie w dzień, ale późnym wieczorem przy świetle świec i księżyca.

Gdy dobry zmierzch już zapadł, a miesiąc w pełni na niebo wyszedł i przez okna do kaplicy zaczął zaglądać, poproszono dopiero wtedy z komnat zamkowych króla. Prowadził go do kaplicy sędziwy starosta. Jagiełło ciekaw był malowideł, ale uszanował życzenie mistrza i wspólnie ze wszystkimi na oznaczoną porę cierpliwie czekał. Przed wejściem do kaplicy zgromadził się duży tłum zakonników z klasztoru świętego Dominika, sporo było miejscowych i okolicznych księży, panów polskich, ruskich, litewskich, a i zamożnych kupców starosta na tę uroczystość wielu pozapraszał.

Przy zamkniętych jeszcze drzwiach pokornie stali mistrz Andrzej i jego pomocnicy. Jakby wstydząc się setek oczu na nich patrzących, włożywszy w szerokie rękawy habitów spracowane ręce, nic nie mówiąc - ku ziemi pospuszczali głowy.

W momencie, gdy król ze starostą podeszli do wejścia, mistrz Andrzej bez słowa drzwi szeroko na rozcież przed nimi otworzył. Na najbliższej stojących ze środka kaplicy padł strumień światła i dało się słyszeć niby dalekie gregoriańskich chórów śpiewanie i wpleciony w ten śpiew łagodny dźwięk kapeli.

Za królem, dostojnikami, zakonnikami i księżmi dopiero na końcu do środka weszli ruscy mnisi. Jakoś nieśmiało i bezradnie rzędkiem stanęli pod chórem i jakby z lękiem na oglądających ich dzieło patrzyli.

Jasno jak przy pełnym blasku słońca było w całej kaplicy, bo mistrz Andrzej sto świec woskowych kazał zapalić i w różnych miejscach tak porozstawiać i pozawieszać, by najważniejsze i najlepiej namalowane te sceny dobrze było widać.

Wszyscy zadzierając wysoko głowy z wielkim zachwytem za królem dokładnie oglądającym malowidła chodzili. Podziwiali: i nie znane im bliżej, i te pamiętane z innych obrazów święte postaci i anioły. Padało na nie migające światło świec. Zdawało się jakoby niejednen anioł skrzydłami porusza. Dalej ze zdziwieniem patrzyli na bogate przy wejściu do zakrystii malowane, ale jakby wykonane z bogatych tkanin

ciężkie zawieszono na złożonych kołach opony. W całej kaplicy nie było miejsca, którego by malarz freskami nie zapełnił.

Król, oszczędzając świątynię dokoła, pod chór na koniec wrócił. Patrzy i jakby swym oczom nie wierzył, bo oto on sam ze złożonymi rękami przed tronem Dziewicy Bożej pokornie klęczy. Poza nim stoi giermek z mieczem, a obok niego duchowny jakiś w długiej szacie, a dalej jeszcze jacyś dwaj święci. Jeden z nich w szatach biskupich położył klęczącemu prawą rękę na ramieniu, a lewą jakby polecał go siedzącej na tronie Madonnie. Ta życzliwie wyciąga ku klęczącemu prawą rękę i go błogosławi. Za tronem stoi jeszcze jakiś drugi święty w długiej powłóczystej szacie i trzyma rozwijający się zwój, na którym jest napis. Wszystko dzieje się jakby na tle świętego miasta Jerozolimy, albo innej nieznannej może niebieskiej stolicy.

Widząc tak siebie klęczącego u tronu Bogurodzicy, wzruszył się król i na myśl mu przyszło, że może i niedługo już przyjdzie na tej ziemi kochanej pożyć. Obok malowidła stał mistrz Andrzej i na wzruszenie królewskie patrzył. Król podszedł do niego i jak brata albo najlepszego przyjaciela do piersi przycisnął.

- Dziękuję ci, mistrzu Andrzeju - wyszeptał — dziękuję.

Andrzej jakby chcąc się usprawiedliwić, że w tak pokornej postawie i bez insygniów monarszych śmiał przedstawić króla, podprowadził go ku środkowi kościoła pod lewy filar, na którym pokazał Jagiełłę na granatowym polu wymalowanego jeźdźca. Jeździec ten pędził na białym koniu jakby w stronę Litwy. Zbrojny był, to i twarzy jego nie było dobrze widać, ale za to trzymał w prawym ręku włócznię zakończoną krzyżem, a w lewym tarczę z potrójnym krzyżem litewskim. Nad pędzącym unosił się anioł i wkładał mu na głowę złotą królewską koronę.

- To nasz Król pędzi do Litwy, żeby ją ku wierze przywrócić - tłumaczył prebendarz przeorowi Dominika, który nieco niedowidział. - Za to koronę polską kładą mu na głowę święci anieli.

- Ale te malowidła - szeptał prebendarzowi przeor zakonu z lekką zawiścią - widzą się mi, jakby narodzone ze schizmy, czuję się tu teraz, jakbym nie był w kościele, ale w cerkwi.

- Tak się wam tylko widzi, wielbny ojciec - odpowiedział mu wyraźnie uradowany tym docinkiem prebendarz zamkowej kaplicy, bo wiedział, że do tak pięknie ozdobionego kościoła ściągnie teraz wielu wiernych i tych nawet chodzących dotąd do klasztoru Dominika, - Aniołowie i ewangeliści, a i Boże Osoby są tu te same i u nas, i u nich.

Trzeba było przerwać te rozmowy i spory, bo archidiakon lubelski w otoczeniu księży zakonnych i świeckich zaczął, modląc się po łacinie, malowidła święcić.

Potem starosta lubelski, jako gospodarz zamku królewskiego i zamkowej kaplicy, w krótkich, ale serdecznych i wzniosłych słowach dziękował królowi za taki dar wspaniały. Dziękował też Andrzejowi i jego pomocnikom za wielkie i piękne dzieło zostawione przez nich na zamku lubelskim.

- Oby dziesięć pokoleń następnych podziwiała trud rąk waszych - wzniosie i ze łzami w oczach swą mowę zakończył - i żeby pokolenia te pamiętały, że król nasz łaskawy, Władysław, na dzieło tak piękne ani grosza, ani życzliwości nie poskąpił.

Tak się zaczęły dzieje najpiękniejszych nie tylko w Lublinie, ale i w Polsce,

uznanych później za najwyższy w skali światowej zabytek; malowideł ściennych z lubelskiej zamkowej-kaplicy.

Aż nie chce się wierzyć, że te przepiękne freski mimo wojen, mimo zupełnej ruiny zamku, mimo wymarcia jagiellońskiej dynastii, upadku polskiego królestwa i stuletniej niewoli ocalone przez czas dotrwały do dni naszych.

Zasługa w tym niewątpliwa samego Władysława Jagiełły, syna jego Kazimierza Jagiellończyka i wnuków z królewskiej dynastii. Wszyscy oni z jakąś szczególną troską kaplicę zamkową, a wraz z nią i dzieło mistrza Andrzeja otaczali.

Już w 1395 roku, jeszcze przed powstaniem fresków, Władysław Jagiełło wyposażył kościół Świętej Trójcy, nadając mu na własność dwie wsie Świdnik Wielki i Mały. Potem Kazimierz Jagiellończyk zapewne przez wzgląd na pamięć swego wielkiego ojca, który miejsce to w szczególny sposób umiłował, kazał Janowi Długoszewi właśnie na zamku lubelskim swoich synów przez lata kilka wychowywać. W ślad za tym zostało zwiększone uposażenie kościoła do 28 grzywien.

Z dobrodziejstwa tego wprowadził prebendarz największe korzyści czerpał, ale i o kościele troszczył jego powierzonym nie mógł zapomnieć. Siedząc w swym beneficjum wyręczał się jednak z obowiązków na nim ciążących, a to przez kapelanów i wikariuszy, a to przez ustanowionych przez siebie wiceprebendarzy i kapłanów zamkowych. Widząc to Jan Olbracht przywilejem z dnia czwartego kwietnia 1497 roku dochody prebendy zamkowej w Lublinie na utrzymanie sześciu mansjonarzy kapłanów i siódmego kleryka, pod warunkiem, aby żaden z tych mansjonarzy nie posiadał innego beneficjum, naznaczył. Tym samym zniósł prebendę i prebendarza. Mansjonarzom natomiast dodatkowo przyznał dziesięciny snopowe ze wsi potrójny Świdnik, Bystrzyca, Łągiwnik, Tatar, Wrotkowa, Janowie, Krępcza i Przybysławic. Nałożył na nich niezbyt uciążliwe obowiązki. Mansjonarze mieli mieszkać przy kościele, codziennie dzwiecznym głosem odśpiewać godzinki i mszę do Matki Boskiej trzy razy w tygodniu odprawić. Dochody i wydatki na kościół miało wspólnie dzielić. Przełożonego mansjonarze mieli spośród siebie obierać. Ten dodatkowo otrzymywał rocznie dwie grzywne, za co miał pozostałymi mansjonarzami i całym kościołem rządzić, karcić i kary pieniężne za niewywiązanie się z obowiązku ściągać. Przywilej prawo patronatu nad mansjonarią i kościołem królom polskim zastrzegano.

Brat króla Fryderyk kardynał i prymas dodatkowo nadał odpust za odwiedzenie kościoła, udział w nabożeństwie i mówienie pacierzy za spokój i pomyślność polskiego królestwa.

Kolejny król polski, Aleksander, dodał mansjonarzom prawo pobierania od lubelskiej wagi półtora kamienia wosku na dzień św. Judy Szymona i beczkę wina dobrego węgierskiego na dzień Bożego Narodzenia.

Dobrze i dostatnio żyło się więc mansjonarzom lubelskim pod opieką królów. Jak umieli, tak dbali o zachowanie w dobrym stanie kościoła i o znajdujące się w nim malowidła. W kościele odprawiano najbardziej uroczyste w mieście i solenne nabożeństwa.

Działo się tak aż do roku 1575, kiedy to zamieniono w kolegiatę kościół św. Michała. Uposażenie kolegiaty odbyło się w dużej mierze kosztem prepozyta

mansjonarzy zamkowych. Prałat i dziekan kolegiaty był zarazem prepozytem mansjonarzy, a niektórzy z mansjonarzy otrzymali kanonie przy kolegiacie. Kaplica zamkowa stała się jednocześnie filią kolegiaty. Filii tej poświęcano jednak niezbyt wiele troski, gdyż już w 1603 roku w czasie wizytacji dokonanej z polecenia biskupa krakowskiego Maciejowskiego okazało się, że kościół był bardzo zniszczony, a do tego stwierdzono duże zaniedbania w nabożeństwach. Po tej wizytacji zalecono odnowienie świątyni.

Na szczęście niezbyt gorliwie przyłożono się do wypełnienia biskupich zaleceń ograniczając się do poprawienia dachu i okien oraz do wybudowania późnorennesansowego szczytu kaplicy. Zapewne przez oszczędność pieniędzy nie naruszono wówczas największego skarbu, jaki stanowiły freski. Zabezpieczenie to i późniejsze drobne remonty pozwoliły przetrwać kaplicy najtrudniejsze dla niej i dla Lublina czasy. Wprawdzie za Jana Kazimierza i Stanisława Augusta kościół św. Trójcy utracił ze swego skarbcza wszystko, co miał najkosztowniejsze z liturgicznych ubiorów i naczyń, ale fresków nie można było przecie ani wywieźć, ani spieniężyć. Piękno i szacowny wiek chroniły je od bezmyślności i głupoty wyzywających się w dziele zniszczenia, a nie twórczej pracy, ludzi.

Czas jednak i zaniedbania osób, których opiece kościół był powierzony, doprowadziły niemal do całkowitej jego ruiny. W 1800 roku biskup chełmski Wojciech Skaryszewski w czasie swej wizytacji znalazł świątynię i jej otoczenie w stanie pożałowania godnym. Schody były zniszczone, dzwonnica rozwalona, dom mansjonarski nie nadawał się do zamieszkania, niekiedy tylko odprawiano nabożeństwa. Nie wiadomo, czy po wizytacji tej dokonano jakichś remontów i zabezpieczeń, w każdym razie nie umiano na stałe kaplicy od postępujących zniszczeń uchronić.

W roku 1818 zdawało się już, że ostateczny wyrok na tę budowlę został podpisany. W roku tym nowo utworzone biskupstwo lubelskie zabrało dla siebie całe dotychczasowe uposażenie mansjonarzy. Pozostawiono ich na wymarcie zaopatrując szczupłą pensją. W ruinach zamku i pozostawionej swemu losowi niepotrzebnej już nikomu niewielkiej świątyni wiatr tylko rządził i puszczyki.

I oto w latach 1820-1825 kaplica została ocalona w sposób zupełnie nieoczekiwany. W tym czasie na ruinach królewskiego zamku postanowiono wystawić więzienie — „budynek wówczas Polakom najbardziej potrzebny”. Nadano mu nawet modny styl neogotycki. Kaplica znajdowała się jeszcze w takim stanie, że można ją było po gruntownym remoncie zamienić na kościół więzienny. Malowidła pokryto pobiałą i tynkiem.

Tak „zabezpieczone” wiodły swój żywot ukryty, aż do 26 lutego 1899 roku, kiedy to malarz i regionalista lubelski, Józef Smoliński, poszukując pamiątek przeszłości odstąpił na baszcie wiodącej na chór malowidło fundacyjne z portretem Władysława Jagiełły. Sporządził zeń barwną kopię i wraz z komunikatem o tym odkryciu posłał do Akademii Umiejętności.

Wiadomość ta wywołała w świecie historyków sztuki wielkie poruszenie. Wieść o odkryciu starych malowideł w stylu ruskim dotarła do Petersburga.

W roku 1903 powołano tu i wysłano do Lublina z ramienia Centralnej Komisji

Archeologicznej dwu naukowców: P. Pokryszkina i N. Pokrowskiego w celu zbadania głośnego odkrycia. Pod ich kierunkiem rozpoczęto trwające w ciągu listopada tego roku prace badawcze połączone z odbijaniem tynków. Dalsze prace miano kontynuować w roku 1914. Przerwała je wojna.

Badania wznowili w 1917 roku Polacy, łącząc je z planową konserwacją fresków. Lubelskie Towarzystwo Opieki nad Zabytkami zdobyło wówczas od władz austriackich na ten cel 15 500 koron. Restauracji malowideł podjął się artysta malarz Jan Makarewicz. Prace te nie objęły jednak całej kaplicy. Dopiero w roku 1921 Ministerstwo Sztuki i Kultury zleciło zakonserwowanie fresków profesorowi Edwardowi Trojanowskiemu, który wraz ze swymi uczniami zakończył prace konserwatorskie w 1923 roku.

W roku 1929 Michał Wolicki napisał, obronił, a następnie opublikował pracę doktorską na temat: „Malowidła ścienna kościoła świętej Trójcy na Zamku w Lublinie”. Jest to pierwsza naukowa praca omawiająca dzieło mistrza Andrzeja.

Okres międzywojenny, kiedy na zanku lubelskim było więzienie, i okupacja, zamieniająca go na katownię i miejsce zbrodni, na szczęście nie doprowadziły do zniszczeń fresków w zabytkowej kaplicy.

Wraz z przebudową Zamku i zamianą jego więziennej funkcji na dostępny dla wszystkich obiekt kulturalny konserwatorzy znowu weszli do zabytkowej budowli.

Różne jednak nieprzemyślane decyzje i pomyłki sprawiły, że prace konserwatorskie trzeba było tym razem przedłużyć i rozciągnąć na okres przeszło dwudziestoletni. Przy tym poważnie zostały zagrożone freski. Dopiero dzięki alarmowi opinii publicznej, prasy i zdecydowanej postawie władz kulturalnych udało się bezcenne malowidła z początku XV wieku, uznane za jedyny w Lublinie zabytek klasy zerowej, ocalić.

Pozostało jednak jeszcze nadal wiele spraw przez historyków sztuki nie rozstrzygniętych. Nie została rozwiązana też tajemnica ich autorstwa.

Mistrz Andrzej pozostawił jedynie w napisie fundacyjnym dokładną datę ukończenia dzieła i swoje imię. Kim był i skąd pochodził? Nikt nie wie.

Smutna opowieść o długim żywocie i przedwczesnej śmierci, lubelskiej fary

Jest na starym mieście w Lublinie taka dziwna ulica, którą nawet uliczką trudno nazwać. Wchodzi się w nią po dwu schodkach, jak do bramy zwykłej staromiejskiej kamienicy. Wysoki, szerniały wiekiem mur ślepej ściany, podpartej występującą niemal do połowy uliczki zzieleniałą od wilgoci i starości skarpą, zupełnie zasłania jej perspektywę tak, że wchodząc tam, ma się wrażenie, jakoby prowadziła ona jedynie do znajdującej się w głębi oficyny.

Niewielu nawet rodowitych lublinian wie, że tędy można skrócić drogę z ulicy Grodzkiej na Noworybną. Kiedyś odkrywszy to przejście, jeden z moich przyjaciół nazwał uliczkę „szczurzym zaułkiem”. Nazwa ta w zupełności wydaje się odzwierciedlać jej nastrój mroczny, zagubiony wśród murów staromiejskich.

Uroki i tajemniczość tego zaułka docenili filmowcy, lokalizując tu napad na jednego z bohaterów serialu telewizyjnego „Czarne chmury”.

Osobliwością uliczki nawet w dawnych wiekach musiało być to, że nie mogła tędy przejechać żadna kareta, a i chłopskie furki jedynie z wielkim trudem zdołały się tylko przecisnąć.

Dzisiaj przesmykowi temu uroku dodaje, poza jego usytuowaniem, starodawna, niezrozumiała już dla wielu nazwa. Napis na tablicy głosi, że zaułek prowadzi Ku Farze, której przecie już od ponad stu lat w Lublinie nie ma.

Stojąc na jednym z dwu stopni uliczki Ku Farze, wyraźnie widać w niedalekiej odległości otoczony niskim murkiem placik, na którym wyrosły już duże drzewa akacji i wierzby. I robi się patrzącemu jakoś smutno, jakby się stało nad grobem bliskiej, a przedwcześnie zmarłej osoby, bo fara mogłaby stać w swoim miejscu i jeszcze długo sędziwą, piękną sylwetką, jak drogocenny kamień zdobić autentyczny renesansową architekturę lubelskiej starówki.

Rozmłotowani w pięknie starego Lublina, zatrzymują się tu nieraz patrząc wysoko w błękit wybitego miastu okna i odtwarzają znaną nam z rycin postać tej najpiękniejszej i najszacowniejszej budowli. Potrafią opowiadać, jak ich dziadowie, związane z nią legendy i przypominać szczegóły jej historii, które połączone były z życiem miasta w sposób nierozzerwalny.

Na litografii wydanej w 1857 roku widać jeszcze, że tę starą świątynię zdobią wysoka wieża i mocno spadziste dachy. Przed wieżą jak gdyby doczepiona niższa przybudówka o nieco innej proporcji i łagodnie łukowatych oknach, pozostałe, te z głównej nawy, wykrojone są ostro i wysmukłe na sposób gotycki. Do głównych murów świątyni poprzylepiane są malowniczo liczne przybudówki kaplic, a od tyłu prezbiterium podpierają wysokie i masywne podpory. Wieżę pokrywa hełm barokowy.

Według starej legendy fundatorem fary był poprzednik Władysława Łokietka, Leszek Czarny. W 1282 roku, gdy Jadźwingowie napadli na północno-wschodnie rubieże jego księstwa niszcząc i łupiąc duże połacie ziemi sandomierskiej, do której i Lublin należał, rozgniewany książę wyruszył z wojskiem zgromadzonym w Krakowie, by rabusiów tych przegnać. Strudzony długą pogonią, dotarł do obróconego w perzynę Lublina. Zrezygnowany bezowocnością pościgu, postanowił tu dni kilka

odpocząć i powrócić z niczym do Krakowa.

Jako że domy wszystkie były spalone, musiał księżę pod starym rosnącym na wzgórzu dębem odpoczywać. Ledwie usiadł na ziemi, a niczym nieprzeparta senność go ogarnęła. Spał tak księżę na rozestłanym pod dębem kożuchu czas długi, a we śnie ukazał się mu dowódca wojska niebieskiego archanioł Michał i rozkazał, by pogoni rozpoczętej nie przerywał, bo czeka go chwała wielkiego zwycięstwa.

Księżę po przebudzeniu Się zaraz wojsko swoje zebrał, a uzupełniwszy je okolicznym rycerstwem i mieszkańcami Lublina, którym w lasach udało się nawałę przeczekać, spieszenie wyruszył za wrogiem, jako mu archanioł był we śnie przykazał.

Po paru dniach pogoń uchodzących z łupami Jadźwingów dopadła, a jak archanioł przepowiedział, zwycięstwo walne nad nimi odniesione zostało. Księżę na pamiątkę tego zwycięstwa w miejscu snu cudownego świątynię pod wezwaniem świętego Michała Archanioła kazał zbudować. Dąb, pod którym odpoczywał, ścięto wysoko, a na jego pniu usadowiono mensę głównego ołtarza. Przy rozbiórce kościoła podobno stwierdzono istnienie tego pnia.

No cóż, legenda jak legenda, wskazuje na dawność wybudowanego wprawdzie nie w XIII, ale zapewne w XIV wieku gotyckiego kościoła. Nie jest jednak wykluczone, że na tym samym miejscu mogła stać jeszcze wcześniejsza drewniana budowla.

Gotycką farę wybudowali bez wątpienia sami mieszczanie, bo od najdawniejszych czasów uważali ją za swoją własność. Do jej uposażenia należała wieś Dziesiąta i folwark na Czwartku obejmujący trzy łany kmiece. Pobierano również na rzecz fary dziesięciny snopowe, których wartość do sześćdziesięciu grzywien dochodziła. Ten spory dochód nie wystarczał jednak na utrzymanie dużej ilości księży i obsługi kościoła. W roku 1442 niejaki Piotr Piwo dokupił jeszcze do uposażenia fary browar z ogrodem, z którego dochód przeznaczono na utrzymanie wikariuszy.

Z czasem fara stała się bardzo ważną w mieście kulturalną instytucją. Tu zapewne odbywały się średniowieczne misteria i teatralne widowiska, tu też rozwijało się bardzo bujne życie muzyczne miasta. W farze grała bowiem słynna kapela lubelska. Kto wie, czy nie tu właśnie ukształtował się i rozwinął talent Jana z Lublina, późniejszego zakonnika z Kraśnika, który zgromadził największy zbiór pieśni i to nie tylko kościelnych, ale również ludowych i świeckich.

Przy farze miała również swą siedzibę najstarsza lubelska instytucja naukowa. Instytucją tą była szkoła parafialna, później nawet akademią zwana.

Jak na nasze obecne wyobrażenia o szkolnictwie, zaiste dziwna była to uczelnia, chociaż zapewne niewiele się różniła od podobnych szkół parafialnych w innych miastach.

Szkoła ta powstała gdzieś około połowy XIV wieku. Przygotowywała swoich wychowanków nie tylko do studiów na Akademii Krakowskiej, ale i na zagranicznych uniwersytetach. Na czele szkoły stał rektor, obok niego występują: kantor, magister i oficjalista. Do szkoły chodzili przede wszystkim synowie lubelskich mieszczan i okolicznej szlachty, którą zresztą w XV wieku pod względem edukacji mieszczanie znacznie przewyższali. Zdarzali się wśród uczniów i synowie chłopscy. W roku 1487 zanotowano, że Marcin, kmieć z Zabłocia, miał w lubelskiej szkole swego syna Mateusza, za którego z opłatą zalegał. Dzięki wizytacjom przeprowadzanym przez

władze kościelne, wiemy nawet dość dobrze, jak wyglądała ta lubelska szkoła.

W 1603 roku dom zajmowany przez szkołę i mieszkanie rektora był murowany, piętrowy. Miał na dole wielką izbę z trzema oknami. Izbą tą była przeznaczona na wykłady. Naprzeciw niej była mniejsza, w której kantor uczył. Z izby tej miał wejście do izdebki, gdzie mieszkał. Obok były jeszcze dwa małe pokoiki zajmowane przez starszych uczniów wykorzystywanych do nauczania najmłodszych. Na piętrze znajdowało się dwupokojowe mieszkanie i gabinet bakałarza, czyli rektora szkoły. Naprzeciw rektorskiego mieszkania były jeszcze trzy niewielkie pokoje zajmowane przez starszych uczniów pozostających pod jego bezpośrednią opieką. Z tak szczupłego internatu mogli korzystać tylko nieliczni uczniowie. Pozostali mieszkali we własnych domach przy rodzicach lub na stancjach.

W założeniu szkoła miała utrzymywać się z opłat rodziców uczniów i z sum przeznaczanych przez zarząd miasta. W praktyce jednak środki te ani na wyżywienie nauczycieli, ani młodzieży nie wystarczały. Starym, średniowiecznym zwyczajem fundusz szkoły uzupełniany był przez zbieraną przez pedagogów i wychowanków jałmużnę. Nieco jeszcze dochodu dostarczała szkole instytucja macierzysta, czyli fara. I tak: za śpiewanie pieśni Bogurodzica przez kantora i uczniów pobierał rektor w wigilię Bożego Narodzenia złotych polskich siedem, za co jednak miał wyprawić wszystkim uczniom obiad; za śpiewy w Wielki Czwartek brał też taką samą sumę z takimi samymi obowiązkami. Poza tym dzwonnicy mieli się dzielić z kantorem tak zwanym podzwonnym, ale z tego obowiązku nie chcieli się należycie wywiązywać. W tej sytuacji najpewniejszy dochód przynosiła jednak żebranina. Zgodnie ze starym zwyczajem pedagodzy i uczniowie mogli chodzić po mieście w określonym czasie i prosić o dobrowolne datki.

Najczęściej były to dary w naturze, ale i jakiś grosz też się czasem trafił. By uczniowie i pedagodzy zbyt często nie nachodzili domów mieszczan, ustalono, że w dzień Wszystkich Świętych i na świętego Mikołaja obchodzili wszystkie domy żacy. Od świętego Marcina chodził po mieście kantor, który musiał w tym czasie sprawić obiad uczniom. Na święto Trzech Króli chodził po domach ze swymi wychowankami sam rektor. Zapewne uczniowie przy okazji odwiedzin dawali w mieszkaniach jakieś jasełkowe ucieszne i swawolne przedstawienia, skoro taka wizyta dla lubelskich Żydów była wysoce nieprzyjemna i za samo omijanie ich domów płacili rektorowi i zakom wspólnie ustalony haracz.

Po ulicy Kowalskiej w tym samym czasie zbierał wyłącznie dla siebie tak zwaną kołędę oficjalista. Zbiórki te nic zapewniały mimo wszystko stałej i normalnej egzystencji ani nauczycielom, ani też przebywającym na stancjach i w internacie szkolnym zakom. Przymierający często z głodu uczniowie, zapewne za cichym przyzwoleniem rektora i wychowawców, zaglądali często do cudzych komór i ogrodów, ściągali, co się dało z jarmarcznych straganów. Dochodziło z tego powodu do tumultów żakowskich i zakłócania porządku, a niejednen z wychowanków rektorskich trafiał za swą zuchwałość do kozy. W roku 1484 szlachcic Szymon Czyryowski uwięził w swoim lochu ucznia Alberta. Musiał się za nim wstawiać sam rektor u władz kościelnych, w gestii których było rozstrzyganie wszelkich spraw dotyczących szkoły.

Gdy niepokój o z powodu żaków i nauczycieli zaczęły się w mieście zbyt często powtarzać, władze lubelskie postanowiły jakoś kłopotom tym zaradzić. W czasie popędzenia rady okazało się, że nikt nie chciał się zgodzić, by szkołę utrzymywać z miejskiej szkatuły. Zrodził się wówczas wśród rajców, znanych ze sknerstwa i przebiegłości, iście szatański pomysł, by ciężary związane z utrzymaniem parafialnej szkoły na inne barki przerzucić. Kozłem ofiarnym mieli zostać Żydzi.

Najpierw uprawniono żaków do zbierania w każdy piątek w dzielnicy żydowskiej daniny, zwanej tu tenelna. Gmina żydowska uważała, zresztą zupełnie słusznie, obowiązek ten za akt bezprawny. Dzieci żydowskie nie chodziły przecież do szkoły parafialnej, a i Żydzi nie mieli prawa ani handlować, ani nawet osiedlać się w wodnicach miasta. Wszelkimi więc sposobami usiłowali od haraczu tego się uchylić. Jednak lubelscy żacy, bakałarze i kantorzy całą bezwzględnością dochodzili swoich praw.

Najprzeróżniejszymi sposobami, wybiegami, a nawet i gwałtem próbowali roszczenia swoje egzekwować. Nękani ciągłymi najściami żaków zobowiązali się wreszcie Żydzi lubelscy do umownych świadczeń i wymuszonych należności na rzecz szkoły, co zostało usankcjonowane odpowiednim dokumentem rady miejskiej.

Po długich pertraktacjach i targach obie strony zgodziły się na ustalenie długiej listy świadczeń. Ze względu na interesujący zestaw tych świadczeń warto je tutaj dla zabawy wyliczyć. Żydzi zobowiązali się dawać dla rektora: pieprzu funt, szafranu uncję, cynamonu uncję, imbiru pół funta, orzechów dwanaście funtów, kminu pół funta, cukru funt, jagód winnych suszonych funt, wódki baryłkę na święta Bożego Narodzenia i na Wielkanoc. (Tu kroniki milczą, czy rektor sam te baryłki opróżniał, czy przy współudziale kantora i uczniów).

Ponadto płacili Żydzi rektorowi złotych siedem na dzień Wielkanocy, z której to sumy miał dać dwa złote kantorowi, oficjaliście dwadzieścia cztery grosze, prokuratorowi ubogich groszy osiemnaście, a innym według uznania. Na przekąskę i zaspokojenie swego apetytu dostawał jeszcze rektor od Żydów na święta trzy i tu zaznaczono dobre szynki.

Musiał więc wesoło i dostatnio mijać rektorowi doroczne święta, ale później różnie bywało. Trzeba było o codzienne utrzymanie nadal się troszczyć. Wynajdywano więc jeszcze inne dodatkowe uroczystości i święta, by przy ich okazji zgłodniałe żołądki zapełnić. Okazję taką, nie wiadomo zresztą dlaczego, stwarzał święty Jerzy.

Na dzień tego świętego Żydzi musieli dostarczać rektorowi: wódki baryłkę, złotych polskich trzy i ryby wartości jednego złotego. Dalej i to tylko za to, by rektor wraz z żakami nie odwiedzał domów żydowskich w święto Trzech Króli, płacono złotych dziesięć. W końcu zobowiązani byli Żydzi dać i dostarczyć do domu rektora drzewo na opał, a gdyby ten wolał pieniądze, miano mu w zamian wypłacić gotówką też dziesięć złotych.

Nie były to jedyne obowiązki na rzecz szkoły. O swoje uposażenie i prawa upominał się jeszcze kantor. Temu płacili Żydzi co dwa tygodnie za to, by ich z żakami nie odwiedzał w piątki, dwa złote i piętnaście groszy, z czego kantor miał wypłacić oficjaliście szkolnemu 18 groszy.

Haracz ten został oficjalnie i uroczysto zatwierdzony przez, burmistrza i rajców miejskich w 1645 roku. Gmina żydowska poddała się temu bezprawiu z błogą

nadzieją, że już na wsze czasy od żaków lubelskich i nauczycieli będzie miała spokój. Żłudna to była jednak nadzieja, bo ze względu na niedostateczne uposażenie upomniął się o swoje prawa szkolny oficjalista. Osiemnaście groszy dawane mu co dwa tygodnie przez kantora nie wystarczało nawet na skromne utrzymanie. Przy współudziale żaków odbywał więc starym zwyczajem każdego piątku w dzielnicy żydowskiej tenelne. Nie dzielił się już wymuszonymi datkami z kantorem. Dochodziło przy tym bezprawnym żądaniu nowych świadczeń do licznych ekscesów i bójek. Jedną z nich dość skrupulatnie odnotował dawny kronikarz. Powodem tego zajścia był sam rektor lubelskiej szkoły.

Było to w roku 1627, w piątek, w dzień świętego Grzegorza. Ekscelens, Jan Chudziński, bakałarz filozofii i nauk wyzwolonych, rektor lubelskiej szkoły akademickiej, rankiem się obudził i zaczął rozmyślać, jak by tu groszy nieco dla siebie i na opędzenie niezbędnych potrzeb zdobyć. Nieco go głowa bolała, bo poprzedniego wieczoru z kantorem resztę gorzałki z baryłki osuszili. Wiedział, że nic nie ma na obiad, a żakowie głodni nie będą się chcieli uczyć.

Dumał więc rektor stroskany wielce i po łbie się skrobał myśląc, jak by tu złu istniejącemu zaradzić. Wreszcie spojrzął w kalendarz i uprzytomnił sobie, że jest to piątek, a do tego święto Grzegorza, dzień w którym niegdyś żakowie tenelne pobierali. Uradowany zatarł zgrabiąte ręce i zaczął długą epistołę z najróżnorodniejszymi żądaniem do gminy żydowskiej pisać. Domagał się w piśmie tym pieniędzy i wiktuałów rozmaitych, i to natychmiast. Zapomniał przy tym, że naznaczone umową świadczenia już dawno otrzymał. Okoliczności tych nie mógł nawet uwzględnić, bo chodziło przecie o rzeczywiste potrzeby podległej mu szkoły, a i własny żołądek praw się swych strasznie upominał.

Po zakończeniu długiej i przetykanej pogroźkami i wyzwiskami epistoły, zawołał do siebie ucznia Plucińskiego, któremu pismo wręczył polecając, by rabinowi i starszym z gminy żydowskiej odczytaj a bez wyliczonych w liście wiktuałów i pieniędzy do szkoły nie wracał.

Plucińskiego wybrał rektor nie bez powodu, bo był to w szkole jeden z największych drani, a przy tym już nieraz w potyczkach z Żydami się wstawiał. Pluciński, idąc z rektorskim posłaniem, dobrał sobie do towarzystwa jeszcze drugiego równego sobie kompana, Zakrzewskiego. Spodziewali się bowiem ze strony Żydów niezbyt miłego przyjęcia.

Przyszedłszy do rady, rozwinęli zuchwale papier rektorski i po kolei, punkt po punkcie, z namaszczeniem, nie pomijając wyzwisk i pogroźek, zaczęli pismo czytać. Początkowo nie mogli się biedni Żydowie połapać, o co żakom chodzi, ale gdy dotarli do ich świadomości nowe, nie uzasadnione niczym żądania i rektorskie pogroźki, podnieśli krzyk wielki i chwyciwszy za kark opierających się posłów, razem z pismem na zbity pysk ich z rady wyrzucili, a gdy ci jeszcze z pola nie chcieli ustąpić, z niezmierną liczebnie przewagą, obiwszy niemiłosiernie wygnali ze swej dzielnicy.

Niefortunni posłowie, posiniaczeni i obszarpani, z niczym, a właściwie z licznymi guzami, do swego rektora musieli niepysznie powrócić. Ten na widok podrapanych i poturbowanych swoich uczniów wielkim gniewem od razu zakapiał i natychmiast pospolite ruszenie całej uczelni zarządził. Nakazał swym wychowankom zaopatrzyć się w pałki i kije, a sam osobiście stanąwszy na ich czele na dzielnicę żydowską

wyruszył.

W mieście zrobił się od razu popłoch niesamowity. Kupcy zaczęli w pośpiechu związać swoje kramy i stragany, a odbywający sesję Koronny Trybunał toczoną właśnie rozprawę przerwał. Starosta lubelski i oficjał grodzki szybko zebrali swoich ludzi i wystali ich na odsiecz napadniętym.

Po krótkiej bitwie udało się rozwydrzoną hałastrę uspokoić. Przy czym najbardziej dokazujących w bójce Plucińskiego i Zakrzewskiego wzięto do niewoli i uwięziono w magistrackim areszcie.

Przed konsystorzem zjawili się wkrótce z wielkim lamentem poszkodowani Żydzi, wnosząc skargę na napastników i wyliczając, jakie to szkody i krzywdy w czasie napaści ponieśli. Okazało się, że wyłamano czterdzieści drzwi i wybito tyleż okien, narobiono w całej dzielnicy dużo szkód i zamieszania.

Jeszcze konsystorz nie wysłuchał do końca lamentów poszkodowanych, a już wpadł do ratusza ekscelens Chudziński z sążnistym protestem przeciw Żydom i przeciw urzędnikom magistratu. Przy okazji nałajał Żydów, a urzędników oskarżył o nieprawne uwięzienie Pluc niskiego i Zakrzewskiego, gdyż, jak twierdził, szkoła i jej uczniowie podlegają jurysdykcji duchownej. Domagał się surowych kar zarówno dla Żydów, jak i urzędników miejskich, którzy łamią, prawo. Gotów był nawet złożyć przysięgę, że nie z jego winy powstała bójka.

Oficjał lubelski po dokładnym rozpatrzeniu sprawy skazał jednak dwu uwięzionych uczniów na dłuższy pobyt w kozie, a Plucińskiego, który najbardziej w bójce się wstawił, kazał dodatkowo osmagać różgami, żeby na przyszłość pamiętał i Żydom więcej nie dokuczał.

Rektorowi Chudzińskiemu, który bezsprzecznie pierwszy dał powód do zajść, polecił przeprosić publicznie starostę i podstarościego, a ponadto zakazał mu pod groźbą ekskomuniki, aby nie ważył się w przyszłości wymagać Żydów żadnych nie przewidzianych opłat.

Działo się to jeszcze za tych czasów lubelskiej szkoły, kiedy mogła ona rościć nawet pretensje do tytułu akademii. Wkrótce jednak, po utworzeniu przez jezuitów kolegium, szkoła parafialna przekształcona została na elementarną i zaczął się okres jej wegetacji. W roku 1767 wysiedlono ją nawet ze swej dawnej siedziby usiała się tułać po różnych miejscach.

Los lubelskiej szkoły przez kilka wieków uzależniony był od powodzeń i niepowodzeń macierzystej fary, a ta znów dzieliła losy miasta.

Jeszcze w wieku XVII i XVIII lubelska fara szczyła się tytułem kolegiaty. Przy każdej wizytacji wyliczano ilość prałatów, kanoników, wikariuszy i bogate uposażenie tego kościoła. Jeśli zdarzył się pożar, to miasto znajdowało zawsze pieniądze na odrestaurowanie świątyni.

W złotym wieku szesnastym Lublin, podobnie jak i inne miasta polskie, przeżywał swój najwspanialszy rozkwit. W tym czasie wiele bogactwa słynęło i do lubelskiej kolegiaty. Niestety w 1575 roku zniszczył całe miasto straszliwy pożar. Częściowemu spaleni uległa i najstarsza lubelska świątynia. Od nadmiernego żaru zawaliła się najwyższa w mieście kościelna wieża.

Mieszczanie dźwigający z ruin swoje domy przez długi czas nie mogli zająć się odbudowaniem zniszczonej świątyni. Jeszcze w roku 1596 kościół był bardzo opuszczony, ale wkrótce miano przystąpić do jego odbudowy. Muratorom lubelskim i mieszczanom nie podobał się już gotycki styl fary. Postanowiono ją odnowić w stylu nowym, renesansowym, ale stare mury i brak miejsca nie pozwoliły zniszczyć dawnej architektury. W roku 1602 kościół był już prawie w całości odbudowany. W czasie prac remontowych zwiększono liczbę okien, a zmniejszono liczbę ołtarzy. Do sześciu dawnych kaplic dobudowano siódmą.

W czasie przeprowadzonej w 1603 roku wizytacji stwierdzono, że kościół składa się z głównej nawy, siedmiu kaplic, prezbiterium i wieży wysokiej frontowej, występującej do samej ulicy Grodzkiej. W górnych piętrach wieży były trzy dzwony, a szczyt jej był pokryty blachą miedzianą. Dach nawy z prezbiterium miał kształt piramidalny i był kryty dachówką. Dachy kaplic kryte były bądź blachą, bądź dachówką, a nawet gontem, a niektóre z nich miały kopuły.

Kościół otaczał niewielki cmentarz, na którym, jak i w podziemiach świątyni, grzebano zmarłych. W otoczeniu cmentarza stały budynki należące do prałatów, wikariuszy, służby kościelnej, konsystorza, szkoły i szpitala.

Wnętrze kościoła było bogato wystrojone. Uderzała nadzwyczajna wysokość i szerokość głównej nawy, ale na gust renesansowy gmach był wyraźnie za krótki. Poszerzały świątynię jeszcze liczne kaplice po obu stronach nawy. Gotyckie sklepienia znajdowały się jedynie w nawie i prezbiterium, a kaplice miały sklepienia rozmaite. W głównej nawie posadzka ułożona z dużych płyt marmurowych, a w kaplicach przeważnie z cegły. Ołtarz wielki wykonany był z drzewa, bogato rzeźbiony i złocony.

Wewnątrz świątyni znajdowały się liczne obrazy, które chwalił wizytator z 1603 roku. Szczególną uwagę jego zwrócił obraz N. Marii Panny Niepokalanego Poczęcia - „bardzo starożytny” i obraz Zmartwychwstania - „bardzo stary na drzewie malowany”. Nad głównym wejściem usytuowano aż dwa chóry, jeden nad drugim, dla organów, śpiewaków i kapeli.

Już z tego pobieżnego wyliczenia widać, jak bogato wyposażona i interesująca pod względem architektonicznym była lubelska fara.

Druga połowa wieku XVII i cały wiek XVIII to powolne niszczenie tej najwspanialszej staromiejskiej budowli. Wówczas nastąpiły bardzo ciężkie czasy nie tylko dla fary, ale i dla miasta. Ciągłe wojny, pożary, zarazy i wynikająca stąd nędza nie pozwoliły na czas budynku w należyty sposób odnawiać.

Wizytacje z tego okresu mówią o chyleniu się budynku ku upadkowi, a najwięcej kłopotu nastroczała najwyższa w mieście kościelna wieża. Nie omijały jej burze i pożary.

Kościół famy, zwany kolegiatą, zarówno dla duchowieństwa, jak i dla mieszczan ciągle był jeszcze potrzebny. Znajdowało więc w końcu, mimo zubożenia i wzrastającej nędzy, niezbędne środki, by największe dziury zatkać i przeprowadzić remonty.

Najgorsze czasy nastąpiły dla fary po skasowaniu zakonu jezuitów. Miastu i władzom duchownym przybył w sukcesji duży i nieźle utrzymany kościół, budynki klasztorne i kolegium. Na tę pojezuicką schedę zaczęto zwracać bacniejszą uwagę zaniedbując

jednocześnie przysparzając coraz większych kłopotów farę. Przeszto łożyć na niezbędne nawet drobne remonty. Doszło do tego, że zepsutych ołtarzy i organów nie miał kto poprawić. Kantor i organista nie płaceni odeszli, a muzycanci dopominali się bez skutku o należną im zapłatę. Ciągłe jeszcze nieźle uposażeni kanonicy i prałaci kapituły nie kwapili się do wyłożenia własnych środków na odnowienie niszczącego na ich oczach starego kościoła.

Bez przerażenia nie można nawet czytać, jakie to przychodziły im w owych rzeczywiście trudnych, ale przecie nie beznadziejnych czasach pomysły do głowy.

Oto na posiedzeniu w dniu 11 maja 1780 roku kapituła postanowiła zdobyć konieczne środki na odnowienie kościoła przetapiając mniej potrzebne i stare przedmioty ze srebra. Pomysł ten zapewne samych projektodawców nieco przeraził, bo wstrzymano się z ostateczną decyzją przez trzy lata, ale wyrok na te bez wątpienia cenne dzieła lubelskiego artystycznego rzemiosła został wydany. Jak wielką ilość przedmiotów musiano wówczas przetopić, może świadczyć przeszło trzydzieści kilogramów uzyskanego stąd srebra. Kilka kilogramów z tego przeznaczonego na wykonanie nowego trybularza, a resztę sprzedano za 1368 złotych polskich. Sumę tę przeznaczono na potrzeby kolegiaty, ale okazało się, że pieniędzy jest o wiele za mało, by pokryć istniejące potrzeby.

Dalszy cios dla wyposażenia kościoła, a zwłaszcza sreber i naczyń kościelnych, przyniósł rok 1794. Próba odzyskania niepodległości i-potrzeby z tym związane pociągnęły za sobą największe ofiary. Na cele publiczne i wojsko oddano z fary 239 przedmiotów srebrnych i ozdób wykonanych ze złota. Pozostało ich w kościele już tylko 42 sztuki. Jednocześnie nastąpiło dalsze zaniedbanie świątyni. W roku 1799 biskup chełmski przeprowadzający wizytację zastał kościół w bardzo złym stanie. Były przede wszystkim zrujnowane dachy.

Po erekcji w 1805 roku diecezji lubelskiej i przeznaczeniu w dwa lata później na katedrę kościoła pojezuickiego został w zasadzie podpisany wyrok na starą farę. Pierwsi biskupi zajęli się przede wszystkim odnowieniem i uświetnieniem swej reprezentacyjnej rezydencji. Przy tym żałowano nawet drobnych kwot na zabezpieczenie niszczącej fary. Nikogo nie obchodziła jej szacowna przeszłość. Nikt nie chciał, a może i nie potrafił, dostrzec wspaniałych walorów architektonicznych gotyckiej budowli. W zasadzie nie robiono już nic, by ochronić kościół św. Michała od zupełnej ruiny. Jeszcze przez kilka lat w czasie remontu katedry odbywały się tu nabożeństwa, ale z każdym rokiem świątynia stawała się coraz mniej użyteczna, a więc i niepotrzebna.

W roku 1826 kościół św. Michała przestał być kolegiatą. Odbywały się tu jeszcze tymczasowo nabożeństwa katedralne, ale po całkowitym zakończeniu remontu biskup lubelski, Dziegielski, przeniósł w dniu 27 sierpnia 1832 roku nabożeństwa do obecnej katedry, likwidując jednocześnie w kościele farnym starą, liczącą kilkaset lał parafię.

Zaczął się od tego czasu cichy rabunek wyposażenia opuszczonej świątyni. Nie robiono już wówczas żadnych nawet najdrobniejszych remontów i zabezpieczeń, licząc zapewne, że kościół wkrótce sam się zawali. Z przyjemnością oglądano powiększające się z każdym rokiem w starych murach szpary. Niby ze względu na grożące niebezpieczeństwo zaprzestano odprawiania jakichkolwiek nabożeństw.

Teraz już zupełnie opuszczony budynek z każdym dniem zbliżał się ku niechybnej śmierci.

Zubożali mieszczanie lubelscy próbowali swojej fary bronić. W roku 1839 zaprotestowali przeciw rabunkowi opuszczonej świątyni. Postanowili jeszcze własnym sumptem budynek zabezpieczyć. Domagali się przywrócenia w kościele św. Michała, jak było dawniej, parafii. Parafia mogłaby we własnym zakresie przeprowadzać niezbędne remonty.

Władze kościelne odpowiedziały wówczas, że zgodzą się oddać farze zabrane przedmioty i parafię przywrócić pod warunkiem gruntownego odnowienia dawnej kolegiaty i zaopatrzenia parafialnego duchowieństwa w odpowiednie fundusze. Wszyscy wiedzieli, że taki postulat w owych czasach był zupełnie nierealny.

Spółeczeństwo lubelskie po powstaniu listopadowym było ubogie i nie mogło takiego ciężaru udźwignąć. Jakiś doraźny, zabezpieczający prze i ostateczną ruiną, remont był jednak możliwy. Wystarczyło wówczas chociaż nieco dobrej woli do podchwycenia ujawnionej inicjatywy, a kościół do naszych czasów byłby zapewne uratowany.

Jak niewielkich środków było potrzeba, by farę od zagłady ocalić, może świadczyć suma 1763 złotych, za którą przedsiębiorca zgodził się i rozebrać i odbudować zniszczoną część wieży. Reperacja dachu i umocnienie zarysowanych ścian nie kosztowałyby dużo więcej. Umownego funduszu w 1841 roku nie udało się zebrać.

Tymczasem opuszczony i nie zabezpieczony budynek przechodził na oczach wszystkich w stadium ruiny.

Niby ze względu na bezpieczeństwo przechodniów władze gubernialne domagały się natychmiastowego odnowienia kościoła albo rozebrania walących się murów. O rozbiórce otoczonej legendami i wspaniałą przeszłością lubelskiej fary bano się jeszcze dotąd głośno w mieście mówić. Czekano beczynnienie, by powoli kościół sam się zawalił, ale gdy władze podsunęły myśl rozbiórki, można się było tego chwycić i raz na zawsze pozbyć uciążliwego i nieco napawającego wstydem kłopotu.

Motywując decyzję potrzebą zachowania w mieście bezpieczeństwa, zawarto w dniu 24 marca 1846 roku umowę z mistrzem ciesielskim Janem Woźniakowskim na rozebranie kościoła i uprzątnięcie gruzów z placu. Nie posługiwano się żadną wcześniejszą ekspertyzą fachowców. Właściwie nie wiadomo było, jaki jest rzeczywisty stan chorego budynku. Dziury w dachu i kilka osuniętych cegieł oraz jedno czy dwa zarysowania ścian i sklepień uznano za stan beznadziejny.

Przed rozbiórką władze kościelne zajęły się jedynie zabezpieczeniem pozostających we wnętrzu sprzętów. Ołtarze, ławki, konfesjonały, ambonę, resztę obrazów i sprzętów kościelnych przeniesiono na skład do kościoła dominikanów. Stąd najcenniejsze przedmioty zabrano do katedry, a resztę rozdano do kościołów: w Łuszczowie, Piaskach, Księżomierzy, Bychawce i innych.

Mury rozbieranej budowli, wbrew rozsiewanym uprzednio pogłoskom o ich całkowitym zmurszeniu, okazały się bardzo silne i zdrowe. Przy ich rozbiórce używano nawet prochu. Przedsiębiorca dokonujący rozbiórki podobno publicznie się chwalił, że zrobił na farze dobry interes, bo ze zdrowej gotyckiej cegły budował w mie-

ście nowe domy. Jeśli więc w jakimś budynku wystawionym około połowy XIX wieku znajdzie się gotycką cegłę, to wiadomo, skąd ona pochodzi.

W myśl gospodarki rabunkowej nie zatroszczono się zbytnio przy rozbiórce o odpowiednie zabezpieczenie starych tablic i pamiątkowych płyt nagrobnych. Niby w umowie zastrzeżono, by robotnicy wyjęli ze ścian i posadzek wszystkie płyty z napisami i złożyli je na placu przed kościołem dominikanów, ale o dopilnowanie tego już nikt się nie zatroszczył. Na placu złożono ich zaledwie kilka, a resztę po kryjomu rozprzedano właścicielom pobliskich kamienic, którzy zrobili z nich progi i posadzki w bramach wejściowych i przysionkach. Z czasem i te nieliczne płyty złożone przed kościołem dominikańskim gdzieś się rozplynęły. Jedynie tablica nagrobna Sebastiana Klonowica została przeniesiona do lubelskiej katedry.

W 1850 roku pozostały na placu po farze gruz wywieziono na plant szosy lubartowskiej. Na szczęście niezbyt dokładnie plac oczyszczono, bo przy odsłanianiu w latach 1936-1938 fundamentów dawnej fary wydobyto części gotyckich żeber sklepiennych i fragmenty renesansowych dekoracji, które w sposób symboliczny przypominały o wspaniałości i pięknie zniszczonej na skutek skąpstwa i bezdusznej bezmyślności najstarszej w mieście budowli.

Jakby na ironię okazało się, że koszt rozbiórki i uprzątnięcia cmentarza i podziemi kościelnych z pozostałych tam szczątków grzebalnych pochłonął sumę, za którą można było zupełnie nieźle budowlę tę na długi czas zabezpieczyć. Jeszcze w roku 1868 magistrat lubelski jako dług wykazywał sumę 1 125 rubli, 19 i pół kopiejki, czyli 7501 złotych i 9 groszy, pozostający po rozbiórce starej fary.

Wielce stroskani urzędnicy nie wiedzieli, komu ten dług przypisać, bo nikt się nie chciał do tego wstydliwego spadku przyznać.

Dzisiaj już się nic nie dowiemy, czy pod tynkami starej budowli były ukryte jakieś malowidła i freski i do jakiej klasy zabytków można by je zaliczyć.

Stając na jednym z dwu stopni uliczki Ku Farze można patrzeć teraz jedynie na niewielki plac i z wyobraźni wywoływać szlachetny kształt straconego bezpowrotnie dla miasta i kultury polskiej unikalnego zabytku.

Żywot Biernata z Lublina - mędrca obyczajnego z przypowieściami jego

*Boć mądrzy nie umierają,
Jako szaleni mniemają,
A po śmierci prawie żywią,
Ludzi rządząc nauką swą.*

*Biernat też, jako mądry był,
Wielką radę w baśniach zakrył,
Czego rozumem doznacie,
Jeśli pilno postuchacie.*

Po uliczkach lubelskiego starego miasta chodzę z wierszami Biernata. Jasnym dźwiękiem jego mowy niby kamerton strunie odpowiada pełna renesansowej powagi i piękna sędziwa architektura. Nie trzeba się tu śpieszyć, by z jędrności słów i ocienionych wiekiem łuków bram, z grubych murów i ciszy zastygłej w zaułkach czas przeszły, odległy do siebie przywołać.

Gromada uczniów wybiega ze szkolnego budynku stojącego obok farnego kościoła. Rozkrzyczani, z kołatkami i piszczałkami, biegną żacy zwoływać chłopców chętnych do nauki. Jest przecie święty Grzegorz, kiedy to rektor werbuje donatorów, bo starsi, dekliniści, po złożeniu należnych egzaminów i popisów w szeroki świat odeszli. Od samego rana zjeżdżają już lekkie bryki okolicznej szlachty, a i niejeden kміeć z synem swym przyciągnął furką zaprzęgniętą w woły. Szkoła jest przecie lubelska, to i przed wszystkimi dziećmi lubelskich mieszczan mają się tu edukować.

Biegną więc żacy po wąskich uliczkach, stają przy znanych im bramach, kołaczą i bębnią, na stary żakowski sposób chórem skandując:

Gre-gre-gre, gregoty, dajcie chłopca do szkoły. Gre-gre-gre, gregoty, dajcie chłopca do szkoły.

Matki wyprowadzają nieco wystraszonych, jeszcze trzymających się spódnic ośmio- dziesięcio- dziesięcioletnich synów. Gromada rozbawionych żaków ze sobą ich zagarnia. Śmiech i pokrzykiwania giną w zaułkach. Jeszcze gdzieś z daleka od kościoła świętego Stanisława dobiegnie poprzez jazgot grzechotek, piszczałek i bębenków radosne nawoływanie dzieci:

Gre-gre-gre, gregoty. dajcie chłopca do szkoły.

Który to rok być może? Tysiąc czterysta siedemdziesiąty? A może siedemdziesiąty trzeci?

Oto Agata, kołodziejka, wdowa, wyprowadza do żaków swego jedynego syna. Nieświeźnie jest przyodziany, ale w bystro patrzących, niespokojnych oczach jakiś płomyk miga.

Już się wmieszał w skandującą gromadkę, już się stał jednym z nich. Wielce uradowany za innymi biegnie, bo wreszcie oderwał się od matczynej spódnicy i będzie się mógł jak starsi edukować. Zna już dobrze prawie wszystkie litery. Nauczył

go tego mieszkający u nich na stacji Bartek, syn kmięcy, którego ojciec na ten rok do szkoły nie puścił. Biernat będzie teraz zajmował jego miejsce w ławie parafialnej szkoły. Nie boi się, jak inni, starszych żaków i nauczycieli. Bardzo ciekawią go te wszystkie zapisane w księgach nauki i mądrości. Wie, że po zakończeniu szkoły, otwiera się przed najlepszymi szeroka droga w świat daleki. Jedni jadą do Krakowa, inni jeszcze dalej do Rzymu i Padwy, a jeszcze inni z bogatych kupieckich rodzin będą z ojcami jeździli na Ruś i do Litwy albo przez Radom do Wrocławia, albo znów ku Poznaniowi.

W Lublinie każdy naukę szanuje, bo zna jej wartość. Wiedzą wszyscy, że mądrość jest potrzebna nie tylko synom królewskim, których wielebny i dostojny kanonik krakowski Jan Długosz na zamku lubelskim wychowywał i kształcił, ale i synowi ubogiej mieszczyki, jeśli nie ma zbyt wiele sił do ciężkiej i mozolnej pracy, na pewno się przyda. Uczonych i mądrych ludzi szukają starostowie, kasztelani i panowie możni, a i bogaci kupcy.

Gre-gre-gre, gregoty. dajcie chłopca do szkoły.

Krzyczą powracający z obchodu żacy. Obiegli już wszystkie ulice, zaułki i domy rozrzucone poza murami na przedmieściach. Nie ominęli żadnej jurydyki, bo wcześniej wiedzieli, którzy to chłopcy wybierają się do szkoły.

Z hałasem wielkim i śpiewem przekotłowali się przez rynek. Już są na Grodzkiej, już biegną koło starej fary i z hałasem, i śmiechem wpadają do szkolnej sieni.

W dużej izbie na dole czeka na nich rektor, uradowany wielce z dużej cizby nowych uczni. Marzy mu się, że może któryś z wychowanków po ukończeniu szkoły lubelskiej pojedzie do Akademii Krakowskiej, a może rektorem zostanie albo kanclerzem u jakiegoś możnego pana, albo znów na dworze królewskim. Uśmiecha się w sposób łagodny, ojcowski i w te słowa przemawia do nich:

- Synowie moi kochani, w szkole naszej lubelskiej będziecie się różnych ciekawych i mądrych rzeczy uczyć. Najprzód poznacie litery, a polem grube księgi czytać, a i pisać każdy się nauczy. Może któryś z was i księgę jaką sam ku pożytkowi innych stworzy, bo nastają teraz takie czasy, że coraz więcej ludzi do ksiąg się zwraca, by tam szukać zapisanej nauki i mądrości. I łacińskiej, i greckiej, a nawet polskiej mowy każdy żak uczyć się tu musi.

- Jak to polskiej mowy? - myśli zdziwiony Biernat. Bartek opowiadał mu przecież, że w szkole uczą tylko greki i łaciny? - Przecie nas wszystkich doma mać od kolebki polskiej mowy uczy? - Biernat niechcący się zdziwił.

Rektor łagodnie, z uśmiechem wyrozumiałym, tak Biernatowi i innym tłumaczy:

- Dotąd żakowie uczyli się tylko greki i łaciny, a teraz i polskiej mowy będziemy się uczyć, by każdy Polak się swoich myśli i ust nie wstydział, i by wiedział, że od innych nie jest pośledniejszy. - Po jakimś czasie, patrząc wszystkim w oczy, zapytał ich, czego to najbardziej chcieliby się w szkole nauczyć.

Mocno przestraszeni chłopcy kulili się na swoich miejscach nie wiedząc, co rektorowi mają odpowiedzieć. Jedynie Biernat się ośmielił i podniósł odważnie dwa palce do góry. Rektor to zauważył i z łagodnym uśmiechem zapytał:

- No powiedz, żaczku drogi, czego chciałbyś się nauczyć?

- Ja to bym się chciał najbardziej nauczyć tych wszelkich mądrości, co to są zapisane u tej grubej księgi - i wskazał na pulpit, do którego łańcuchem przykuty był gruby kancjonał.

- Cha, cha - roześmiał się rektor - to kantorem być musisz, boć tu są spisane wszystkie kantorowe pieśni.

- A Bartek, który u nas mieszkał, mówił, że w szkole jest taka wielga księga, w której spisano wszystkie świata mądrości.

- Takiej jednej księgi nie ma, ale jak się czytać nauczysz, to nie tylko jedna, ale wiele grubych ksiąg nie poskąpi ci swojej mądrości, żebyś tylko wytrwał i był pracowity.

- Wytrwać i być pracowitym - powtarzał sobie mały Biernat w myśli. Tego rektorskiego przykazania nie zapomniał już nigdy. Garnął się jak nikt do ksiąg. Na czarnej tablicy kreślił coraz zdarniejsze litery, a słowa łacińskie, które rektor z namaszczeniem wymawiał, bez większego trudu potrafił powtórzyć i zapamiętać. Najgorzej szły mu tylko te kantorowe śpiewy, bo głos miał nieszczególny.

- Beczysz jak baran rżnięty - słysząc go, kantor się sierdził. Mimo pogrózek, zdarzało się, że i różeg kantor nie szczędził, biedny Biernat nie mógł się do śpiewów wprawić. Jeszcze w kupie z innymi jakoś mu szły psalmy Dawidowe i śpiew Bogurodzicy, ale sam do końca mc potrafił doprowadzić żadnej pieśni. Wreszcie kantor przekonawszy się, że nic już z niego nie wydusi, machnął ręką i przestał się oń troszczyć.

Za to rektor lubelskiej szkoły Teofil z Bogusławic, bakałarz sztuk wyzwolonych i człowiek dobry i wielce uczony, nie mógł się postępom w nauce Biernata nadziwić. Wszystko jego uczeń w lot chwytał. Łacińskie i greckie słowa jakby mu same wchodziły do głowy. Potrafił godzinami sterczeć nad księgami, a z wytrwałością wielką coraz piękniejsze rysował litery i inicjały. Najbardziej jednak lubił czytać ucieszne opowieści i baśnie. Bez trudu tłumaczył je z łaciny na język polski, a ukraszał przy tym śmiesznymi słowami z własnej lubelskiej mowy.

Dzięki zapałom i wytrwałości szybko się wyróżnił wśród innych. Najlepszym był między donatystami, a i z deklinistów, gdyby nie trudności ze śpiewem, to zapewne nikt by go nie prześcignął. Jako najbieglejszy w czytaniu i pisaniu nieraz wyręczał rektora w uczeniu najmłodszych. We wszelkich popisach urządzanych w szkole Biernat zawsze był wyróżniony.

Lubelscy kupcy zwracali się do niego z prośbą o pisanie i odczytywanie listów przychodzących z miast dalekich. Zdarzyłoś raz nawet w czasie choroby skryby, że Biernata wezwali rajcy, I zapisał ważne sprawozdanie z obrad do miejskiej księgi. Podziwiali go wszyscy, bo pismo jego było ładniejsze i staranniejsze od starego skryby, który od kielicha nie stronił i ręce się mu trzęsły.

O zdolnościach Biernata i jego niebywałej pilności wszyscy w mieście wiedzieli, a rektor nieraz powtarzał, że wyrośnie z niego człowiek wielki. Nawet kasztelan lubelski zapraszał go na zamek by mu księgi stare czytał i na polski tłumaczył, bo w łacinie nie bardzo biegły. Za małą opłatą pisywał staroście pięknym pismem do żony pozostającej na wsi długie listy. Jeden z listów napisany przez Biernata poślaniec zawiózł nawet do kancelarii królewski

Gdy się zbliżał koniec nauki, zastanawiał się Biernat, co dalej ze sobą uczynić. Rektor usilnie namawiał go, by szedł jak na dalsze studia do Akademii Krakowskiej, ale ani biedna matka ani on sam na to nie mieli pieniędzy.

W tym czasie zjechał do lubelskiego wojewody Jan Zieleń starosta łukowski. Kiedy żalił się wojewodzie, że pism nie ma mu układać i z każdą nawet najdrobniejszą sprawą sam musi jeździć albo umyślnego wysłać, poradzono mu, by osiemnastoletniej go Biernata jako skrybę zatrudnić.

Ucieszył się wielce starosta łukowski, kiedy za niewielki grosz pozostającego bez zajęcia Biernata na sekretarza do siebie ugodził. I tak przez kilka lat Biernat na łukowskim zamku Zieleńskim służył. Pisał mu sążniste listy i pozwy, bo starosta łukowski sądzić się bardzo lubił, ale w płaceniu należności bardzo był ociężały. Jedyną korzyścią pobytu w Łukowie było, że pisząc pozwy musiał się Biernat w naukach prawniczych się podksztalić. Poza tym Zieleński na zdrowiu podupadając, na medyka żałując pieniędzy, sekretarzowi swemu kazał sprowadzać książki lekarskie i w medycynie ludzkiej, i końskiej się kształcić. I tak sknera Zieleński, widząc duże zdolności i pragnienie u młodego skryby, coraz to do nowych nauk go skłaniał by czerpać z tego korzyści, ale do zwiększenia umownej należności się nie kwapił. Chwalił się jednak przed sąsiadami, że sekretarza swojego na prawnika i medyka za własne pieniądze wykształcił. Widząc, że Biernat za lichy grosz oddaje mu coraz to większe usługi, a obawiając się, by go nie opuścił, z należnymi opłatami starosta zalegał, ograniczając się do dawania swemu sekretarzowi skromnego przyodziewku i strawy.

Może sześć, a może i siedem lat męczył się Biernat u łukowskiego starosty, czekając na okazję, by się wyrwać spod jego opieki i władzy.

Gdy tylko dowiedział się od przyjezdnych, że Gotard Bystram z Rogóżna pod Grudziądem, sławny wojownik i dowódca chorągwi królewskiej, sekretarza usilnie szuka, nie namyślając się wiele, po kryjomu, darując Zieleńskiemu nie zapłacone należności, z Łukowa uciekł.

Gotard na warownym, przez Krzyżaków zbudowanym, o siedmiu bramach zamku siedział. Był to człowiek uczciwy i szczodry, a że stare lata dawały się mu we znaki i ciężka choroba z odniesionych ran. To i chętnie młodego pisarza, który i na lekarstwach się wyznawał, z otwartymi rękami do siebie przyjął.

Niewiele tu miał do pisania, bo starosta nie należał do pieniaczy, i listy krótkie i zwięzłe, jako prawdziwy żołnierz, kazał pisać.

Na zamku znalazły się jeszcze pokrzyżackie księgi, do których przed Biernatem nikt nie zaglądał, ale gdy starosta chorobie coraz bardziej ulegał i na łożu boleści musiał się wylegiwać, to żona jego uprosiła Biernata, by ku rozweseleniu chorego jakieś ciekawe opowieści czytał. Nie znając łaciny prosiła go przy tym, by przekładał wszystko na język polski.

Wokół łoża chorego siadywali teraz wieczorami przyjaciele i bawiące na zamku niewiasty, a Biernat im długo uciészne i wesole czytał opowieści. Wśród krzyżackich ksiąg znalazł znane jeszcze mu ze szkoły Ezopowe bajki i żywot tego mędrca bardzo krotocwilny. Dla radości i uciechy wszystkich wierszem opowieść tę zaczął tłumaczyć. Zaczynała się ona takimi strofy:

*Był jeden mąż bardzo dziwny,
W rządzeniu żywota pilny,
Urodzenia niewolnego,
A rozumu ślachtetnego.*

*Z Amonium, wsi frygijskiej,
Która jest w ziemi trojańskiej,
Wyszedł Ezop, twarzy żadnej,
A wymowy barzo śladnej.*

*Głowę też miał bardzo silną.
Oczy wpadłe, barwą czarną.
Krótkiej szyje, długoczelusty,
Czarnozęby, z wielkimi usty.*

*Szeroki, niskiego wzrostu.
Wielkich nóg, miąższego lystu.
Z tyłu niemiernie garbaty.
A z przodku lepak brzuchaty;*

*A kiemu co gorsego miał,
I że sie barzo zajakał:
Ale za ty niedostatki
Miał dowcip na wszystkie gładki*

Śmiano się w zamku z tego Ezopa brzuchatego i garbatego, o szpetnym wyglądzie, ale podziwiano jego chytrość, przebiegłość i mądrość.

Z każdym dniem jednak coraz smutniej robiło się na Gotardowym zamku w Rogóźnie, bo ten zacny i przez wszystkich lubiany i szanowany pan z sił i zdrowia opadał. Smutek niczym nie pohamowany wkraczał. Wiadomo bowiem było, że starosta, ten wielki niegdyś wojak, już wkrótce musi się z życiem na zawsze pożegnać.

Biernat, że do swego nowego pana bardzo się przywiązał, a widząc wszystkich boleść wielką, starał się jak tylko mógł w chorobie Gotardowi ulżyć. Wszystkie księgi medyczne, jakie tylko w zamku znalazł, po całych nocach studiował. Zachwalane w nich leki, jak polecano, stosował, ale niewiele mógł ciężko choremu dopomóc. Korzyść z tego była tylko jedna, że sam się w naukach medycznych dobrze wykształcił. Po dłuższym czasie bezskutecznego leczenia zrozumiał, że straszemu chorobskowi już w żaden sposób rady nie da. I jak przewidział, wkrótce zacny Gotard pomarł.

Rozpacz była wielka w Rogóźnie i smutek na wiele niedziel w zamku Gotardowym zapanował. Bieniai nie wiedząc, co by mógł tu jeszcze bez swego pana czynić, chciał do Lublina wracać, ale go zatrzymała żona zmarłego, która jeszcze wicie spraw spadkowych po mężu musiała załatwić. Potrzebny był więc Biernat na zamku w Rogóźnie przez czas długi. W księgach prawniczych teraz najwięcej grzebał i liczne pisma do sądów i rodziny pisał. Nie skarżył się na tę pracę, bo sam się w prawie wysoce dokszałcał. Po pewnym czasie stał się tak dobrym znawcą prawa, że wielu

możnych panów z okolic Grudziądza po rady prawne do niego zjeżdżało do Rogoźna.

Dzięki wielkiej sumienności i zdolnościom Biernata wdowa po Gotardzie i jej dzieci nie tylko niczego nie straciły, ale jeszcze zdołały odzyskać poniechane już przez nieboszczyka należne im działy. Za usługi te Maria Bystramowa hojnie go wynagrodziła, nie żałując należnej za tak uczciwą pracę zapłaty.

Dzięki hojności Bystramów przekształcił się Biernat z hołysza w zamożnego człeka. Gdy już doprowadził wszystkie sprawy do pomyślnego zakończenia, nie widząc dla siebie u Marty Bystramowej zajęcia, poprosił o zwolnienie z zajmowanego stanowiska.

Z prawdziwym żalem opuszczał Biernat gościnne mury zamku. Z Rogoźna postanowił w szeroki świat pojechać. Ciągnęło go przede wszystkim do Krakowa, bo o mądrości krakowskich profesorów wiele słyszał i bardzo pragnął z nimi się spotkać. Najbardziej ciekaw był sławnego Włocha, Kallimacha, który nawet królowi doradzał.

Do Krakowa postanowił Biernat nie jechać najkrótszą drogą, ale przy okazji zapragnął zwiedzić najstojniejsze polskie miasta.

Pojechał więc najpierw do Torunia, a stamtąd do Poznania i Wrocławia. We Wrocławiu kilka niedziel się zatrzymał i z najmądrzejszymi ludźmi z tego miasta rozmawiał. Okazało się, że siedząc w Łukowie i Rogoźnie czasu nie zmarnował. Mądrością swą wielostronną nawet doktorów i profesorów zadziwiał. Biegły był przecie bardzo w starożytnych językach, znał prawo, a i medycyna nie była mu obca.

We Wrocławiu kupił wiele ciekawych ksiąg drukowanych we włoskich i niemieckich drukarniach. Cieszył się nimi niepomiernie, trocząc w dużych jukach na swego luzaka. Z bagażem tym, jak zamożny kupiec, do Krakowa podążał. Nie śpieszyło się mu zbytnio. Często więc dla poznania jakiegoś miasta albo zamku z drogi zbaczał. Tak zawędrował do Żywca. Tu w gospodzie na kilka dni osiadł, podziwiając piękno tych stron, a nawet i w góry żywieckie się zapuszczał. O pobycie nieznanego w gospodzie, który czegoś po grotach i górach szuka, szybko rozniosła się wieść w okolicznych stronach. Jedni mówili, że przyjechał tutaj dla odnalezienia ukrytego w grotach skarbu, inni, że jest bogatym kupcem i tu w górach zamierza wielkie stada owiec i baranów wypasać. Najbardziej niepokoiły wszystkich owe juki Biernata.

O postoju w gospodzie możnego kupca, bo na takiego najbardziej wyglądał, dotarła wreszcie wieść do zbójców, którzy zastępowali ludziom drogę w tych stronach.

Zbóje zasiedli się na trakcie krakowskim i czekali cierpliwie na Biernata. Ten niczego nie przeczuwając po kilku dniach z Żywca wyjechał i spokojny o swoje nieprzydatne zbójom mienie w wesołym i pogodnym nastroju do Krakowa zmierzał. W najbliższym lesie wyszli mu na spotkanie zbójcy i mieczem grożąc do juków jego zaczęli się dobierać. Biernat widząc, że największy jego skarb chcą mu zbójcy zabrać, dobywszy miecza, zaczął z zaciekłością bronić swego mienia. Najbliżej stojącego zbója tak mieczem przejechał, że ten z rozplatanym łbem na ziemię upadł. Pozostali rzucili się zaraz na Biernata i nie wiadomo, jak zakończyłaby się ta bójka, gdyby nie nadjechała w porę starościńska drużyna, która od kilku już dni tropiła zbójów po górach. Dzięki nim mógł Biernat z życiem i swymi ukochanymi księgami bez

przeszkód do Krakowa dojechać.

Przed odjazdem spojrzął jeszcze na leżącego we krwi zbója i wielki żal go porwał, że mężobójsiwem musiał się pokalać. Jadąc do Krakowa całą drogę rozmyślał, czemu to człowiek człowiekowi bywa nieraz wilkiem i czemu to jeden drugiemu śmierć musi zadawać. Postanowił, że od tego czasu, ile tylko będzie mógł, to życia ludzkiego będzie bronił, choćby to był zbój, albo nawet złoczyńca.

W Krakowie nie mógł się Biernat nadziwić wspaniałości i zamożności miasta. Całymi dniami chodził po ulicach, odnajdywał swych dawnych przyjaciół jeszcze z Lublina, a przez nich do profesorów Akademii dotarł. Wielu podziwiała jego mądrość i wiedzę, chociaż na akademii żadnej nie studiował. Wkrótce dostał się też i do Kallimacha. Po długiej i serdecznej rozmowie o różnych naukowych sprawach i o nowych prądach idących do Polski ze świata zatrudnił go Kadmach na swego sekretarza. Lublinianin chętnie na propozycję tę przystał, a nawet mistrza o zapłatę nie pytał.

U Kallimacha dopiero Biernat mógł poznać te wszystkie nowiny, które przywozili ludzie powracający z Włoch do Krakowa. Niejeden o ostatnio odkrytych księgach i o odkopanych starożytnych posągach cuda opowiadał. Wiele też wiadomości i niespokojnych myśli było w obszernych listach przychodzących z różnych krajów do mistrza. Kallimach z braku czasu kazał swemu sekretarzowi nieraz je streszczać, a nawet na niejednego, wedle własnych wskazań, odpowiadać. Najciekawsze czytano głośno na dworze Włocha, a potem długo roztrząsano na mądrych dysputach. W rozmowach tych najwyżej sławiono mądrość, odwagę i godność każdego człowieka.

Biernat obok Kallimacha w dyskursach tych najbardziej się wybijał. Poglądy jego wielu raziły i były wprost nie do przyjęcia. Zamożni głupcy gorszyli się, kiedy głosił, że nad zamożność i szlachectwo urodzenia mądrość człowieka winna wyrastać. Domagał się zniesienia kary śmierci nawet za najcięższe przestępstwa. Karcił niegodne postępowanie księży, kanoników i biskupów, którzy więcej dbali o swe majątki niż o krzewienie wiary. Domagał się wreszcie wymierzania takich samych kar za przestępstwa zarówno dla bogaczy, jak i dla nędzarzy.

Te myśli Biernata nie w smak były przede wszystkim możliwym tego świata. Zaczęło go nawet o kacerstwo publicznie oskarżać.

Nie wiadomo, jak daleko w dysputach i walkach tych by Biernat dotarł, gdyby nie wiadomość, którą otrzymał z Lublina. Doniesiono mu, że jego stara matka w nędzy wielkiej i chorobie zostaje sama, zewsząd opuszczona. Z ciężkim więc sercem musiał Biernat wymówić służbę u Kallimacha i podążać do swego rodzinnego miasta.

Od pierwszego już dnia całą swą mądrość lekarską wysilał, byleby tylko ulżyć w chorobie swojej starej matce. Dzięki jego zabiegom po jakimś czasie zdrowie zaczęło chorej powracać, ale potrzebna była jeszcze długa lekarska opieka.

Widząc, że w Lublinie nie ma żadnego godnego medyka, sam postanowił dopilnować dalszego leczenia. Zaczął się więc za jakimś zajęciem rozglądać. Nie mając innego wyboru, na służbę do bogatego lubelskiego kupca Łazarza wstąpił.

Łazarzowi liczne pisma do kupców w różnych miastach pisał, rachunki dokładnie prowadził i jeszcze dorastającym dzieciom w nauce pomagał. Przez przeszło rok na

tej służbie przebywał, jednocześnie zajmując się chorującą ciągle matką.

Kupieckie zajęcia nie odpowiadały Biernatowi, bo nad nie obcowanie z księgami przedkładał, ale dla chorej bez szemrania obowiązkom się tym poświęcał.

Zdrowie matki po niejakej poprawie zaczęło się znowu pogarszać i Biernat po jakimś czasie zrozumiał, że już dla niej nijakiego ratunku nie ma. Co mógł, to robił, coraz to nowe zioła i maści przyrządzał, ale na niewiele to wszystko się zdało. Po bezskutecznej kuracji matkę musiał pochować.

Po jej śmierci rozmyślał, co ma dalej ze sobą począć. Czy do Kallimacha wracać do Krakowa? Czy też służbę u jakiego możnego pana wybrać? Wprawdzie zbrzydło już mu u coraz nowego pana niewolnicze harowanie, ale jakoś innego wyjścia dla siebie nie znalazł.

Gdy tak nad swym dalszym losem się zastanawiał, spotkał lubelskiego archidiakona, a ten zaczął go, jako beżennego i uczonego, do przywdziania sukienki duchownej namawiać. Tłumaczył, że dla mieszczańskiego syna tędy tylko wiedzie do wyzwolenia się droga.

Długo się Biernat nad słowami archidiakona namyślał, ale rzeczywiście innego wyjścia dla uzyskania wolności osobistej nie widział. I po jakimś czasie święceńm kapłańskim się poddał. Nie myślał jednak przy lubelskiej farze pozostawać, ale postanowił przyjąć obowiązki kapelańskie na dworze u jakiegoś mądrego i za-możnego pana. Jakoż i wkrótce nadarzyła się taka okazja.

Poprzez Mikołaja Bystrama z Radlina, brata nieboszczyka Gotarda, dostał się na dwór wojewody ruskiego Jana Pileckiego w Pilicy, w powiecie olkuskim.

Tu dopiero Biernat znalazł to, czego najbardziej pożądał; mądrych wielu ludzi, zasobność dobrze zebranej biblioteki, mierne obowiązki i wiele czasu do swobodnych dysput i rozmyślań.

Na dworze Pileckich taki był zwyczaj, że każdego dnia przy wieczerzy gromadzili się u stołu wszyscy domownicy i długo gwarzyli i dyskutowali o różnych sprawach. Rozmowom tym przewodził zwykle Biernat. Opowiadał wszystkim, jakie to nowe księgi przeczytał i o tym, jak to ludzie myślą po innych dworach i w obcych krajach, a jaki, według Kallimacha, winien być wzór królów rządzących państwami i jak powinni usilnie i wytrwale się starać o pomnożenie dobra nie własnego, a swoich poddanych, nad którymi władza jest im dana. Najwięcej zła upatrywał w głupocie i pysze ludzkiej.

Przysłuchiwały się tym opowieściom i dysputom panie, które nieraz narzekały, że nie znając łaciny nie mogą mądrości szukać w księgach. Skarżyły się, że w innych krajach zaczyna wchodzić do użycia ojczysta mowa, a tylko u nas nie ma nawet wydrukowanego polskiego modlitewnika.

Biernat dla zabawy przeczytał im, gdy tak narzekały, jeszcze w Rogóźnie rozpoczęty przekład Ezopa *Fryga*. Śmiali się z tego wiersza panowie i panie cały wieczór i od tego czasu rozpoczęła się w Pilicy poważna dysputa nad konieczną potrzebą rozpowszechniania w polskiej ziemi mądrości wszelkiej, której dla małej znajomości łaciny wielu nie może poznać.

Coraz częściej z Niemiec i Włoch zaczęły też docierać tu książki drukowane na maszynach wynalezionych przez Gutenberga. Podziwiali je wszyscy i zastanawiali

się, co tu zrobić, by tak jak łacińska, włoska, niemiecka czy czeska mogła się pokazać ludziom i książka polska.

- Dobrze by było - mówił Jan Pilecki - by i polska książka mogła się pojawić, jako i inne, na naszych dworach. Spoglądał przy tym jakoś zachęcająco w stronę Biernata, jak gdyby widział w nim tego, kto pierwszy dawne przekonanie o tym, jakoby tylko łacina i greka nadawały się do pisania i czytania, przełamał.

Biernat nad tą sprawą i sam długo w czasie bezsennych nocy myślał. Nic nie mówiąc nikomu, pojechał wreszcie do Krakowa.

Starym swoim zwyczajem rozpoczął najpierw wędrówkę po drukarzach, by się dowiedzieć, czy nie ukazała się jaka interesująca książka. W wędrówce tej dotarł do znanego mu już od dawna Franciszka Unglera. Zagadał go o nowe przygotowywane do druku wydawnictwa, to znów, jak idą handlowe interesa. Ungler najbardziej na zbyt książek narzekał, bo niewielu je kupowało i niewielu w Polsce po łacinie umiało czytać.

- Gdyby tak kto polską mową zaczął pisać, to pewnie książka taka znalazłaby niejednego kupca - westchnął na zakończenie drukarz.

- A jaka to książka wedle was najbardziej teraz jest potrzebna? - spytał Biernat.

- Potrzebnych książek jest wiele, ale do sprzedania najlepsza byłaby książka polska do nabożeństwa. O, chociażby taka. - Tu pokazał Biernatowi niedużą poręczną książeczkę niemieckiego autora. - W niemieckich stronach - ciągnął drukarz - książka ta miała już ze trzy wydania. Sporo na tym zyskał wydawca, a jak chwałą teraz autora i ludzie zwykli, i księża?

- A wydałbyś taką książkę po polsku przetłumaczoną? - spytał Biernat.

- Czego bym takiej książki nie miał wydać? Niech tylko wielebny taką książkę przyniesie, a zaraz pójdzie robotą.

Ugodzili się, że Biernat przystąpi do przekładania, a jak będzie całość gotowa, przyjdzie z nią niezwłocznie do Unglera.

Wrócił Biernat do Pilicy, zamknął się w swojej komnacie i zaczął się trudzić nad przekładaniem modlitewnika. Ciężka to była praca, bo słowa polskie jakoś nie chciały przystawać do łacińskiego i niemieckiego myślenia. Biernatowi chodziło o to, by każdy czytający dobrze wszystko rozumiał, a przy tym na sposób polski, a nie łaciński myślał. Trzeba było szukać takich słów, które każdy dobrze znał i używał. Przypomniała się mu wówczas słodka matczyna lubelska mowa. Przypomniał sobie, jak to zawsze matka miała na nazwanie każdej rzeczy i myśli odpowiedni, a nieraz i zabawny wyraz. Przypomniały mu się jej pieśni, przypomniała i lubelska szkoła, i rektor, który już dawno mówił swoim uczniom, że trzeba się uczyć polskiego języka.

Jeśli Biernat w żaden już sposób nie mógł do jakiejś myśli własnego słowa dostosować, szedł wówczas do Jana Pileckiego i w dyskusji z nim zawsze znalazła się jakaś rada.

Z książeczką Mikołaja Weidenbuscha *Antidotarius animae*, którą od Unglera z Krakowa przywiózł, wkrótce się uporał. Dołożył do tego jeszcze sporo dobrze znanych i śpiewanych w kościołach polskich pieśni. Przy przekładaniu, gdzie tylko mógł, znanymi polskimi modlitwami się posługiwał. Brzmiały one już trochę ze staroświecka, ale wolał starsze zwroty i słowa, aniżeli te, których jeszcze wielu nie znało.

Gdy ukończyć swój przekład, na pierwszej stronie tytuł *Raj duszny* i swoje imię dużymi literami wypisał. Przeczytał całość najpierw paniom zgromadzonym na dworze w Pilicy i czy wszystko dobrze rozumiały, pytał. W niektórych miejscach zmieniły mu jeszcze niezrozumiałe dla nich wyrazy twierdząc, że takich słów w okolicach Krakowa się nie używa.

Z gotowym rękopisem pojechał Biernat, jak był przyrzekł, do Unglera. Drukarz cieszył się bardzo, bo już nie miał co wydawać, a wypuszczone spod prasy książki łacińskie leżały w magazynie na wielkich stosach. Przeczytał więc zaraz z ciekawością kilka stron modlitewnika, ale i mocno się przy tym zafrasował.

- Biernacie - powiada - łatwo to po polsku pisać, ale bardzo trudno będzie nam łacińskimi czy niemieckimi znakami wydrukować. Wielu liter, których się w mowie polskiej używa, nie zna łacina. Trzeba chyba jakieś nowe znaki powymyślać i buksztaby poodlewać.

- Może zastąpić je tymi, jakie już są? - doradził Biernat.

- No tak, ale trzeba to wszystko jakoś uporządkować, bo teraz jedni piszą tak, a inni siak, jak się komu podoba, a książka musi być zawsze tak samo drukowana, żeby się nikt w czytaniu nie mylił.

- To musimy chyba razem to wszystko poustalać?

I zaczęła się nad drukiem pierwszej polskiej książki i nad ustaleniem ortografii mozolna praca. Trzeba było wspólnie wymyślić i zgodzić się na jednolite zawsze oznakowanie takich nie znanych w łacinie dźwięków, jak: dz, di, cz, sz, ch, rz, ó, j, ł. Fragment modlitwy z wydrukowanego wówczas modlitewnika może zobrazuje trudność tej pracy.

Biernat według dzisiejszej ortografii modlitwę „przeciw sokom (to jest nieprzyjacielom) i chytróściam nieprzyjacielskim” chciałby napisać w sposób następujący:

„Nie raczy nas karać! Ale ty, najmiłościwszy, od nienawiści ich i od uwłaczania nie posromocone wyrwi a potargaj sidła diabelskie, którymi chcą nas połowić, zdradzić i posromocić, byśmy nie upadli przed oblicznością nieprzyjaciół naszych, by się nad nami nie weselili a nam nie urągali...”

Nie mając jeszcze ustalonej polskiej ortografii, wydrukował to Ungler w taki sposób:

„Nye raczi nas karac! Alye ti, namyloscywssi, od nyenawyscy gych y od uwlaczanya nyeposromocone wirwi...” i tak dalej.

Trudno to było początkowo czytać, ale po dłuższym czasie jakoś się w tym człowiek rozeznawał, a brzmienia słów trochę domyślał.

Na okładce tytuł modlitewnika, imię Biernata i rok 1513 Ungler wydrukował. Przez długi czas uważano, że była to pierwsza w języku polskim wydrukowana książka, nie dostrzegając zapewne niewiele znaczącego, zupełnie zapomnianego wcześniejszego wrocławskiego wydawnictwa.

Ungler po wielu latach jeszcze sobie za wielki zaszczyt poczytywał to, że on pierwszy odważył się książkę polską wydać. Mówił o sobie

„Mogę się i ja w tym u was pochlebiać, gdym to obaczył, nie tak pożytku swego szukając, jako tego wielmi litując (co należy rozumieć, „nad wami, Polakami się

litując”), pracem się tej naprzód i przed innymi podjął, żem księgi polskie nigdy nie bywałymi buksztaby drukował; potem inni ze mnie przykład wzięli”.

Chytry drukarz, sławiąc swoje drukarskie zasługi sporo przesadzał. Na modlitewniku Biernata dobrze zarobił, bo książka szła jak woda. Nie mówiąc nic autorowi, coraz to nowe wydanie *Raju dusznego* drukował i po kraju rozsyłał. Jak bardzo potrzebna i czytana była ta książka może świadczyć fakt, że do naszych czasów zachował się jedynie niewielki jej fragment.

Biernat cieszył się bardzo, że tak wielkie powodzenie ma jego praca. Nie troszczył się zbyt o wydania, ale przemyślał, jakby tu nową księgę po polsku napisać.

Na dworze Pileckich namawiano go usilnie, by wreszcie wydał Ezopowe bajki, które dla uciechy zebranych, dla nauki moralnej i przekazania dawnej, ale wiecznie potrzebnej mądrości, na język polski z dużą radością przekładał.

Przy spolszczaniu znanych bajek łacińskich i greckich o zwierzętach często przysłów i porzekadeł polskich używał, by każdy wiedział, że opowieść mówi o polskich ludziach i sprawach. Dbał również i o to, by jasno wynikał z każdej bajki morał.

Warto chyba i tu niektóre przysłowia i powiedzenia Biernata przytoczyć, by rozsmakować się w trafnych i ciągle jeszcze aktualnych jego myślach i dowcipnych sformułowaniach. Oto Biernatowe przysłowia:

Gdy się mocni mnożą, ludzi ubożą.

Wielcy złodzieje małe wieszają.

Panów mnóstwo czyni ubóstwo.

W każdej rzeczy końca patrzaj.

Niewieścia żałoba tylko do pogrzebu.

Zgodnych nikt nie przełomi.

Pochlebnikom nic wierzyć.

Na dary się nie kwapić.

Kto miłuje księgi, nie miewa tęskności.

Przysłów tych i powiedzeń używał Biernat najczęściej jako tytułów swoich bajek. Bajka stawała się często ilustracją przysłowia, a morał jego podsumowaniem.

I morałów Biernata warto posłuchać, bo i dzisiaj przydać się niejednemu mogą. Oto kilka z nich, które wybrałbym dla nauki, przestrogi i do rozważenia, bo morał to nie bajka, wiekowa mądrość zawarta w nich została. Posłuchajmy więc i my „mędrca obyczajnego” Biernata z Lublina, który do wdzięcznych swoich słuchaczy tymi słowami w Pilicy przemawiał:

Cieżkać niewola każdemu

Służyć panu niewdzięcznemu.

Bo nikomu nic folguje,

Gdzie pożytku nic poczuje.

Boć się u nich tak dzieje:

Małe wieszają wielcy złodzieje;

a gdyby sprawnie wiesili,

Małoby panów ostawili.

*A przeto, kto chce bogaty być,
Oplwawszy ręce, trzeba robić.
Orz rolą, kopaj korzenie,
Nie troszcz się o dobre mienie.*

*Próżnujący i leniwi,
Którzy cudzym potem żywi,
Barzo mają być karani,
Ku robocie przypędzani.*

*Kto się niewiastom da rządzić,
tenci nic może mądrym być.*

*Oby co dają, patrzaj, ktoć da,
A czego od ciebie żąda;
Nic kwap się nigdy na dary,
Chceszli nie uszczerbić wiary.*

*Bo kto wiele stów wylewa.
Niewiele mądrości miewa.*

*Głupi, nic śmiej się z mądrego,
A to bierz rozum od niego!*

*Moc, uroda z wszystką krasą,
Bez rozumu nikczemne są;
A co po czyjej wielkości,
Gdy nie ma w głowie mądrości?*

W Pilicy słuchano życzliwie bajek Ezopa w przekładzie Biernata. Długo nad nimi dysputowano, bo widziano wiele zła i głupoty rozpanoszonej w granicach polskiego królestwa. Gdy jednak bajki najpierw w odpisach, a potem w druku zaczęły krążyć po Krakowie i innych pańskich dworach, to niejednen w tępocie swej i głupocie obrażony szlachciura, skrobiąc się pod kołtunem, rozsierzony sarkał:

- A cóż to za mędek się znalazł, co panom będzie przyganiał? Niejednen znów w łacinie bieglejszy z tomem bajek Ezopowych ganiał i pokazywał wszystkim, że starożytny mędrzec nigdzie do wieszania panów nie zachęcał.

Starosta wiślicki, spotkawszy Jana Pileckiego w Krakowie, z oburzeniem na niego napadł:

- Patrzcie no, co to wypisuje ten wasz klecha - wrzeszczał - Do zbrodni pospólstwo podjudza, panom głupotę wytyka.

Śmiano się potem w Pilicy z tego oburzenia, bo starosta wiślicki kiep był i jako przykład na istniejącą głupotę był nieraz w czasie dysput przywoływany.

Biernat przełożywszy ponad dwieście Ezopowych bajek, zabrał się do tłumaczenia całego żywota Ezopa. Robił to z tym większym zapałem, bo dzieje tego starożytnego mędrca jakoś bardzo pasowały do jego własnego żywota.

Obaj wyszli z podłego stanu i musieli u różnych panów służyć. Tylko dowcip i rozum pozwalały im głupotę pańską i pańskie kaprysy przetrzymać. Biernat więc niezbyt na łaciński tekst się oglądał i tak, jakby sam o swym życiu opowiadał. Przekładając dawniej bajki ośmioletni wiersz najbardziej umiłowiał, to i o żywocie Ezopa, i jego przypowieściach tymże wierszem pisał.

A ciekawy był żywot tego starożytnego mędrca. Pochodził z Amonium, wsi frygijskiej, która jest w ziemi trojańskiej. Szpetny z przyrodzenia, bardziej był podobny z wyglądu do potwora aniżeli do normalnego człowieka. Nawet nie potrafił się dobrze wystawiać, bo się strasznie jąkał. Za te wszelkie fizyczne niedostatki wynagrodziła go szczerze natura niezwykle bystrym umysłem i dowcipem, którym wszystkich prześcigał.

Jego pierwszy właściciel, obawiając się nadmiernej roztropności i mądrości niewolnika, sprzedał go wędrownemu kupcowi zamiast jucznego osła. Od kupca dzięki bardzo rezolutnym i dowcipnym odpowiedziom został zakupiony na targu przez uczonego Xanta. U niego dopiero mógł swój przyrodzony dowcip rozwinąć, oddając swemu panu wielkie usługi, ale i płaćąc mu, niby z głupia frant, nieraz nawet bardzo złośliwe figle.

Razu jednego, gdy przez swych uczniów upity Xantus dał się wciągnąć w niemądrą dysputę, czy człowiek sam potrafi całe morze wypić, nie przeczuwając pułapki, odpowiedział nieopatrznie twierdząco. Wówczas zaczęto go dalej prowokować i doprowadzono do tego, że chępiąc się przyrzekł na drugi dzień sam tego dokonać, postawił nawet w zakład własny dom.

Po otrzeźwieniu strasznie się swoją pijacką lekkomyślnością zmartwił, zupełnie nie wiedząc, jak by mógł swój dom i honor mędrca ocalić. Z pomocą przyszedł mu dopiero Ezop radząc, żeby Kant swemu przeciwnikowi postawił warunek, by ten najpierw wszystkie rzeki wpadające do morza wstrzymał, bo w zakładzie była mowa tylko o wodzie morskiej. Oczywiście warunek nie mógł być spełniony i zakład upadł, a Xantus wielką wdzięczność zachował dla swego niewolnika.

Zdobywszy u swego pana wielki kredyt zaufania, mógł teraz Ezop pozwolić sobie na spłatanie niejednego figla. Wykonując niby dosłownie pańskie polecenia, okrutnie kpił sobie z Xanta.

Zdarzyło się raz, że Xant, spodziewając się gości, polecił Ezopowi, by ten kupił na targu i przygotował coś najlepszego. Niewolnik wykonując polecenie swego pana poszedł do rzeźnika i zakupił świńskich języków. Przyrządził z tego kilka potraw.

Gdy pierwszą z nich na stół podał, goście nawet zachwycali się jej smakiem i chwalili Ezopa, ale gdy ten znów na stół tylko języki świńskie w nieco tylko inny sposób przyrządzone ustawił, wzburzyli się goście, a gospodarz chciał obić swego sługę. Ten jednak spokojnie dowodził, że wykonał tylko dokładnie polecenie swego pana i tak się przed Xantem i jego kompanami usprawiedliwił:

Język-ci członek najlepszy,

A nad inne potrzebniejszy.

Którego by człowiek nic miał,

Bydłu by się podobien zosłał

Z językać wszystkie mądrości,

Nauk wszelkich ich chytróści;

*Wszelka sprawa każdej rzeczy,
Przez język się zawsze toczy.*

Xant i jego towarzysze, ubawieni dowcipną odpowiedzią Ezopa, uznali całe wydarzenie za dobry kawał. Gospodarz, by się zrewanżować zaprosił swoich przyjaciół na następne przyjęcie, a Ezopowi tym razem przykazał, by już nie kupował najlepszych rzeczy, ale najgorszą.

Jakież było wszystkich zdziwienie, gdy Ezop i tym razem gości świńskimi językami podejmował. Xant rozsierdzony na swego sługę chciał go znowu obić, ale Ezop i tym razem twierdził, że wiernie wykonał polecenie swego pana. Usprawiedliwiał się znów taką tyradą:

*Językiem się zabijają,
Mocne miasta przewracają;
Walki i bitwy z języka,
On czyni z pana niewolnika
I cokolwiek ludziom szkodzi,
Wszystko z języka pochodzi;*

*By zawżdy ludzie milczeli,
Więcej by pokoju mieli.*

Znów przechytrył Ezop swego pana, a ten mu winy darował. Wiele też jeszcze psot i usług Xantowi uczynił. Nawet uchronił go kiedyś od rozłamu małżeństwa.

Dzięki mądrości, frantowskim kawałom i niewątpliwym usługom został Ezop wyzwolony przez Xanta od niewolnictwa. Już jako człowiek wolny, którego sława rozeszła się po innych krajach, został wezwany na dwór perski i tu, dzięki swym niezwykłym zdolnościom, nie tylko zaskarbił łaskę monarchy, ale został mężem Stanu. Będąc doradcą królewskim i nadwornym mędrce, trafił Ezop następnie na dwór króla babilońskiego Likurga. Tu zasłynął niezwykłą biegłością w rozwiązywaniu najtrudniejszych zagadek.

Powodzenie opuściło Ezopa, gdy udał się do Delf i tam też ujawnił swą niezwykłą mądrość. Zaniepokojeni o swój autorytet kapłani wyroczni delfickiej podrzucili mu złote naczynie liturgiczne, oskarżając o świętokradztwo. Wobec takiego nikczemnego podstępu Ezop się bezradny. Skazany na śmierć; przyjmuje wyrok ze stoickim spokojem. Próbuje jeszcze swym prześladowcom udzielić kilku nauk moralnych, ale te pozostają bez echa i Ezopa strącają ze skały.

Tragiczny finał opowieści o Ezopie mógł nasunąć Biernatowi myśl o czekających go prześladowaniach. Spodziewał się bowiem, że możni panowie nie darują mu zuchwałego przeciw nim wystąpienia. Jako człowiek odważny i twardych zasad nie obawiał się jednak grożącego mu niebezpieczeństwa. Zapatrzony w stronę Włoch, skąd nadciągała fala humanizmu i gdzie kształtowało się nowe spojrzenie na człowieka, z całą bezwzględnością postanowił zwalczać rodzime zło i zacofanie. Będąc plebejuszem, ostrzej dostrzegał okryte nimbem dostojeństwa wykroczenia rozpanoszone ba możnych dworach. Nie obawiał się nawet krytykować hierarchii kościelnej. Ofiarowując Janowi Pileckiemu swego Ezopa, taką dedykację na wstępie wydrukował:

Nie patrząc na biskupy,
Którzy mają złotych kupy;
Boć nam ci wiarę zelżyli,
Boże daj, by się polepszyli.

Dwór nam pokaził kapłany,
Kanoniki i dziekany;
Wszystko w kościele zdworzało,
Nabożeństwa bardzo mało.

W słynnym liście wystosowanym do krakowskiego drukarza Szymona wypisał zdanie, które mogło stać się nie tylko lampą przewodnią dla kształcącego się już młodego pokolenia odważnych i śmiałych polskich humanistów, z Mikołajem Kopernikiem na czele, ale nawet i dziś złotymi zgłoskami można by je wykuć nad wejściem do najszacowniejszej placówki naukowej:

ROZUM LUDZKI NIE DA SIĘ POWSTRZYMAĆ ŻEBY WCIAŻ NIE DOCIEKAĆ PRAWDY I ŻEBY SIĘ DO NIEJ JAK DO WŁAŚCIWEGO PRZEDMIOTU NIE WZNOSIĆ

Biernat te słowa napisał w 1515 roku u schyłku polskiego średniowiecza, kiedy dopiero pierwsze promienie renesansowego światła i humanizmu z Włoch w nasze strony zaczęły docierać. *Bajki Ezopowe* i *Żywot Ezopa Fryga* wydał przed ukazaniem się pism Reja, Kochanowskiego i Modrzewskiego. Słusznie znawcy nazywają go więc ojcem polskiego piśmiennictwa.

Poza bajkami i Ezopem przełożył Biernat *Dialog Palinura z Karonem*, przypuszcza się, że jest autorem jeszcze innych pozycji, a wśród nich: *Fortuny i cnoty różność* (1524 r.) i *Lekarstwa doświadczone, które zebrał uczony lekarz pana Jana Pileckiego*. Ktemu są przydane *lekarstwa końskie z ćwiczeniami tego lekarza*. Ta ostatnia pozycja została wydana dopiero w 1564 roku w opracowaniu Marcina Siennika.

Gdyby nawet odrzucić przypisywane autorstwu Biernata, ale nie potwierdzone jego imieniem druki, to i tak jego dorobek literacki będzie pokaźny, bo oto *Żywot Ezopa* obejmuje 3144 wiersze, bajki - 5678 wierszy, a zachowany jedynie we fragmentach *Dialog Palinura z Karonem* - 655 wersetów.

Wedrzeć się po raz pierwszy z tak wielkim impetem w nietrzebioną i dziewiczą jeszcze puszcę mowy ojczystej i to w okresie, gdy Polacy dopiero podejmowali walkę o dopuszczenie języka narodowego do literatury, instytucji prawnych, kościelnych i państwowych - trzeba było zaiste wielkiego bohaterstwa.

Odważny lublinianin ze świadomością grożących mu konsekwencji, wierząc w potęgę umysłu dążącego do prawdy, walkę te podjął i wygrał

Umieszczenie jego dzieł, za rewolucyjne na owe czasy poglądy, na indeksie i niszczenie ich na niewiele się zdało. Wystarczyło, by tylko jeden egzemplarz, z któregoś tam wydania jego *Ezopa* i bajek przetrwał w Bibliotece Kórnickiej, odnaleziony przez naukowców po kilkuset latach, znowu załśnił jak szlachetny kamień pełnią mądrości i światła. Do dziś urzeka nas przede wszystkim niepowtarzalne piękno staropolskiego języka Biernata z Lublina. Zadziwia jego konkretność, jedrność i precyzja myślenia. Z radością można stwierdzić, że po upływie niemal

połowy tysiąclecia wielu jego zwrotów do dzisiaj w mowie potocznej się używa, a mądrość Biernata, mimo upływu wielu, wielu lat, wcale nie zwietrzała. Wiele jego myśli można i dziś na transparentach wywieszać jako ciągle aktualne hasła:

Boć mędracy nie umierają. Jako szaleni mniemają.

Lublinianie Jakaż to wam sława roście...

Lublinianie, jakaż to wam sława roście,

Mieliście przy tym mieście znamienite goście.

Jan Ponętowski

Nigdy przedtem ani polem nie zdarzyło się, by Lublin przyjmował w swoich murach tak licznych i dostojnych gości. A nie był to zjazd jednodniowy, trwał bowiem ponad siedem miesięcy, od końca grudnia 1568 do połowy sierpnia 1569 roku.

Na ten czas przybyli do Lublina sam jegomość król Zygmunt August ze swym liczny i dostojnym dworem, senatorowie, biskupi z prymasem Uchańskim i kardynałem Stanisławem Hozjuszem na czele, wojewodowie, marszałkowie, kasztelani i posłowie ziem koronnych, a także panowie-rada: wojewodowie, książęta, kasztelani i biskupi litewscy. Byli też władcy, kniazie i bojarzy rusczy. Nie brakło posłów cesarskich, królewskich i książęcych z krajów sąsiednich. Wszyscy bowiem byli świadomi ważności i doniosłości mających zapaść w Lublinie decyzji, od których miały zależeć przyszłe losy dużej części Europy.

Chodziło wprawdzie tylko o odnowienie i umocnienie trwającej już niemal dwa wieki unii wiążącej Koronę z Litwą w jeden organizm państwowy, ale gdyby ujawniające się i narastające ostatnimi czasy tendencje odśrodkowe wzięły górę, to układ sił w całej Europie zasadniczo by się zmienił.

Unia od samego zarania była niepewna i chwiejna. Została zrodzona przez zagrożenie zewnętrzne, a utrzymywali ją wspólni kolejni przedstawiciele Jagiellońskiej dynastii. Teraz, gdy Zygmunt August, król polski i jednocześnie wielki książę litewski, nie spodziewał się i chyba już nie mógł się spodziewać potomka, związkowi groził rozpad, a niezdolnym do samodzielnego istnienia organizmom państwowym zagrażało śmiertelne niebezpieczeństwo. Najlepiej zdawał sobie z tego sprawę ostatni męski potomek rodu Jagiellonów. Dążył więc usilnie do usunięcia ujawniających się coraz bardziej tendencji odśrodkowych. Widział jak do ograniczenia, a może i zerwania unii zmierzają panowie litewscy. Z drugiej zaś Strony musiał wysłuchiwać głosów posłów koronnych, którzy na sejmach domagali się wyegzekwowania wszystkich poprzednich unijnych artykułów i włączenia (inkorporacji) Litwy do Korony.

Król w jednej osobie i wielki książę litewski był w wielkim kłopotcie, bo nie mógł i nie chciał faworyzować żadnej strony. Ciągłe tylko odbywał peregrynacje między Krakowem, Grodnem Wilnem skłaniając Polaków i Litwinów do zdrowego rozsądku i zachowania państwowej jedności. Nie zawsze jednak jego intencje były przez obydwie strony należycie rozumiane. Oto, kiedy świadom kończącej się dynastii na sejmie koronnym w roku 1563-4 przelał swoje prawa dziedziczne do Litwy na Koronę, Polacy zrozumieli to jako akt inkorporacji, a Litwini za poddanie ich w niewolę Polakom. Panowie litewscy najbardziej obawiali się utraty niegdyś nadanych im ziem, o których egzekucję coraz głośniej i natarczywiej upominali się posłowie koronni.

Król szukał sprzymierzeńców. Wiedział, że na Litwie może liczyć jedynie na

poparcie drobnej szlachty, która chciała uzyskać prawa i wolności wywalczone już przez koroniarzy. W roku 1562 szlachta litewska zgromadzona na sejmie obozowym pospolitego ruszenia pod Witebskiem zawiązała nawet własną konfederację niezależną od panów-rady i uchwaliła akt, który jej posłowie zawieźli do króla. Skonfederowani prosili Zygmunta Augusta bawiącego właśnie w Wilnie, aby „złożyć raczył sejm wspólny z pany Polaki i unia aby była w jedności. Najwięcej dla dwóch przyczyn, to jest, dla obierania jednego pana [...] i dla jednej a wspólnej obrony, abyśmy spoinie sejmowali, praw i wolności z nimi za równo jednakich używali.”

Życzenia tego król nie mógł natychmiast spełnić, chociaż było to po jego myśli. Upłynęło sześć lat zanim zdołał nakłonić obydwie strony do spotkania i przedyskutowania spraw dotyczących unii. Mając ograniczoną władzę zarówno na Litwie jak i w Koronie musiał się powściągać do spokojnej i łagodnej perswazji. Nie był nawet w stanie nakazać Litwinom, by zjechali się na rozmowy z „pany Polaki”. Według obyczaju i obowiązującego prawa sejm litewski nie mógł się zbierać poza granicami wielkiego księstwa. Sam był jedynie władny do podjęcia uchwały o przeniesieniu swoich obrad.

Po długich pertraktacjach i namowach udało się wreszcie królowi skłonić Litwinów do zjechania się na sejm na pograniczu wielkiego księstwa z ewentualnym zamiarem przeniesienia na wspólne obrady z sejmem koronnym.

Z korontarami król nie miał większego kłopotu. Kiedy uzyskał od Litwinów zgodę na odbycie wspólnych obrad, wysłał swoich sekretarzy - do Wielkopolski Hieronima Karwowskiego, a do Małopolski Krajewskiego z poleceniem zwoływania sejmików i wybierania posłów. W Wielkopolsce wobec szalejącej po miastach zarazy, jak odnotował to Jan Ponętowski, zbierano się nawet w polu:

Królewskiej woli dosyć czyniąc, w polu stali, I nie tak się zarazy na ustroniu bali, O dnia najwięcej w swych kołach radzili. Radziby w jedności z Litwą naszy byli.

Kiedy zostały przełamane obustronne opory, należało znaleźć dogodną miejscowość na wspólne obrady. By nie faworyzować jednej ze stron ustalono, że musi być położona gdzieś na pograniczu Korony i Litwy. Najpierw myślano o Liwie albo Parczowie (Parczewie), ale gdy miasta te zostały nawiedzone klęską pożaru, wybrano Lublin przypominając sobie unię horodelską, na której przewidywano, że wspólne zjazdy Polaków i Litwinów mogą się odbywać w tym właśnie mieście. Lublin był poza tym miastem znaczniejszym. Tu odbywały się już poprzednio sejmy koronne, a król miał własny, obszerny zamek, w którym mógł bez uchybienia przyjmować nawet najdostojniejszych gości.

Litwini na swoje obrady wybrali Wohyń leżący tuż przy granicy Korony, ale jeszcze na terenie wielkiego księstwa. Obrady sejmu litewskiego rozpoczęły się wcześniej, by panowie-rada i posłowie mieli czas na przedyskutowanie i podjęcie stosownych decyzji. Król nie był wcale pewien czy Litwini w ostatniej chwili nie przegłosują wniosku opozycji, która miała poparcie niektórych sejmików sprzeciwiających się wyjazdowi sejmu litewskiego poza granice wielkiego księstwa. By wszystkiego dopatrzeć, Zygmunt August osobiście przyjechał do Wohynia. Jana Chodkiewicza przekupił nadając mu olbrzymie dobra na Żmudzi. Pozostałych panów-rady ułagodził przywilejem zapewniającym, że egzekucja dóbr i urzędów nigdy nie będzie stosowana w wielkim księstwie. Przyniósł też, iż w przyszłości wspólne sejmy będą

się odbywały gdzieś na pograniczu obydwu państw. Dzięki tym przyrzeczeniom i przywilejom uzyskał zapewnienie Litwinów, że przyjadą na wspólne obrady z sejmem koronnym.

Dopiero teraz opuścił Wołyn śpiesząc do Lublina, by zdążyć na dzień 23 grudnia, kiedy miało nastąpić otwarcie sejmu koronnego. Pośpiech króla okazał się jednak zbyteczny. W przeddzień wigilii Bożego Narodzenia poza nielicznymi senatorami nikt się jeszcze z panów polskich i posłów nie zjawił. Monarcha zapewne tym się zbytnio nie zdziwił, gdyż było to już niejako we zwyczaju, że sejm koronny nie rozpoczynał swoich obrad w terminie oznaczonym. Teraz senatorów i posłów tłumaczył dodatkowo czas niefortunny, bo i jak mogli z powodu sejmu opuszczać na doroczne święta Bożego Narodzenia swoich najbliższych.

Król jegomość nie musiał więc cierpliwie czekać na łaskawe przybycie swoich poddanych. Czasu jednak nie tracił, z obecnymi już w Lublinie senatorami odbywał rozmowy i przedsejmowe narady wywiadując się „jakiej uniej chcą mieć z Litwą”. Wszyscy opowiadali się za pełnym zjednoczeniem i wypełnieniem dawnych postanowień. Zdawał sobie sprawę, że takie stanowisko Polaków nie ułatwi porozumienia. Prosił swoich rozmówców, by o tym głośno nie rozpowiadali, gdyż Litwini dowiedziawszy się o intencjach strony polskiej gotowi zmielić podjętą decyzję i rozjechać się do domów. Nie tracił jednak nadziei licząc na znalezienie podczas wspólnych obrad kompromisowego rozwiązania.

Odetchnął z ulgą, kiedy po południu w sam dzień Bożego Narodzenia zjawili się w Lublinie podkancierzy litewski Ostafi Wołowicz z podskarbisem Mikołajem Naruszewiczem, którzy zapowiedzieli przyjazd Litwinów. Następnie rozpoczęli układy dotyczące godnego przyjęcia i pomieszczenia w Lublinie panów-rady i posłów litewskie!. Pertraktowali leż nad jurysdykcją swoich marszałków na wspólnym sejmie. Twierdzili, że nie można do tego dopuścić, by Litwina Polak sądził.

Narady i szczegółowe uzgodnienia stanowisk trwały kilka dni. Dopiero w Sylwestra wszyscy, ilu już ich tam w Lublinie było, panowie polscy w strojnym i dostojnym poczcie wyjechali na spotkanie stanów litewskich. Jak obyczaj nakazywał, Litwini zostali godnie powitani. Wygłoszono kwieciste i kordialne przemowy. Polacy baczyli, by w niczym stronie litewskiej nie uchybić.

Po szczęśliwie odbytej powitalnej ceremonii poczet książąt, kniaziów, biskupów, wojewodów, kasztelanów, nie pomijając posłów i bojarów, a także i władyków roskich, strojnych w futra niedźwiedzie i bogate szuby, lisie czapy i borsucze kołpaki, poprzedzany niemniej bogato i strojnie na ten czas przyodzianych senatorów i panów polskich zmierzał w kilkaset koni ku Lublinowi. Daleko przed bramy i na ulice miejskie wyległ kto żyw, bo było się czemu nadziwować i na co napatrzeć. Rojno, hucznie i strojno zrobiło się na królewskim zamku jak i w murach miejskich. Przybyli stosownie do swej godności i urzędu zajmowali wyznaczone i przygotowane już wcześniej gospody. Panom-rady wyznaczono pomieszczenia w zamku królewskim. Biskupi zamieszkali w klasztorach, a posłowie w kamienicach mieszczkańskich. Niektórzy zakwaterowali się na przedmieściach. Firlejowie użyczyli gościny w swym pięknym i obszernym zamku w niedalekiej Dąbrowicy.

Król Jagoda był niezmiernie kontent widząc z jak wielką serdecznością podejmowali Polacy Litwinów. Rokowało to pomyślnie mającym się rozpocząć wkrótce wspólnym obradom. Mniemał nawet, że sejm koronny rozpocznie się trzeciego stycznia, ale większość senatorów i posłów jeszcze świętowała. Dopiero po Trzech Królach przybyli do Lublina biskup warmiński kardynał Stanisław Hozjusz, po nim prymas arcybiskup Uchański „ze swym poczem się stawił”, dalej Filip Padniewski biskup krakowski, „który się dla koronnych spraw trudzić nie boi”. Przewidziano go na głównego mediatora strony polskiej, gdyż jak poświadcza to Jan Ponętowski: „Wymowa w tym człowiecze i rozum wszelaki. Za dawna był krakowski iście biskup taki”.

Owa, gdy się zjechali i świeccy panowie. Kasztelani, nuż po nich i wojewodowie, Także inne rycerstwo, czas sejm zacząć było.

Był to historyczny dzień 10 stycznia 1569 roku, kiedy sejm koronny wreszcie rozpoczął swoje obrady.

*Od Boga wprzód poczęto, od Ducha Świętego,
Msze jęli księża śpiewać jak obyczaj tego.
Wszyscy zgodnie prosili, by dał Pan Bóg zgodę,
by żaden nie radził na stratę, na szkodę;
By ten zjazd był szczęśliwy a dobrze poczęty,
Panu Bogu wprzód, potem koronie przyjęty.*

Prośby o zgodę nie odniosły skutku - Litwini nie zgodzili się na wspólne obrady. Po długich pertraktacjach ustalono wreszcie, że obydwie sejmy będą zbierały się osobno znosząc się od czasu do czasu, jeśli zajdzie tego potrzeba. Po tych ustaleniach marszałek Stanisław Czarnkowski otworzył sejm koronny od witania Króla Jagody. Zaczął swoją przemowę tymi słowami: „Naród polski, wierny zawsze panom swoim, przez nie zawsze wolnie zwolonym, najjaśniejszy a niezwyciężony królu, a nasz miłościwy panie...”

Mowa marszałka była długa, zawila i bardzo kwiecista. Wyrażał w niej wielki szacunek dla władcy Korony i Litwy, życzył mu dobrego zdrowia, ale nie omieszkał przypomnieć, że król jest tylko stróżem i konserwatorem „nazacniejszego i nakosztowniejszego klejnotu” - szalacheckiej wolności. Upomniał też monarchę „aby swych wól i rozpustnego życia ująć i hamować” raczył.

Napomnienia te przypominały, że król Polski i wielki książę Litwy musi się liczyć z wolą swoich poddanych. Zygmunt August i bez tego przypomnienia wiedział, że nic w sprawie unii nie zdoła uczynić bez ich dobrej woli. Polacy widzieli tę rzecz bardzo prosto, jak to obrazowo przedstawił w swoim powitalnym przemówieniu marszałek Czarnkowski: „Aż człowiek żywy może być rozdzielony? - pytał - A cóż to za chłop z półgłową? albo z dwiema głowami, albo z kilkiem rąk, nóg et similia?”

Litwini na tego „jednego, żywego chłopca” nie chcieli przystać. Rozpoczęli osobno swoje obrady kontynuując sprawy z poprzednich sejmów wielkiego księstwa, jakby zupełnie zapomnieli, po co przyjechali do Lublina.

Rozsierdziło to posłów koronnych. Zwrócili się z interwencją do króla. Ten zwołał radę koronną. Ustalono, że skoro Litwini nie godzą się na wspólne obrady, a nawet nie mają ochoty na rozpatrywanie we własnym gronie spraw unii, to niech dysputy

odbywają się za pomocą deputatów od jednego sejmku do drugiego. Posłowie ziemscy zastrzegali sobie, że dyskusjom deputatów będą się przysłuchiwały oba sejmy w komplecie.

Litwini na to przystali. Na swego reprezentanta wysunęli Michała Rudego Radziwiłła przywódcę litewskiej opozycji. Ze strony polskiej rokowania miał prowadzić biskup krakowski Filip Padniewski. Nie wróżyło to rychłego znalezienia satysfakcjonującego obie strony kompromisu. Do tego jeszcze panowie litewscy udając zniecierpliwienie przedłużającymi się obradami prosili króla, „żeby rychło mogli być odpuszczeni, bo żony i dzieci w niebezpieczeństwach doma zostawili.”

Mimo tego „zniecierpliwienia” obrady nie posuwały się naprzód. Litwini bowiem unikali wspólnych posiedzeń, a Polacy, zwłaszcza posłowie z Małopolski, upierali się, by tylko wyegzekwować poprzednie porozumienia i włączyć Litwę do Korony. Litwini zaś kwestionowali samą zasadę, że nowy akt unii należy oprzeć na poprzednich układach i jako podstawę do dalszych rokowań przedstawili Polakom własny statut. Były w nim ujęte wszystkie dotychczasowe kwestie sporne. Domagali się osobnego księstwa litewskiego, a w nim odrębnych sejmów walnych i odrębnych urzędów niedostępnych dla „cudzoziemców”, chociażby nawet osiadłych na Litwie. Upominali się też o przywrócenie strat terytorialnych na rzecz innego państwa, nie wykluczając Korony.

24 stycznia doszło do wspólnego posiedzenia obydwu sejmów. Dyskutowano za pośrednictwem deputatów. W imieniu Polaków, jak to już było ustalone, występował biskup Padniewski, który oświadczył Litwinom, że przedłożone przez nich niektóre artykuły statutu są „przeciwne Liniej i braterstwu naszemu”.

Michał Rudy Radziwiłł dowodził, iż „stare zapisy jedne zwietrzałe, a drugie nikczemne”. Domagał się, by przedstawiono Litwinom zupełnie nowy projekt unii. Biskup Padniewski skłonny do kompromisu zgodził się opracować nowy projekt, który byłby do przyjęcia przez stronę litewską.

W dokumencie tym przemilczał sprawę egzekucji dóbr królewskich tłumacząc senatorom i posłom polskim, że panowie litewscy opierają się unii „nie dla czego innego jeno dla egzekucji, której obawiają się, aby ich także nie ruszyła”. Sugerował też, by zostawić Litwinom zupełną odrębność państwową. Jedność dwu niezależnych państw miał zapewniać wspólny władca, król polski, i który otrzymywałby zarazem tytuł wielkiego księcia litewskiego. Wspólne sejmy miały być zwoływane co trzy lata, ale obok nich byłyby odrębne sejmy w Polsce i na Litwie, które rozpatrywałyby sprawy potoczne i sprawowały sądy. Opowiadał się za utrzymaniem wszystkich odrębnych urzędów wielkiego księstwa tłumacząc, że „to nie zawadzi nic wspólnej rzeczypospolitej”. Chciał tylko usunąć ze statutu litewskiego zakaz zabraniający Polakom nabywania dóbr na Litwie.

Drażliwą sprawę zrzeczenia się przez króla praw dziedzicznych do Litwy na rzecz Korony proponował zamienić na przekazanie tych praw „rzeczypospolitej obojgu państwa.”

Projekt Padniewskiego zdążył do zachowania jednej rzeczypospolitej przy istnieniu dwu niezależnych organizmów państwowych. Został zaakceptowany przez senat i przedłożony izbie poselskiej. Tu wywiązała się zaraz długa i burzliwa dyskusja. Posłowie oponowali przede wszystkim przeciw odrębności sejmów, które były główną

przyczyną „iżeśmy do tej unii przez tak długi czas nie przyszli”. W końcu projekt biskupa krakowskiego odrzucono, a Litwinom doniesiono, że podstawą dalszych pertraktacji mogą być tylko dawne przywileje unii. Oczywiście Litwini tej propozycji nie przyjęli.

Strapiony Padniewski wszelkimi siłami chciał ratować chociaż samą ideę porozumienia. Godził się, by przedłożony przez niego projekt poprawiono. Prosił, „co się wam zda ująć, ujmijcie, co przydać, przydajcie.”

Projekt został skorygowany i 9 lutego wydawało się, że przejdzie, gdyż zyskał większość w izbie poselskiej, ale dwa dni później spotkał się z twardym oporem postów krakowskich, którzy nie dopuścili do zgody. Biskup Padniewski, człowiek wielkiej cierpliwości, przystał na wprowadzenie do swojego projektu dalszych zmian. Postowie krakowscy zmiany wprowadzili.

Znowu zaproszono Litwinów na wspólne posiedzenie. Padniewski wygłosił do zebranych długie, kwieciste i płomienne przemówienie, które wzbudziło ogólny podziw, ale nie zdołało przełamać nagromadzonych oporów i uprzedzeń. Po tym wystąpieniu strona polska doręczyła panom litewskim „skript uniej przez ks. biskupa krakowskiego spisany, a przez posty ziemskie skorygowany.”

W skrypcie tym stanowczo stwierdzano, że sejm walny ma być „zawsze jeden, a nie różny”. Domagano się, by Polacy mogli dźierać na Litwie nie tylko dobra, ale i urzędy. Te same prawa przyznawano też Litwinom w Polsce

Wywołało to kontrprojekt litewski, według którego związek Polski z Litwą miał się ograniczyć tylko do unii personalnej osoby panującego i przymierza przeciw wrogom zewnętrznym. Kategoriecznie też przeciwstawiali się Litwini, by Polacy uzyskali dostęp do urzędów i godności litewskich. Z całą szczerością dowodzili, że gdyby do tego doszło, to „by w rychle naród litewski zatrzeć się musiał przez obfitość ludzi mądrych, godnych, w narodzie koronnym.”

Polacy jeszcze raz próbowali znaleźć jakąś płaszczyznę porozumienia. Zaprosili Litwinów znowu na wspólne posiedzenie. Biskup Padniewski w serdecznych słowach zachęcał Litwinów, by zechcieli przystąpić do układów na podstawie dawnych aktów. Dowodził, że nie mają powodów ich odrzucać, a zagrożeni ze strony Moskwy i Tatarów bardziej potrzebują unii aniżeli Polacy. Gorące apele biskupa zostały daremne. 19 lutego Litwini odpowiedzieli, że „żadnego przywileju nie chcą znać, okrom Kazimierza króla”. Znaczyło to, że zrywają wszelkie mosty wiodące do kompromisu i porozumienia. Niewiele już tu mógł zaradzić nawet przybyły z Rzymu legat papieski, którego przysłał ojciec święty,

Aby naszemu panu i wszystkim koronie, Był pomocen rozumem ku wszelkiej obronie.

W czasie tego impasu w rokowaniach zaczęli przybywać do Lublina zagraniczni postowie zainteresowani jak to się dogadują Polacy z Litwinami.

Od Maksymiliana cesarza wielkiego.
Postowie przyjechali miesiąca lutego.
To jest ksiądz Ohmiński biskup bogobojny,
Z nim Mareyan, poczet sług społem mając strojny.
Łańcuchy się świeciły, świeciły klejnoty,

Dość w nich było powagi, dosyć i ochoty.

Król ze swą radą podejmując cesarskich posłów w komnatach zamkowych musiał nadrabiać miną, by nie zdradzić, że związek Korony i Litwy jest mocno zagrożony. Wkrótce zapowiedziano przybycie dalszych delegacji i tak:

*Od króla też szwedzkiego, szwagra królewskiego,
Przyniósł poseł nowinę królowania jego.
[...]
Pomorskich książąt posły teżeśmy widzieli.
Którzy swe poruczenia radzie powiedzieli.*

Były to raczej kurtuazyjne wizyty i nie należało się posłami tymi zbyt troszczyć. Kiedy jednak zapowiedziano przybycie poselstwa tureckiego, trzeba było je otoczyć szczególną opieką.

*Tureckiego cesarza poseł też przyjechał,
I brali im Bech Strasz, ale zaś prędko odjechał.
Przeciw jemu wyjeździł Potocki z Drojczyńskim,
Pan Łaszcz, Strasz też brat jego z Adamem Balińskim.
Wjechał z kilka Turczynów. w zawojach, w kiwiorzech.
Naszych niemało z nimi. lecz w dziwnych ubiorzech.*

Nie wiadomo w czym się zaznaczała ta dziwność ubiorów. Zapewne panowie polscy chcieli dorównać, a może nawet i przewyższyć jaskrawością i bogactwem strojów egzotycznych gości. To wprowadziło w podziw i oglądających ten wjazd zgromadzonych na lubelskich ulicach senatorów, posłów, nie mówiąc już o otaczających ich szlacheckich chudopachołkach, wśród których wytrzeszczał swe zdumione oczy i Jan Ponetowski. Turkom, chociaż zamierzali wkrótce odjechać, należało okazać nie tylko nie uchybiającą ich władcy gościnność, ale przede wszystkim zatroszczyć się, by zbyt wiele nie dotarło do nich sejmowych informacji. W tym celu naznaczono im „przystawa pilnego Pana Woronieckiego z dworu królewskiego”.

Podobną, a może nawet troskliwszą opieką należało otoczyć gońca kniazia moskiewskiego.

*Temu przystawił dano pana Broniewskiego,
Rozkazując, aby go miał pod czujną strażą.
Bo się więc tacy barzo dziwnych rzeczy ważą.*

Kiedy należycie podjęci i ugoszczeni posłowie obcych władców opuścili już Lublin, senatorowie zwrócili się do króla, by swym autorytetem wpłynął na rozwiązanie toczącego się sporu.

W sobotę 26 lutego król obiecał, że każe Litwinom stawić się na posiedzenie i jak w przyszłym sejmie wspólnym panowie rady litewskiej zasiądą z senatem koronnym, a posłowie z posłami polskimi. Na tym wspólnym posiedzeniu król miał zająć zdecydowane stanowisko w sprawie unii. Senatorowie układali już mowy przekonujące Litwinów o korzyściach płynących z odnowienia i umocnienia dawnych

porozumień. Wszystko odbywało się w tajemnicy, by Litwinów nie spłoszyć. Oni jednak dowiedzieli się o zamierzeniach króla i strony polskiej.

W poniedziałek, 28 lutego, donieśli posłom koronnym, że nie zamierzają przybyć na wspólne obrady. Niektórzy zaczęli się nawet rozjeżdżać. Król próbował jeszcze znaleźć jakąś drogę wyjścia z tej beznadziejnej sytuacji. Rozpoczął pertraktować z przywódcami Litwinów. Zaprosił do siebie na rozmowę Radziwiłła, Chodkiewicza i kniazia Wasyla Ostrońskiego. Oświadczyli oni wysłańcom królewskim, że przyjdą, ale tylko po to, aby bez Polaków rozmówić się w sprawach prywatnych.

W tym czasie któryś z posłów krakowskich podpiwszy sobie wykrzykiwał w gospodzie, że król miał pertraktować z Litwinami, winien ich siłą sprowadzić na salę obrad i zmusić do porozumienia. Wieść o tym rozniosła się bardzo szybko. Oburzeni Litwini uznali to za oficjalne stanowisko wszystkich Polaków. Na spotkaniu z przedstawicielami panów litewskich król musiał zaprzeczać tym pogłoskom. Zapewnił ich, że nikt nie zamierza gwałtem sprowadzać Litwinów do dalszych obrad. Zapewnienia te ich wcale nie uspokoiły. Zmówili się i następnego dnia, to jest 1 marca, w zawierusze nocnej, pod sam ranek, niemal wszyscy, nie pożegnawszy się z królem opuścili Lublin.

Pozostali tylko Wołowicz i podskarbi Naruszewicz, którzy zajmowali się techniczną stroną rokowań polsko-litewskich. Jan Chodkiewicz, którego król tak niedawno obdarował żmudzkimi dobrami, nadesłał z drogi ubolewanie za to, co się zdarzyło.

Ta potajemna ucieczka Litwinów wzburzyła Polaków i rozsierdziła króla. Cała bowiem jego dotychczasowa praca poszła na marne. Natychmiast kazał zwołać posiedzenie senatu i izby poselskiej. Rozpoczęły się burzliwe obrady. Posłowie domagali się, by nie zwracać uwagi na stronę litewską, wyegzekwować postanowienia poprzednich porozumień i włączyć siłą Litwę do Korony. Bardziej umiarkowani ostrzegali, że może to doprowadzić do wojny domowej.

Ktoś wpadł tymczasem na inny pomysł. Postulował, by wobec niemożliwości doprowadzenia do unii z Litwą załatwić wlokącą się od dawna sprawę sporną przynależności Wołynia i Podlasia. Polacy rościli sobie do tych ziem pretensje ale, by nie zadrażniać strony litewskiej, unikano na ten temat dyskusji. Teraz nadarzała się dobra okazja. Litwinów nie było i nie miał kto protestować. Szybko więc podjęto jednostronną decyzję o wcieleniu Podlasia i Wołynia do Korony. Przemawiający dowodzili, iż jest to ponadto doskonały nacisk na opornych Litwinów. „Nie minie kilka miesięcy - mówili - a Litwini sami będą prosili o podpisanie unii”. Opracowano i przegłosowano stosowne dokumenty. Pozostających jeszcze w Lublinie kilku senatorów i posłów tych ziem wezwano do złożenia przysięgi na wierność

Kosiński i Bujno z wdzięcznością zgodzili się na włączenie Podlasia. Prosilili jeno o zabezpieczenie ich przed represjami Litwinów. Jedyne Wołynianin, książę Wasyl Ostroński, wprowadził króla o swej uległości, ale od przybycia do rady koronnej wymówił się chorobą. Dwa dni później potajemnie wyjechał z Lublina wysyłając z drogi listy zapewniające Litwinów o swej z nimi solidarności. Kosiński i Bujno stawili się w sejmie. Tu przyjęto ich z owacjami.

5 marca przystąpiono do zredagowania urzędowych aktów, na mocy których miano formalnie ogłosić wcielenie Podlasia i Wołynia do Korony. Dokumenty te

zapewniały wszystkie prawa i wolności królestwa polskiego, a także zabezpieczały od egzekucji dóbr. By uprzedzić ewentualne protesty Litwinów, długo nawet nad przedstawionymi sejmowi dokumentami nie dyskutowano. Już 8 marca zatwierdzono uniwersały. Opracowano też stosowne pisma i mandaty do urzędników i do rodów możnowładczych zasiadających w sejmie litewskim z wezwaniem, aby wszyscy senatorowie i posłowie pod karą utraty swoich godności przybyli na sejm lubelski i złożyli przysięgę wierności królowi i Koronie. Podano ostateczne terminy składania przysięgi. Podlasianie mieli się stawić do 27 marca, a Wołynianie do 3 kwietnia.

Zaniepokojeni tymi zarządzeniami pozostający ciągle jeszcze w Lublinie dwaj panowie litewscy, Naruszewicz i Wołowicz, próbowali zaproponować Polakom rokowania. Polacy pewni już swego donieśli im, że są srodze urażeni wyjazdem Litwinów i nie chcą z nimi rozmawiać. Zwrócili się więc do króla prosząc, by zaniechał odłączania Wołynia i Podlasia od Litwy. Urażony król też ich z niczym odprawił.

14 marca mandaty i uniwersały o przyłączeniu obydwu ziem do Korony zostały obwołane w Lublinie. Wieść o tym lotem błyskawicy dotarła na Litwę, Panowie litewscy pod surowymi groźbami zabronili Podlasianom poddawać się Koronie. Niektórzy nawoływali do zbrojnej obrony przyłączonych ziem. Do Lublina docierały pogłoski, że Litwini zamierzają nawet wejść w sojusze z Tatarami i najechać ziemie koronne. Żadnych jednak przygotowań do wojny nie było. Zlekceważono te plotki i w świątecznym nastroju przygotowywano się do zapowiadanych nowych widowiskowych atrakcji, gdyż:

*Legnickie też na ten sejm księżę przyjechało,
I swój poczci chędogi wszystkim pokazało.
Z poczcziwością, go ludzi prowadziło wiele,
Bo z królem sobie naszym wielcy przyjaciele,
Iwu też młodych tam że dwu królowi darował,
By się tym upominkiem więcej mu zachował,
Które stąd do Krakowa na zamek posłano,
I tam im mocne kraty wnet pobudowano.*

Król rad był z tego niecodziennego upominku. Młode lwy zhardziły jego miękką naturę. Postanowił z pełną konsekwencją wyegzekwować wszystkie podjęte postanowienia. Gawiedź miejską, senatorów i posłów straszono teraz tylko na rynku lubelskim pokazami.

*Smoka wywnętrzonego z dalekiej krainy,
(Którego) przywieziono za wielkie nowiny.
Kto żywego nie widział lecz malowanego.
Musiał być przestraszony dla srogości jego.*

Nie tylko straszego smoka tu pokazywano, ale pełno było po gospodach grajków, na ulicach linoskoków, kuglarzy i wagantów gotowych za parę groszy przedstawić swe umiejętności. Nie brakło i kupców z różnych stron i krajów zwabionych przebywaniem w Lublinie najmożniejszych i najbogatszych, otoczonych sługami i dworami polskich panów, a i tych licznych poselstw zagranicznych.

Każdego dnia rozkładali na rynku swoje kramy i zachwalali najprzeróżniejsze towary. Wychodzili z siebie, by dostojnym klientom dogodzić. Mieszczanie lubelscy też się przy okazji bogacili i wcale nie martwili się, że obrady sejmu nie zmierzają jeszcze ku końcowi.

Tymczasem zbliżały się wyznaczone przez króla terminy składania przysięgi, a tu z Podlasia zjawili się tylko deputaci miast, których wcale nie wzywano. W ostatniej chwili przyjechał do Lublina starosta drohicki, Mikołaj Kiszka, który złożył żadaną przysięgę. Z Wołynia nie pojawił się nikt. Niektórzy usprawiedliwiali się listownie wynajdując różne przyczyny niespełnienia rozkazu królewskiego. Dochodziły jednocześnie pocieszające wieści, że szlachta wołyńska po cichu Bogu dziękuje za przyłączenie do Korony, ale boi się panów litewskich.

20 marca Litwini zjechali się do Wilna i zaczęli radzić nad zaistniałą sytuacją. Teraz już wyraźną przewagę nad skrajną opozycją zyskało stronnictwo dążące do porozumienia z Polakami. Tłumaczyli oni, że „ostatek Litwy, pozostawiony sobie, znajdzie się wkrótce w paszczęce nieprzyjacielskiej Moskwy”. Panowie litewscy dochodzili do wniosku, że uczynili wielkie głupstwo salwując się ucieczką i zrywając unijne rozmowy. Hadko im było jednak wracać i prosić, by król raczył cofnąć zatwierdzone już uniwersały. Jedynie na co się zdobyli, to na ponowienie srogich zakazów, by Wołynianie i Podlasianie nie ważyli się składać przysięgi wierności. Groźby te początkowo nawet odniosły skutek. Oprócz Mikołaja Kiszki w oznaczonym terminie nikt się nie stawił w Lublinie do złożenia przysięgi.

I tym razem król okazał wyrozumiałość i przedłużył Podlasianom termin do 24 kwietnia, a Wołynianom do 14 maja. Jednocześnie wysłał posłów ze specjalnymi listami do szesnastoletniego księcia pruskiego Fryderyka Albrechta, by się stawił w Lublinie na 1 maja 1569 roku do złożenia lennego hołdu. Z Prus doniesiono, że książę zdoła dotrzeć nieco później. Oczywiście król wspaniałomyślnie przystał na tę niewielką zwłokę.

skłonni byli
cia, jako
o wyraźny opór i
n mocno
ne działania i
zcie swego
ewicza, na

Mikołaja Kiszkę, a kasztelana, Grzegorza Tryznę, na Adama Kosińskiego.

Zmiany te wywołały duże wrażenie. Zrozumiano, że król traci cierpliwość i gotów jest wobec opornych wyciągnąć zapowiadane konsekwencje. Kiedy jeszcze raz ogłoszono, że król łaskawie przedłuży termin do 14 maja, niemal cała szlachta bez oporu gromadami zjeżdżała do grodów i składała żadaną przysięgę na ręce komisarzy królewskich. Jedynie senatorowie ociągali się jeszcze z przyjazdem do Lublina, ale spodziewano się, że i oni z czasem zmiękną.

Teraz nawet nie zawracano sobie oporem ich głowy, bo lada dzień spodziewano się wiadomości o przybyciu pruskiego księcia. Należało go godnie i dostojnie powitać.

Niemal wszyscy senatorowie i posłowie, którym zbyt już dokuczyły twarde lawy i nuda przeciągających się obrad, postanowili wyjechać na spotkanie książęcego orszaku. Uformował się strojny, bogaty, tysiackonny poczet.

Ci k'niemu wyjechali wielmożni panowie,

Za nimi słudzy świetnie, by owo panowie.

Koronny i nadworny wprzód dwa marszałkowie,

Nie zeszło im na stroju, na sługach, na mowie.

Pan Firlej z Dąbrowice, to jeden koronny,

A pan Stanisław Barzy marszałek nadworny.

Książdz Wojciech Starorzebski zacny biskup chełmski.

Przy nim też pan Służowski wojewoda brzeski.

Włocławski wojewoda pan Jan z Krotoszyna,

Wojewoda pomorski Achacy on Cema.

Więc też Stanisław Kryski kasztelan nacięski,

I pan Kostka drugi. też kasztelan gdański.

Jan i Andrzej Tęczyńscy, oni komesowie,

Którzy tak żywią, jako ich sławni przodkowie.

Dalej wylicza Jan Ponętowski cały szereg przedstawicieli naj-sławniejszych i najzamożniejszych rodów polskich, którzy w poczcie tym byli, a więc: Jan, Mikołaj, Andrzej, Samuel i Krzysztof Zborowscy, Stanisław, Kasper, Prokop i Jan Maciejowscy, wojewodziecowie poznańscy Janusz i Jerzy Latalscy, Erazmus Dembiński, młody Boratyński, Jan Myszkowski, a nawet sam marszałek poselski Stanisław Czarnkowski, byli też „z radomskiego kraju oni Podludowscy”.

I inszych wyjeżdżało ozdobnie niemało,

Które tak długo pisać czasu nic stawało.

Wieść o hołdowniczym wjeździe księcia pruskiego rozniosła się daleko. Wielu ciekawskich specjalnie przybyło do Lublina, by uczestniczyć w niezwykłym wydarzeniu.

Wielkość tam ludu była, choć sprawy nic mieli,

Aby się jedno byli tego napatrzeni.

Jak lenny obyczaj nakazywał „do Lublina w żałobie Prusacy wjechali”. Ich czarne ubiory zdecydowanie odcinały się od kolorowych i bogato świecidłami, złotem, a także i drogimi kamieniami zdobionych strojów panów polskich. Niektórzy wjeżdżali do miasta z rozwiniętymi, trzepocącymi na wietrze rodowymi i ziemskimi znakami. Oj, było się czego napatrzyć i czemu nadziwować!

Książę zamieszkał w dużym drewnianym domu na przedmieściu krakowskim. 12 maja został oficjalnie przyjęty na zamku królewskim. W imieniu księcia przemówił dwornie i kwieście jego sekretarz Krzysztof Jonas. Mowa jego wzbudziła ogólny podziw i zachwyt, „za co pochwalon był”. Jonas prosił, by „król jegomość łaskawym być raczył opiekunem, na jego i wszystkim dom baczył.”

Na to przemówienie w imieniu króla krótko, ale dostojnie odpowiedział biskup Franciszek Krasiński, podkanclerzy koronny. Po tych powitalnych wystąpieniach

rozpoczęły się oficjalne rozmowy na temat terminu składania hołdu. Na wniosek strony pruskiej uroczystość odłożono do przyjazdu posłów elektora brandenburskiego. Strona polska też jeszcze nie była gotowa, gdyż z Krakowa nie powrócił Jan Herburt, kasztelan sandomierski, który wraz z towarzyszącymi mu osobami został wysłany po insygnia królewskie niezbędne do odbycia ceremonii hołdowniczej.

W tym samym dniu po rozmówieniu się z poselstwem pruskim odbyło się kolejne posiedzenie sejmu, na którym postulowano, by zapewnić skuteczniejszą władzę Korony nad Inflantami, a licząc na przychylność wojewody kijowskiego kniazia Konstantego Ostrogińskiego, postawiono wniosek o włączeniu Kijowszczyzny do Polski.

Kiedy 14 maja nikt z panów senatorów podlaskich nie stawił się w Lublinie, król jeszcze raz przystał na zwłokę jednego tygodnia przesuwając ostateczny termin składania przysięgi do niedzieli 22 maja. Wieść o zamiarze przyłączenia województwa kijowskiego poskutkowała. Już 19 maja zaczęło się liczniejsze zjeżdżanie panów z Podlasia i Wołynia, którzy gotowi byli złożyć przed sejmem uroczystą przysięgę. Polacy przyrzekli im wcześniej, że przyjmują ich jako równych z równymi do wszystkich wolności swych i „wszystkiego szczęścia i nieszczęścia” razem z nimi używać chcą.

Teraz już bez oporów jeden po drugim stawiali przed pełnym sejmem koronnym składając uroczystą przysięgę, iż: „od tego czasu i na potym wierny będę królowi jegomości polskiemu na ten czas i na potym będącemu i koronie polskiej [...] a nigdy się od niej i z potomstwem swym nie odrywać.”

Pewne obawy o zachowanie swoich praw i pozycji okazali kniaziowie ruscy. Zapewniono ich, że „domy książęce w zacności swej zachowane będą”. Po otrzymaniu tych przyrzeczeń w dniu 24 maja stawili się do przysięgi czterej najważniejsi kniaziowie Wołynia: wojewoda Czartoryski, Korecki, Wiśniowiecki i Ostrogski.

Ociągali się już teraz tylko panowie litewscy, którzy też mieli przysięgać ze swoich dóbr wołyńskich i podlaskich. Jako pierwszy przysiągł 26 maja ze swoich dóbr wcielonych do Korony podkanclerzy litewski Wołowicz, a 1 czerwca zjawił się w Lublinie sam Radziwiłł Sierotka i przysiągł ze swoich dóbr podlaskich. Pozostałym Litwinom ciągle się nie śpieszyło. Na dzień Zielonych Świątek, kiedy był wyznaczony ostateczny termin dla panów wielkiego księstwa, przybył tylko do Lublina starosta żmudzki, Jan Chodkiewicz, który zapewnił króla, że niebawem Litwini się zjawią.

Nie czekając na Litwinów obradowała izba poselska nad koniecznością wcielenia Kijowa do Korony. Argumentowano potrzebą zapewnienia tej ziemi skuteczniejszej obrony przed Moskwą i Tatarami. Spieszono się przy tym, by sprawę załatwić przed przyjazdem do Lublina panów litewskich, którzy gotowi byli protestować.

6 czerwca książę Konstanty Ostrogski złożył uroczystą przysięgę na wierność Koronie jako wojewoda kijowski. Oznaczało to I oficjalne włączenie Kijowszczyzny do Korony. Przedstawiciele wcielonych województw natychmiast zasiedli wśród panów i posłów koronnych.

Po przyjeździe do Lublina panowie-rada litewska mogli już tylko stwierdzić, iż „tak się rzeczy zawiodły, że też i najmędrszy Salomon trudno by już co poradzić mógł”. Polacy im dowodzili, że lepiej by wszystko poszło, gdyby nie ten niebacznym wyjazd z

Lublina przed trzema miesiącami. Opozycja litewska zrozumiała, że pozostała część księstwa litewskiego nie jest w stanie utrzymać się bez pomocy polskiej. Radziwiłł Rudy szacował, że siły zbrojne wielkiego księstwa zmalały o jakieś dziesięć tysięcy koni.

W tej sytuacji nie było się już jak dalej upierać, skoro i szlachta litewska usilnie domagała się zjednoczenia. Przedstawiciele jej przywieźli list wystosowany do króla. Donosili w nim, że wystąpią przeciw panom-rady, jeśli i tym razem nie przywieźli jej unii, którą już raz zaprzepaścili przez „niegodną ucieczkę”.

Ze swej strony napierali na króla posłowie koronni domagając się, by wyrzucić bardziej znaczącą presję na stronę litewską. Odpowiadając na to żądanie, król oświadczył w podniosłych słowach, że tak „wielkich rzeczy, które na wieki trwać mają”, nie godzi się przeprowadzać siłą.

Niektórzy z panów litewskich ciągle w żaden sposób nie mogli się pogodzić z myślą o unii. Jerzy Chodkiewicz oświadczył nawet, że woli nie dożyć tego dnia. Jakoż i pomarł w nocy z 5 na 6 czerwca tknięty apopleksją. Inni doszli już do przekonania, iż unii nie da się uniknąć. Chcieli tylko wynegocjować najkorzystniejsze dla siebie warunki. Przede wszystkim baczili, by nie utracić dawnych przywilejów i by ich dobra nie uległy egzekucji.

Król jednał obie strony przechodząc od jednego sejmku do drugiego. 26 czerwca sześć godzin uczestniczył w obradach, a w dniu następnym aż dziewięć, „aż mu do niezdrowia przyszło”.

Wysłętek króla nie poszedł na marne. We wtorek, 28 czerwca, doszło do porozumienia. Powiadomiony o tym monarcha chociaż dotkliwie cierpiący, jak gdyby odrodził się na duszy i ciele. Nazajutrz w dzień apostołów Piotra i Pawła był na dwu nabożeństwach w kościele zamkowym. Wysłuchał płomiennych kazań kaznodziei, którzy nawoływali, by Panu Bogu dziękować za pomyślność i zgodę obydwu narodów. Na zakończenie uroczystości sam król zaintonował dziękczynne „Te Deum”

Do senatu, gdzie był król, przybyli Litwini. Posłano natychmiast po posłów koronnych. Kiedy się wszyscy zebrali, długą i wzniosłą mowę wygłosił Jan Chodkiewicz, starosta żmudzki. Oświadczył, że Litwini godzą się na unię. Kończąc swe przemówienie padł na kolana i z wielkimi łzami prosił króla o sporządzenie stosownego aktu. Klękał też wszystka rada i posłowie litewscy. „Z naszych Polaków ledwie który był, któryby albo nie płakał, albo żalem wzruszon nie był, bo wielu panów radnych płakało”.

Na wzruszające przemówienie Chodkiewicza odpowiedział ksiądz biskup krakowski zapewniając Litwę, iż „do niczego innego wiemy jedno do braterstwa, miłości i wszelkiej poczciwości”. Przemówił też król szczerze wzruszony, że wreszcie po tak długich sporach i dohoworach wreszcie do jedności przyszło.

Na zatwierdzenie praw wyznaczono piątek pierwszego lipca. Najprzedniejsi pisarze królewscy przystąpili zaraz do kaligrafowania na pergaminie historycznych dokumentów. Sporządzono trzy teksty: jeden strony polskiej, drugi - litewski i odrębny królewski. W zasadniczej treści dokumenty się nie różniły, ale każdy miał mną dedykację. Akt strony polskiej wymieniał z imienia i nazwiska wszystkich stu czterdziestu senatorów i posłów koronnych, akt litewski - siedemdziesięciu siedmiu.

Akt Unii najpierw odczytał wielki kanclerz koronny zaczynający się tymi słowami:

„W imię Pańskie amen. Ku wiecznej pamięci sprawy niżej opisanej, my prałaci i panowie rada, tak duchowna jako świecka i posłowie ziemscy Korony polskiej, na tym walnym a z pany radami i posły i inszymi stany Wielkiego Księstwa litewskiego spólnym lubelskim sejmie będący...” Tu po kolei z imienia i nazwiska począwszy od prymasa arcybiskupa gnieźnieńskiego Jakuba Uchańskiego, wszystkich biskupów, wojewodów, kasztelanów i marszałków stanowiących senat, a także i wszystkich posłów ziemskich wyczytywał. Każdy podchodził i dostojnie swoją pieczęć przy dokumencie przywieszał.

Dokument Unii obejmuje aż dwadzieścia artykułów. Stwierdzono w nim między innymi: „Iż już Królestwo Polskie i Wielkie Księstwo Litewskie jest jedno nierozdzielne i nieróżne ciało, a także nieróżna, ale jedna spojona Rzeczpospolita, która się ze dwu państw i narodów w jeden lud zniosła i społa.

A temu obojemu narodowi żeby już wiecznymi czasy jedna głowa, jeden pan i jeden król spoiny rozkazał, który spólnymi głosy od Polaków i Litwy obran...”

W pozostałych artykułach zabezpieczono odrębność wielkiego księstwa litewskiego przez zachowanie jego tytułu i urzędów, a zarazem jego równorzędności wobec Korony gwarantujący wzajemne przestrzeganie i szanowanie przywilejów i wolności. Ustalono, że od czasu zaprzysiężenia unii będzie obradował już tylko wspólny sejm, w którym panowie litewscy zasiądą między polskimi, a posłowie między posłami. Stwierdzono, że wielkie księstwo pozostaje „przy tytule, dostojnościach i urzędzie wszystkich zacności stanów.”

Wspólna miała być obrona i polityka zagraniczna jak i wspólna moneta. Zniesiono wszystkie cła, a także ustawy litewskie zabraniające Polakom nabywania dóbr w wielkim księstwie. Ulegając żądaniom panów litewskich zapisano wyraźnie, że żadne konstytucje koronne „około dóbr” królewskich nie będą miały zastosowania na Litwie, gdzie wszystkie nadania hospodarskie „od zaczęcia Unii” pozostają nienaruszone i tylko na przyszłość dalsze rozdawanie królewszczyzn ustać ma”.

Nastąpiło wreszcie uroczyste zaprzysiężenie Unii. Po senacie koronnym przysięgała rada litewska, po posłach polskich - posłowie wielkiego księstwa. Wszyscy przysięgali według jednolicie opracowanej roty, o następującej treści:

„Ja (tu przysięgający wymieniał swoje imię i nazwisko) przysięgam Panu Bogu Wszchemogącemu, iż odtąd i na potomne czasy tę wszystką sprawę około unii albo zjednoczenia naszego spólnego ze wszystkimi stany i wszystkimi obywatelami Korony Polskiej (Litwini podawali Wielkiego Księstwa Litewskiego), jako jest w tych liściech a spisach naszych szerzej opisano, skutecznie i dostatecznie z potomstwem moim dzierżeć to i wypełniać we wszystkich punktach i artykułach, jako w tych to liściech szerzej są opisane, będę i wedle swej największej możliwości nie dopuszczę i każdy tego przestrzegać z potomstwem swym będę, aby ten nasz spoiny związek mocno a nienaruszenie na wieki trwał. Tak mi Pan Bóg pomóż w Trójcy jedyny i święta Ewangelia.”

Kiedy tak kolejno wszyscy senatorowie polscy i z rady litewskiej przysięgali, płacz się podniósł wielki senatu polskiego z dziękczynieniem Panu Bogu, że tego momentu dał doczekać. Wielki kanclerz koronny, który odczytywał rotę przysięgi z przygotowanej karty, porzucił ją płacząc. Dopiero marszałek wielki reszty dokonał.

Takoż i panów litewskich na ten czas ogarnęło wielkie wzruszenie.

Kiedy się wszystko nieco uspokoiło, w imieniu Litwinów przemówił Jan Chodkiewicz tymi słowami: „Nie list, nie pergamin, nie pieczęci, ale cnota i chuć ich miłości powinna do tego je zawsze wieść... aby w tym statecznie i na wieki trwali”. Króla zaś prosił nie tylko o potwierdzenie Unii, ale także o pieczę nad przyszłym losem szczęśliwie połączonych narodów.

Król uroczyście obiecał życzenie to spełnić. Po zakończeniu przysięgi wszyscy Polacy i Litwini na czele z królem mimo rześistego deszczu udali się do kościoła franciszkanów, gdzie znowu sam król na klęczkach zaintonował dziękczynne „Te Deum”. Po uroczystej mszy były wzajemne gratulacje i radość wielka z doprowadzonego z takim trudem do pomyślnego zakończenia dzieła. Wyrażano pragnienie aby „za wolą Bożą ta unia trwała do końca świata, ku Jego chwale i rozkwitowi Korony wraz z wszystkimi ziemiami, do niej przyłączonymi, ku skutecznej obronie przed wspólnymi wrogami chrześcijaństwa”.

Nie wszyscy jednak podzielali ogólny entuzjazm. Mikołaj Radziwiłł nazwał Unię „pogrzebem a zgładzeniem na wieczne czasy wolnej a udzielnej Rzeczypospolitej niegdy Wielkiego Księstwa Litewskiego.”

Po zaprzysiężeniu Unii sejm nie zakończył swoich obrad. Było jeszcze wiele spraw drobniejszych wymagających załatwienia. Należało też wreszcie zająć się spektakularną uroczystością polityczną o wymiarach międzynarodowych, którą miał być hołd młodego księcia Fryderyka Albrechta.

Przesuwano tę uroczystość z różnych powodów. Najpierw ze względu na nieobecność posłów elektora brandenburskiego, potem wszyscy byli zajęci ważniejszymi sprawami włączania Podlasia, Wołynia i Kijowszczyzny do Korony. Ledwie z tym się uporano, a już nadszedł czas na finalizowanie i zaprzysięganie Unii. Strona polska chciała, by książę składał hołd przed przedstawicielami zjednoczonej Rzeczypospolitej obojga narodów. Prusacy z kolei wysuwali trudności natury wyznaniowej.

Fryderyk Albrecht już drugi miesiąc czekał w Lublinie i miał prawo się niecierpliwić, a nawet uważać, że jest lekceważony. Wreszcie król wyznaczył termin składania hołdu na 18 lipca, rozpoczęły się natychmiast intensywne przygotowania.

Uroczystość miała być dostojna i widowiskowa. Chciano poprzez nią rozstawić i unaocznić potęgę jeszcze silniejszymi więzami zjednoczonej Rzeczypospolitej, a także wynieść ponad wewnętrzne spory i waśni majestat monarchy, który był gwarantem niedawno przypieczętowanej oficjalnie jedności. Należało też mocnym, zapadającym na długo w pamięci silnym akcentem zakończyć wlokące się już ponad pół roku sejmowe obrady i zatrzeć niezbyt miłe wspomnienia waśni Litwinów z Polakami. Panom i szlachcic ziem niedawno z tak wielkimi oporami przyłączonych do Korony chciano też dać satysfakcję i wzbudzić poczucie dumy, że mogą być częścią potężnej i wspaniałej, najjaśniejszej Rzeczypospolitej.

Nie szczędzono więc pieniędzy na jak najwspanialszą widowiskową oprawę hołdowniczej uroczystości. Przewidziano udział w niej tak wielkiej ilości ludzi, że żadna sala królewskiego zamku ani nawet największy lubelski kościół nie mógł ich pomieścić. Postanowiono więc urządzać wszystko na wolnym powietrzu. Stosownym ku temu okazał się obszerny nieco zabłocony plac przed Bramą Krakowską. Tu

zdecydowano wybudować „theatrum”, to jest wyniosłe podwyższenie, na którym miał stanąć tron królewski.

Podwyższenie musiało być wysokie, by z najodleglejszych krańców placu wszyscy mogli widzieć i podziwiać majestat królewski. Obszerne też miało być, by pomieścić obok tronu wszystkich panów-rady i najdostojniejszych gości. Na jego zbudowanie wydano aż 103 floreny. Należało je jeszcze należycie przyozdobić. Na ten cel zużyto 36 zwojów czerwonego sukna wrocławskiego za 216 florenów i 57 łokci sukna holenderskiego za 57 florenów.

Tron królewski stał pod baldachimem obszytym złotogłowiem i wschodnimi, najprzedniejszymi jedwabiami.

Majestat zbudowano ozdobny królowi,

Na przedmieściu lubelskim tu ku Krakowowi,

Od złotogłowu się lśnił, jedwab kwitnął wszędzie,

Kto widział, ustnie lepiej ten powiadać będzie.

Do „theatrum”, ustawionego na środku placu prowadziły z czterech stron długie i obszerne schody. Specjalny gankowy pomost łączył „theatrum” z garderobą królewską znajdującą się w jednym z przyległych domów.

Dokładnie przemyślana i w szczegółach wyreżyserowana uroczystość odbyła się, nie jak początkowo planowano 18, a 19 lipca. Gdy na zegarze wybiła czternasta, uformował się przed zamkiem królewski orszak.

Pochód otwierał idący pieszo syn wielkiego kanclerza, Walentego Dembńskiego, Erazm, który dzierżył w swej prawicy wykonany z białego adamaszku proporzec lenny. Proporzec był obszyty bogatymi zdobieniami. W jego środku widniał wyszyty czarny orzeł pruski ze lśniącymi złotem inicjałami polskiego króla. Chorągiew tę przygotowano na dworze królewskim, a kosztowała niebagatelną sumę 101 florenów i 11 groszy, była bowiem najważniejszym rekwizytem hołdowniczej uroczystości.

Za młodym Dembńskim postępowali dwaj marszałkowie dworu, a obok nich marszałek wielki koronny i marszałek wielki litewski. Dopiero za nimi jechał na swym myszkwatym koniu król Zygmunt August otoczony strażą przyboczną.

Kiedy orszak wyruszył spod zamku, uderzyli w bębny usadowieni na zachodniej bramie miejskiej dobosze i zagrali triumfalnie podniosłe i bojowe hejnały rozmieszczeni po basztach i na wieży farnej [rębacze. Podniosła się też zaraz wielka wrzawa oczekujących. Wszyscy wiwatowali na cześć króla i kroczących przed nim marszałków. Orszak zatrzymał się przed garderobą królewską, gdzie monarcha został przebrany w swe koronacyjne szaty i jak nakazywał ceremoniał koronacyjny, uformował się pochód dostojnie zmierzający w stronę „theatrum”.

Oto w zacnym ubierze i w złotej koronie

Siadł pomazaniec Boży na swym pańskim tronie.

Jabłko złote i złotą laskę w ręku mając,

A zakon Najwyższego na łonie trzymając.

Miecz przed nim srogi, ale złemu tylko srogi.

Niewinnemu na sercu nie uczyni trwogi.

*Z obu stron zacny Senat koronny, a wkoło
Sprawiony zastęp stoi i rycerstwa czoło.*

Tak widział Zygmunta Augusta jego sekretarz Jan Kochanowski, a Jan Ponętowski dodaje:

Z wielką pompą i książę tam przyprowadzili.

*Ludzi wielkość ze wszech stron za nim się tłoczyli.
W tym majestacie książę królowi ośdował,
I ojca swego ośdy pismem aprobował;
Przysiągł w państwie być wiernym panu i koronie,
Będzie pomocen zawždy w radzie i w obronie.*

Po złożeniu hołdowniczej przysięgi król pasował młodego księcia Fryderyka Albrechta na rycerza, na jego szyi zawiesił złoty łańcuch opatrzony królewskim medalionem i dopiero teraz wręczył hołdowniczą chorągiew. Tu znów należy odwołać się do świadectwa Jana Kochanowskiego:

Malowaniem proporzec takim ozdobiony

*Wziął natenczas od króla Olbrycht przereczony.
Zatym w trąby i w głośne bębny uderzono,
A zarazem i strzelbę ogromną puszczo.*

*Jako więc piorun trzaska w niepogodne czasy,
A niebo chmurne huczy i wzruszone lasy,
Łyskawice z obłoków czarnych wynikają,
A śmiertelne narody gromu się lękają:*

*Taki huk ustał natenczas; a kiedy król potym
Ruszył się z majestatu swego, w płaszczu złotym.
Ruszyli się z nim wszyscy. Tam, jako więc rany
Zefir na cichym morzu podnosi bałwany.*

*Na pierwszym słońca wschodzie, które póki czują
Łaskawy wiatr, leniwo naprzód postępują,
Potym za duższym duchem coraz gęstsze wstają.
A płynąc przeciw słońcu, daleko błyskają:*

*Tym kształtem ludzie wtenczas z miejsca się ruszali.
A ku swemu mieszkaniu społem pochodzali.
Ostatek dnia biesiady sobie przywłaszczyły
I tańce, i myśl dobra, i dźwięk lutnie miły.*

Jeszcze długo fetowano w Lublinie te niezwykłą i podniosłą uroczystość. Jej świadkowie opowiadali o niej swym dzieciom i wnukom. Poeci, rymopisy i kronikarze czuli się w obowiązku, by wszystko .ku wiecznej rzeczy pamięci dokładnie opisać. Chciano, by wieść o tym wydarzeniu rozniosła się szeroko po całym kraju i dotarła nawet poza granice Rzeczypospolitej. Jan Ponętowski radził nawet Lublinianom, by „na tym miejscu dziateczki karali (i w ten sposób) księcia pruskiego

ołd wspomiętywały.”

Po odprawieniu księcia pruskiego do domu sejm lubelski jeszcze niemal miesiąc kontynuował swoje obrady. Ustalono tu między innymi, że wspólne sejmy będą zwoływane odtąd do Warszawy. Była jeszcze do rozstrzygnięcia sprawa Inflant. Król zawezwał do Lublina panów inflanckich, by i oni przed sejmem ze swych ziem przysięgali. Nie było z ich strony żadnego oporu. Stawili się, jak im polecono i ósmego sierpnia złożyli przysięgę na wierność królowi i na unię polsko-litewską. Inflanty zachowano „przy obu państwach” a posłowie tych ziem zasiedli we wspólnym sejmie.

Ostatecznie izba poselska pożegnała króla 12 sierpnia. Zygmunt August zmęczony i schorowany opuszczał Lublin po przeszło siedmiu miesiącach trudnej i mozolnej pracy zapewne z poczuciem pełnej satysfakcji z dokonania najdonioślejszego dzieła swego życia. Lublinianie żegnając króla też mieli świadomość, że dokonały się w ich grodzie rzeczy niezwykle. By pamięć o tym zachować wybudowali z kamienia i cegły kolumnę czworoboczną wysokości dwunastu łokci. W kolumnie tej była nisza, w której stały dwa kamienne posągi. Po latach jedni twierdzili, że figury te przedstawiają Polskę i Litwę w przyjacielskim uścisku, inni, że Władysława Jagiełłę i królową Jadwigę. Kolumna ta stała na placu obok kościoła bonifratrów.

W roku 1820, gdy w tym miejscu formowano plac musztry, może nawet celowo zniszczono ten pomnik. Gdy się Stanisław Staszic o tym dowiedział, wymógł na namiestniku Józefie Zajączku jego odbudowę.

W roku 1826 postawiono na tym samym miejscu obelisk całkiem nowy. Wyższy od poprzedniego o dwa i pół łokcia, złożony z płyt żeliwnych 200 centnarów ważących. Ozdobiono go płaskorzeźbą przedstawiającą dwie ubrane w antyczne szaty alegoryczne niewieście postaci przedstawiające Koronę i Litwę. Wyciągają ku sobie w uścisku przyjacielskim złączone ręce. U ich stóp stoją dwie tarcze. Z lewej strony z orłem polskim, a z prawej z Pogonią litewską.

W roku 1972 pomnik został zgodnie z projektem Jadwigi Jamiołkowskiej poddany renowacji i od tej pory płaskorzeźba łśni w słońcu przypominając Polakom, a i coraz częściej odwiedzającym Lublin Litwinom, dawne złote Zygmuntowskie czasy.

Śmierć poety

Nie była to łatwa sprawa, z którą wyruszył Jan Kochanowski w ostatnią swoją podróż z Czarnolasu do Lublina. W trybunalskim grodzie bywał już nieraz. Zobaczył jego mury i strzeliste wieże po raz pierwszy chyba jeszcze w roku 1547, kiedy to ze starszym bratem, Piotrem i matką przyjechali, by odebrać od lubelskiego złotnika, Krajewskiego, pożyczoną mu przez zmarłego niedawno ojca sporą sumę pieniędzy.

Później już wielokroć bywał w Lublinie udając się a to na dwór wojewody lubelskiego Jana Firleja, który rezydował w Kocku, a to popasając w drodze do Królewca śpiesząc się na dwór księcia Albrechta, a to zatrzymując się, już sekretarzem królewskim będąc, wraz z dworem Najjaśniejszego Pana Zygmunta Augusta podążającego z Krakowa na Litwę.

Bywał też w leżącej pod Lublinem Dąbrowicy, gnieździe rodzinnym Firiejów. Trzeci z Firiejów, Andrzej, osiadł był na zamku w Janowcu. Z Andrzejem łączyła Kochanowskiego sąsiedzka przyjaźń. Poeta używał mu nawet sporych pieniężnych pożyczek.

Janowiec leżał niemal w połowie drogi między Czarnolasem i Lublinem. Mógł więc m Jan korzystać z gościny dążąc chociażby na sejm lubelski w roku 1566, czy trzy lata później, kiedy to na sejmie w Lublinie swarżono się z Litwinami o Unię, a szesnastoletni książę pruski Albrecht II Fryderyk składał Zygmunтови Augustowi wobec senatu i zgromadzonych tłumów uroczyście hołd. Pamięć o tamtych niezwykłych dniach odżywała zawsze, kiedy wybierał się do Lublina. Przypominał się przede wszystkim ten ostatek dnia, co to „biesiady sobie przywłaszczyły i tańce, i myśl dobra, i dźwięk kunie miły”.

Dawne biesiady za króla Zygmunta Augusta, niech odpoczywa w pokoju, przypominały się i teraz, ale nie było już tych dawnych dobrych kompanów, z którymi w licznych winiarniach, na dworach magnackich, a także i u bogatych mieszczan można się było przy dzbanie wina dobrze zabawić. W młodzieńczych lalach od tych beztróskich uciech przecie nie stronił. Rozochocony węgrzynem siedząc przy biesiadnym stole pokpiwał sobie z przyjaciół, a najbardziej z doktora Montana, który nie wiadomo w jakiej to krainie miał swe wsie: pierwszą, drugą, trzecią, czwartą, piątą, szóstą, siódmą, ósmą i dziewiątą - Jan był tylko w tej Dziesiątej, która: pod Lublinem.

Bezpowrotnie minęły już te beztróskie czasy. Kochanowski jechał do Lublina teraz srodze strapiony. Jechał, chociaż dla dziedzica czarnoleskiego czas to był na wojaże jak najbardziej niesposobny. Żniwa bowiem jeszcze się nie zakończyły, a i ze zdrowiem ostatnimi laty też już nie było najlepiej. Skarżył się nawet w liście do swego przyjaciela kanclerza Jana Zamoyskiego, który nalegał, by mu poeta dostarczał nowe utwory:

„I stękać mi W. M. nie dasz. Więc nie wiem, mam-li to od W. M. sobie za krzywdę brać. Ale jak chcesz mię W. M. na świecie mieć dłużej, proszę, nie każ mi W. M. teraz nic pisać.”

Zdrowie nie dopisywało, czas żniwa, upały, a do tego jeszcze żona Dorota

wymagała troskliwszej opieki, bo była w stanie odmiennym, ale jechać musiał. W innym czasie zapewne by się nie ociągał, bo i cóż to była za podróż? Przez Zwoleń, Janowiec, Kazimierz i Wąwolnicę zaledwie dwa, a przy marudzeniu trzy dni trwająca. Gdzie jej tam było równać się z młodzieńczymi wożaczami do północnego Królewca, albo do pełnej południowego słońca pięknej Italii, nie mówiąc już o dalekiej Francji.

Nie były to już teraz tamte lata i nie tamte czasy, kiedy pędziła go nienasycona ciekawość dalekich krajów, sławnych profesorów z włoskich uniwersytetów wykładających o dziejach, o wielkich i mężach i pisarzach starożytnych.

Teraz, gdy się przekroczyło pięćdziesiątkę, naoglądało dalekich krajów, nasyciło gwarem pańskich, książęcych i królewskich dworów, przyszedł czas zaznawania czarnoleskiego, wiejskiego spokoju. Dwór w Czarnolesie otoczony starymi lipami wśród łąk dojrzewających zbóż, w którym krzątała się młoda żona Dorota zatroskana pomnażającą się niemal każdego roku czeladką dzieci, w sąsiedztwie dobrych przyjaciół, a także w bliskości siedzących w okolicznych dworach braci, można by nazwać krainą szczęśliwości, gdyby spokoju tego nie zakłócał pojawiający się tu nieoczekiwanie anioł śmierci.

Najpierw w 1547 roku odszedł ojciec, dziesięć lat później - matka. Jan przebywając w tym czasie we Włoszech nie był nawet na jej pogrzebie, ale gdy dotarła do niego smutna wiadomość, zaraz wrócił do domu. Rodzicom swym pochowanym w zwoleńskim kościele ufundował pamiątkową tablicę.

Kiedy już po młodzieńczych wędrówkach po świecie na stałe osiadł i zadomowił się w Czarnolesie, nadeszła nowa smutna wiadomość o śmierci najstarszego brata, Kaspra, który jak ojciec troszczył się po śmierci rodziców o wychowanie i wykształcenie młodszego rodzeństwa. Kasper, burgrabia grodzki i pisarz ziemi sandomierskiej, odszedł dożywszy swoich lat godnie ciesząc się ogólnym szacunkiem szlachty i możnych panów z całej okolicy. Licznie leż zaszczytliwi oni jego pogrzeb. Jan przygotował na tę okazję specjalną mowę i tymi słowami do zebranych przemówił:

„A my więc teraz za tym niefortunnym terazniejszym przypadkiem naszym czujemy, co to jest żal. Abowiem straciliśmy w domu swoim tego, jakiego drugiego (prawda się znać musi) nie mamy.

A straciliśmy nie tak brata jako właśnie ojca. Bo po zeszciu rodziców naszych, mając on nie tylko laty, ale i rozumem przed inszą bracią, wszystkie trudności nasze wspólne, które więc po zmarłym ojcu na dzieci pospólnie przypadają, wziął był na swoje pieczę i tak się nimi sprawował, żeśmy za pilnością jego żadnego uszczerbku w sprawiedliwości swej nie wzięli...”

Świadomość godnego spełnienia żywota przez zacnego członka rodu skłaniała nie tyle do rozpamiętywania doznanej przez jego śmierć boleści, co raczej do dumy z szacunku u współczesnych, a także z możliwości przekazania w chwale dokonanego żywota do naśladowania potomnym. Takim antenatem ród mógł się szczycić i chlubić przez następne pokolenia.

"Ale nam podobno teraz - mówił dalej Jan - więcej trzeba na taką rzecz się zdobywać, która by żal szybko leczył, jeśliby-to można rzecz była, niżli jątrzyć i szerzyć mogła. Jakoż nie pomału się stąd cieszymy, że przy tej ostatniej posłudze brata naszego W. M. tak wiele i tak zacnych osób widzimy. Bo nie lada to znak jest

łaski W. M. przeciwko niemu. Kiedybyście W. M. komu żywemu tę uczciwość czynili, mogłoby się jakokolwiek zdać, że to z nadzieją przypodobania jakiego abo więcej oddania czynicie.

Ale czynić to umarłemu k'woli, który tego oddać już nie może, żadnej wątpliwości już nie mamy, że to W. M. z uprzejmej i prawej chęci przeciwko niemu czynicie, dając to nie tylko nam braciej i powinowatym jego znać, ale wszystkim ludziom wobec, że uczciwe zachowanie brata naszego nie umarło z nim po społu, ale żywie w sercach W. M. cnotliwych ludzi. A to jest on owoc wiary, cnoty i godności jego, z którego my, powinowaci, cieszyć się nie po mału mamy, a potomstwo jego przykład brać może, aby ojcowskim strychem się sprawując, do tegoż zachowania i do tejsze dobrej sławy przyjść kiedy mogli."

Dobra sława miała być nagrodą zacnego na ziemi żywota. O taką dobrą sławę zabiegał od wczesnej młodości szwagier i ulubieniec poety, Jakub Podlodoski. Jak Kochanowski, tak i on, lata swoje młodzieńcze spędził na dworze marszałka wielkiego koronnego, Jana Firleja. Za jego 10 pośrednictwem został w Lublinie w dniu 11 czerwca 1566 roku przyjęty w poczet dworzan Zygmunta Augusta. Tu dzięki niezwykłym zaletom charakteru, mimo dziewiętnastoletniej różnicy wieku, zyskał przyjaźń królewskiego sekretarza - Jana Kochanowskiego.

Po wstąpieniu na tron Stefana Batorego korzystając z wstawiennictwa kanclerza Jana Zamoyskiego, a może i za dobrym słowem przyszłego swego szwagra, został przyjęty do służby na dworze królewskim. Wkrótce uzyskał godność podkoniuszego. Zastąpił też jako mąż rycerski biorąc udział przy boku króla w jego kampaniach wojennych. Znalazł się w okrytym bojową chwałą oddziale dworzan dowodzonych przez Hieronima Filipowskiego. Na polu bitwy znacznie się wyróżnił, nie żałując nawet upustu własnej krwi, kiedy to w boju został ranny. Król ze swej łaskawości nagrodił jego rycerskie zasługi przyznając mu roczną pensję 100 florenów, płatnych z dochodów starostwa stężyckiego.

Przyjaźń Jakuba Podlodoskiego z Janem Kochanowskim przekształciła się wkrótce w bliskie powinowactwo. W roku 1576 poeta pojął za żonę siostrę swego przyjaciela, Dorotę, córkę nieżyjącego już Stanisława Lupy Podlodoskiego z Przytyka, herbu Janina.

Po ożenku Jan osiadł w Czarnolesie, a jego pełen młodzieńczego i rycerskiego temperamentu szwagier pozostawał w służbie na dworze królewskim ciesząc się coraz większym zaufaniem kanclerza i samego monarchy. W roku 1577 został wysłany do Turcji w celu zakupu koni do stajen królewskich. Przy okazji, jako poseł króla przekazał listy i upominki Mahmedowi paszy. Z poselstwa tego wywiązał się znakomicie. Wielki wezyr przyrzekł nie tylko powstrzymać Turków od ataku na Polskę, ale do 12 zakupionych przez Podlodoskiego koni dodał jeszcze jednego w upominku dla króla. Znaczyło to, że Turcja pragnie pozostawać z Polską w pokoju i przyjaźni.

Na pokoju z Turcją Batoremu bardzo zależało, gdyż ciągle jeszcze spłacał długi zaciągnięte na kampanię moskiewską. Nie znaczyło to wcale, że król nie nosił wobec grożącej całemu chrześcijaństwu potęgi muzułmańskiej głęboko skrytych wojennych zamiarów.

Po zwycięskiej bitwie morskiej pod Lepanto, w której Turcy stracili niemal całą

swoją wojenną flotę, w świecie chrześcijańskim zrodziła się nadzieja ostatecznego pokonania potęgi tureckiej. Rzym usilnie dążył do zmontowania przeciw Turkom ligi państw chrześcijańskich. W lidze tej Rzeczpospolita miała odgrywać główną rolę, a Stefan Batory poprowadzić zjednoczone armie do zwycięskiej rozprawy. Królowi odpowiadało to słuszne wyróżnienie tym bardziej, że zależało mu na oswobodzeniu spod jarzma tureckiego Węgier. Skłonny był do przystąpienia do ligi, ale pod warunkiem czynnego udziału cesarstwa i pozostałych państw; chrześcijańskich w zamierzonej batalii. Znał bowiem wielką siłę przeciwnika, na którą nie mógł nierozważnie wystawiać losów Rzeczypospolitej.

W aktualnej sytuacji politycznej o pokój z Turcją należało zabiegać, gdyż był ciągle zagrożony przez Kozaków organizujących na pogranicze tureckie łupieżcze wyprawy. Rzeczpospolita za tych niesfornych i nieokiełzanych swoich poddanych musiała przed Turcją odpowiadać.

Właśnie na początku 1583 roku ledwie zapobiegł takiej nowej wyprawie Janusz Mikołaj Zbaraski, wojewoda braclawski, który wyprawiających się na Mołdawię Kozaków pod wodzą Emanuela zawrócił do domu. Sytuacja na pograniczu była ciągle napięta., Należało się spodziewać, że Turcy nie będą czekali beczynnie na nowy najazd. Mogli nawet uprzedzając atak Kozaków podjąć wojenną wyprawę. Król z hetmanem musieli więc być dobrze poinformowani o zamierzeniach groźnego sąsiada. W tym celu powierzyli Podlodowskiemu nową, ale znacznie trudniejszą od poprzedniej turecką misję.

Wysłali go znowu niby po zakup do stajni królewskich rasowych arabskich koni, ale w rzeczy samej podkoniuszy miał zbierać wiadomości o ruchach i uzbrojeniu wojsk tureckich. Podlodowski jako mąż dzielny i nie unikający ryzykownych zadań, przystał na przedstawioną mu propozycję.

Wraz ze swymi towarzyszami dotarł do Stambułu czternastego kwietnia 1583 roku. Spotkał się tam z posłem królewskim Marcinem Lubomirskim. Rzeczpospolita starała się bowiem utrzymywać z Turcją poprawne stosunki dyplomatyczne. Lubomirski, jako oficjalny poseł, nie mógł się zajmować zbieraniem wiadomości wojskowych, Podlodowski wysłany zaś przez króla w oficjalnej misji handlowej, miał w tym względzie większe pole działania.

Już 5 maja wysłał do kanclerza Jana Zamoyskiego napisany po łacinie list, w którym dokładnie informował o stanie liczebnym i o ruchach wojsk tureckich. Jeżdżąc po stadninach i targach Anatolii niespiesznie dobijał targów. Nie uszło jednak uwagi Turków, że szlaki kupieckie Podlodowskiego w dziwny sposób krzyżują się z przemarszami wojsk sułtańskich powracających z perskiej wyprawy. Czujność Turków wzmogła się jeszcze bardziej w czerwcu po zorganizowanej za namową braci Krzysztofa i banity Samuela Zborowskich nowej kozackiej wyprawie.

Kozacy zburzyli koło Perekopu drewniany zamek Jahorlik, a w drodze powrotnej podeszli pod Tehinię, siedzibę sandżakbeja. Niespodziewanie zaatakowali miasto, spalili je, a mieszkańców w okrutny sposób wymordowali. Z wielkim łupem, z ponad dwudziestoma zdobytymi działami w triumfalnym pochodzie wracali do domu.

Wiadomość o krwawej wyprawie w równej mierze rozgniewała sułtana jak i Stefana Batorego. Król, któremu niedawno udało się z wielkim trudem zapobiec

wojnie z popieranymi przez sułtana Tatarami, rozkazał ścigać Kozaków, odbierać im zdobyczną broń, a w szczególności działa. Pochodzących z plebsu Kozaków łapać i wtrącać do więzienia, a o biorącej udział w wyprawie szlachcie pilnie rozpytywać, aby przed sądem sejmowym można było pociągnąć winnych do odpowiedzialności.

W Stambule zaś na wieść o okrucieństwach Kozaków zawrzało. Sułtan rozkazał zbroić wojska, a beglarbegowi Grecji polecił, by zbliżył się ku granicom Rzeczypospolitej. Wieść o tym, może nawet przesłana przez Podlodowskiego, dotarła do Polski. W każdej chwili na pograniczu spodziewano się tureckiego ataku. We Lwowie poprawiano spiesznie mury miasta przygotowując się do oblężenia i w miarę możliwości powstrzymania tureckiej nawały.

Zgromadzone na granicy siły tureckie zwielokrotniała plotka. Potwierdzały ją wiadomości przywiezione, może nawet specjalnie przez Turków poinformowanych kupców weneckich, Rudasta i Succanallego, którzy drugiego września 1583 roku dotarli do Kamieńca. Opowiadali, że wojska tureckie w sile czterdziestu, a może nawet pięćdziesięciu tysięcy przekroczyły Dunaj i kierują się w stronę polskiej granicy. Wiadomości te powtórzyli bracia Batista i Andrzej Fraegorowie. W rzeczy samej beglarbeg Grecji posiadał niespełna dziesięć tysięcy żołnierzy i z takimi siłami zapewne nie odważyłby się naruszyć granic Rzeczypospolitej.

W tak niepewnej i napiętej sytuacji zdecydował się podkoniuszy królewski po pięciu miesiącach pobytu w Turcji wraz ze stadem zakupionych koni i z najświeższymi wiadomościami powracać do kraju. Wracał nie sam. Towarzyszyło mu trzydziestu czterech ludzi zdolnych nie tylko do pilnowania zakupionych koni, ale w razie potrzeby do zbrojnej obrony. Oddziałek był dostatecznie silny, by opędzić się przed atakiem zbójów, czy żądnych łupów rabusiów.

Podlodowski bez przeszkód opuścił Stambuł kierując się w stronę polskiej granicy. W drodze nie był przez nikogo niepokojony. Turcy jednak nie mieli zamiaru wypuszczać ze swych granic w przededniu zbrojnego konfliktu polskiego szpiega, chociaż strzegł go immunitet poselski. Podkoniuszy wraz ze swymi ludźmi spokojnie dotarł w okolice Adriunopola. Tu rozkazał rozbić na noc obóz. Konie pasły się w stepie. Kilku koniuchów czuwało przy nich, paru pilnowało śpiącego obozu przy rozpalonym ognisku.

Kiedy zapadły już zupełne ciemności, nagle na koniuchów i ludzi pilnujących obozu rzucili się znienacka zbrojni w kindżały jacyś złoczyńcy. Napadnięci nie zdołali nawet krzykiem zaalarmować odpoczywających. Zgraja rzuciła się na obóz i we śnie jak baranów wyrznęli wszystkich. Nikt z Polaków nie zdołał ująć z życiem.

Napastnicy zabrali konie i zagarnęli cały dobytek. Podlodowskiego podobno uprowadzili do lasu i tam go zamordowali.

Wieść o śmierci podkoniuszego królewskiego i jego ludzi dotarła do kraju dopiero w listopadzie. Nieco wcześniej wyruszył do Stambułu wysłany w poselstwie przez Stefana Batorego Piotr Słostowski. Miał on zapewnić sułtana o chęci utrzymania przez Polskę pokoju i załagodzić sprawę niedawnego napadu Kozaków. Już w drodze specjalny goniec królewski przekazał mu wiadomość o zabójstwie Podlodowskiego polecając podnieść tę sprawę w rozmowie z sułtanem i zażądać ukarania winnych.

Na dworze królewskim czekano z niecierpliwością na wieści od Słostowskiego, ale

te nie nadchodziły. Zaczęto nawet podejrzewać, że spotkał go los Podlódowskiego. Dopiero w marcu 1584 roku i dotarła od pośta królewskiego pierwsza pomyslna wiadomość. Słostowski donosił, że sułtan skłónny jest do utrzymania pokoju, fale pod warunkiem, że król ukarze Kozaków w obecności umyślnie wysłanego czausza i wyda zagarnięte przez nich działa. Obiecał te¿ zająć się sprawą zabójstwa Podlódowskiego, a winnych oddać i w ręce Polaków. Słostowski wrócił w kwietniu, a za nim przybył do ..Grodna, gdzie rezydował własnle ze swoim dworem Stefan Batory, Iczausz Mustafa, który miał dopilnować wykonania uzgodnionych warunków układu. Mustafa przywiózł ze sobą kilku łotrzyków, którzy mieli stanąć przed sądem królewskim i odpowiadać za zabójstwo Podlódowskiego i jego ludzi. Rychło wydało się, że przywiezieni przez Mustafę łotrzykowie nie mieli nic wspólnego z napadem, ale za inne przestępstwa skazani byli na karę śmierci. Nie mogli nawet zeznawać, bo wszystkim pouciano języki.

Mustafa wyjaśnił, że Podlódowski zawinił przyglądając się zbyt uważnie wojskom tureckim. Informacja ta wyraźnie wskazywała, że władze tureckie dobrze wiedziały o spełnianej przez Podlódowskiego wywiadowniczej misji. Jednocześnie potwierdzały przypuszczenie, że napad został zorganizowany z polecenia sułtana. Sułtan jednak usprawiedliwiał się, że zabójstwa dokonali zbójcy bez jego przyzwolenia.

Oświadczenie to należało przyjąć za akt dobrej woli i chęć utrzymania dobrych stosunków z Polską. Chociaż nikt nie wierzył sułtańskiemu oświadczeniu, musiano przyjąć to dyplomatyczne kłamstwo za dobrą monetę. Rozjątrzenie sprawy Podlódowskiego mogło bowiem doprowadzić do zerwania z lak wielkim trudem zażegnanego niebezpieczeństwa. W imię wyższych racji stanu incydent Podlódowskiego puszczono w niepamięć.

Z takim rozwiązaniem nie chciała się pogodzić szlachecka opinia publiczna. Na sejmikach głośzono, że haniebna śmierć Podlódowskiego jest obelgą wyrządzoną monarsze i narodowi. Podsycali to stanowisko zwolennicy ligi. Wieść o zabójstwie Podlódowskiego dotarła nawet do stolicy apostolskiej. Wspomniał o niej papież podczas audiencji udzielonej 24 stycznia 1584 roku Stanisławowi Reszce.

Tymczasem król z kanclerzem dążyli do spełnienia wszystkich żądań stawianych przez sułtana. W obecności czausza Mustafy ścięto i to bez zgody sejmu trzydziestu schwytanych Kozaków. Oddano zdobyte przez nich działa. Mustafa mógł je później wwieźć w sposób triumfalny do Stambułu. Ponadto na polecenie kanclerza Jana Zamoyskiego schwytano w granicach jego starostwa banitę Samuela Zborowskiego, który obciążony był nie tylko zbrodnią zabójstwa Bernarda Wapowskiego, ale także za jego namową Kozacy urządzili ostatnią na Turcję wyprawę, co już było zbrodnią przeciw Rzeczypospolitej. Pośrednio Samuel przyczynił się te¿ do śmierci Jakuba Podlódowskiego. Mówiono bowiem, że Turcy zemścili się na Podlódowskim za wyprawę kozacką.

Tymczasem Samuel Zborowski szastał się po całym kraju drwiąc sobie z dobrych obyczajów i obowiązującego w Rzeczypospolitej prawa. Dopuszczał się nowych gwałtów. Napadł na szlachcica weneckiego Caudiano, którego rozbroiwszy kazał osmarować miodem i zmusił do spotkania z rozjuszonym niedźwiedziem. Potem wyćwiczył go jeszcze różgami i wypuścił. Zasadzał się te¿ na gościńcach podmiejskich i porywał przejeżdżające kobiety. Na ulicach Krakowa schwytał

dominikanina i przypawił go o barbarzyńskie kalectwo.

Wyraźnie też prowokował Jana Zamoyskiego, który nie tylko piastował dwa najwyższe urzędy, wielkiego kanclerza i hetmana, ale był jeszcze starostą krakowskim, który miał obowiązek na terenie swej jurysdykcji ścigać banitów.

Jechał właśnie Zamoyski z Knyszyna do Krakowa na roki grodzkie, a Samuel począł się za nim wieszać, tak urządzając popasy, że czasem tylko o pół mili od Zamoyskiego rozkładał się taborem. Przechwalał się przy tym, że razem z nim wjedzie do Krakowa. Kanclerz naigrywania te cierpliwie znosił, ale gdy stanął w Proszowicach, gdzie się zaczynała jego starościńska jurysdykcja, nakazał schwytać Samuela. Ujęto go w Piekarach, w domu jego siostrzenicy, Włodkowej, u której zatrzymał się na nocleg. Pod strażą przewieziono banitę do Krakowa i uwięziono. Przeprowadzono śledztwo, z którego wynikało, że był on w dużej mierze kierowany ku zbrodniczym czynom przez swoich braci Krzysztofa i Andrzeja, ale i sam miał na swym sumieniu dostatecznie wiele zbrodni zagrożonych karą gardła. Po nadejściu przyzwolenia od króla, w dniu 26 maja 1584 roku z rana w Krakowie Samuel został ścięty. Ciało jego wydano krewnym.

Po śmierci Samuela jęki i żale Zborowskich napełniły całą Polskę. Krzyczeli oni, że dopuszczono się na zacnym szlachcicu niesłychanego okrucieństwa. Podnoszono, że został porwany przez zbrojnych siepaczy w nocy z obrazą nietykalności szlacheckiego domu.

Andrzej Zborowski kazał woźnym ogłosić na rynku krakowskim, że brat jego zginął niewinnie. Przy wyprowadzaniu zwłok Samuela z miasta miał u Bramy Floriańskiej mowę, w której przedstawił kanclerza jako tyrana. Puszczono leż plotkę, że Samuela zabito na ofiarę Turkom. Mówiono, że Zamoyski naigrawał się ze skazańca szydząc: „Samuelu! A tuś mi, już dasz gardło!” Kiedy prowadzono skazańca pod miecz katowski Zamoyski niby miał się opamiętać i wołać po trzykroć: „Panie Zborowski! Odpuść mi, że cię każę ściąć!” i Samuel odpuścił mu na ziemi, ale pozwał przed sąd Najwyższego. Poza tym Zborowscy starali się dowieść, że banicja ich brata bez infamii była cywilna i Zamoyski nie miał prawa go karać. Sprawę zawleczono później nawet przed trybunał lubelski. Sowiec opłaceni deputaci trybunału zganili Zamoyskiego za ścięcie Samuela.

Wrzawa i lamenty Zborowskich nie mogły przysłonić ich zbrodniczych poczynań. Król posiadał listy Krzysztofa świadczące o jego zdradzieckich knowaniach. Miał je przedstawić senatowi na zwołanej do Lublina na dzień 20 sierpnia konwokacji. Zamierzał bowiem Zborowskich pozwać przed sąd sejmowy. Zborowscy ze swej strony podjęli starania, by nie dopuścić do zaplanowanego zjazdu senatorów. Rozsyłali listy prosząc i nalegając, by nie jechali do Lublina. Wysłali leż list do króla, w którym oczerniali kanclerza, a nawet wyrzucali królowi, że wydzwignął z błota tego człowieka, a słuchając we wszystkim jego szkodliwych podszeptów, odstręcza od siebie ludzi zacnych i zasłużonych.

Wszystkie te poczynania Zborowskich nie odniosły oczekiwanych rezultatów. Króla zuchwały list srodze rozsierdził, a przeciwnicy Zborowskich oraz senatorowie, których umysły nie zostały zaćmione lamentami i szalbierstwami Zborowskich, przybywali do Lublina.

Śpieszył i Jan Kochanowski na ten zjazd, by wstawić się u króla w sprawie swego

szwagra Jakuba Podlodowskiego. Upływał już niemal rok, a rodzina zmarłego nie otrzymała jeszcze ani moralnej, ani materialnej satysfakcji. Król powinien był przecie zatroszczyć się o przywrócenie honoru i dobrego imienia podkoniuszemu, który oddał swoje młode życie w służbie Rzeczypospolitej. Do wyjazdu przynaglała rodzina i znajomi zmarłego. Jan miał dawne dobre kontakty z królewskim dworem i łączyła go przecie przyjaźń z wielkim kanclerzem i hetmanem. Tylko on mógł te sprawę najlepiej u króla załatwić.

Jechał więc Jan Kochanowski do Lublina, by spełnić wobec zmarłego moralny obowiązek. Nie był jednak zorientowany w sprawach wielkiej polityki, na której ołtarzu w imię utrzymania z Turcją pokoju została już złożona krwawa ofiara Jakuba. Kochanowski jechał z przekonaniem o słuszności moralnej powierzonej mu do załatwienia sprawy. Skoro Zborowscy tak wielkie larum podnosili po śmierci zgodnie z prawem skazanego banity starając się wybielić go w oczach współczesnych i potomnych, to Podlodowski miał ku temu niepodważalne niczym prawo.

Moralną satysfakcją byłoby jednoznaczne wyjaśnienie okoliczności śmierci Jakuba, ukaranie prawdziwych sprawców zbrodni, sprowadzenie zwłok do kraju i urządzenie godnego chrześcijańskiego pogrzebu, na którym wobec zacnych i dostojnych mężów podniesionoby zasługi zmarłego, a także uczczono ofiarę jego niewinnej krwi złożonej w służbie kanclerza, króla i Rzeczypospolitej. Takie postępowanie przywróciłoby i utrwaliło sławę i dobre imię Jakuba Podlodowskiego wśród współczesnych i potomnych. Pamiętamy, jak Kochanowski na tę dobrą sławę zwracał szczególną uwagę na pogrzebie swego brata Kaspra.

Jechał więc poeta z trudną misją do Lublina. Od Janowca zapewne w towarzystwie Andrzeja Firleja, który należał jak i jego bracia do przeciwników rodu Zborowskich. Na przychylność Firlejów Kochanowski mógł liczyć, ale zależało mu jeszcze na zjednaniu innych senatorów, a przede wszystkim samego kanclerza. Z tego powodu, należy przypuszczać, że przybył do trybunalskiego grodu na kilka dni przed wyznaczonym terminem konwokacji. Kiedy przyjechał, dokładnie nie wiadomo.

Króla jeszcze w Lublinie nie było. Miał przybyć dopiero dziewiętnastego sierpnia na dzień przed wyznaczonym terminem obrad. Senatorowie ściągali znacznie wcześniej, by wymienić między sobą poglądy i uzgodnić stanowiska. Ze względu na knowania Zborowskich wcześniej też zjechał do Lublina Jan Zamoyski. Chciał zapewne wy badać jakie są nastroje wśród senatorów i na ilu zwolenników mogą liczyć Zborowscy.

Nie wiadomo, czy doszło do spotkania Kochanowskiego z Zamoyskim. Wszystko jednak wskazuje, że rozmowa poety z kanclerzem została przeprowadzona. Można się nawet domyślać jaki mogła mieć przebieg, Kochanowski zapewne prosił Zamoyskiego o informacje dotyczące stanowiska króla wobec sprawy Podlodowskiego, by w czasie posłuchania użyć stosownych i skutecznych argumentów.

W zasadzie sprawa była zupełnie czysta i jasna. Jakub Podlodowski zginął jako oficjalny przedstawiciel króla. Dopuszczono się na nim haniebną zbrodni z pogwałceniem praw międzynarodowych. Nie tylko więc na rodzinie, ale na kanclerzu i królu spoczywał moralny obowiązek przywrócenia czci i dobrego imienia zmarłemu, który oddał swoje życie w służbie Rzeczypospolitej.

Zamoyski zapewne nie kwestionował przedstawionych przez poetę racji, ale ukazał mu drugą, polityczną stronę wydarzenia. Może dopiero w trakcie rozmowy z kanclerzem dowiedział się Kochanowski, że Jakub Podlodowski oprócz misji handlowej wykonywał zadania wywiadowcze. Działalność tę prowadził niezbyt ostrożnie dekonspirując się wobec Turków. Nieostrożność stała się bezpośrednią przyczyną jego śmierci. Gdyby król rozjątrzył sprawę Podlodowskiego, jak chcieli tego zwolennicy ligi, niechybnie doprowadziłoby to do wybuchu wojny. Wojna, do której Rzeczypospolita nie była przygotowana, pochłonęłaby wiele ofiar, a nawet stanowiłaby poważne zagrożenie dla całej ojczyzny. Unikając zbrojnego konfliktu król zmuszony był przyjąć wykrętne tłumaczenie Turków. Na płaszczyźnie politycznej sprawa została definitywnie załatwiona i nie należało już do niej powracać.

A zadośćuczynienie moralne? To też już stawało się niemożliwe. Po upływie roku nie można już było sprowadzić zwłok Podlodowskiego. Nie wiadomo nawet gdzie go pochowano, a może nawet bez pochówku pozostawiono w lesie na pożarcie dzikich zwierzy i drapieżnego ptactwa. Gdyby nawet zażądano od Turków odszukania i wydania pozostałych szczątków, to i tak nie byłoby pewności, że należały do Jakuba Podlodowskiego. W tej sytuacji urządzenie uroczystego chrześcijańskiego pogrzebu byłoby ponownym uwłaczaniem czci i pamięci dobrego imienia zmarłego.

U króla można się było jedynie upomnieć o pokrycie długów Jakuba, jeśli takie zostawił. Na inny rodzaj satysfakcji rodzina nie mogła liczyć. Podlodowski był bowiem jeszcze kawalerem, więc uposażenie wdowy czy dzieci nie wchodziło w rachubę. Brat i siostry zmarłego siedzący na własnych włościach, nie mieli prawnych podstaw, by upominać się o materialne odszkodowanie. Obstawanie przy swych domniemanych szkodach byłoby tylko żerowaniem na śmierci krewnego. O to Kochanowski jako człowiek dobrze obznajomiony z przepisami prawa, a przede wszystkim o dużym poczuciu moralnej wrażliwości, nie mógł się ubiegać.

Po rozmowie z kanclerzem poeta zapewne zrozumiał, że nie powinien prosić o posłuchanie u króla. Spotkanie z monarchą niczego nie mogło już zmienić. Pozostał tylko wielki ból i poczucie bezradności. Dla przywrócenia dobrego imienia swego szwagra i przyjaciela nic nie mógł uczynić. Przepętniało go uczucie wielkiej moralnej krzywdy. Podlodowski znalazł się bowiem w znacznie gorszej sytuacji aniżeli ścięty na mocy prawa zbrodniarz i banita Samuel Zborowski. O przywrócenie jego czci upominała się z wielkim hałasem cała rodzina. Zborowskich popierało duże grono przyjaciół i zwolenników. O krzywdzie Podlodowskiego, człowieka bez skazy, w imię wyższych racji politycznych należało milczeć.

Zgnębiony, z poczuciem niespełnionego obowiązku, obciążony świadomością moralnej krzywdy i winy, wrócił poeta do wynajętej w Rynku u Macieja Oczki gospody. Tu jeszcze raz próbował rozważyć cały splot związanych z osobą Jakuba Podlodowskiego okoliczności. Jeszcze raz z goryczą uświadamiał sobie beznadziejność i bezskuteczność swojej misji. Zbyt ciężkim kamieniem spadło to wszystko na jego chore serce, które nie mogło tego zdzierżyć.

Zasłabł.

Czy jego życie zostało natychmiast przerwane, czy poeta jeszcze kilka dni pozostawał w śmiertelnej agonii, jak utrzymują niektórzy biografowie - nie wiadomo.

Przyjaciele i poeci, którzy byli świadkami tego wydarzenia, zdobyli się wprawdzie na wielki wysiłek pisząc pełne żałości długie wierszowane utwory, ale nie pozostawili prostej relacji o śmierci najwybitniejszego polskiego renesansowego poety. Nie znamy więc nawet dokładnej daty śmierci Kochanowskiego. Według zachowanych, sprzecznych dokumentów, dopadła go w Lublinie w tygodniu między 16, a 22 sierpnia 1584 roku.

Najwcześniejszą datę zgonu podaje na karcie tytułowej „Żalów nagrobnych” Sebastian Klonowic. Według tego zapisu, „ślachetnie urodzony Jan Kochanowski, wojski sandomierski etc, Polak zacny, szlachcic dzielny i poeta wdzięczny, z niemałym smutkiem wszech zacnych Polaków postąpił w Lublinie roku pańskiego 1584 dnia 16 miesiąca sierpnia.”

Data ta nie zgadza się z wyrytą na tablicy nagrobnej Kochanowskiego w Zwoleniu, gdzie podano dzień 22 sierpnia. Za wcześniejszą niż 22 sierpnia datą śmierci przemawia świadectwo Andrzeja Trzecienkiego, który napisał po łacinie wiersz „Trenodia na pogrzebie przesławnego męża, pana Jana Kochanowskiego, wojskiego sandomierskiego, najznakomitszego poety polskiego”. Wiersz ten został opatrzony notatką informującą, że powstał w Lublinie, 1584 roku, dnia 20 sierpnia. Czyżby i ten naoczny świadek się mylił?

Żadne źródło nie podaje, że poeta zmarł w czasie postuchania u króla. Wszystko skazuje na to, że do spotkania poety ze Stefanem Batorym w Lublinie nie doszło. Mógł więc umrzeć po rozmowie z Janem Zamoyskim. A może został „rażony apopleksją” jeszcze przed spotkaniem z kanclerzem? Może śmierć nie była skutkiem doznanego szoku? Może miała przebieg zwykły i tak banalny, że świadkowie nie uznali za stosowne, by moment opisać i przekazać relację potomnym? Niespodziewana śmierć przerwała życie poety wiążąc je na stałe z Lublinem. Pamięć o tym wydarzeniu utrwały przez wieki kolejne pokolenia.

W roku 1929 lublinianie postanowili wystawić poecie pomnik, „by w ten sposób zaznaczyć, że Lublin, który za czasów Kochanowskiego był jednym z bardziej żywych ognisk polskiej kultury, pamięta o tej swojej świetnej przeszłości i ma ambicję podtrzymania tych tradycji.” Spośród najznakomitszego grona miejscowych obywateli wybrano wówczas Komitet Budowy. Prezesem Komitetu został dr Zygmunt Kukulski profesor Uniwersytetu Lubelskiego.

Nie były to łatwe czasy dla biednego lubelskiego społeczeństwa, ale podjęto ten wysiłek, by złożyć hołd poecie na zbliżającą się czterechsetną rocznicę jego urodzin. W Bibliotece im. Hieronima Łopacińskiego zachowała się dokumentacja tego społecznego wysiłku, a w niej wruszające wykazy i listy ofiarodawców. Najwięcej było wśród nich dzieci ze szkół przekazujących po pięć, sześć, dziesięć, a w wyjątkowych wypadkach nawet po dwadzieścia groszy z ubogich oszczędności. Dzięki nim pomnik, dzieło profesora Franciszka Strynkiewicza, został odsłonięty w dniu 27 września 1931 roku przed budynkiem Trybunału w Rynku Starego Miasta. Pomnik przetrwał na tym miejscu do lat okupacji, kiedy to Niemcy rozkazali pracownikom służb komunalnych go usunąć. Wykonano to polecenie w swoisty, konspiracyjny sposób. W pobliżu wykopano dół, w którym złożono rozmontowane elementy. Miejsce zasypano ziemią i zabrukowano.

Przetrwiał w tym ukryciu do 1952 roku, kiedy został wydobyty i przeniesiony na skwer obok kościoła Matki Boskiej Zwycięskiej. Kościół ten mógł Kochanowski w czasie swoich pobytów odwiedzać, gdyż został ufundowany jeszcze przez Władysława Jagiełłę. I tak przeszłość przypomina się ciągle w murach starego Lublina „dając znać wszystkim ludziom wobec, że uczciwe zachowanie poety naszego nie umarło z nim po społu, ale żywię w sercach naszych. A to jest on owoc wiary, cnoty i godności jego, z którego my potomni, cieszyć się nie pomału mamy, a potomstwo nasze przykład brać może, aby dawnym strychem się sprawując, do tejże dobrej sławy przyjść kiedy mogli.”

Poeta - burmistrz

W długich dziejach Lublina tylko raz się zdarzyło, że burmistrzem został poeta, i to poeta, który zajął trwałe miejsce w dziejach polskiej literatury - Mowa o Sebastianie Fabianie Konowiczu - Klonowicu, bo i tak niektórzy pisali jego nazwisko, a on sam, tłumacząc je na łacinę, podpisywał się jako Acernus.

Nie był rodowitym lublinianinem, ale spędził tu ponad trzydzieści lat bardzo aktywnego, twórczego i burzliwego żywota. Urodził się około 1545 roku w Sulmierzycach niedaleko Kalisza. Był synem znakomitego Jana Acerna-Klona, dzierżawcy gruntu i młyna i ucziwej Anny Pielrzałkówny (Pielrzakówny). Gdy miał kilka, może kilkanaście lat, zmarł jego ojciec, a matka wyszła po raz drugi za mąż.

Do Lublina przybył około 1570 roku, wkrótce po zakończeniu obrad sławnego sejmku, na którym podpisano akt unii Korony i Litwy. Był już dojrzałym, dobrze wykształconym, pełnym energii i ambicji młodym mężczyzną. Znał i posługiwał się swobodnie w mowie i piśmie obydwoma starożytnymi językami: łaciną i greką. Znał język niemiecki i niezłe był też obeznany z przepisami prawa.

Nie zachowały się informacje, gdzie się kształcił. Można się jedynie domyślać, że dość wcześnie ujawnił nieprzeciętne zdolności i pasję zdobywania wiedzy. Nie wiadomo jakich miał nauczycieli i protektorów. Wiadomo tylko, że po ukończeniu nauki w miejscowych szkołach udał się w celu zdobywania gruntowniejszego wykształcenia do innych miast i ziem.

Na podstawie biografii i legendy o Klonowicu pisano opowiadania, dramaty i powieści. Jego nazwisko znajdziemy w każdym pod ręcznik u polskiej literatury. O życiu i twórczości poety napisano cały szereg rozpraw i prac naukowych. Wśród nich na szczególne wyróżnienie zasługuje książka Haliny Wiśniewskiej: „Renesansowe życie i dzieło Sebastiana Fabiana Klonowica”, z której między innymi korzystał autor tej opowieści .

Niektórzy twierdzili, że studiował w Akademii Krakowskiej, ale nie potwierdziły tego skrupulatnie przebadane dokumenty. Jednak na akademickie wykształcenie wskazywałyby zasób posiadanych wiadomości. Żadnego jednak naukowego cenzusu chyba nie zdobył, gdyż nigdy nie dopisał przy swoim nazwisku tytułu bakałarza, magistra albo doktora, chociaż zasób posiadanej erudycji do tego go upoważniał.

Przed dotarciem do Lublina zapewne przez szereg lat, jak to było w ówczesnym zwyczaju, wędrował odwiedzając różne miasta i znane naukowe ośrodki. Podobno zawędrował na Węgry, do Czech i Moraw, na Ruś Czerwoną i do Lwowa, co po latach zaowocowało łacińskim poematem „Roxolania”

Do Lublina zapewne przyciągnęła go szeroko znana sława tego miasta i nadzieja zrobienia tu życiowej kariery. Może zachęcali go też mieszkający tu już wcześniej kuzyni i krewni?

Jakich mogli użyć argumentów? Przede wszystkim, że już od stu lat odbywały się w Lublinie sławne nie tylko w kraju jarmarki. Na ich organizowanie dał przywilej w roku 1448 Kazimierz Jagiellończyk. W ciągu roku było ich cztery: dwa szesnastodniowe na

święto Matki Boskiej Gromnicznej i Zielone Świątki i dwa ośmiodniowe: na dzień Niepokalanego Poczęcia Najświętszej Marii Panny i na Szymona Judy Tadeusza.

Na jarmarki te ściągali kupcy krajowi i obcy. Z Anglii i Flandrii przywożono sukna, z Niemiec i Śląska płótna, z Persji i Turcji tkaniny jedwabne i kobierce, korzenie i przyprawy ze Wschodu, futra, skóry i wosk z Litwy i Nowogrodu, wina z Węgier, Hiszpanii i Grecji, stada wołów przypędzano z Wołoszczyzny i Wołynia.

Na handlu bogacili się miejscowi kupcy. Wokół rynku budowali wspaniałe kamienice, w których zakładali sklepy, a wokół ratusza stawiali kramnice. Prowadzący transakcje handlowe z innymi miastami potrzebowali do pomocy ludzi mądrych i świątłych, którzy umieli załatwiać różne handlowe i majątkowe interesy.

W Lublinie można było spotkać ludzi dobrze wykształconych. Bywali tu znani pisarze i poeci. Pamiętano Biernata z Lublina, częstym gościem był Mikołaj Rej, odwiedzał Lublin znakomity Jan Kochanowski. Jadący z Krakowa do Wilna zatrzymywali się tu na czas dłuższy kolejni królowie. Królowi towarzyszył liczny dwór, sekretarze i urzędnicy.

Na wieść o przybyciu dworu królewskiego zjeżdżała okoliczna szlachta, ciągnęła i arystokracja pragnąca u króla załatwić własne sprawy i interesy. Gwarno i huczno było w takich czasach i w mieście, i okolicznych dworach.

Chociaż w Lublinie było znacznie więcej możliwości zrobienia życiowej kariery aniżeli w innych mniejszych i mniej ruchliwych i zasobnych miastach, to startować młodemu mieszczaninowi, który przybywał z obcych stron i to bez dobrze wypchanego trzosa nie było łatwo.

Zasiedziała od pokoleń miejska arystokracja pilnie strzegła urzędów i godności, które przynosiły oprócz splendoru wielkie majątkowe korzyści. Nabycie obywatelstwa miasta leż nie było łatwe. Ubiegać się o jego przyznanie mógł tylko właściciel odpowiedniego majątku i miejskiej nieruchomości.

Dwudziestopięcioletni Sebastian przybył do Lublina zapewne z niezbyt wypchanym, a może nawet z zupełnie pustym mieszkaniem. Mieszek zastępowała mu tylko pełna wiedzy głowa i wykraczająca ponad przeciętność ambicja.

Nie wiadomo czym się zajmował przez pierwsze cztery lata. Można się tylko domyślać, że służył u jakiegoś zamożnego kupca, może na zamku u lubelskiego starosty, może sam miał się drobnego handlu. Na pewno nie próżnował. Wykorzystywał każdą okazję, by dać się poznać jako człowiek dobrze wykształcony, stateczny i godzien zaufania. Nawiązywał znajomości i przyjaźnie ze znaczącymi w mieście osobistościami. Łączyła go serdeczna przyjaźń z pisarzem miejskim Adamem Wojsławskim. Po jego śmierci w 1574 roku rada miasta powierzyła mu to odpowiedzialne i zaszczytne, chociaż niezbyt wysoko płatne stanowisko. Rajcy lubelscy nie byli bowiem skłonni hojnie wynagradzać z kasy miejskiej swoich urzędników. Wiedzieli, że poza skromną pensją będą mieli okazję w inny sposób pomnażać swoje dochody.

Stanowisko pisarza miejskiego otwierało drogę do robienia dalszej życiowej kariery. Na co dzień kontaktował się z rajcami, wójtem i burmistrzem. Poznawał urzędowe tajemnice, układy personalne, zasady i mechanizmy funkcjonowania

zarządu. Załatwiał sprawy majątkowe miejskich patrycjuszy.

Już wówczas mógł w skrytości marzyć, by dołączyć w przyszłości do ich grona.

Zdawał sobie zapewne sprawę, jak to jeszcze trudna i daleka droga.

Przede wszystkim należało zdobyć odpowiedni majątek, a następnie ubiegać się o obywatelstwo miasta. Posiadając obywatelstwo można już było zabiegać o zdobywanie coraz wyższych godności miejskich.

Może ze względu na wyższe uposażenie i możliwość odbycia praktyki prawniczej objął po roku niższe hierarchicznie stanowisko pisarza ławniczego i wójtowskiego. Do urzędu wójtowskiego należało miejskie sądownictwo.

Jako pisarz wójtowski nie tylko kontaktował się z siedmioma ławnikami, ale w czasie nieobecności drugiego ławnika z urzędu uczestniczył w załatwianiu ławniczych spraw. Z obowiązków swoich wywiązywał się bardzo solidnie. Zyskał szacunek i zaufanie wszystkich. Szczególną życzliwością i przyjaźnią obdarzył go ławnik i miejski wagowy Jan Wiślicki. Wiślicki był bogatym kupcem. Posiadał okazałą, stojącą naprzeciwko ratusza piętrową kamienicę. Obiecał Acernusowi oddać za żonę swoją córkę.

Ożenić się z córką bogatego, zasiedziałego z dziada pradziada mieszczanina, było poważnym sukcesem i kolejnym krokiem na drodze rozpoczętej już kariery.

Przed urządzeniem córce hucznego wesela Wiślicki poważnie zachorował, a spodziewając się rychłej śmierci, w dniu piątym września 1580 roku spisał testament, w którym wyznaczył Acernusa opiekunem swego majątku.

Instytucja opiekuna została wprowadzona w prawie polskim do zabezpieczenia interesów osieroconych nieletnich dzieci i wdów, które jako kobiety nie dysponowały osobowością prawną. Najczęściej na opiekunów wyznaczano członków bliższej lub dalszej rodziny, gdyż obcy opiekunowie często przy zarządzaniu powierzonym majątkiem troszczyli się tylko o własne interesy.

Przy sporządzaniu testamentu Wiślicki znacznie większym zaufaniem obdarzył Klonowica, swego przyszłego zięcia, aniżeli męża swojej starszej córki. Na egzekutorów testamentu wyznaczył Sebastiana Konopnicę i rajcę Macieja Jeżowicza.

Po śmierci Wiślickiego Sebastian miał się zaopiekować żoną zmarłego, Małgorzatą, której testator w dożywocie przekazywał prawo do czwartej części kamienicy (jeśli nie wyjdzie za mąż), trzysta złotych tytułem wiana i spadku. Klonowic miał się też opiekować swoją narzeczoną, Agnieszką, i jej młodszym bratem, Michałem.

Wkrótce po spisaniu testamentu Wiślicki zmarł. W spadku pozostawił duży majątek, w którego skład wchodziła nie tylko okazała kamienica i mieszczące się w niej sklepy, ale uprawiane poza murami miasta ogrody, wozy, konie, klejnoty, szaty, różne domowe sprzęty i spora suma pieniędzy.

Niezadługo po śmierci Wiślickiego, Acernus ożenił się z Agnieszką i stał się nie tylko opiekunem, ale i współwłaścicielem pokaźnej fortuny. Wkrótce jednak okazało się, że do połowy odziedziczonej kamienicy rości sobie prawo siostra zmarłego, Elżbieta, zakonnica, pozostająca w klasztorze brygidek. Poza tym na kamienicy ciążył trzystuzłotowy dług, którego wierzycielem był powroźnik, Piotr Czernicki. Wiślicki zobowiązał też spadkobierców do świadczeń na rzecz mansjonarzy lubelskiej fary.

Jak widać, wraz z majątkiem odziedziczył Acernus sporo zobowiązań i wynikających z nich kłopotów. Przede wszystkim, jak to często bywa, najwięcej strapienie i złej krwi przysporzyła mu swarliwa, krewka i lekkomyślna teściowa. Wiślicki przekazał jej w dożywotnie użytkowanie czwartą część kamienicy, ale nic określił dokładnie, które przypadają jej pomieszczenia. To natychmiast wywołało konflikt.

Po wielu sporach i pertraktacjach doszło do podziału użytkowanej nieruchomości. Małgorzata otrzymała wielką izbę znajdującą się na parterze, wielką piwnicę z ziemianką i prawo do użytkowania kuchni. Sebastian z żoną odziedziczył sklep w sieni wraz z piwnicami i izdebkę na górze.

Podzielono też ogrody i szczegółowo ustalono, kto i w jakiej wysokości ma spłacać długi, dokonywać napraw kamienicy i płacić podatki. Odkonano to nawet bez większych awantur.

Gwałtowny spór wybuchł między teściową a zięciem przy podziale ruchomości: złota, srebra, pieniędzy, towarów, szat, koni, wozów i domowych sprzętów, które Wiślicka uważała za swoją wyłączną własność i je lekkomyślnie trwoniła. Za trzydzieści talarów sprzedała Bartoszowi Niemskiemu i jego żonie Dorocie ogród, do którego nie miała żadnego prawa.

Ta samowola teściowej zmusiła Sebastiana do wniesienia sprawy do sądu. Prosił, by na mocy prawa zabroniono Wiślickiej wtrącania się do zarządzania majątkiem. Poza tym domagał się, by sąd usankcjonował usunięcie teściowej z domu, gdyż poprzez ciągłe wywoływanie awantur przynosi wstyd rodzinie, a nawet nastaje na życie swego zięcia, jego żony, a swej córki, Agnieszki. Z kolei Małgorzata skarżyła się na cierpienia i „karania”, których doświadcza ze strony Sebastiana. Nie tylko wyrzucił ją z domu, ale nawet jej służkę, która przyszła po pozostawione rzeczy, niesłusznie pokarał.

Sąd wójtowski dobrze znając awanturnicze usposobienie Małgorzaty, nie uwzględnił jej skargi. Ta zwróciła się z apelacją do i króla. Król uległ lamentom i skargom „pokrzywdzonej” i wydał korzystny dla niej wyrok. Klonowicz pod wspólny dach już jej nie wpuścił.

Pozbywszy się z domu swarliwej teściowej, mógł się wreszcie z zająć poważniej twórczością literacką. Przygodnie już wcześniej w tym względzie używał swego pióra. Zwyczajem bowiem było, że pisarze miejscy na początku każdego roku w prowadzonych przez siebie księgach wypisywali jakieś łacińskie sentencje albo życzenia. Klonowicz układał z nich własne cztero- lub sześciolinijkowe wiersze.

Będąc naocznym świadkiem opisał w księdze miejskiej pożar miasta, który wybuchł w nocy z siódmego na ósmego maja 1571 roku.

Według relacji Acernusa, pożar pojawił się na ulicy Grodzkiej. Spowodowała go Jadwiga zwana Kotaczniczką, która piekła placki na sprzedaż. Pożar natychmiast rozprzestrzenił się na sąsiednie kamienice, gdyż na skutek panującej suszy dachy były bardzo wyschnięte.

W bardzo krótkim czasie pożar ogarnął prawie całe miasto. „Spłonęły także bramy miejskie. Na oczach naszych - pisał - paliła się od wewnątrz i zewnątrz wieża, wznosząca się nad bramą zwaną Krakowską. Upadła razem ze wspaniałym zegarem,

z pięknymi zabudowaniami, gankami, balustradami, schodami, strażnicami i pomieszczeniami dla straży i trębaczy, którzy dźwiękiem trąb ogłaszają każdą godzinę. Uległ zniszczeniu również jej piękny szczyt w kształcie bani, pokryty ołowianą blachą. Na jego wierzchu umieszczona była szczerozłota kula, która odbijając promienie słoneczne, rozsiewała złocisty blask i przez wdzięczną symetrię dodawała harmonii całej budowli.

Na koniec runęły wszystkie baszty, a mury miejskie zostały ogołoczone jak szpetne pnie drzew pozbawione gałęzi. Spłonął też ratusz. Pozostały tylko sklepienia nad izbami.”

Relację tę można nazwać pierwszym opisującym Lublin literackim reportażem, Nie była to jeszcze samodzielna twórczość literacka. Nie wiadomo nawet, czy Klonowic wówczas myślał o literackiej karierze.

W roku następnym przetłumaczył z łaciny na język polski napisany przez Klemensa Janickiego podręcznik do nauki historii. Ówczesnym zwyczajem nadał mu przydługi tytuł. Wystarczy podać jego początek i koniec, który brzmi: „Królów i książąt polskich [...] opis nowo uczyniony”. Podręcznik ten wydany w 1578 roku cieszył się dużą poczytnością. Może nawet przyniósł Acernusowi jakiś zysk?

Pierwszym o ambicjach literackich utworem był napisany w 1582 roku po łacinie poemat: *Philtron* dedykowany braciom „najjaśniejszego stowarzyszenia literackiego królewskiego miasta Lublina, wielce szanownym mężom Tomaszowi Wieczorkowi, Adamowi Przytyckiemu, Sebastianowi Konopnicy, Stanisławowi Kiełczewskiemu rajcom i Leonardowi Mrzygłodowiczowi wójtowi jako przewodnikom stowarzyszenia literackiego królewskiego miasta Lublina, a także całemu gronu literackiemu”.

Intrygująca jest tu informacja o istnieniu pod koniec szesnastego wieku w Lublinie „towarzystwa literackiego” Klonowicz wymienia w dedykacji tylko przewodników towarzystwa, z czego można wnosić, że miało ono jeszcze innych członków. Można się też domyślać, że autor poematu też do tego grona należał. To, że założyli „towarzystwo literackie” może świadczyć o ich wykształceniu i zainteresowaniu słowem pisany, a nawet o pewnym „koneserstwie”. Klonowicz prosił ich bowiem o wyrozumiałość przy ocenie swego dzieła. Liczył się z ich sądem i opinią, nazywając „kochankami muz”. Wszystko to świadczy, że poczynania literackie Klonowicza kształtowały się w życzliwej i sprzyjającej atmosferze miejscowego środowiska, które potrafiło docenić jego wysiłki i osiągnięcia.

Dedykacja nasuwa przypuszczenie, że Acernus wyraził w niej wdzięczność patrycjuszom, którzy w 1582 roku przyznali mu obywatelstwo miasta Lublina. Uzyskanie obywatelstwa otwierało drogę do ubiegania się o coraz wyższe stanowiska i miejskie godności. - Już w roku następnym rada miasta powierzyła mu godność ławnika. Było to duże wyróżnienie i dowód wielkiego zaufania. Dołączony do „siedmiu sprawiedliwych” miał teraz decydować o orzekanych wyrokach i stać na straży obowiązującego prawa. Godność ławnika przynosiła też poważne korzyści materialne. Ławników bowiem wyznaczano na opiekunów majątków, na doradców prawnych przy podziałach spadków i do wielu innych prawniczych czynności, które były wysoko wynagradzane. Klonowicz potrafił dobrze wykorzystać otwierające się możliwości i jeszcze je talentem literackim pomnożyć.

W 1584 roku ukazał się w Krakowie jego łaciński poemat „Roxolania” zadedykowany „najdostojniejszemu i najświetniejszemu senatowi wspaniałego miasta Lwowa”. Można się domyślać, że ta dedykacja, jak to było w ówczesnym zwyczaju, nie była bezinteresowna. Miała zapewne ułatwić autorowi załatwienie we Lwowie jakichś interesów.

Wysiłek twórczy ławnika został też doceniony w Lublinie. Rada miasta przyznała mu chyba nawet pierwszą nagrodę literacką w niebagatelnej wysokości dziesięciu florenów. Uznano, że autor i jego utwór przynoszą sławę miastu wobec goszczącego na zamku króla Stefana Batorego. Była to pokaźna kwota zważywszy, że Acernus jako pisarz miejski otrzymywał kwartalnie za swą niełatwą i odpowiedzialną pracę tylko osiem złotych.

W sierpniu 1584 roku Sebastian Klonowic był świadkiem nagłej śmierci w Lublinie Jana Kochanowskiego. Głęboko przeżył to wydarzenie. Poruszony napisał cykl elegii, które zatytułował: „Żale nagrobne na ślacheć urodzonego i znacznie uczonego męża, nieboszczyka Pana Jana Kochanowskiego, Wojskiego sandomierskiego etc... Polaka zacnego, ślacheć dzielnego i poety wdzięcznego, który z niemałym smutkiem wszech cnych Polaków postąpił w Lublinie Roku Pańskiego 1584, dnia 16 miesiąca sierpnia pod konwokacją”.

Zawierający trzynaście elegii tomik ukazał się w Krakowie już w roku następnym i wzbudził duże zainteresowanie. Swoim zwyczajem opatrzył go stosowną dedykacją. Książkę poświęcił Pawłowi i Piotrowi Czarnym, możliwym panom z Witowic, uznając ich za bliskich przyjaciół Kochanowskiego. Osobiście mógł ich poznać, gdy załatwiali w urzędzie miasta Lublina majątkowe sprawy. Dedykując im utwór spodziewał się sówitej nagrody.

Ograniczył się tylko do skromnej przymówki, że zadowoliliby się nawet włóką ziemi z dodatkiem młyna, „choćby terkoce”, mogłaby być dodana do tego pasieka, krówki i staw z rybkami.

Niestety, panowie Czarni albo nie odczytali dedykacji, albo byli niedomyślni i zupełnie pozbawieni zmysłu hojności - Klonowic od nich ani ziemi, ani młyna ze stawem nie otrzymał. Przymówka autora „Żalów nagrobnych” może tylko zdradzała jego skryte marzenie o posiadaniu własnego kawałka ziemi, co mogło ułatwić przebicie się do stanu szlacheckiego.

W szesnastym wieku nie było to nierealne. Za odpowiednim wynagrodzeniem jakiś ubogi szlacheć gotów był dopuścić mieszczanina do swego herbu. Taka nobilitacja nie przynosiła jednak natychmiastowego pożytku, bo dopiero potomkowie w trzecim pokoleniu mogli być dopuszczeni do wszystkich szlacheckich przywilejów i urzędów. Co innego, gdy swego herbu używał znany ród. Wówczas uposażał przyjętego jak kuzyna ziemską majątkowością i jak „równy z równymi” mógł natychmiast korzystać z uzyskanych przywilejów i praw szlacheckich. Zapewne o tego rodzaju nobilitacji mógł marzyć Acernus dedykując swoją książkę panom Czarnym.

Niezrażony niepowodzeniem szukał bardziej domyślnego i szczodrego mecenasa. Okazał się nim ks. biskup Józef Wereszczyński, opat klasztoru benedyktynów w Sieciechowie.

Wereszczyński doceniając znajomość starożytnych języków Acerna i jego zdolności literackie polecił mu przełożyć na łacinę swoje przemówienia i kazania, a następnie skompilowaną z utworów Mikołaja Reja, a podpisaną biskupim nazwiskiem rozprawę

o cnotach i postępkach każdego króla chrześcijańskiego. Klonowic wywiązał się z powierzonego zadania znakomicie. Przetłumaczone utwory biskupa ukazały się drukiem w Krakowie przynosząc mu duże uznanie. Acernus służył też opactwu swoją znajomością prawa i doradztwem w załatwianiu skomplikowanych spraw majątkowych.

Za te usługi opat wraz z całą kapitułą sieciechowską postanowili wydzierżawić Acernusowi dziesięć łąnów bez sześciu staj ziemi dobrej i sprawiedliwej miary lubelskiej. Na tym obszarze, j dzisiejszą miarą licząc około stu pięćdziesięciu hektarów, mógł założyć wieś, postawić dwór, karczmę, młyn, a także uruchomić kopalnię rudy. Na zagospodarowanie tej posiadłości otrzymał dodatkowo tysiąc złotych węgierskich.

Szczodropliwość biskupa odwdzieczył nazywając założoną wioskę Józefowem (później Wólką Józefowską). Biskup z kolei postarał się o przyznanie Klonowicowi urzędu wójta Psar, co umożliwiałoby mieszczaninowi posiadanie ziemi.

Drugim poważnym sukcesem autora „Żalów nagrobnych” było nawiązanie bliskiego kontaktu, może nawet przyjaźni, z najznakomitszą poza królem osobistością Rzeczypospolitej, kanclerzem Janem Zamoyskim. Potwierdza to nawet list kanclerski, w którym nazywa Acernusa „miłym i łaskawym przyjacielem”. Zapewne nie był to tylko konwencjonalny zwrot epistolograficzny, skoro zaproponował mu w 1589 roku posadę nauczyciela i arendarza (kierownika administracyjnego?) zamojskiej szkoły, którą zamierzał przekształcić w akademię. Za pracę tę wyznaczył nawet przyzwoitą pensję, sto złotych polskich rocznie. Do tego „Jego Mość z łaski swej obiecać raczył” zbudować mu dom i dodać do niego ziemię.

Klonowic chętnie z zaproponowanej oferty skorzystał, gdyż pozostawanie w służbie u kanclerza i senatora było nie tylko wielkim zaszczytem, ale przynosiło też pewne immunitety i uprawnienia, na które poeta w czasie toczącej się w Lublinie rozprawy sądowej nie omieszkał się powołać.

Wymagania Kanclerza nic byty wielkie. Klonowic jako nauczyciel był zobowiązany raz w tygodniu czytać uczniom teksty autorów starożytnych, uczyć deklamacji i prowadzić z nimi ćwiczenia. Zapewne więcej czasu wymagała funkcja arendarza szkoły.

Pracując w Zamościu nie mógł jednak zrezygnować z pozostawionych w Lublinie spraw rodzinnych i majątkowych. Do tego dochodziły jeszcze obowiązki wynikające z konieczności zagospodarowania dziesięciu łąnów w oddalonym Józefowie. By temu sprostać musiał odbywać ciągłe i długie wojaże. Wszystko to odbiło się niekorzystnie na twórczości literackiej. W czasie dwu i półrocznego pobytu w Zamościu przetłumaczył tylko z łaciny na język polski rozprawę Erazma z Rotterdamu, którą zatytułował „Dworstwo obyczajów”.

W tym czasie zapewne definitywnie zrezygnował ze złudnej chęci przedostania się do stanu szlacheckiego. Gospodarując na dziesięciu łąnach w Józefowie mógł się przekonać, jak prawdziwie scharakteryzował polskiego szlachcica Strykowski w wydanym w 1576 roku „Gońcu cnoty”, kiedy pisał:

Aby u nas w tym bardzo zabłądził,

*Gdyby szlachcica z srebra i złota sądził.
Bo to ma Żyd, świec, lichwiarz, chłop, a szlachcic
Chudy nie ma nic.*

Klonowic wcale nic miał ochoty zostać „chudym szlachcicem”, który nic nie ma. Był mieszczaninem i potrafił dobrze wyliczyć, co mu się bardziej opłaci. Wiedział, że zaszyty w małej wioszczynie szlachetka tylko teoretycznie mógł korzystać z przywilejów swego stanu. Musiał nawet niżej kłaniać się senatorom, wojewodom i starostom, jeśli miał okazję widzieć ich na sejmiku, aniżeli zamożny mieszczanin sprawujący urząd w Lublinie. Może już wówczas uświadomił sobie to, co później napisał w „Victorii deorum”, że „prawdziwe szlachectwo uzyskuje się nie z szlacheckiego urodzenia, bogactwa i potęgi, ale ze służby cnotcie, bo cnota jest matką szlachectwa, a środkiem do nabycia cnoty są nauka i praca”.

Będąc nauczycielem w szkole zamojskiej doszedł też chyba do wniosku, że nie warto robić kariery naukowej. Na przeszkodzie stał brak tytułów naukowych, ale chyba nie tylko. Całkowite poświęcenie się pracy naukowej wymagało wyłączenia się z aktywnej działalności, a na tu Acernus wcale nie miał ochoty.

Służbę u Jana Zamojskiego zakończył bezkonfliktowo. Odszedł za zgodnym, porozumieniem obydwu stron. Odchodząc wyświadczył Kanclerzowi jeszcze dużą przysługę. Będąc w Krakowie zaangażował do tworzącej się Akademii Zamojskiej trzech profesorów. Zapewniał swego protektora, że są to ludzie pracowici, stateczni, znający biegle obydwa starożytnie języki. Opinia ta świadczy, że ze zdaniem Klonowica Zamojski ciągle się liczył i je cenił.

Do rezygnacji z pracy nauczycielskiej w Zamościu przynaglały go też nie do końca zabawione lubelskie sprawy majątkowe. Ciągle miał wiele kłopotu z teściową, która wprawdzie po raz drugi wyszła za mąż za Stanisława Bachusa, ale nadal rościła sobie pretensje do należności ciążyących na kamienicy.

Spowodowała kilka rozpraw sądowych, ale niewiele zyskała. Wyrokiem sądu ustalono, że nie może rościć pretensji do klejnotów i innych ruchomości, ma ustąpić ze wszystkich praw sukcesji do kamienicy, a Sebastianowi, jego małżonce i ich czeladzi nie powinna dokuczać i czynić przykrości. Acernus miał jej tylko wypłacić sto pięćdziesiąt złotych odszkodowania.

Małgorzata nie była jednak wyrokiem sądu usatysfakcjonowana. Domagała się wypłaty trzystu złotych zapisanych jej w testamencie. Sebastian z kolei nie chciał wypłacić tej sumy twierdząc, że już znacznie więcej roztrwonila z pozostawionego przez Wiślickiego spadku.

To doprowadziło do kolejnych awantur. Krewka teściowa napadła na Sebastiana i pobiła dotkliwie jego żonę, raniąc ją w obie nogi i lewe ucho. Poza tym Małgorzata egzekwując swoją należność ogołociła z towarów należącą do Ktonowica kramnicę.

Rozsierdzony Acernus wygrzmocił teściową tak dotkliwie, że wsadzono go nawet za to do wieży i musiał zapłacić poturbowanej odszkodowanie.

Procesy i awantury z teściową nie przeszkodziły Sebastianowi w robieniu dalszej kariery we władzach miejskich Lublina. Zapewne podobne ekscesy zdarzały się na porządku dziennym, więc nikt nie zwracał na nie szczególniejszej uwagi.

Dwupółletnia służba u Jana Zamojskiego, bliskie koneksje z biskupem Józefem

Waleszczyńskim i opactwem sieciechowskim, dzierżawienie wioski oraz posiadanie praw do połowy okazałej kamienicy miały znacznie większe znaczenie.

Prawie bezpośrednio po zakończeniu pracy w Zamościu i powrocie do Lublina Klonowiczowi powierzono stanowisko wójta. Wójt był drugim po burmistrzu dostojnikiem miejskim. Do niego należały sądy.

Wcześniej jako ławnik, a obecnie jako wójt miał możliwość poznać najprzeróżniejsze występki i nikczemności ludzkie. Napiętnował je później w „Worku Judaszowym”.

Urząd wójtowski piastował niedługo, zaledwie dwa lata. W tym czasie wykonywał i inne obowiązki prawnicze. Opiekował się kilkoma majątkami, załatwiał sprawy spadkowe. Przynosiło mu to poważne dochody. Stał się już człowiekiem majątnym, dorównując najzamożniejszym lubelskim patrycjuszom.

Wydaje się, że piastując godność i urząd wójta, Klonowicz tylko oczekiwał na objęcie najwyższej miejskiej godności. Po śmierci rajcy Bartłomieja Niemskiego został wybrany na wakujące miejsce, a starosta lubelski i podskarbi królewski, Jan Firlej, mianował go burmistrzem.

Burmistrzów wybierano z grona rajców do spełniania urzędu na okres jednego kwartału. W pierwszym kwartale roku burmistrza mianował starosta, w drugim wojewoda, a w trzecim i czwartym wybierało go poprzez swoich elektorów „pospólstwo”, czyli obywatele miasta.

Klonowicz był czterokrotnie kwartalnym burmistrzem. Raz został wyznaczony przez starostę Jana Firleja, raz przez wojewodę Marka Sobieskiego i dwa razy przez lubelskich mieszczan. Te nominacje świadczą, że w czasie dożywotniego rajcostwa cieszył się zaufaniem zarówno przedstawicieli władzy królewskiej jak i obywateli miasta. Na to zaufanie zasłużył wielką pracowitością, wszechstronną wiedzą, rozsądkiem w stosowaniu prawa przy wydawaniu wyroków, ale chyba też coraz bardziej cenioną nie tylko w Lublinie twórczością literacką.

Udowodnił, że równie doskonale potrafi posługiwać się językiem „uniwersalnym”, jaką była wówczas łacina, jak i językiem polskim. W obydwu językach pisał i wydawał swoje utwory. Będąc wójtem, rajcą i burmistrzem nie zaniedbał twórczości literackiej.

W tym czasie wydał swoje najdojrzalsze dzieła. W 1585 roku ukazał się w Krakowie napisany po polsku poemat „Flis, to jest spuszczenie statków Wisłą i inszymi rzekami do niej przypadającymi”. W utworze tym opisał podróż, którą odbył wraz z flisakami od Warszawy do Zielonego Mostu w Gdańsku. Wyliczył w nim nadbrzeżne miasta, wsie, kępy, tamy i dopływy rzek wpadających do Wisły. Przy okazji nie omieszkał popisać się wiedzą dotyczącą historii żeglarstwa od Noego i Argonautów, do odkrycia Ameryki. Opisał też obyczaje flisaków.

Na prośbę biskupa i opata klasztoru benedyktynów w Sieciechowie przetłumaczył z łaciny na język polski regułę św. Benedykta. „Aby ten święty Hetman i Ociec Benedykt nie tylko z uczonymi po łacinie, ale też i z prostaczkami po polsku często rozmawiał”.

Za ukoronowanie pracy twórczej zapewne uważał Klonowicz najobszerniejszy swój utwór: „Victoria deorum..” przeznaczony już nie dla prostaczków, ale dla uczonych. Oczywiście, został napisany po łacinie.

Nie był to we właściwym rozumieniu utwór literacki, ale raczej, traktat naukowy

zawierający całą „encyklopedyczną” wiedzę pisarza o świecie i ludziach. Do napisania tego dzieła skłoniły go, jak sam stwierdził: „obyczaje naszego wieku skażone pychą i wstrętnym, rzucającym się w oczy zepsuciem”. Celem jego miało być wskazanie, jak należy „właściwie żyć i właściwie umierać”. Klonowicowi przyświecał, jak widać, cel dydaktyczny.

To wielkie, liczące siedemnaście tysięcy heksametrów dzieło, nie spełniło autorskich oczekiwań, gdyż coraz mniej było uczonych i biegłych w łacinie czytelników, którzy mieli ochotę nad nim ślęczeć. Poza tym potępili je jezuici za przekazywanie zbyt radykalnych poglądów.

Znacznie większym powodzeniem cieszył się jego „Worek Judaszów” wydany w Krakowie w 1600 roku, który doczekał się nawet kilku kolejnych wznowień.

Tytuł utworu, jak i jego układ oparł autor na podaniu opowiadającym, że Judasz miał worek uszyty z czterech skór: wilczej, lisiej, rysiej i lwiej. Tak też podzielił swoją książkę. W pierwszej części, czyli w skórze wilczej, napiętnował złodziei, rabusiów, świętokradców, złodziei dobra wspólnego, łapowników i zaprzędających chrześcijan w niewolę turecką. W worku ze skóry lisiej pomieścił przywłaszczających cudze mienie, wszelkiego rodzaju oszustów i wyłudzczy. W skórę rysią ubrał kopców używających fałszywych miar i wag, hazardowych graczy, szulerów i lichwiarzy. Czwarta część utworu, skóra lwia, podaje przykłady rozbojów i gwałtów, których dopuszczają się możni tego świata, ale, jak stwierdził, „strach o tej skórze pisać”.

Czytelnicy tych satyrycznych utworów znajdowali potwierdzenie obserwowanych nikczemności, o których rzadko kto odważył się wspomnieć i je w sposób zdecydowany napiętnować. Cieszyły się z tego powodu dużym zainteresowaniem roznosząc po całym kraju sławę lubelskiego rajcy i burmistrza.

Klonowic, piastujący najwyższe urzędy miejskie w Lublinie, cieszący się sławą i uznaniem jako poeta, nie zaznał dobrodziejstwa spokoju w życiu prywatnym. Po wieloletnich konfliktach z teściową, która w końcu musiała zrezygnować ze swych pretensji i roszczeń, dużo kłopotu i wstydu przysporzyła mu własna małżonka.

W czasie licznych wojaży i nieobecności Sebastiana w domu zakochała się bez pamięci w Melchiorze Złotniczku. Żeby się mu przypodobać zaciągała pożyczki i trwoniła wspólny majątek. Jakby tego było mało, doszło do awantury między Agnieszką i jej matką Małgorzatą. Obydwie kobiety obrzucały się na rynku nieprzyzwoitymi słowami, a na koniec dotkliwie się pobiły.

Klonowic już nie mógł tego ścierpieć i wniósł do sądu sprawę o pozbawienie żony prawa do dysponowania i marnowania wspólnej majątności.

Kilka dni później przydybał Złotniczka w izdebce swojej żony. Ten skrył się wprawdzie pod łóżko, ale Sebastian go tam wypatrzył i zaczął dźgać szpadą. Złotniczek w obawie, by go na śmierć nie zakłuto, strzelił do Sebastiana z rusznicy. Na szczęście był tak srodze przerażony, że jego wystrzał okazał się niecelny.

Acernus sprawę skierował do sądu, Złotniczka osadzono w więzieniu, a niewierną żonę polecił wywieźć do oddalonej od Lublina Wólki Józefowskiej.

Na wsi wytrzymała Agnieszka tylko półtora roku. W tym czasie pogodziła się z matką i wspólnie wywozły z Józefowa do Lublina kury, świnie, zboże i domowe

sprzęty, a lekceważąc dawne orzeczenie sądowe zaczęła zaciągać nowe długi.

Poeta nie mogąc zapanować nad niespokojnym temperamentem swojej żony, sprzymierzonej tym razem z teściową, musiał znowu skierować sprawę do sądu. Pragnął zabezpieczyć nie tylko własne mienie, ale i swojej córki, Zuzanny.

Jakby i tego było nie dość, do sądu wniosła sprawę zakonnica, Elżbieta Wiślicka, która upominała się o trzydzieści złotych arendy za dzierżawienie przez Klonowicza połowy kamienicy. Poza tym oskarżyła go o zaciągnięcie dużego długu pod wspólną nieruchomość.

Acernus tłumaczył się przed sądem, że dług zaciągnął uposażając swoją córkę, Zuzannę, którą wydawał za męża. Przy okazji ciotce swojej żony „miłosiernej zakonnicy” wymówił, że nie poczuwa się do udziału w tym uposażeniu.

Wydaje się, że Zuzanna była jedyną osobą w rodzinie, która nie przysporzyła mu zmartwień, przykrości i kłopotów. Ją chyba naprawdę kochał. Pod koniec 1600 roku wydał ją za męża za bogatego złotnika, Szymona Lwowczyka.

Dwa lata później, przeczuwając zbliżającą się śmierć, sprzedał potajemnie w Krasnymstawie przysparzając tyle kłopotów kamienicę za cztery tysiące złotych szlachetnie urodzonemu Janowi Śladkowskiemu, Rotmistrzowi Królewskiemu.

Zmarł 29 sierpnia 1602 roku. Jego wrogowie, zwłaszcza jezuita, dla przestrogi innym, rozpuszczali fałszywe wieści, że zmarł pokarany za głoszenie radykalnych poglądów w przytułku dla nędzarzy... Opinię tę powtarzali bezkrytycznie dziewiętnastowieczni pisarze biorący Klonowicza za bohatera swoich utworów. Trudno się z tym pogodzić, skoro Acernus kilka miesięcy przed śmiercią uzyskał za sprzedaną kamienicę wielką sumę pieniędzy.

Jako rajca został pochowany w kościele farnym pod wezwaniem św. Michała Archanioła. Jego kuzyn, Sebastian Kajek, ufundował pamiątkową tablicę z czerwonego marmuru. Na niej kazał wyryć ostatnie cztery łacińskie wersy z „Philitronu”, które w tłumaczeniu J. Detmerskiego brzmią:

Gdy ciałem żyję, duszą rozmyślam o grobie.

Gdy ciałem umrę, wieczność zabezpieczę sobie.

A chociaż zgasnę, Jezus mnie oświeci,

Śmierć będzie zyskiem, gdy życie uleci.

Tablica ta po zburzeniu lubelskiej fary w połowie dziewiętnastego wieku została przeniesiona do lubelskiej katedry. Można ją odczytać i dzisiaj.

Przedstawiony tu z pominięciem wielu szczegółów bogaty żywot lubelskiego poety-burmistrza wskazuje na jego niepospolitą osobowość. Dzięki wrodzonemu talentowi i wielkiej pracowitości osiągnął wiele, a Lublinowi przez wieki przysparza sławy.

Ślad czarnej łapy

W muzealnym holu na zamku królewskim w Lublinie można oglądać duży, prosty stół, z wypaloną na nim czarną łapą. Ślad ten utrwala złą pamięć, jaka przetrwała w rezydującym w tym mieście przez ponad dwieście lat Sądzie Głównym Ordynaryjnym Trybunału Koronnego, zwanym po prostu Trybunałem. Trybunał Koronny został powołany w 1578 roku. Był to najwyższy sąd odwoławczy od wyroków niższych sądów szlacheckich: ziemskich, grodzkich, podkomorskich i wiecowych. O powołanie tej instytucji upominała się szlachta już za czasów Zygmunta Augusta, kiedy niewydolny sąd królewski nie był w stanie rozpatrzyć wszystkich napływających spraw. Liczba ich pod koniec panowania ostatniego 2 Jagiellonów wzrosła do kilkudziesięciu tysięcy.

Monarchowie niechętnie chcieli rezygnować z przysługujących im uprawnień najwyższych sędziów, bo to znacznie ograniczało i tak już mocno okrojona w Polsce władzę królewską.

Dopiero, gdy Stefan Batory zaczął domawiać się o zwiększenie podatków na wojnę z Moskwą, posłowie oświadczyli, że nie pozwolą na dodatkowe obciążenia ani na wojnę, jeśli nie uzyskają sądów. Niezbyt skłonny do uległości król, przyciśnięty koniecznością, zrezygnował z części swej władzy.

Na sejmie walnym warszawskim podpisał konstytucję zaczynającą się tymi słowami:

„Stefan, z łaski bożej król Polski, wielki książę litewski, ruski, pruski, mazowiecki, żmudzki, inflandzki, wołyński, podlaski, kijowski, siedmiogrodzki etc. Oznajmujemy wszem wobec i każdemu z osobna, komu to wiedzieć należy, iż my wedle powinności naszej królewskiej opatrując potrzeby Korony, tej, której nas Pan Bóg przełożyć raczył, a o tym myśląc, aby w niej tak domowy rząd, jako i bezpieczeństwo od nieprzyjaciela było i żebyśmy temu dobry początek postanowiwszy snadniej nieprzyjacielowi odpór dać mogli [...] złożyliśmy sejm walny wszem stanom tu do Warszawy, na którym za radą Panów Rady naszych obojga narodu i zezwoleniem panów ziemskich [...] około sprawiedliwości postanowienie niżej opisane postanowili
.”

Postanowienie to dotyczyło obieralności sędziów i działalności Trybunału. Sędziów (nazywanych później deputatami) wybierała spośród siebie szlachta na sejmikach zwanych deputackimi. Z każdego województwa lub ziemi wybierano we wrześniu jednego lub dwóch deputatów. Kadencja ich trwała jeden rok. Poza tym sześciu deputatów wybierali duchowni. W sumie godność deputata otrzymywały trzydzieści trzy osoby. (W wieku XVII liczba deputatów dosięgła nawet 50 osób).

Deputaci świeccy wybierali ze swego grona marszałka, a duchowni - prezydenta.

Kandydat na deputata musiał mieć ukończone 23 lata, a poza tym miał być osobą „godną, bogobojną, cnotliwą, prawa i zwyczajów sądowych onego kraju umiętną, osiadłą”. Nie wymagano od deputata, by był z wykształcenia prawnikiem.

Posiedzenia Trybunału miały się odbywać w dwu miastach: w Piotrkowie, gdzie rozpatrywano sprawy z Wielkopolski i w Lublinie - dla Małopolski.

„[...] do którego to województwa należeć będą: krakowskie, sandomierskie, ruskie,

podolskie, lubelskie, bełskie, podlaskie, z tym dokładem, iż ci sędziowie wszyscy, osądziwszy Wielkiej Polski województwa w Piotrkowie, mają zasie jechać na czas niżej naznaczony do Lublina i także tam osądzić wszystkie województwa Małej Polski. [...] Sądy najprzód począć się mają zawsze w Piotrkowie w poniedziałek bliski św. Marcina (później po św. Franciszku - J. Z.), a kończyć się mają aż do kwietnej niedzieli. W Lublinie w poniedziałek bliski po przewodniej niedzieli, a kończyć się mają dokąd się nie skończą". To jest do wyczerpania wszystkich spraw. Później ustalono dzień limity, czyli zakończenia Trybunału na św. Tomasza.

Wyliczone w konstytucji zalety charakteru, którymi mieli się odznaczać deputaci, miały gwarantować uczciwość, bezstronność i sprawiedliwość ferowanych wyroków. Jednak za czasów saskich, kiedy obyczaje i dawne moralne przymioty szlachty zostały skażone, piętno tego skażenia przeniosło się i na Trybunał.

Na sejmikach często wybierano deputatów nie zważając na ich przymioty, ale podług myśli i woli trzęsących województwami i ziemiami możnych panów. O wpływy na Trybunał, który wobec zrywania sejmów, stawał się jedyną, najwyższą w kraju instytucją, walczyły aż cztery partie.

„Cztery partyje - jak pisze Kitowicz - były w kraju na kształt czterech sprężyn, które dawały ruchawość wszystkim politycznym obrotom". Były to partie: dworska, hetmańska, Potockich i Familii, czyli Czartoryskich i Poniatowskich.

Kiedy sprzeczne interesy tych partii starty się na sejmiku, dochodziło do rąbaniny. Zwycięzcy wysuwali takiego kandydata, który już był im później powolny.

Obrany na sejmiku deputat opatrzony stosownym dokumentem jechał w możliwie dużej asyście dworzan i swych zwolenników do Piotrkowa, gdzie odbywała się reasumpcja, czyli otwarcie Trybunału. Otrzymanie od sejmiku deputackich pełnomocnictw wcale nie oznaczało, że się zostanie dopuszczonym do pełnienia funkcji deputata.

Jak pisze Kitowicz: „W dzień poprzedzający reasumpcję Trybunału zjeżdżali się do Wolborza ci wszyscy, którzy mieli interes przeszkadzać do łaski marszałkowskiej osobliwie i do funkcji deputackiej osobom, na sejmikach obranym, albo też źle obranym lub wcale nie obranym przez rozmaite kabały, zmowy i gwałty utrzymywać”.

Przez całą noc poprzedzającą otwarcie Trybunału trwały układy i spory, a także przygotowywania do uroczystego wjazdu w mury trybunalskiego grodu. Nieraz na dwie mile rozciągał się strojny kondukt.

Reasumpcję Trybunału rozpoczynano po bożemu. O godzinie siódmej rano wszyscy deputaci zbierali się w kościele farnym, gdzie jeden z duchownych śpiewał wotywę do Ducha Świętego. Po odśpiewaniu wotywy natychmiast wynoszono z cyborium do zakrystii Najświętszy Sakrament, „aby się mu w przypadku tumultu, bez którego nigdy się nie obyło, jakie nieuszanowanie nie stało”.

Jednak jeszcze przed wotywą zaczynały się przepychania o jak najkorzystniejsze miejsce przy stoliku, gdzie zasiadało ziemstwo sieradzkie do odbierania od deputatów przysięgi i dokumentów potwierdzających ich prawowity wybór.

„Miejsce tedy przy stoliku ziemskim było największej wagi do psucia i robienia trybunału”.

Po zakończeniu uroczystości kościelnej jeden z sędziów ziemskich głosem

donośnym wyczytywał nazwę województwa lub ziemi, a wybrani tam deputaci odpowiadali: „Jesteśmy”.

Jeśli nikt im nie przeszkadzał, przedzierał się przez ciżbę do stolika, na którym złożywszy laudum, czyli uchwałę sejmikową, uznani od ziemstwa za prawych deputatów, wykonywali następującą przysięgę:

„Ja (tu wymieniał deputat swoje imię i nazwisko) przysięgam Panu Bogu, iż sprawiedliwie według Boga i prawa pisanego i według kontrowersji stron sądzić będę i zeznawania przyjmować będę, nie mając względu ani braku bogatego, ubogiego, przyjaciela i nieprzyjaciela, obywatela i cudzoziemca, a nie będę dbał na przyjaźń i nienawiść, ani na dary, ani na groźby, ale w sądzeniu samego Boga i prawo pisane, sprawiedliwość stron, prze i odeprze zeznania, a w tym i wszystkim sumienia swego rozsądku naśladować i słuchać będę, praktykowania żadnych kauz z nikim czynić, ani przestrogi, ani rady dawać, ani podarków brać nie będę, i także iżem się o to nie starał, abym był na te sądy obran. Tak mi pomóż Panie Boże w Trójcy Jedyny i wszyscy święci”.

Po odebraniu przysięgi nikt już nie miał prawa kwestionować kompetencji sędziowskich deputata. Przeciwnicy jego starali się więc wszelkimi sposobami by do złożenia przysięgi nie dopuścić. Po wyczytaniu województwa wołali: „Vocat! Vacat! Znaczyło to, że deputat się nie stawił.

Zwolennicy i przyjaciele deputata ich przekrzykiwali:

- Nie vacat! Nie vacat! Oto jest deputat i całą ciżbę otaczając deputata parli w stronę stolika. Wszczywał się straszliwy tumult. Dobywano szabel i rozskakując się na dwie strony rozpoczynali rąbaninę.

“... mięsa narobili, stolik w sztuki zrąbali, ziemstwo wyplazowali i cały zjazd rozpędzili, rzeźbę z kościoła na cmentarz wytoczyli, a po takim przywitaniu jedni drugich, jeżeli dzień nie był jeszcze na schyłku, partyja zwyciężająca znowu się do kościoła zebrała, ziemstwo ułagodzone lub zniewolone sprowadziła i podług swego upodowania trybunał utworzyła”.

Kiedy wreszcie odebrano od deputatów przysięgę, wszystko szło spokojnie i wesoło. Noc upływała na fetowaniu zwycięstwa i wznoszeniu toastów za pomyślność obrad.

Następnego dnia deputaci schodzili się do ratusza, gdzie obierali spośród siebie marszałka, którym najczęściej stawał się *“jaki pan wielki od dworu lub od partyi do tego urzędu przeznaczony”.*

Nowo obrany marszałek dziękował kwiecistą mową za obiór i witał deputatów. Po tej przemowie wnoszono przechowywaną w ziemstwie sieradzkim marszałkowską laskę. Przy jej wręczaniu jeden z sędziów ziemskich wygłaszał mowę skierowaną do marszałka i deputatów. Mowa ta i wręczenie laski kończyły marszałkowską elekcję, po której prezydent zapraszał Jaśnie Oświecony Trybunał na uroczysty obiad, a marszałek na nie mniej uroczystą kolację. W czasie ucztowania suto wznoszono toasty uświetniane salwą trybunalskiej straży.

Dopiero trzeciego dnia sprowadzano do trybunalskiej kaplicy z któregoś kościoła w procesji obraz Matki Boskiej. Obraz nieśli prezydent z marszałkiem, a deputaci i palestranci asystowali im z zapalonymi świecami. Po umieszczeniu w kaplicy obrazu

kapelan trybunalski odprawiał mszę, podczas której muzykanci przygrywali na różnych instrumentach.

Wysłuchawszy mszy deputaci wraz z ziemstwem sieradzkim zamykali się w izbie sądowej, gdzie ustalano kolejność następujących po sobie spraw oraz wyznaczano spośród siebie sześciu posłów wysyłając ich po dwóch (jednego duchownego i jednego świeckiego) do króla, do prymasa i biskupa krakowskiego z doniesieniem o szczęśliwym rozpoczęciu trybunału. Utrudzeni tymi czynnościami deputaci resztę dnia znowu spędzali na poczęstunkach i ucztach.

Dopiero czwartego dnia zabierano się do pracy. Pierwsze posiedzenie sądu otwierała mowa któregoś z palestrantów, na którą uprzejmie ale krótko odpowiadał marszałek lub prezydent. Po mowach tych woźny wywoływał pierwszą sprawę. Strony zgłaszały swoją obecność, a pisarze wciągali ją do rejestru. Po wykonaniu tych czynności marszałek odwoływał obrady na poobiedzie albo na dzień następny. Teraz znów któryś z palestrantów, albo przybyły na sądy możniejszy pan, zapraszał całe towarzystwo na solenny obiad lub wystawną kolację. I tak upływał mile czas nim się wreszcie zabrano do sądzenia spraw zaległych i tych nowych.

Za czasów saskich, jak pisze Kitowicz: *„Sprawiedliwość trojakię miała pobudki, z których następowała: jedna była podług prawa i sumienia, kiedy sprawa toczyła się między osobami z siebie słabymi i żadnego wsparcia od panów nie mającymi. Druga była kupna i przedajna, tą handlowali deputaci z pacjentami bogatymi, wziętymi reputacją w narodzie mającymi i wszelkich sztuk na zepsucie sumienia sędziowskiego, czyli jak mówią korrupcją, zażyć umiejących. Niekoniecznie albowiem deputaci samym złotem dawali się przekupować, szli oni za powabem przyjaźni, za obietnicą wzajemnej przyszłej odługi i za ponętą podwiki i pulchnego gorsa, które ojcowie i mężowie mający sprawy do trybunałów jako pewną pomoc słabym na czas dokumentom zwozili. Trzecia sprawiedliwość wyływała od panów trzęsących trybunałami. [...] Już tam nic nie ważyła ani nowo ofiarowana korrupcją, ani przyjaźń, ani nawet urody, ani czystość sprawy, ani moc prawa i dokumentów. Na to wszystko zatkanie były oczy i uszy a sentencyja wypadła ślepo podług rozkazu pańskiego.*

Kto według takiego wyroku miał sprawę przegrać, musiał ją przegrać, by też była najlepsza; kto miał wygrać, wygrał, by też była najgorsza”

Przy tak różnych naciskach na deputatów i palestrantów, zapadały niesprawiedliwe wyroki nie tylko w Piotrkowie, ale i w Lublinie.

Do Lublina cały skład trybunału przenosił się po dwutygodniowej przerwie, rozpoczynając drugą kadencję, w poniedziałek po niedzieli przewodniej. Tu już nie było piotrkowskich tumultów związanych z zaprzysiężaniem deputatów. Reasumpcja lubelskiej kadencji rozpoczynała się spokojnie, ale niemniej dostojnie i uroczyście.

Marszałek i prezydentem wraz z deputatami i dostojniejszymi panami zjeżdżali się w Dąbrowicy albo Jastkowie lub w innej umówionej miejscowości co najmniej o milę oddalanej od miasta i tam formowano uroczysty paradny kondukt.

Karety prezydenta i marszałka poprzedzali na dzielnych koniach opatrzonych w bogate rzędy dworzanie i wojskowi, za karetami paradowała dragonia, za dragonią ciągnęły karety możnych panów, a za nimi kolaski drobniejszych pacjentów i szlachty, która tylko z ciekawości kupą garnęła się na reasumpcję lubelskiej kadencji.

Jednak nie były to wjazdy tak liczne i dostojne, jakby sobie niektórzy magnaci tego życzyli. Według ustalonego prawa nie wolno było bowiem wjechać do miasta z poczem liczniejszym ponad pięćdziesiąt osób. Ale i tak od przewodniej niedzieli Lublin niepomiarnie się zaludniał. Deputaci wynajmowali dla siebie i swej służby odpowiednio obszerne i wygodne kwatery. Marszałkowie i prezydenci, jeśli nie mieli własnych, odnajmowali pałace, całe kamienice albo z ogrodami obszerne domy, w których można było urządzić na sto, dwieście, a nawet trzysta osób huczne przyjęcia.

W paradzie dworzan, możnych panów i żołnierstwa wjeżdżał marszałek z prezydentem wśród tłumy gapiów do miasta. Deputaci wraz z marszałkiem i prezydentem udawali się bezpośrednio do ratusza, gdzie się odbywała reasumpcja.

Świadkiem takiej uroczystości w roku 1789 był Józef Rulikowski, który ją po latach w swoich wspomnieniach dokładnie opisał.

„Cała publiczność zebrała się na ratusz sądowy, w rynku miasta będący; mnie z moimi nauczycielami jako synowi deputata, pozwolono przypatrywać się z izby odpoczynku deputatów, przez drzwi otworzone gdzie nie było żadnych widzów.

Marszałek trybunału Kicki, zajął pierwsze miejsce na swoim krześle, przy nim zasiadł prezydent trybunału, z duchownych deputatów obrany [...] Po marszałku i prezydencie pierwszeństwo mieli w zasiadaniu duchowni deputaci. Przed marszałkiem leżała laska hebanowa w srebrne skuwki oprawna, znak władzy najwyższej, cecha dostojności króla.

Na stole dużym i pokrytym pięknym i kosztownym kobiercem, stała skrzynka z blachy srebrnej zrobiona, na zbieranie luity. czyli grzywien karnych z przesądu, przed nią był krzyż na postumencie, srebrny z wyobrażeniem męki Zbawiciela, z tyłu na ścianie znajdował się w bogato złożonych ramach, portret króla Stanisława Augusta. Naokoło stołu stały krzesła dla deputatów świeckich i duchownych, zasiadali podług tronu, to jest porządku województw, ziem i powiatów. Dalej przegradzały izbę sądową kratki, za którymi liczny poczet mecenasów z dependentami, a za nimi mnóstwo widzów.

Marszałek dał znak uderzeniem laski o stół, wzywając do porządku. Zagaił mową o i warcie, czyli reasumpcją trybunału, wtedy jeden z mecenasów w imieniu całej palestry lubelskiej wymownie powitał zgromadzenie najjaśniejszego trybunału koronnego. Po czyni marszałek i uderzeniem laski o stół zaprosił kolegów do kościoła na nabożeństwo. Liczny szereg piechoty regimentu Czapskiego stał pod bronią. Za pokazaniem się marszałka trybunału uderzono trzy werble w bębny, za ukazaniem się deputatów - jeden werbel i broń sprezentowano. Powozami i pieszo cała publiczność udała się do kościoła dominikanów. Celebrans już z całą asystencją duchowną czekał przybycia urzędników trybunału. Po mszy i kazaniu odśpiewano „Te Deum Laudamus”, marszałek wezwał deputatów przed ołtarz, postawiono mały stolik, położono na nim Ewangelię, celebrans stał z krzyżem, instygator sądowy czytał rotę przysięgi, deputaci podnieśli dwa palce i powtarzali przysięgę, potem całowali krzyż podawany im przez celebransa.

Po wykonanej przysiędze dał się słyszeć potrójny wystrzał z działa i karabinowy; po powrocie na ratusz, podpisawszy rotę przysięgi, marszałek salwował sesję na dzień jutrzejszy i zaprosił kolegów deputatów i mecenasów do siebie na obiad.”

Obiad wydawany przez marszałka z okazji reasumpcji trybunału nie był tak wystawny jak przyjęcie, a właściwie uczta, urządzana przez zamożnego deputata lub możnego pana dla uczczenia imienin króla.

Przygotowania do niej trwały kilka dni i były popisem kulinarnego kunsztu. Pod przewodnictwem kuchmistrza gospodarza zbierali się wszyscy kuchmistrzowie przybyłych do Lublina panów. Odbywała się najpierw długa narada gastronomiczna. Ustalano co i jak należy przygotować, jak przystroić stoły i w jakiej kolejności podawać potrawy. Obradowano jak przed jaką bitwą. Według najlepszych umiejętności i kulinarnego kunsztu rozdzielano zadania. Jedni zajmowali się przygotowaniem zup i bulionów, drudzy mięsiwa, dziczyzny i ptactwa, inni ryb, galaret, pasztetów.

Cukiernicy brali na siebie wypiek najprzedniejszych ciast, wymyślnych legumin, deserów i lodów. Sam gospodarz doglądał, by godnie została zaprezentowana piwniczka. Wina i miodów nie mogło przecie zbraknąć do wznoszenia licznych toastów.

Za Stanisława Augusta nie w modzie już były takie dawne kulinarne koncepta, jak wyskakujące z wielkich pasztetów żywe zające albo wypływające ryby, wyfruwające gołębie. Wszakóż jednak cukiernik przystrajający stół starał się umieścić wśród piętrowych tortów jakąś niespodziankę, chociażby tryskającą w odpowiednim momencie fontannę. Nie zawsze się te koncepta udawały, bo niekiedy tłumek z odstąpionymi głowami uniżonych petentów, którzy przed wejściem do ratusza tworzyli szpaler oddając uszanowanie najwyższej trybunalskiej władzy niskim ukłonem.

Zwykłym deputatom przysługiwało tylko jedno bębnienie. Niektórym ten donośny dowód szacunku bardzo schlebiał. By przypadkiem przez nieuwagę dobosze nie zaniedbali swego obowiązku, już od Bramy Krakowskiej wysyłali swoje sługi z doniesieniem, że deputat się zbliża.

Gdy członkowie trybunału zeszli się w komplecie, kapelan odprawiał mszę. Kaplica była niewielka, w której mieścili się tylko członkowie zespołu sędziowskiego. Palestranci, woźni, sądzące się strony i publiczność gromadzili się w przysionku lub w sali ustępnej. W przysionku grała też kapela lubelska, której towarzyszyły solistki śpiewające nabożne pieśni. Po skończonej mszy deputaci z marszałkiem i prezydentem przechodzili do Sali sądowej. Poprzedzali ich woźni nawołujący donośnym głosem: „Mości panowie, ustąpcie się! Mości panowie, ustąpcie się”.

Woźni krzyczeli tak nawet, gdy w sali nie było nikogo. Kiedy siedmioosobowy skład trybunału zajął swoje miejsca, woźny z rejestru wyczytywał wchodzącą na wokandę sprawę. Sądzące się strony poprzez mecenasów przedstawiały meritum sporu, udostępniały dokumenty i dowody rzeczowe. Deputaci musieli wysłuchiwać często nudnych, mocno zawitych, ale długich i kwiecistych przemówień (replik, duplik) obrońców oraz ostatecznych formułowanych w języku łacińskim konkluzji.

Pokrętne często wywody mecenasów wzbudzały gorącą reakcję publiczności. Coraz to dawały się słyszeć szmery, głośne komentarze, a nawet krzyki protestu. Kiedy hałas się natężał, marszałek zwracał się do instygatora:

- Panie instygator, niech się uciszą. Instygator do woźnych:

- Woźny, proś ichmościów, niech się uciszą. Wówczas wszyscy woźni, ilu ich tam na sali było, wołali głosem donośnym:

- Mości panowie, uciszcie się! Mości panowie, uciszcie się! Uciszcie!

Wołali tak długo, aż się sala jako tako uspokoiła i sąd rozpoczął dalszy ciąg przesłuchiwania stron. By sędziacy się nie próbowali siłą dochodzić sprawiedliwości, mieli prawo wejść na salę tylko samoczwart, to jest z prokuratorem czyli obrońcą i dwoma przyjaciółmi. Deputaci, instygatorzy, palestranci, woźni jak i petenci przebywali na sali ze zwykle noszoną przez szlachtę białą bronią. Nie wolno tylko było wnosić rusznic, pistoletów i innych samopałów. Kto by śmiał obowiązuje w tym względzie prawo naruszyć, podlegał karze 50 grzywien, którą miał uiszczyć natychmiast pod drugą karą 14 grzywien. Nie dochodziło więc nawet między najbardziej zagorzałymi głowami do strzelaniny, chociaż nieraz dobywano szabli. Wszczynający na sali sądowej burdy też natychmiast musieli płacić kary do skrzynki.

Wszyscy deputaci przyodziani byli w tradycyjny ubiór szlachecki. Ich suknie i kontusze różniły się tylko barwami reprezentowanych ziem i województw. Głowy mieli podgolone z pozostawionymi tylko jak małe krymki czuprynymi. Za czasów Stanisława Augusta pojawiały się czasem pudrowane peruki, ale szlacheckiego kontusza na frak nikt nie śmiał zamienić. Buty nosili wysokie na obcasach czarno lakierowane, lub żółte safianowe, czerwone, a czasem zielone. Ten strój podkreślał dostojność trybunału oraz wierność szlacheckiej tradycji.

Kiedy już strony wyczerpały wszystkie argumenty, a palestranci dostatecznie zagmatwali i zaciemnili okoliczności procesu, i laską w stół zwracając się do instygatora, by wypraszał publiczność na ustęp. Instygator przekazywał polecenie woźnym, a ci donośnym głosem wołali:

- Mości panowie, ustąpcie się! Ustąpcie! Mości panowie, wychodźcie na ustęp! Wychodźcie! Ustąpcie!

Instygator ich przynaglał, woźni wrzeszczeli, a publiczność i palestranci jakby tego nawoływania nie słyszeli. Ociągali się, przechodzili z jednego kąta sali do drugiego uważnie obserwując marszałka i deputatów, którzy między sobą już zaczęli wymieniać uwagi. Z ich min i podsłuchiwanym strzępów wypowiedzi próbowano wynioskować jaki może być wyrok. To ociąganie się trwało nieraz i godzinę, a nieustannie nawołujący do wyjścia woźni dostawali chryпки.

Wreszcie, kiedy już wszyscy się ustąpili, jeśli wszystko z góry nie było przesądzone, trybunał jeszcze raz zapoznawał się z przedłożonymi dokumentami i przystępował do formułowania wyroku. Wyrokowano na podstawie pisanego i zwyczajowego prawa. Dochodziło przy tym czasem do ostrej wymiany zdań, a nawet sięgania do szabli. Dochodzące zza zamkniętych i strzeżonych przez woźnych drzwi sali sądowej odgłosy z uwagą podsłuchiwali palestranci i procesujące się strony.

Wetowanie odbywało się na podstawie większości głosów przy pełnym składzie sędziowskim. Zdarzało się, że chcąc do podjęcia wyroku nie dopuścić, jeden z deputatów nagle zniknął, albo dostawał tak wielkich boleści, że w żaden sposób nie był w stanie oddać swego głosu, w tej sytuacji odkładano sprawę do następnej kadencji. Okres oczekiwania na wyrok skracano sobie albo odmawianiem w kaplicy litanii, albo chłodząc się lodami w ratuszowej cukierni. By trudzący się sędziowie w

pracy swej nie ustawiali, zamożniejsi pacjenci przysyłali im „dyskretnie”, czego nie dawało się ukryć, a to wina dzban, a to garniec miodu ze smakowitymi przekąskami. Wiadomo bowiem było, że taka uprzejmość ułatwia kreskowanie przy podejmowaniu wątpliwego wyroku.

„Po skończonym ustępie marszałek kołatał w stół laską, prezydent dzwonił w dzwonek, za którymi znakami woźny - przy drzwiach czuwający - otwierał izbę sądową, do której wszyscy z ustępu hurmem wpadali, i taka w tym razie dla młodzieży z starymi pomieszanej była niesforność, że się tłocząc jedni przez drugich wywracali, suknie rozdzierali, czapki gubili, do czego wiele pomagała ciemnica ustępowa, mianowicie w wieczory długie adwentowe.”

Kiedy cała ta ciżba wwała się do sali, woźny wołał:

- Uciszcie się, mości panowie, do słuchania dekretu! - Teraz sala natychmiast się uspokajała, bo każdy był ciekaw jaki wyrok zapadał.

Inny obyczaj był, kiedy wydawano wyrok skazujący na karę śmierci. Wówczas marszałek wołał na woźnego:

- Woźny, otwórz drzwi! - Jeśli były otwarte, to woźny z hałasem je zatrzaskiwał, a jeśli zamknięte - otwierał z tak wielką siłą, aż trzęsły się stare mury ratusza. Czynił tak po trzykroć. Po chwili sędziowie świeccy powstawali ze swoich miejsc. Nakrywali głowy, duchowni, którzy nie brali udziału w podejmowaniu wyroków, śmierci, siedzieli osłaniając dłońmi twarze. Woźny wołał:

- Mości panowie, uciszcie się do słuchania dekretu! - Wówczas grobowa cisza zalegała salę przerażenie ogarniało wszystkich.

Deputat z trzymanego w drżących rękach sentencjonarza, albo pisarz ziemski czytał skazańcowi wyrok śmierci. Więźnia podprowadzano do lochu. W przeciągu trzech dni wyrok miał być i wykonany. Jeśli orzekano karę miecza, to wyrok wykonywał kat na rynku w obecności licznie gromadzących się świadków, jeśli szubienicy, to za rogatkami miasta.

Mimo skrupulatnie przestrzeganego sądowego rytuału pisanego i zwyczajowego prawa często zapadały w Lublinie, jak się już mówiło, wyroki znaczone ludzką krzywdą. Pamięć o jednym z nich obrosła legendą przetrwała do naszych czasów. Podał ją pierwszy Henryk Rzewuski w „Pamiętkach Soplicy”. „Pamiętki” ukazały się w Paryżu w 1839 roku, a więc w czterdzieści pięć lat po ostatniej sesji Trybunału Koronnego, który skasowali zaborcy. Sędziwy Seweryn Soplica przekazał następującą opowieść zasłyszaną od lubelskich palestrantów:

„Była wdowa szczupłego miana, uciśniona procederem przez jakiegoś magnata. Jej sprawa była jak bursztyn czysta, ale magnat, zobowiązawszy wszystkich członków trybunału, zyskał faworem siebie dekret wbrew prawu i sumieniu. Gdy go odczytano, nieszczęśliwa wdowa wyrzekła na cały głos w izbie: „Żeby mnie diabli sądzili, sprawiedliwszy byłby dekret” A że sumienie nieco kłuło deputatów, na roki jej nie pozwano, i wszyscy udali, jakoby nie słyszeli, z czym się odezwała. A że to było pod koniec sesji, porozjeżdżali się marszałek i deputaci, tak duchowni, jak i świeccy; Nad Trybunałem „Zapadła noc...” została się tylko kancelaria i pisarze trybunalscy! Najpierw z oddali słyszał było tylko rzenie koni i trykot kopyt, aż tu zaczęli się zjeżdżać w ogromnym mnóstwie karety i z nich wysiadać jacyś panowie, jedni w

kontuszach, drudzy w rękawach, ale z rogami i ogonami, które spod sukien się dobywały. I zaczęli iść po schodach, a przyszedłszy do sali trybunalskiej, pozajmowali krzesła, jeden marszałka, drugi prezydenta, inni deputatów. Pomiarkowali się pisarzy i kancelaria, że to byli diabli. W wielkim strachu przy stołach siedząc, czekali, co to z tego będzie. Aż tu diabeł, co marszałkował, kazał wprowadzić sprawę tejże samej wdowy. Przystąpiło do krętek dwóch diabłów turystów: jeden pro, drugi contra stawał, ale z dziwnym dowcipem i z wielką praw naszych znajomością. Potem diabeł marszałek po krótkim ustępie wywołał pisarza województwa wołyńskiego (bo ten interes był z Wołynia), ale prawdziwego pisarza, nie diabła, i kazał mu sięść za stołem i wziąć pióro.

Zbliżył się pisarz, wpół umarty z bojaźni i zaczął pisać dekret, jaki mu dyktowano - i dekret był zupełnie na stronę uciśnionej wdowy, a Pan Jezus na taką zgrozę, że diabli byli sprawiedliwszymi, niż trybunał, przenajświętszą krwią jego okupiony, i w którym tyłu kapłanów zasiadało, twarz swoją zasmuconą odwrócił i oblicza swego nie pokaże (jako miał o tym objawienie jeden święty bazylian lubelski), aż naród się pozbędzie zaprzędnictwa w sądach, świętokupstwa w duchowieństwie, a pieniactwa w szlachcie. Otóż ów dekret diabli podpisali (a zamiast podpisów były wypalone łapki różnego kształtu) i takowy dekret położyli na suknie czerwonym, co pokrywał stół trybunalski i zniknęli. Na następnej sesji trybunał znalazł diabelski dekret tam, gdzie był położony, bo żaden z kancelarii ruszyć go nie śmiał. Jest teraz złożony w oryginale w archiwach, a że nemini acta impedita (nikomu akta nie mogą być wzbronione), każdemu wolno go odczytać, a nawet ekstraktem wyjąć”

Niestety, już dziś nikt do oryginalnego diabelskiego jak i innych trybunalskich dokumentów nie sięgnie, bo wszystkie spłonęły w 1944 roku podczas powstania w Warszawie. Drobne archiwalne szczątki bogatego niegdyś archiwum zachowały się w Lubelskim Archiwum Państwowym, ale i tu wspomnianego dokumentu nie ma. Pozostała jedynie na stole wypalona duża, zakończona ostrymi szponami czarcia łapa, która wprawdzie niezbyt przypomina ślady owych diabelskich łapek, które na wyroku zamiast podpisów zostawili szatańscy sędziowie. Szczegół ten nie jest jednak istotny, gdyż upłynęło już ze dwieście pięćdziesiąt lat od opisanego wydarzenia, a i sędziwy Seweryn Soplica mógł coś tam wspominając przeinaczyć. Najważniejsze jest to, że przetrwała w żywej pamięci lublinian wszystkim znana legenda.

Dziwne może się jedynie wydawać, że lublinianie zupełnie nie zapamiętali innego cudownego wydarzenia, o którym też opowiedział Seweryn Soplica.

W czasie jego pobytu w Lublinie miał sprawę w trybunale niejaki pan Kurdwanowski. Posiadał w okolicach Żytomierza i Włodzimierza wielkie dobra. Przy tym był wielkim pieniactwem i nigdy nie baczył na żadne względy ni wyrządzone innym krzywdy.

Wśród jego włości niewielką wioseczkę miała biedna wdowa. Kurdwanowski postanowił ją tej skromnej własności pozbawić.

W tym celu wykorzystał nieuczciwość przekupnych urzędników, którzy wykradli z archiwów ziemstwa i sfalszowali potrzebne dokumenty. Wdowa przegrała w sądzie ziemskim, złożyła więc apelację do Trybunału. Pewny swego Kurdwanowski jechał na wyznaczoną sprawę w Lublinie. Na nocleg zatrzymał się w Piaskach. Tu miał cudowny sen o odbywającym się przed lubelskim trybunałem jego procesie Skład

sędziowski jakby miał dar jasnowidzenia - bez trudu wykrył wszystkie matactwa, fałszerstwa i kłamstwa. Wspólników Kurdwanowskiego osądzono na karę śmierci, a jego wyrok odłożono do Wielkanocy. Marszałek tego niezwykłego sądu uderzył łask i w stół i pan Kurdwanowski się obudził. Jadąc do Lublina próbował puścić w niepamięć ogłoszony wyrok i sen zlekceważyć. „I tak do Lublina przyjechał nieco uspokojony, a przyjechawszy, zaczął koło swojej sprawy chodzić i popierać ją na sucho i na mokro”.

Aż tu przybywa do niego sztafeta z wieścią, że dwaj jego wspólnicy, na których zapadł we śnie wyrok śmierci, zginęli, gdy pod ich karetą most się zawalił. „Dopiero tak się przeraził pan Kurdwanowski, że pierwszy raz w życiu okazał się skłonny do zgody. Nie tylko z całego procederu zakwitował panią Glinkową, ale z najsumienniejszą skrupulatnością wynagrodził jej wszystkie wydatki i szkody, jakie poniosła z jego powodu, i klęcząc, w obliczu wszystkich prosił ją, by mu odpuściła, opowiadając publicznie sen, który Pan Bóg łaskawy mu posłał i który w części już się ziścił...”

Opowieść tę przytoczył Rzewuski, by nie myślano, że w Lublinie tylko diabelskie sądy się odbywały, i że nie wszyscy byli przekupni, niesprawiedliwi i zatwardziałego serca. Wielu nieuczciwych peniaczy i sędziów do końca życia, jak pana Kurdwanowskiego, dręczyły wyrzuty sumienia i bojaźń przed sprawiedliwym sądem Boga. Przedsmak takiego sądu odczuwali już skorumpowani deputaci podczas limity, czyli zamknięcia trybunału. Każdy musiał złożyć przysięgę: „...jako sędził według Boga, sumienia i prawa i jako nie brał korupcyi”. Każdy deputat taką rolę przysięgał, ale nie każdy sumnieniem spokojnym i głosem wyraźnym wymawiał te słowa. Byli tacy, których kaszel dusił, choć go przed przysięgą nie cierpieli, usta im blade i ręka położona na krucyfiksie, trzęsa się jak w paroksyźmie febry, ile kiedy na niektórych pacjenci przytomni wołali z boku: Boj się Boga! nie przysięgaj, otoś brał korupcją. oto te rumaki zaprzężone do karety, oto te bryki naładowane sprzętami, którycheś z sobą nie przywiózł, wydają cię, żeś przedawał sprawiedliwość...”

Poruszali też nieczyste sumienia kaznodzieje, kiedy w niedzielę deputaci i palestranci schodzili się na sumę do jezuitów. Jezuita, ordynariuszem trybunałskim zwany, w czasie kazania bez ogródek wypomina! wszelką nieprawość, występki i rozpustę deputatów i palestry.

Te wszelkie „korupcyje” i nieprawości rodziły się w dużej mierze z niedostatków stanowiącej trybunał konstytucji. Powołując tak poważną instytucję nie przewidziano na jej działalność żadnych pieniędzy. Pełniący przez rok sędziowską funkcję deputaci nie otrzymywali żadnego wynagrodzenia. Marszałkowie trybunałscy po limicie kandydowali zwykle na fotel senatorski, prezydenci otrzymywali biskupstwo, a deputaci mogli jedynie liczyć poniesione straty.

Nic więc dziwnego, że wielu „sprzedając sprawiedliwość” chciało wyrównać uszczerbek na własnym majątku spowodowany pełnieniem zaszczytnej społecznej służby. Sprytniejsi i bez moralnych skrupułów potrafili przy tym jeszcze nieźle swoje majątki pomnożyć.

W czasach Stanisława Augusta Trybunał w jego tradycyjnej postaci uznawany był za przeżytek, stąd satyryczne ukazywanie i wyolbrzymianie wszelkich jego ułomności.

Już w 1764 roku na sejmie koronacyjnym „Familia” podjęła działania zmierzające do osłabienia potęgi Trybunału. Doprowadzono do jego podziału na dwa odrębne: wielkopolski i małopolski. Trybunał małopolski jak dawniej miał swą siedzibę w Lublinie, ale druga jego kadencja miała odbywać się we Lwowie. Na pierwszego prezydenta tego wydzielonego małopolskiego trybunału został wysunięty przez „Familię” i dwór Ignacy Krasicki. Nie obyło się to jednak bez wypróbowanego niegdyś, a potępianego obecnie przez reformatorów „naginania prawa”. By trzydziestoletni ksiądz mógł zostać deputatem, musiał najpierw uzyskać godność kanonika. Jego możni protektorzy bez trudu to załatwili. Krasicki został kanonikiem kapituły lwowskiej, która natychmiast obrała go swoim (deputatem i to z tytułem prezydenta. Jako prezydent wjechał uroczyście, jak zwyczaj kazał, w 1765 roku do Lublina.

Reasumpcja tego zreformowanego trybunału odbyła się 11 lutego, a limita zgodnie z tradycją w sobotę przed niedzielą kwietną, 30 marca. Krasicki przebywał w Lublinie nie całe dwa miesiące. Otrzymał zadanie oczyszczenia trybunalskiej stajni. Temu celowi miały służyć opracowane pod jego przewodnictwem przepisy tajne obowiązujące wszystkich deputatów. Miedzy innymi zabraniały one pod karą utraty głosu wychodzenia w czasie wetowania. Gdyby ktoś, broń Boże, porwał się z orężem w izbie i zranił kolegę, miał być karany podług praw zwykłych. Nikt z deputatów nie mógł wejść do sali sądowej pijany.

Poza tym o pobycie Ignacego Krasickiego w Lublinie niewiele wiadomo. Dopiero po latach obyczaje panujące w lubelskim trybunale w sposób satyrycznie karykaturalny przedstawił w Mikołaja Doświadczyńskiego przypadkach. Właściwie nie wiadomo jak ten literacki obraz miał się do zastanej rzeczywistości.

Za Stanisława Augusta na kolejnych sejmach starano się działalność Trybunału Koronnego zreformować i usprawnić. W roku 1768 ustalono wreszcie odpłatność za pełnienie obowiązków deputata, uporządkowano sprawy palestry. W latach 1781-1787 przebudowano według projektu królewskiego architekta Dominika Merliniego ratusz lubelski nadając mu dzisiejszy wygląd klasycystycznego pałacu.

Do czasu utraty niepodległości, mimo wielu głosów krytyki, nikt nie odważył się wystąpić z wnioskiem likwidacji Trybunału Koronnego. Była to bowiem instytucja, bez której Rzeczpospolita nie mogła się obyć. Uznawany był za gwaranta szlacheckiej wolności. W pierwszym okresie swego istnienia szczycił się najwyższym szacunkiem i powagą, o czym może chociażby świadczyć tytuł w 1638 roku wydanego dziełka Andrzeja Lisieckiego: „Trybunał Główny Koronny siedmią splendorów oświecon”. Dwieście lat później Kajetan Koźmian, który nie szczędził trybunałowi krytyki, stwierdził, iż: „był on w kraju, za czasów jego niepodległości, najważniejszą, najświetniejszą, majestatyczną magistraturą - magistraturą wyręczycielką i zastępczynią w szafunku sprawiedliwości majestatu i władzy królów.”

A co Trybunał Koronny dał Lublinowi? Bez wątpienia wytypowanie tego miasta na siedzibę najwyższego sądu Rzeczypospolitej było dużym wyróżnieniem. Lublin wybrano nieprzypadkowo. Tu bowiem odbywały się sejmy, tu podpisano unię z Litwą. W XVI wieku miasto zaliczano po Krakowie i Wilnie do największych i najbogatszych w Koronie i Litwie.

Jednak już w roku 1750 w suplice miasta Lublina skierowanej na sejm w Warszawie

czytamy: „Teraz [...] tylko obaliny kamienic tak dawno i w tym roku upadłych okropną miasta reprezentuje całemu Królestwu scenę.”

Do tak wielkiego upadku miasta bez wątpienia nie tylko, przyczyniły się pożary i wojny, ale przede wszystkim Koronny Trybunał. W czasie sesji Trybunału Rada Miejska musiała przenosić swe urządowanie najpierw do mieszkań prywatnych, później do zakupionej kamienicy zwanej „małym Ratuszkiem”

Nie była to tylko jedna szkoda, z którą można się było w końcu pogodzić, ale miasto musiało ponadto zapewnić bezpłatne kwatery dla deputatów i stu żołnierzy stanowiących ochronę i asystę Trybunału. Oficerowie i żołnierze wymuszali od przyjeżdżających na targ opłaty za przywiezione i sprzedawane towary, co powodowało w mieście drożyznę.

Największe straty i szkody dla miasta przynosiły tzw. jurydyki. Były to osady tworzone przez magnatów i szlachtę wokół budowanych na gruntach miejskich pałaców i dworów. Pałace i obszerne domy wynajmowano deputatom, palestrantom i zamożnym pacjentom. W jurydykach osadzano rzemieślników i organizowano handel nie płacąc na rzecz miasta z tej działalności żadnych podatków.

Większość miejskich kamienic wykupiła szlachta i duchowni. Czerpali z nich duże dochody nie ponosząc żadnych wobec Trybunału i miasta zobowiązań.

Poważne zagrożenie dla miasta sprawiały też lokowane na jego gruntach liczne klasztory. Korzystały one z hojności pieniączej się szlachty. Jedni poprzez modlitwę mnichów chcieli wyjednać dla swych niezbyt pewnych spraw przychylność Niebios. Inni, których dręczyło sumienie, składali poważne jałmużny i wota z prośbą, by zakonnicy modlili się o zbawienie przekupstwem i krzywoprzysięstwem pokalanej duszy. Przy klasztorach też powstawały wyjęte spod praw miejskich jurydyki.

W efekcie inwazji szlachty i klasztorów Lublin stracił niemal wszystkie ziemie ze stu łanów przyznanych mu przez Władysława Łokietka w czasie lokacji.

Mało tego, ludzie asystujący Jaśnie Oświeconemu Trybunałowi „kordygardy dezolowali, ognie ustawicznie palili, drwa na sklepieniu rąbali, tapczany, na których sypiali po limicie Trybunału wielkim ogniem pod sklepieniem Ratusza z niebezpieczeństwem miasta palili”. Na interweniujących rajców zupełnie nie zwracano uwagi. Skarżyli się więc mieszczanie lubelscy do króla i sejmu w wysyłanych suplikach, które też nie odnosiły żadnego skutku.

Chcąc zjednać życzliwość marszałka lub prezydenta burmistrzowie składali im czasem swoje powinszowania, ale jak pisze Kitowicz: „Ta jednak submisja (uniżoność) na sucho była przyjmowana, za powinność raczej niż za grzeczność poczytana. Nigdy mi się nie zdarzyło widzieć ani słyszeć nawet, żeby który marszałek lub prezydent oratora miejskiego i jego kolegów wezwał na obiad. Stan miejski też czując swoją wzdargę do szlachty, nigdy się tam nie cisnął, gdzie ta biesiadowała.”

Swoje utrapienia od Trybunału mieli też Żydzi. Utał się bowiem taki zwyczaj, że po otwarciu sesji służalcy palestrantów, deputatów i z przybyłych na sądy dworów zbierali się przed Ratuszem, tworzyli koło i urządzali kijowe zawody. Szermowali się ze sobą kijami. Kto zwyciężył wszystkich zawodników, zostawał marszałkiem, drugi wicemarszałkiem, trzeci instygatorem, czwarty wiceinstygatorem.

„Z tymi urzędnikami nowo obranymi - jak pisze Kitowicz - cała ta hałastrą idzie do Żydów, gdzie są. Ci muszą się zaraz zdobyć na prezenta dla pomienionych urzędników i na ucztę całej czeredy, co Żydowie natychmiast wykonywali nic śmiejąc się sprzeciwić, ani mogąc uniknąć napaści głów zagorzałych, którzy gdyby nie byli ukontentowani, żadnemu by Żydowi w rynku pokazać się bez wciągnięcia go do koła i wytrzepania mu tam kijem krymki i pleców nie dopuścili”.

Dopiero Ignacy Krasicki w swej instrukcji polecił deputatom i palestrantom, by tę swawolę służalców ukrócić.

Te wszystkie plagi spadające na miasto wraz z działalnością Trybunału Koronnego sprawiły, że zachowała się o nim w Lublinie tylko zła pamięć, którą najlepiej ilustruje legenda o sędziu diabłów, a utrwała wypalony na stole ślad czarnej łapy.

W starej kamienicy

Tę piękną renesansową kamienicę łatwo odnaleźć w Rynku lubelskiego Starego Miasta. Wyróżnia ją spośród innych bogaty wystrój zewnętrzny, ozdobna kamieniarka przy oknach pierwszego i drugiego pietra, z rzeźbionymi postaciami herm, gubiącymi swoje torsy w roślinnych ornamentach. Wieńczy ją też wspiana attyka.

Pięć niesymetrycznie rozstawionych okien i resztki oskarpowania wskazują na przedrenesansowy, jeszcze gotycki jej rodowód. Ta, którą dziś możemy oglądać, powstała zapewne z połączenia dwu stojących obok siebie starszych budowli. O tamtych niewiele wiadomo, ale i ta, która przetrwała do naszych czasów, też jest osnuta legendą. Po upływie czterystu lat zapomniano nawet, kto nadał jej kształt renesansowej mieszczańskiej rezydencji.

W pierwszej połowie dziewiętnastego wieku dom ten już nazywano „pałacem Sobieskich”. Wiadomo bowiem było, że Marek Sobieski, wojewoda lubelski, i inni przedstawiciele tego rodu mieli w Lublinie jakieś posiadłości. Wyszło stąd wniosek, że tylko ta najpiękniejsza staromiejska kamienica mogła należeć do królewskiej rodziny. Jeszcze dziś, kiedy wiadomo, że dom ten nigdy do rodziny Sobieskich nie należał, wystarczy zapytać mieszkańca Starego Miasta o kamienicę Sobieskich, a każdy bez trudu ją wskaże. Nie każdy jednak zna i potrafi opowiedzieć prawdziwe jej dzieje. Trud taki podjęła przed laty Irena Buczkowa, która szperając w starych lubelskich księgach znalazła dostateczną ilość materiałów świadczących o tym, że kamienica należała niegdyś do patrycjuszowskiej rodziny Konopniców. Potwierdził to również odkryty na jednej z belek stropowych w wielkiej trzykiennej komnacie gmerk z inicjałami „S. K.” i wyrzeźbioną datą 1597. „S. K.” to bez wątplenia pierwsze litery imienia i nazwiska Sebastiana Konopnicy, który był rajcą, a w późniejszym czasie piastował godność i urząd burmistrza.

Na przełomie szesnastego i siedemnastego wieku ród Konopniców należał w Lublinie do najmożniejszych. Przedstawiciele tego rodu nie tylko byli znani ze swych okazałych majątków, ale cechowała ich odwaga, przedsiębiorczość i oszczędność. Należeli do ludzi upartych i nieustępliwych, wytrwale zdążających do obranego celu. Najcięższe życiowe próby, a nawet klęski znosili dzielnie, nie poddając się złemu losowi.

Dowód prawdziwej odwagi dał już w 1572 roku Jakub Konopnica, który podczas morowej zarazy straciwszy dwie piękne córki (Konopniczanki słynęły z urody), nie wyjechał z Lublina, ale jako jedyny rajca wraz z Janem Gibelem, zastępującym ówczesnego burmistrza, znakomitego i sławetnego Walentego Sierpowskiego, doktora filozofii i medycyny, pozostał na miejscu i pilnował zapowietrzonego i opuszczonego prawie przez wszystkich miasta.

O dalszych losach Jakuba kroniki milczą, ale wkrótce w dokumentach pojawia się postać Sebastiana Konopnicy (może nawet syna Jakuba?), który pojął za żonę Katarzynę z Kretków, wnoszącą mu w posagu kamienicę w Rynku, którą wkrótce Sebastian przebudował nadając jej kształt renesansowy.

W czasie przebudowy nakazał, na wiecznej rzeczy pamiątkę, wyrzezać swoje inicjały oraz rok tego wydarzenia. Czy mógł wówczas przypuszczać, że prawie po

czterystu latach, ktoś te inicjały odczyta i zainteresuje się losami jego rodziny?

Sebastian i Katarzyna Konopnicowie mieli dwóch synów, Aleksandra i Andrzeja, oraz słynącą z niepospolitej urody córkę Barbarę. Znaczny posag, który swej córce Sebastian przygotował, jeszcze wzmacniał jej przyrodzone niewieście powaby. O względy pięknej i posażnej panny ubiegało się wielu, nie tylko synów najznakomitszych lubelskich mieszczańskich rodzin, ale łasym okiem w jej stronę patrzył i niejednen z okolicznej szlachty. Szczególnie gorącym afektem zapalał ku niej Jan Rudnicki, młody szlachcic z niedalekiego Rudnika.

Piękny był to młodzieniec, postawny, wysoki, z kędzierzawymi włosami i czarnym podkreślonym w górę wąsem. Rudnicki znany był ze swej junackiej ochoty. Wpadał nieraz do miasta na pokrytym pianą koniu, pokrzykiwał przepędzając z drogi kupczących na rynku łyków. Podjeżdżał do gospody i z takimi samymi jak on zawadiakami wino popijał, a po pijanemu to i szabli nieraz dobywał. Spokojni i stateczni mieszczenie trochę się go bali, ale mieszczeni wodzili za nim oczyma, bo pełen był junackiej fantazji i męskiej urody.

Rudnicki upatrzył sobie córką Konopnicy i zaczął ku niej smalić cholewy. Trochę się nawet na jakiś czas jakby uspokoił. Kiedy spotykał Barbarę, prawił jej różne takie uprzejmości i bajął o zasłyszanych światowych i dworskich cudactwach. Nachodził ją i nachodził, aż w końcu dziewczynie nieźle w głowie zawrócił. Sebastian zajęty służbowymi sprawami i budową nowego domu rzeczy tej na czas nie dopatrzył. Kiedy doniesiono, że Rudnicki córkę mu bałamuci, rozsierdził się bardzo i kazał szlachcicowi donieść, że Barbary mu nie da, bo ma inne wobec niej zamiary. Zmawiał się już od jakiegoś czasu z sąsiadem swym, sławetnym Laurencjuszem Lemką, zacnym i majątnym rajcą lubelskim, o wyswatanie Barbary z jego synem, Hanusem, który w Krakowie na chirurga się edukował.

Barbara przy takich rozmowach zwykle czerwieniła się nie tylko z panieńskiego wstydu, ale i ze złości.

- Nie mówiłby pan ociec przy mnie o takich rzeczach - sierdziła się i uciekała do drugiej komnaty

- Patrzcie, sąsiedzie, jakie to jeszcze młode i płoche - bagatelizował jej gniew Konopnica - życia jeszcze nie rozumie. Myśli, że zawsze będzie trzymać się matczynej spódnicy.

- Ano i mój Hanuś jeszcze tylko przy tych swoich księgach ślęczy i nie rwie się do żeniaczki.

- To dobrze, bo w tym Krakowie mógłby nam jakiej biedy napytać. Są tam przecie takie mieszczeni fertyczne, co to jak tylko u jakiego studenta fortunę większą zwietrzą, to tak go omotają i zbałamucą, że biedak głowę traci i na gwałt pragnie się żenić.

- O-o, co to, to nie. Mój Hanuś, jak wiecie, sąsiedzie, jest chłopak rozumny i stateczny, a bez woli rodzica na taki postępek się nie odważy. A takiej urodziwej i posażnej panny jak wasza Baśka i w Krakowie, i w innych miastach przecie nie znajdzie.

- No, w Krakowie to pewnie są i piękniejsze, i posażniejsze.

- Ale takie patrzą wysoko.

- I płochości w nich więcej, bo to ci możni panowie przyjeżdżający na dwór królewski psują dziewczki. Nadeszły teraz takie czasy, że ani na cnotę, ani na honor

białogłowski i przyrodzoną skromność niewieścią żaden nie patrzy. Bałamuca dziewczki, a potem ojcowie mają kłopot, by jak najrychlej za byle jakiego parobka taką wyswatać.

- U nas jeszcze takich rzeczy nie ma, ale jak możni panowie i szlachta zaczną liczniej zjeżdżać na trybunały i na jarmarki...

- No, sąsiedzie - Konopnica się trochę obruszył - sami przecie widzicie, że moja Baśka chociaż trochę płocho, do takich rzeczy się nie rwie, a i matka ją dobrze strzeże.

- A ten Rudnicki?

- Co?! Rudnicki? - skoczył Sebastian jak oparzony - Rudnicki? Ten hołysz i świszczypała? Siedzi szlachetka na ubogim kawałki ojcowizny w Rudniku i pachną mu miejskie dziewczki, a jeszcze bardziej ich ojców uskładane majątności. Niech sobie szuka takiej jak i on sam wiatrem podszytej szlachcianki. Baśki mu nie dam.

- Nie sierdźcie się, Sebastianie, bo przecie znam was nie od dzisiaj, ale taki przyjedzie na karym koniu, podkreści do góry węża, zabrzęczy ostrogami, a o bok, gdzie mu wisi to szlacheckie szabliśko zacznie ręką strzelać, to i dziewczce może w głowie przewrócić. Mówią, że i teraz zjeżdża do Lublina, żeby z waszą Baśką potajemnie się spotykać i zmawiać, a każdej niedzieli przybywa do naszej fary jakby to gdzie bliżej kościoła nie miał.

- Już mu donieśli, że Baśka nie dla niego, ale jak będzie potrzeba, to mu tak po ojcowsku wyłożę, jakem Konopnica.

- Mój Hanuś to przecie tylko mieszczanin, a dziewczce może się mani, żeby zostać panią i mieć za męża szlachcica, i dziatki swoje w szlachectwie poczynać. Wy też mielibyście szlachetnie urodzone wnuki.

- Co? Szlachetnie urodzone wnuki? Żeby się potem swoich wstydzili? O, niedoczekanie jego, Baśki Rudnickiemu nie dam, jakem rajca i burmistrz Lublina.

- A jeśli Baśka mego Hanusa nie zechce?

- To po niewoli do ołtarza powiodę. Głupie to jeszcze i nierozumne, a po ślubie to ją już wasz Hanus pięknie przysposobi, to i zapomni szlachcica, a nam będzie dogonnie wdzięczna, żeśmy nie dopuścili do głupstwa.

- Daj Boże, daj Boże. Takie dwie fortuny, jak się połączą, a dobry zawód chirurga je wesprze, a wasi synowie pomnożą majątno ści przez dobre ożenki, to dopiero Lemkowie i Konopnice całym Lublinem będą trzęśli. Nikt im tu rady nie da.

- Oby tylko do tych czasów dożyć.

- Będziemy mieli chirurga w rodzinie, to nas będzie na stare lata kurował.

- Żeby tylko Hanus szybciej nauki w Krakowie kończył i przybywał, a zrobimy im weselisko, jakiego jeszcze Lublin nie widział.

- Daj Bóg, daj Bóg, oby im się wiodło w życiu jak najlepiej. Tak popijając przy kominku miodek, gwarzyli sobie sąsiedzi o przyszłym swoich dzieci szczęściu.

Baśka nie mogła bająć tych słuchać, bo Hanusa nie lubiła. Był niski, z krzywymi nogami, z perkatym nosem, a do tego ślinił się trochę sepleniał.

- Mamo, wolę już iść za mniszkę do zakonu brygidek, jak mam całe życie patrzeć na tego zaślinionego Hanusa.

- Wiesz przecie, że ociec na małżeństwo z panem Rudnickim nie zezwoli.

- Ale ja za tego Hanusa nie pójdę.

- To pokornie poproś, może ci ociec innego chłopaka zmówi.

- Nie chcę żadnego.
- I pana Rudnickiego też nie chcesz?
- Mamo, wiecie, że tylko jego jednego miłuję i pójdę za niego, choćby i bez ojcowej woli.
- Bój się ty Boga, bez woli rodzica? Toż was żaden ksiądz nie zwiąże węzłem małżeńskim, a ociec ciebie wyklnie i wydziedziczy.
- Po niewoli nie będę szła za Hanusa.
- Uspokój się, dziecko, to ci przejdzie. Ja też w twoim wieku...
- Mówię, mamie, nie przejdzie - i zaczęła płakać, wtuliwszy się w matczyne ramiona.
- No, uspokój się, przecież jakoś się to w końcu ułoży.
- Jeśli nie pójdę za pana Rudnickiego, to wolę umrzeć albo do klasztoru...
- Na to jeszcze masz czas. Przy takiej urodzie i posagu, to chłopaki by ciebie zza murów klasztoru porwali.

- Mówicie, że porwaliby mnie zza murów klasztornych?
- Pewnie, jeśli Pan Bóg dał taką urodę, to nie po to by ją za murami klasztoru ukrywać. Uspokój się, moje dziecko, i wierz, że się jeszcze wszystko na dobre odmieni. Ociec znajdzie ci ładniejszego i bogatszego chłopaka, a ten Hanus uczony i może ciebie nie zechce. Nie masz się jeszcze czego turbować. Otrzyj łzy, bo one młodemu liczkowi nie dodają krasy.
- Dobrze, nie mówmy już, matko, o tym, ale co macie do tego pana Jana Rudnickiego?
- Jest to szlachcic, hołysz i świszczypała. Bardziej on na twój posag, aniżeli na ciebie i na twoją urodę patrzy.
- Mówił mi, że na moim posagu mu nie zależy.
- To tak się zwykle młodym dziewczynom gada, byle im w głowie zawrócić, a po ślubie wyśle ciebie zaraz do ołca po należne działy.
- On nie jest taki.
- A co ty o nim wiesz? Kilka razy zaledwieś go widziała...
- Wcale nie kilka razy.
- To się bez mojej i ołca wiedzy częściej schodzicie?
- Schodzimy - odpowiedziała hardo Barbara.
- Bój się Boga, gdyby się ociec o tym dowiedział, to...
- Nie mówcie tego tacie, bo by zupełnie zakazał z domu mi wychodzić, a ja bez pana Jana Rudnickiego żyć nie mogę i nie będę.

Słowa te mocno strapiły Katarzynę. Jeszcze tego samego wieczoru przeprowadziła rozmowę z mężem.

- Hanus przyjedzie na godnie święta z Krakowa, to się zrobi znowiny - lekceważąc upór córki, mówił Sebastian - a teraz pilnuj jej lepiej, zwłaszcza kiedy mnie w domu nie będzie. Zmowinami Rudnickiego na dobre się przepłoszy i będziemy mieli z nim spokój.

- Byle tylko ten Rudnicki jakiej biedy nam nie napytał - mówiła zatroskana matka.

- A co to nad szlechecką samowolą w naszej Rzeczypospolitej nie ma już prawa?

- Nie daj Boże, żeby aż do tego doszło - strwożyła się Katarzyna.

Sebastian ją uspokoił i jeszcze raz nakazał strzec dobrze córki. Teraz już Katarzyna nie puszczała samej Barbary nawet do kościoła. Widząc to, Baśka stawała się coraz bardziej skryta i markotna.

Wbrew matczynym i ojcowskim zakazom po kryjomu schodziła się z Janem Rudnickim, który często do Lublina przyjeżdżał. Jeśli go dłużej nie było, to listy tajemne słała do Rudnika przez zaufanego parobka. Prosiła w nich, by ją pan Jan od tego syna Lemki jako ratował. Rudnicki jeszcze kilka razy sam i przez ludzi próbował nakłonić ku sobie życzliwość Sebastiana, ale ten o małżeństwie córki ze szlachcicem nawet słuchać nie chciał.

Tymczasem zbliżały się godnie święta, na które miał zjechać z Krakowa Hanuś Leinka. Na jego przyjazd wszyscy czekali niecierpliwie. Tylko Barbara coraz częściej chlipała po kątach. Na dziewczęce fochy Sebastian uwagi nie zwracał. Jego ojcowska wola była święta i nikt nic miał prawa jej się sprzeciwiać. Stroskana matka, jak tylko mogła, uspokajała córkę, ale to wywoływało zupełnie przeciwny skutek. Baśka wybuchała coraz gwałtowniejszym płaczem, zaklinając się, że za Lemkę nie pójdzie.

Na kilka dni przed świętami przyjechał wreszcie Hanuś Lemka.

- Jeśli przy tych swoich medycznych księgach zupełnie nie skapcianał - mówił Sebastian - to zaraz zabierze się do Baśki i tego Rudnickiego z jej głowy wypłoszy.

- Daj Bóg, daj Bóg - wzdychała stroskana Katarzyna, która z Baską już sobie nijak poradzić nie mogła.

Hanus zjawił się w domu Konopniców zaraz następnego dnia po przyjeździe. Baśka, jak go ujrzała, wpadła do drugiej komnaty, zaparła się i nie chciała pokazać.

Hanus zupełnie nieźle wyglądał, był tylko nieco przybladły, widać jeszcze zmęczony naukami i podróżą. Uciezka Baśki jakby go trochę stropiła. Nie bardzo wiedział od czego rozmowy zacząć. Coś tam pytał o zdrowie sąsiadów, trochę narzekał na uciążliwość drogi i na łamanie głowy przy medycznych naukach.

Sebastian z Katarzyną, a i ich synowie, próbowali go jakoś rozweselić, opowiadając, co się ciekawego wydarzyło ostatnimi czasy w Lublinie. Hanus jednak nie przejawiał zbyt ciekawości, bo już mu w domu o tym opowiadano. Uciezka Baśki całkiem popsuka mu szyki. Spoglądał co chwilę na zaparte drzwi, za którymi skryła się dziewczyna i nie wiedział, o czym ma dalej rozmawiać. Ojciec przykazywał mu, by się z dziewczką grzecznie przywitał i coś opowiedział o ciekawościach ze świata. Trochę podniecony spotkaniem, już w domu przypomniał sobie różne ucieszne powiastki o żakowskich swawolach. Teraz wszystko na nic, bo rodzicom nie będzie przecie tego paplał. Gdyby Barbara wyszła i chciała go posłuchać, ale gdzie tam, nawet na przywołanie matki nic zza drzwi nic odpowiadała.

Hanuś wreszcie zaczął miarkować, że do uciezki nie skłonił jej zwykły wstyd wydawanego za męża dziewczęcia. Czegóż miałyby się go wstydzić, kiedy znali się od małego dziecka? Wyraźnie było widać, że Barbara go nie chce. O Janie Rudnickim coś tam mu w domu bąknęto, ale nie sądził, że to aż tak daleko zaszło.

Trochę zgniewany na ojca, że go chce na siłę z dziewczyną swatać, skończył rozmowę, wymawiając się jakąś pilną robotą i zabrał się do wyjścia.

Kiedy już go nie było, ojciec i matka zaczęli do Baśki kołatać, ale ta nie chciała wyjść ze swej komnaty aż do wieczora. Zgniewało to Sebastiana i postanowił, że z wolą czy bez woli córki po świętach zrobi znowiny. Zaraz też sam do Lemków się wybrał, żeby wszystko ustalić, i w ten sposób opór córki przełamać. Termin znowin ustalili ojcowie na święto Trzech Króli, zaraz po nieszpórach. Do tego czasu Sebastian miał córkę nakłonić do zgody na małżeństwo z Hanusem. Ze ślubem mieli poczekać

do lata, kiedy Hanus skończy wszelkie w Krakowie nauki.

Następnego dnia przy obiedzie Sebastian uroczyście o tym ogłosił całej rodzinie. Baśka słysząc to zaniósła się wielką żałością. Jeść dalej nie chciała i znowu zaparła się w swojej komnacie nie chcąc nawet wpuścić do siebie matki. Pisała list do ukochanego, donosząc o tych zamierzeniach. Rudnicki, który zaraz odpisał, uspokajał ją i dodawał otuchy, zapewniając ukochaną, że się, wszystko jeszcze dobrze zakończy.

Dziewczyna trochę się uspokoiła, ale w żaden sposób nie mogła wymiarkować, jak Rudnicki może ją od nieszczęścia wybawić. Zobaczyła go w kościele w święto Bożego Narodzenia, ale matka pilnie jej strzegła, by się z Rudnickim rozmówić nie mogła. Jeszcze raz ujrzała ukochanego w święto Nowego Roku. Rudnicki przyjechał do Lublina sankami zaprzężonymi w dwa piękne gniade konie, jakby się chciał nimi przed ludźmi pochwalić. Tłum był jednajc wielki w kościele, a i przed farą ciżba wychodzących, to i sankami za idącą z matką Barbarą nie mógł nadążyć. Barbara tylko dwa razy w stronę jego z daleka spojrzała, a ukochany pomachał ku niej ręką.

Następnego dnia znowu przysłał Barbarze potajemne pismo, w którym zapewniał, że męki już wkrótce się skończą. W święto Trzech Króli musi ją za wszelką cenę w kościele zobaczyć i chce, by była tak samo pięknie w kożuszek i tak ciepło jak w Nowy Rok ubrana.

Dziewczyna rozplakała się tylko, czytając te słowa, bo sądziła, że dzień Trzech Króli będzie ostatecznym dniem ich pożegnania. Jeszcze raz próbowała prosić ojca, by zmówiny odłożył. Sebastian był jednak człowiekiem nieustępliwym i o odkładaniu zmówin nawet i słuchać nie myślał. Żonie przykazał przygotować dom i odpowiednią wieczerzę na przyjęcie swatów. Córce powiedział, że jeśli będzie jeszcze swoje fochy stroić, to zmowiny obejdą się i bez niej. Zmowiny i tak bardziej obchodzą rodziców, którzy muszą wszystko obgadać i uzgodnić, a młodzi będą potrzebni dopiero do ślubu, tego czasu może się dobrze wypłakać i namyśleć.

Te twarde słowa jeszcze mocniej rozżaliły dziewczynę, teraz już bez przerwy chlipała po kątach. Rozmyślała, jakie będzie to jej ostatnie z ukochanym spotkanie. Wystroiła się, jak tylko mogła, odziała w nowy kożuszek, który się panu Janowi tak bardzo podobał, wzięła dwie nowe spódnice, gruby, haftowany serdak, ciepłe botki i dużą chustkę. - W takim przyodzieniu - mówiła sobie - mogłabym iść nawet za nim na koniec świata.

Rudnicki przyjechał pod kościół sankami dobrze przed rozpoczęciem nabożeństwa. Chłopakowi stajennemu kazał konie derkami ponakrywać i do toreb obroku świeżego podsypać. Sam poszedł do winiarni, by pokrzepić się i rozgrzać kwartą grzanego wina. Podochocony był, ale żadnej zwady z nikim nic wszczynał. Mieszczanie trochę z trwogą na niego patrzyli, a Hanus Lemka, jak się dowiedział, że Rudnicki w winiarni przebywa, wolał się mu nie nawijać na oczy, bo i zwada zaraz byłaby pewna.

Kiedy ludzie zaczęli wysypywać się z domów, zmierzając do fary na uroczyste nabożeństwo, Rudnicki otarł węża i poszedł do swych sanek, by tam na Barbarę poczekać. Pięknie przy tych swoich sankach i gniadych koniach wyglądał. W lisiej czapie, długim, niemal do samej ziemi kożuchu, spod którego wyglądała pięknie

odczyszczona szabla. Mieszczki i szlachcianki, które zjechały na mszę do kościoła, patrzyły w jego stronę z zachwytem. On znajomym pięknie się lisią czapką kłaniał. Takim samym, a może jeszcze niższym ukłonem powitał idącą do kościoła Barbarą i jej matkę. Dziewczyna widząc go zarumieniła się i, by nie narażać się na obmowę, spuściła swoje ciemne piękne oczy. Łzy jej się zakręciły, ale otarła je nieznacznie ręką.

Przez całą mszę nie mogła się skupić, nie rozumiała wygłaszanego przez księdza kazania, bo czuła wlepione w siebie oczy pana Jana. Kilka razy nawet nie mogła wytrzymać i zerknęła niby niechcący ku tyłowi kościoła, gdzie prawie pod samym chórem, w pobliżu wejścia, stał on i nie spuszczał z niej oka. Łzy same coraz to nachodziły do oczu, czuła się mocno zgnębiona i smutna. Denerwował ją ten uporczywy wzrok i jakby niefrasobliwy pana Jana uśmiech.

Może już inną sobie znalazł, myślała, może tylko przyjechał do kościoła, by nią po raz ostatni oczy swoje napaść.

Nawet nie spostrzegła, kiedy msza się skończyła i ludzie zaczęli wychodzić. Matka musiała nieprzytomną pociągnąć za rękaw. Wychodziły powoli, czekając, żeby trochę się ciżba przepchnęła. Barbara wodziła po wychodzących oczyma, chcąc jeszcze raz chociaż wzrokiem z ukochanym się spotkać. Ale ani wśród wychodzących, ani w tłumie przed farą, ani nawet przy saniach pana Rudnickiego nie było. Barbara przełknęła gorzką ślinę i z pochyloną głową szła bezwolnie za matką. W ulicy Grodzkiej tłum się rozrzedzał, bo nikomu nie spieszo było do domu. Kumoszki zostawały, by jeszcze trochę z sąsiadkami pogadać, młode dziewczęta zbite w niewielkie gromadki coraz to wybuchały śmiechem zalecając się w ten sposób do stojących obok chłopaków, stateczni mieszczanie i panowie szlachta zrywali się do gospody na grzane wino.

Przeszedłszy kilkadziesiąt kroków, Konopnicowa z córką dojrzały stojące u wylotu ulicy Grodzkiej sanki. Obok nich stał Jan Rudnicki i wyraźnie było widać, że właśnie na nie tutaj czeka. Katarzyna nieco się strwożyła, obawiając się, by Rudnicki jakiej zwady nie szukał, ale zaraz się uspokoiła, bo przecież szlachcic na dwie bezbronne kobiety nie będzie napadał. Widząc swego ukochanego, Barbarze serce wstąpiło do gardła. Zesztywniały jej nogi, bo czuła, że pan Jan specjalnie tak stanął, by ją mieć jak najbliżej siebie. Nieco zawstydzona spuściła głowę. Nie bardzo wiedziała, co ma ze sobą począć. Zbliżając się do sań, jakby czuła każdy jego oddech. Może zechce coś jej na koniec powiedzieć, może jeszcze matkę ojej rękę pokornie przy ludziach będzie błagał.

Ludzie, widząc niezwykłą sytuację, przystawali z zaciekawieniem. Każdy chciał widzieć, jak to się pan Rudnicki ze swą niedoszlą narzeczoną będzie żegnał. On stał niby spokojnie, ale kiedy dwie kobiety idące do domu zrównały się z sankami, jak sęp rzucił się w ich stronę i nim się obie spostrzegły, już chwycił w objęcia Barbarę, uniósł na oczach wszystkich wysoko, ucałował w policzek i posadził na wymoszczonym siedzeniu, wskoczył a chłopak, który konie na wodzy trzymał, trzasnął batem i puścił wolno lejce. Uwolnione rumaki ruszyły jak wicher, tylko tuman śniegu się za nimi zakotłował. Nim się Katarzyna zdołała zorientować, już przemknęły przez szeroko otwartą Bramę Krakowską.

Oszołomiona matka, nie rozumiejąc, co się z jej córką stało, dobrą chwilę nie

mogła ruszyć się z miejsca. Wszystko spadło na nią tak nagle, a Baśka nawet nie zdołała krzyknąć. Wreszcie jakaś kumoszka zaczęła ją ponaglać.

- Olaboga, a biegnijcież, Konopnicowa, co rychlej do męża, toć Rudnicki jawnie, na oczach wszystkich Baśkę waszą porwał.

Konopnicowa dopiero teraz się opamiętała, ogarnęła rozwianą chustkę i szybko pobiegła do domu, by o całym zajściu powiadomić Sebastiana. Konopnicy jednak nie było w domu, bo poszedł jak zwykle z rajcami po kościele na wino. Strapiona wysłała syna Andrzeja, by natychmiast przywołał do domu ojca. Konopnica jeszcze nie zdążył rozsiaść się dobrze za stołem i zamówić garnca, kiedy wpadł do winiarni jakiś chłopak krzycząc:

- Burmistrzu, burmistrzu, Rudnicki waszą Baśkę porwał!

- Co? - Sebastian jakby nie rozumiał. - Baśkę? Jak?

- A jak szła z panią burmistrzową z kościoła.

- Rudnicki?

- I to w dniu zmówin - dołączył się oburzony stary Lemka.

- Tak tato - w tym momencie wpadł do winiarni Andrzej - mama mówiła, byście rychło do dom wracali.

- A to - Sebastian jakby głęboko ugodzony w serce sapał i z trudem wydobywał z siebie słowa. - A to, ja mu - po chwili się jakby nieco opamiętał. - Każcie sanie burmistrza wyprowadzać, dwa cugowe konie zaprzęgać i za nimi do Rudnika.

- To jawny gwałt!

- To samowola szlachecka! Krzyczano przy stołach.

- Jak to, córkę mieszczańską na oczach wszystkich w dzień święta porywać?

Konopnica tych głosów oburzenia już nic słyszał. Jak piorun wybiegł z winiarni. Pobiegł przez Rynek do domu. Zerwał z haka podróżny kozuch, wypytyjąc żonę o przebieg zdarzenia. Biedaczka siedziała splakana na ławie obok okna. Niewiele do tego, co już wiedział, potrafiła dodać.

- A to - wdziewając kozuch warczał Sebastian - tatarskie zwyczaje psi syn nam chce wprowadzać do miasta. Ja mu, psia mać, pokażę, jak to mieszczki porywać!

Już zajęwały przed dom sanie burmistrza, na których siedziało dwu miejskich rajców, a za nimi na koniach pięciu uzbrojonych pachołków. Była to wystarczająca siła, by Barbarą Rudnickiemu odebrać. Jego dworek w Rudniku nie był przecież fortecą. Ci, którzy widzieli pędzące sanie, twierdzili, że Rudnicki powiózł Barbarę w stronę swego domu. Potwierdził to też jakiś chłop, którego spotkali za murami miasta. Sebastian jakby się nieco uspokoił. Nawet do pośpiechu zbytnio nie przynaglał, bo wierzył, że bez większego zachodu uda mu się córkę odzyskać. Rudnicki myśli zapewne, że porwana dziewczka będzie już jego, że jej Hanuś teraz nie zechce. Nie, on, Konopnica, rajca i burmistrz miasta, nigdy takiej szlacheckiej samowoli się nie podda. To przecież jawny gwałt zadany nie tylko ojcu, ale całemu miastu. Taka zuchwałość musi być należycie ukarana.

Z takimi myślami jechał Sebastian w stronę Rudnika. Kawalek za miastem zaczęła się śnieżna zadymka. Na drodze żadnych już śladów nie było widać, ale do Rudnika każdemu dobrze znana była droga.

Kiedy zbliżyli się do wsi, zaraz w pierwszej chałupie zapytali chłopą, czy widział powracającego z Lublina pana Rudnickiego. Chłop tylko widział dziedzica jadącego

rano do miasta. W całej wsi panował spokój i cisza, tylko kilka kundli zajadłe naszczekiwało na nieznanym. Do dworu zbliżali się ostrożnie, obawiając się jakiej zasadzki albo zbrojnego oporu, ale ani dworu, ani obejścia nikt uzbrojony nie pilnował. Przybyli odnaleźli w obejściu jakiegoś gamoniowatego parobka, potem rozmówili się z czeladną. Okazało się, że pan Jan Rudnicki, jak pojechał rano do Lublina, to jeszcze nie wracał, a odjeżdżając zapowiedział, że go dłużej w domu nie będzie.

Dopiero teraz Sebastian pomiarkował, że Rudnicki zwiódł ich, kierując się w stronę domu. Zapewne kawałek za miastem zmienił drogę i był już od Lublina daleko. Gdyby ktoś umiał wytłumaczyć, w którą stronę pojechał, to goniłby do upadłego, a tu, przy takiej Śnieżycy, szukaj wiatru w polu.

Zgnębiony Sebastian widząc, że nic się w Rudniku nie dowie, kazał zawracać. Konnych rozesał, by po okolicznych gospodarach i zajazdach pytali o Rudnickiego i Baškę.

Konopnica wracając wieczorem do miasta jeszcze się łudził, że może córkę zastanie w domu, może wyrwała się i uciekła. Ale gdzież tam, w dużej izbie, gdzie miały się odbyć mowy, siedziała tylko sama zapłakana Konopnicowa. Rozesłani pachotkowie też niczego nie mogli się dowiedzieć. Sanie to tu, to tam jadące z Lublina, jak to przy święcie Trzech Króli, widziano, ale nikt nie rozeznał pana Rudnickiego z burmistrzanką.

Zgnębieni rodzice czuwali całą noc koło komina. Katarzyna, kiedy na chwilę przysnęła, śniła, że widzi córkę pędzącą przez zasy, gonioną przez wilki. Obudziła się z krzykiem przerażenia.

- Co? - ocnął się i Sebastian, który też na chwilę zadrzemał. Katarzyna opowiedziała mu swój sen.

- Może nam teraz córkę zniewala?

- Bój się Boga.

- Ale nawet, jeśli ją zhańbi, to i tak mu jej nie dam. Nie dam!

Ze słów tych widać było, że Konopnica swego zdania nie zmieni. Strapiona Katarzyna tylko płakała, czując w swym sercu ogrom nieszczęścia. Już gotowa byłaby młodym przebaczyć i Rudnickiego przyjąć za zięcia, ale wiedziała, że Sebastian nie ustąpi. To nie wróżyło nic dobrego ani dla nich, ani dla jedynaczki. Daremnie próbowała sobie wyobrazić, co się z nią teraz dzieje, gdzie Barbarę wiezie ten narwany i niczym niepohamowany szlachcic.

Kiedy zaczęło świtać, Sebastian ubrał się w kozuch i poszedł do bramy miejskiej, by sprawdzić, czy kto jakiej wiadomości nie przywiózł. Żadnych wieści jeszcze nie było. Strażnikom przykazał, by wszystkich przyjezdnych rozpytywali o Rudnickiego i Barbarę.

Mróz był tego dnia siarczysty, a śnieżycą nocą przeszła, to i nikt w dalszą drogę się nie wybierał. Dopiero pod wieczór jeden Żyd przybył od strony Zamościa i doniósł, że widział pana Jana Rudnickiego z burmistrzanką w karczmie koło Krasnegostawu. Dziewka jednak niczym nie dawała po sobie poznać, że jest przez Rudnickiego porwana, to i nikt na młodych uwagi nie zwracał.

Z opowieści tej wynikało, że młodzi musieli się już w czasie drogi dogadać.

Niektórzy przebąkiwali, że przed porwaniem łączyła ich zмова. To jeszcze bardziej rozsierdziło starego Konopnicę, który dotąd wierzył, że jego jedynaczka z dobrej woli nie mogłaby się dopuścić tak wielkiej niegodziwości wobec własnego rodzica.

Zrozpaczony i rozsierdzony na Rudnickiego i własną córkę zaczął szukać sprawiedliwości u starosty i u proboszcza. U starosty skarżył się Konopnica za zadany gwałt, ale starosta oświadczył, że niewiele może mu pomóc, kiedy nie ma wyraźnego nakazu króla, albo prawowitego wyroku koronnego trybunału.

U władz duchownych radził się znowu Sebastian, jak ma postępować w razie zniewolenia córki przez Rudnickiego i zawarcia z nią, wbrew woli rodziców, potajemnie małżeństwa. Powiedziano mu, że w takim wypadku powinien odwołać się do biskupa, który może uznać związek za nielegalny.

Nie ustawał też Konopnica w poszukiwaniu zbiegów. Rozpytywał kupców i przyjezdnych o wieści. Doniesiono mu, że kilka dni po Trzech Królach widziano Barbarę z Rudnickim już gdzieś koło Przemyśla. Tu też wyglądało jakby młodych łączyła wielka przyjaźń i zgoda.

Wieści te jeszcze bardziej rozsierdziły Konopnicę. Zaciął się i oświadczył, że krzywdy swej będzie dochodził choćby u samego króla.

Po jakimś czasie zaczęły do Lublina napływać jakieś niejasne wieści, jakoby Rudnicki z Barbarą już ślub zawarli. Konopnica wieści tych nie chciał słuchać. Za tydzień sam się miał o wszystkim dokumentnie przekonać z listu, który mu jeden z Ormian jadący ze Lwowa przywiózł. Barbara i Jan Rudnicki donosili w nim, że zawarli związek małżeński w Dublanach. Prosimi o wybaczenie tego postępku i o udzielenie im rodzicielskiego błogosławieństwa. Barbara ze swej strony donosiła, że bez żadnego przymusu i z do brej woli pojęła pana Jana Rudnickiego, i że w małżeństwie z nim jest bardzo szczęśliwa.

Konopnica na swój sposób odczytał pismo, wnosząc z niego, że Rudnicki najpierw Barbarę zniewolił, a ona nie miała już innego wyjścia i na ślub musiała przystać. Podjudzony przez miejscowych palestrantów, którzy wietrzyli z zagmatwania całej sprawy wielki zarobek, wystosował Sebastian dwie skargi. Jedną wysłał do przebywającego w Wilnie króla, a drugą do krakowskiego biskupa, bo do tej diecezji Lublin wówczas należał.

Dopiero w połowie lutego Rudniccy wrócili potajemnie do Rudnika, wnet doniesiono o tym Konopnicom. Katarzyna próbowała męża sumitować, by przebaczył i z losem się pogodził, ale Sebastian o przebaczeniu nawet słuchać nie chciał. Czuł się jakby oszukany i ograbiony. Barbarę uważał za swój największy skarb, a teraz jakiś szlachetka mu go zabrał i jeszcze raduje się z jego [posiadania. Rudniccy jeszcze raz próbowali Konopniców przet błagać, ale rozsierdzony Sebastian nawet widzieć ich nie chciał. Powiedział, że sprawę całą rozstrzygnie król i kuria biskupia. Jakoż wkrótce przyszedł pozew od samego króla. Wezwany przed oblicze królewskie, Rudnicki zostawił żonę i w domu, bo była już w stanie błogosławionym i sam pojechał do Wilna. Przed królem tłumaczył się, że nijakiego gwałtu nie dokonał, że dziewczka tylko jego jednego miłowała i teraz jako żona I miłuje, a tylko nieustępliwość rodziców doprowadziła do tego, że musiał Barbarę porwać.

Konopnica zaś twierdził, że są to wymysły i czyste brednie. Porwanie odbyło się w

biały dzień, na oczach wielu ludzi. Potem Rudnicki Barbarę zniewolił i dziewczyna nie miała już żadnego wyjścia, a ślub zawarto nic wiadomo gdzie i nikt tego nic widział. Wobec nieobecności Barbary, która osobiście mogłaby zaświadczyć, król sprawę odesłał do najbliższego sejmu.

Ledwie wrócił Rudnicki z Wilna do domu, a już czekał na niego nowy pozew, tym razem z kurii biskupiej z Krakowa. Przed sądem biskupim też sam Rudnicki stawał. Znowu sprawa została odroczone. Szlachcic trapił się takim obrotem niepomiernie, bo każdy wyjazd sporo kosztował. Skromna jego majątność niewiele dawała czystego dochodu. Zaczął się więc zadłużać i po kawałku niewielką majątność ziemską uszczuplać. Gnębiło to bardzo Barbarę, która nawet najskromniejszego wiana mu przecież nie wniosła.

Sebastian jakby specjalnie się zawziął na córką i zięcia i coraz nowymi pozwami ich nękał. Wyraźnie było widać, że z torbami chce ich puścić za brak posłuszeństwa.

Dopiero po dwóch latach, kiedy Rudniccy doczekali się dwojga dzieci, doszło w kurii krakowskiej do ostatecznej rozprawy. Sąd biskupi biorąc pod uwagę, że małżeństwo Rudnickich od dwu lat było spełnione, i że za zgodą obojga zrodziło się z niego dwoje dzieci, uznał zawarty potajemnie związek, ale by nie było co do jego legalności żadnych zastrzeżeń, ślub Rudniccy musieli w jednym z krakowskich kościołów ponowić. Wszystko to pochłonęło mnóstwo pieniędzy. Młodzi małżonkowie, chociaż nie nękanymi już] przez sądy, nie mogli opędzić się od wierzycieli. Rudnicki po kawałku sprzedawał ziemie, pozostało mu już tylko kilka zagonów, z których siebie, żonę i dzieci z trudem mógł wyżywić.

Sebastian, chociaż wyroki legalnych sądów musiał uznać, to jednak zapiekłej krzywdy ze swego serca nie wyrzucił. Tak się w sobie zaparł i zaciętrzewił, że przyjemność sprawiała mu każda wiadomość o popadaniu Rudnickiego w coraz większą nędzę.

- A niech tam wszyscy wymrą - zwykł mawiać przy każdej; nadarzającej się okazji. Jego żona pomstowań tych nie mogła słuchać, ale nie miała nijakiego nań wpływu. Truła się wiadomościami o coraz większej nędzy córki i wnuków. Rozchorowała się z tej zgryzoty i wkrótce biedaczka zmarła. Sebastian nawet u jej trumny nie chciał się ani z córką, ani z zięciem przeprosić. Nawet tego, co pozostało po matce i wedle prawa należało się córce, nie chciał jej wydać.

Zrozpaczona Barbara, nie widząc możliwości przejednania zaś twardziałego i rozsierzonego na nią rodzica, postanowiła poprzez burmistrza i panów rajców przemówić do ojcowego sumienia. stosowała do nich następującej treści pokorne pismo:

„Mój łaskawy panie burmistrzu i moi łaskawi panowie rajce, pokornie proszę waszmościów wszystkich, pospołu z małżonkiem moim i dziećmi moimi, o przyczynę do pana oćca i dobrodzieja mego, do pana Konopnicze. Ja każdemu z osobna ichmościom wszystkim dobrym oddawać winna będę. Przez te pięć lat, jako jedno pan oćciec i dobrodziej mój, rozgniewał się na mnie tak, że się ani patrzeć na mnie, ani odrobiny chleba podać nie chce, żem szła za szlachcica za mąż. Pan Bóg sam wie i ichmościom świadome, jako przez wiele ludzi zacnych, tak duchownych jako świeckich, Starając się z pilnością pospołu z małżonkiem moim, abym gniew pana oćca i dobrodzieja mego ubłagać mogła, tylko ktoś przeszkodą jest mi i teraz,

tedy pokornie proszę wszystkich ichmościów o przyczynę do pana oćca i dobrodzieja mego, niechaj wejrzy na Pana Boga i niechaj go miłosierdzie ruszy przeciwko mnie krwi swojej, który mnie na ten świat spuścił, któram, da Pan Bóg, nigdy nic złego nie uczyniła, niechaj się użali nędzą i utrapienia mego, które cierpię i dziatkami memi zebrać u ludzi obcych sztuki chleba, dlatego iż pan ociec i dobrodziej mój przywiódł do wielkiej utraty małżonka mego, zadawając mu wielkie trudności, tak w prawie duchownym przed Jego Mością ks. biskupem krakowskim, jako wprawie świeckim na sejmie przed królem Jegomością, dlaczego wnądżę nas wprawił ociec i dobrodziej nasz, bośmy mu musieli na każdy termin stawać z wielkim kosztem swym, dlaczego małżonek mój wszystko wytrawił, tylko sobie kilka zagonów w Rudniku zostawiwszy.

Proszę tedy pokornie, niechaj pan ociec i dobrodziej mój mnie się użaliwszy, w łaskę swoją ojcowską przyjmie, a niechaj mnie ratuje jaką sumą pieniędzy, co łaska jego, cobym sobie jaką majątnostkę mając dla wyżywienia mego i z dziatkami mojemi, choć z tych pieniędzy co po nieboszczce paniej matce zostały jej własnego zbioru, swych własnych dziedzicznych dóbr czegom ja dobrze świadoma. Proszę tedy pokornie, by pan ociec i dobrodziej mój ruchome nieboszczki, paniej matki mej, to jest geradę wydać mi raczeł, gdyż mnie samej prawem bożym przyrodzonym należy, gdyż oto tam, słyszę, gnije, albo jeśliż pan ociec, dobrodziej mój, pieniędzy mi nie chciał dać, żebym sobie dla wyżywienia kącik jaki najać mogła. Proszę pokornie, żeby mi kamienicę dziedziczną nieboszczki paniej matki mej puścić raczeł albo dom który, żebym się stąd i z dziatkami mojemi żywić mogła. Jeśli by i tego pan ociec i dobrodziej mój nie chciał dla mnie uczynić, proszę pokornie, żeby pan ociec i dobrodziej mój do stołu swego mnie z dziatkami mojemi przyjąć mnie raczeł.

Jeśli by i tego pan ociec i dobrodziej mój nie chciał dla mnie uczynić, iż na mnie patrzeć nie chce, proszę pokornie, żeby pan ociec i dobrodziej mój stół ubogo najać, iżby raczeł i z dziatkami mymi. Jeśli by i tego wszystkiego pan ociec i dobrodziej mój dla mnie nie chciał uczynić, proszą pokornie, żeby mi te. kamienice dziedziczną nieboszczki paniej matki mej arendą puścić raczeł, a za tyle ile miechownicza arendy z niej płaci, będą też płacić za każdy rok i co przyjdzie na dwóch bracią moje rodzoną, a na ich częściach, tylko moja trzecia część, która na mnie przychodzi, proszę pokornie, żeby przy mnie została na każdy rok dla wyżywienia mego i z dziatkami mojemi. Proszę tedy po wtóre, po trzecie i po czwarte pokornie waszmościów wszystkich, jako ludzi chrześcijańskich, raczcie na wszystkim mnie się użaliwszy, łaskawie przyczynić się za mną do pana ojca i dobrodzieja mego, żeby pan ociec i dobrodziej mój użaliwszy się frasunkom utrapienia mego, które cierpię przez te pięć lat, miłosierdzie ojcowskie, mnie krwi swej, który mnie puścił na ten świat okazać raczeł, gdyż i Turczyn by się nade mną użalił, a mnie, do łaski przyjąwszy odrobinę jaką chleba z łaski swej podać mi raczeł.”

Pokorne pismo Barbary Rudnickiej poruszyło serca urzędujących rajców i burmistrza. Próbowali wstawić się w imieniu pokrzywdzonej i skłonić Sebastiana, by ze swej zatwardziałości i nieustępliwości spuścił i by użalił się po chrześcijańsku nad losem swego przecie dziecka. Mimo kilkakrotnych prośb i nakłaniania, Konopnica pozostał twardy jako skała.

Wtedy to rajcowie zaczęli zastanawiać się nad stroną prawną rodzinnego Konopniców nieporozumienia. Jeszcze raz rozpatrzyli przebieg zajścia i późniejsze

decyzje sądów duchownych i świeckich. Przy tej okazji okazało się, że Sebastian nękając swego zięcia i córkę włóczęmem po sądach, sam niewiele na tym tracił, bo będąc wówczas burmistrzem, zawsze wynajdywał jakieś pozory, by na koszt miasta odbywać dalekie podróże do króla, na sejmy, albo do Krakowa.

Kiedy się te sprawy odkryły, zażądano od Konopnicy zwrotu pieniędzy, które na swoje pieniactwo ze szkatuły miejskiej wydawał. Decyzja ta jeszcze bardziej rozsierdziła Sebastiana. Miastu z dobrej woli pieniędzy oddać nie chciał, a córce i zięciowi zaprzysiągł, że do grobowej deski nie da im ze swej majątności ani grosza.

Zatwardziałość Konopnicy już niedługo trwała. Sterany wiekiem i nieszczęściami starzec wkrótce obłożnie zachorzał i zmarł. Jak był przyrzekł, nawet na łożu śmierci z córką i zięciem nie chciał się pojednać. Należną Barbarze po matce kamienicą, którą tak pięknie przebudował, zapisał swoim synom. Przez wiele lat trzymał ją najpierw Andrzej, a potem, aż do 1655 roku, Aleksander Konopnica. Mimo usilnych starań Barbarze nie udało się jej zdobyć. Kiedy po śmierci ojca przyszło do rodzinnych działów, Rudnickiej przypadł w spadku folwark, ruchomości po matce oraz spłata z dwóch domów murowanych w wysokości osiemnastu tysięcy złotych polskich. Na owe czasy nie była to bagatelna suma, kiedy ta nowa kamienica, z malowaną fasadą i z ozdobami przy oknach wykonanymi z ciosowego kamienia, w roku tysiąc sześćset siedemnastym oszacowana została na dwadzieścia cztery tysiące złotych polskim.

Podział mienia próbował jeszcze zaskarżyć Jan Rudnicki twierdząc, że żona jego została przez braci skrzywdzona, ale Andrzej i Aleksander bronili się, zapewniając sąd, że siostra ich dostała już swoją część, z czego ich skwitowała.

Stojąca do dziś w Rynku lubelskim kamienica mogłaby zapewne opowiedzieć jeszcze niejedną ciekawą historię o ludziach, którym w jej murach dane było żyć i umierać. O niektórych wspominają jeszcze stare księgi, o innych milczą. Taka z porwaniem pięknej panny raz się tylko zdarzyła, warto więc ją utrwalić i zapamiętać.

O lubości wielkiej Zofiej Filipowiczowej czary czyniącej i za czary skazanej

Procesy o czary pojawiły się w Polsce znacznie później niż w Europie Zachodniej. Najdawniejszy zanotowano w 1554 roku w Poznaniu. Najwięcej procesów odbyło się w wieku XVII i XVIII. Dopiero ustawa sejmowa z 1776 roku zniósła tortury i karę śmierci za czary.

O czary oskarżano przede wszystkim kobiety wiejskie i mieszczyki. Zarzucano im czynienie wszelkiego zła, bliskie kontakty z diabłami, nastawanie na cudze życie lub zdrowie. By wymusić od obwinionych niezbędne zeznania i przyznanie się do winy, stosowano tortury, czasem pławiono w rzekach.

Stare lubelskie księgi sądowe odnotowały kilkanaście takich procesów. Przez ich karty przewijają się zeznania torturowanych jak koszmarne sny lub halucynacje. Oskarżone kobiety zwykle nie przyznawały się podczas pierwszych zeznań do zarzucanych win, ale po zastosowaniu tortur gotowe były przyjąć na siebie wszystko, byleby tylko uniknąć dalszych męczarni. Protokoły tych „zeznań” przypominają bardziej zapisy przysłowiowych bredzeń na mękach albo majaczenia w gorączce aniżeli rzeczowe odpowiedzi podejrzanych.

Jeśli oskarżyciele żądali, to „czarownice” opowiadały niestworzone rzeczy o swych kontaktach z diabłami, wymieniały nawet ich imiona, opisywały, jak wyglądają, kiedy do nich przychodzą i jakie zło czynią. „Zeznania” takie w zupełności wystarczały, by skazać obwinioną na spalenie lub ścięcie.

Ze względu na okrutną absurdalność tych procesów nie sposób ich nawet obecnie opisywać. Wszakże jeden, chyba najłagodniejszy, warto przypomnieć, by nieco przybliżyć tamte czasy i mentalność lublinianina z XVII wieku.

Działo się to w roku 1640. Przed sądem miejskim w Lublinie toczył się proces przeciw Zofii Filipowiczowej i kilku innym guślicom z Kozic i okolicznych wsi, oskarżonych o czary, które miały doprowadzić do śmierci szlachcica Jana Podlodowskiego, a następnie nastawały na zdrowie i szkodziły jego synowi Pawłowi Podlodowskiemu.

Zarzuty były ciężkie, ale powód ich miał raczej tło romansowe. Spróbujmy na podstawie protokołów sądowych odtworzyć przebieg tamtych wydarzeń.

Do roku 1639, to jest do śmierci jegomości pana Jana Podlodowskiego, Zofia Filipowiczowa była nader wierną i oddaną we wszystkim jego czeladnicą. Jan, podeszły już wówczas w latach wdowiec, zapalał afektem do Zofii, która zapewne sama ten afekt sprowokowała, bo lubość wielką do swego pana też czuła. Uchowaj Boże, by na zdrowie albo też na życie swego jegomości miała nastawać. Wprost przeciwnie, wszystko gotowa była uczynić, by żywot i zdrowie jego jak najdłużej zachować. Jakżeż mogło być inaczej? skoro pan Jan Podlodowski zyczliwość swą jej zawsze okazywał. Zofia znów schlebiała mu we wszystkim i pieczę należną nad całym domem i gumiennym gospodarstwem należycie utrzymywała.

Wszystko byłoby dobrze, gdyby podeszłość wieku jegomości coraz częściej znać o sobie nie dawała. Stary Podlodowski wobec Zofii, jeszcze młodej dziewczki, we swych zapalach wyraźnie ostygł.

Wówczas to, kiedy zwyczajne kobiece i ziemskie sposoby zdawały się zawodzić, zrozpaczona niewiasta czarów musiała się imać. Czynienia te nie miały szkodzić dobroczyńcy i chlebobdawcy, ale doprowadzić do wspólnego dobra. Sama nawet Filipowiczowa tych czarów nie знаła. Biegała tylko po wsiach okolicznych dopytując się bab, jak należy w takich razach czynić. Doradzały jej, by na wzmocnienie uczucia użyła najpierw krwi własnej z serdecznego palca.

Jak jej kobiety doradziły, tak i serdeczny palec Zofia nicią owinęła, a nieco naciąwszy krwi swej do cynowego kufła z piwem upuściła i trunek tak przyrządzony jegomości pić dała. Przy tym szeptała takowe słowa:

- Jako ja nie mogę bez swojej krwi, tak ty krezony mianowany Janie, nie możesz być beze mnie.

I krezony mianowany Jan Podlodowski po tym czynieniu i wypiciu piwa z krwią z serdecznego palca przez jakiś czas łaskaw szym okiem na krezoną mianowaną Zofie Filipowiczową patrzył, Zofia chciała łaskawość tę na zawsze dla siebie zachować więc dowiadywała się u kobiet, co czynić należy dalej, by w przywiązaniu jegomości ku sobie utrzymać. Te doradziły jej, że przez gołębie serce może jeszcze bardziej swego pana do siebie przywiązać. Należało tylko dostać gołębiego serca, ususzyć je i zetrzeć, a potem pospołu spożywać.

- Dawałam to serce jegomości pić - wyznała w czasie procesu - i czeladź jegomości, i ja sama warzone jadałam i piłam na pół rozdzielwszy się z jegomością, a mówiąc te słowa: „Jako nie może gołąb bez gołębicy, tak i ty krezony mianowany, abyś nie mógł, Janie, beze mnie krezony mianowanej Zofijej”.

To też na czas jakiś pomagało, ale zasmakowawszy w czarach, kobieta coraz to nowych praktyk szukała, byleby tylko nie utracić uczuć swego pana.

Tak, jak doradzały jej baby, gzło własne płukała pod pachami mówiąc:

- Jako ja nie mogę być bez potu swego, aby ten, krezony mianowany Jan, nie mógł być beze mnie, krezony mianowanej Zofijej.

Razu jednego, gdy Jan wybrał się do Krakowa i długo nie wracał, Zofia strasznie za nim tęskniąc znów ku czarom się o pomoc zwróciła. Drewniek osikowych drobno połupawszy, w kominie na powrózku od gaciów przywiesiła i kurzyć pod tym kazała. Potem takichże samych drewniek nałupanych w wydłubany w ognisku dołek nałożyła, a gliną dokładnie zamuskawszy kazała dziewczce kuchennej ogień na tym palić. Przy tym szeptała:

- O ty, krezony mianowany Janie, oby cię tęskność ku mnie w rychłe przywiodła.

I wrócił Jan Podlodowski wkrótce z Krakowa i z dużą radością i upominkiem wyglądając go Zofie powitał. Ta zadufana w siłę swych czarów, przed kumoszkami się chełpiła:

- Widzicie, że musiał się wrócić, bo go te drewnienka do mnie przyprowadziły.

Niedługo jednak radość Zofii trwała, bo pan jej, Jan Podlodowski, coraz bardziej na zdrowiu podupadał. Widząc to biedna Filipowiczową biegała do kobiet, które czynić i odczyniać umiały, by wskazały jej jakiś sposób na uratowanie od niechybnej śmierci drogiego jej jegomości.

Tak trafiła do Wietczyny, która wiele umiała. Ta jej doradziła, by chleb umyślnie upiekła, wtykając weń kłosa trzy żyta i dołek w środku uczyniła, a gdy się upiecze, z

chlebem tym kogo do niej przysłała.

Zofia, jak jej poradzono, chleb upiekła, a przy wkładaniu do pieca różne zaklęcia z przejęciem wielkim szeptała. Chleb upieczony według wskazań, w którym i dołek był, i kłoski, posłała Zofia do Wietzczyny pytając, czy się dobrze upiekł. Ta jej odpowiedź przysłała, że pan umrze niechybnie.

Filipowiczowa nie wierząc Wietzczynie i sobie, jeszcze raz ciasto z wielką troską zaczęła, a potem trzy kłoski weń włożyła i dołek serdecznym palcem w środku wycisnęła. Chleb dobrze się upiekł, ale tylko drobne węgielki zostały po kłosach. Z chlebem tym do Wietzczyny, drżąc o los swego umiłowanego jegomościa, sama Filipowiczowa poszła.

Wietzczyna chleb obejrzała i szepcząc cicho modlitwy na dwoje rozcięła. Patrząc weń kamiennym głosem zawyrokowała:

- Pan niechybnie pomrze tego wieczora. Włożone w chleb kłoski były i tym razem na węgiel spalone, a w środku chleba była wyraźna i głęboka rysa. Rozsierzdziła się na wyrok Zofia i jęła babę łącać.

- By cię zabito - krzyczała - jak to chleb ma wiedzieć śmierć dobrodzieja mojego?

Wietzczyna rozplakała się na to, bo i ona nie chciała przecie śmierci dobrego dla wszystkich dziedzica.

- Umrzeć, umrzeć - chlipiąc powtarzała. - Mówiłam do tego chleba i pacierz, i trzy zdrowe Marie, a kłoski włożone w chleb podobne przecie do węgla.

Od Wietzczyny wracała Filipowiczowa ze łzami w oczach prosząc Boga, by jeszcze swego jegomościa przy życiu zastała. Gdy dochodziła do dworu, doniesiono jej, że Jan Podlodowski, pan na Kozicach i na Rykowie, przed godziną ducha oddał. Z wielkim szlochem pobiegła Zofija do dworu, jakby przeczuwając, że od tej pory zaczyna się jej własna klęska.

W Kozicach zjawił się rychło syn zmarłego Paweł Podlodowski, który osobno na folwarku w Rykowie gospodarował. Jak przystało na zamożnego szlachcica, pogrzeb sprawił ojcu uroczysty tak, by długo jeszcze w okolicy tylko o tym opowiadano.

Filipowiczowa jak gwałtownie po śmierci jegomościa rozpacziała, tak i szybko się uspokoiła. Z całą sumiennością służyła teraz młodemu panu jako czeladna. Paweł też jej z zajmowanego stanowiska nic wyrzucał. Zofia łaskawością tą tak się jednak roz-zuchwalała, iż zaczęła w sercu swoim rozmyślać, czy by młody jegomość nie zastąpił przy jej boku nieboszczyka. Zaczęła więc swoich babskich sposobów wobec swego nowego pana używać, ale ten zupełnie na nią uwagi nic zwracał.

Poszła tedy Zofia do Anny Wietzczyny i tak rzekła:

- Kiedyby to kto potrafił pana Pawła Podlodowskiego do mnie nakłonić, to i pieniędzy, i płócien za to bym nie żałowała. Wietzczyna jakoś nic na to poradzić nie umiała.

Po jakimś czasie znowu przysłała do Wietzczyny Filipowiczowa i siadłszy podle niej, położyła głowę na łonie i rzecze:

- Wietzczyna, kiedyby to Pan Paweł na Jewę wiedział. Ta jej na to:

- Utnij komina róg i pieca róg, i oczapu nade drzwiami, tedy muszą go diabli ku tobie przywieść.

Filipowiczowa tego czynić się bała, bo powiedzieli jej inni, że to i do śmierci przygnąć może człowieka. Poniechawszy tego, raz w poście kazała sobie tylko nagotować wody do wanny niby do mycia. Stała ta woda z zieleń święconym przez piątek i sobotę, aż o drugiej godzinie w noc w sobotę, jak zeznała dziewczka kuchenna, myła się w niej rozebrawszy do naga i każąc przygrzewać sobie tej wody, aż dwa garca.

Próżne to były czynienia, bo gusta te jakoś wcale dostępu nie miały do pana Pawła. Może i dlatego, że służebne, by się przypochlebić młodemu dziedzicowi, w skrytości opowiadały mu, jakie to czary wobec zmarłego jegomości Zofija wyczyniała i ostrzegały go przy tym, by i on sam w moc piekielną tej wiedźmy nie popadł.

Początkowo Paweł wiary tym babskim gadaniem nie dawał, ale gdy mu padła w oborze najpierw owca, a potem krowa przy cieleniu się zdechła, a cugowy koń ochwatu dostał, zaczął się niepokoić i o rzucanie uroków Filipowiczowa podejrzewać. Złe języki, jak tylko mogły, oczerniały teraz czeladna, wskazując, jakie to dobra podstępnie od nieboszczyka czarami wydarła i w skrzyni swojej chowa.

Paweł strapiony swymi niepowodzeniami i zbałamucony babskim gadaniem postanowił Zofię z dworu swego przegnać. Filipowiczowa prosiła go na wszystko, by nie czynił krzywdy jej, biednej kobiecie, i miał wzgląd na łaskawość ku niej swego ojca. Ten jednak nie ustępował.

Czeladna jeszcze próbowała czarami na młodego jegomością wpływać, ale ten z Zofią Zabielską, młodą i ładną córką sąsiada, był już zaręczony i ani na czary, ani na inne przymilania Filipowiczowej wcale a wcale uwagi nie zwracał.

Biegała teraz biedna Zofija zafrasowana po wsiach sąsiednich do bab i o pomoc usilnie prosiła. Anuska, która to ją pierwiej kij osinowy w kominie uwiązać na tęskność jegomości nauczyła, wskrytości i za opłaceniem dobrym pokazała, jak można wyrpnąć podkówkę albo ziemią, na której stał, i zakopać w ognisku. W czasie procesu dziewczka kuchenna, która przy tym czarowaniu była, tak przed sądem zeznała:

- Gdy zalepiła tą ziemią, tak Filipowiczowa do niej mówiła: „Jako nie możesz krezony mianowany Pawle przez tej ziemi, tak przeze mnie krczonej mianowanej Zofiej nie bądź”.

Po tym czynieniu Paweł miał się zmienić i być, jak niegdyś nieboszczyk, czeladnej łaskawy. Stało się jednak inaczej. Jagnieszka kucharka, która była przy tym zalepianiu ziemi na ognisku, rychło do pana Pawła z jęzorem pobiegła i o nowych czarach Zofii z zadyszką dokumentnie, a i jeszcze z przydaniem, opowiedziała.

Rozsierdził się, a może i przestraszył młody dziedzic, któremu się jakoś w gospodarstwie nie wiodło, tego babskiego guślenia, i kazał Filipowiczowa zaraz z dworu przegnać. Nie pozwolił przy tym zabrać jej skrzyni i uciulanego tam dobra.

Żal wielki ogarnął pokrzywdzoną. Chodziła z tym na skargą do proboszcza i wszystkim o krzywdzie swej we wsi i dworze opowiadała. Nie pomogło to na wiele, bo pan Paweł Podlódowski był zatwardziałego serca. Na prośby i płacze poszkodowanej wcale uwagi nie zwracał, kuferka jej nie oddał, a gdy go zbyt często nachodziła, psami wyszczuć kazał.

Udała się jeszcze raz Filipowiczowa do Wietczyny z prośbą, by ta jej na srogość

Pawła Podlodowskiego poradziła. Pieca czarnego naciąć - radziła jej Wieteczyna - włożyć za belkę, co dym wychodzi, a umrze niegodnie za twe nieszczęścia.

Przerażona tym Filipowiczowa do Wieteczyny rzekła:

- To by jeszcze gorsze było, kiedy by umarł, bo kto by moje ubóstwo wydał. - Miała bowiem jeszcze nadzieje, że się wszystko obróci do jej dobra.

- Dajcie mi, Wieteczyno, coś takiego - rzekła - co by go ku mnie, jak niegdy jego ośca, przywróciło.

- To być nie może, bo kiedy pierwsze wyczyniania nic na nim nie wymogły, to i teraz zostaje tylko zemsta.

Filipowiczowa zemsty na synu swego dobroczyńcy dochodzić nie chciała, a pan Podlodowski w zatwardziałości swej nadal pozostał i na płacz dawnej czeladnicy wcale patrzeć nie chciał. Skrzynki z tymi uskładanymi przez Filipowiczowa rzeczami oddać też odmawiał.

Zdesperowana kobieta pomstowała i przeklinała dziedzica teraz przed wszystkimi i grozić mu urokami i czarami począła.

Jakoż się i stało, że bydłeta zaczęły Pawłowi Podlodowskiemu w oborze, w chlewie i stajni padać, a to znów chmura gradowa pszenicy łan do cna wytłukła.

Przestraszył się tych klęsk i rozsierdził na babę, która była przecie jawnym dowodem tak wielkiego nieszczęścia. Filipowiczową pojmać i do więzienia w Rykowie odstawić rozkazał. Przy tym inne guślice w swoich dobrach nakazał wyłapać i także do więzienia pozasadzać. Sam zaś do sądu wójtowskiego w Lublinie skargę takową napisał:

„Ja, pan na Kozicach i Rykowie, i na innych dobrach, serdecznie żałuję się, iż Zofija Filipowiczowa będąc czeladną u niegdyś sławny pamięci jegomości pana Jana Podlodowskiego, rodzzonego mego, w Kozicach czas niemały czarami i guślicami wielkimi bawiąc się wespół z innymi swymi guślicami, przez te wszystkie czary i swoje dziwne incantacje przywiodła rodzzonego mego do śmierci. A nie komentując się tym, takowemiż diabelskimi fortelami temiż czasy mnie samemu na zdrowie nastawiała i swemi zabobonami budynki, obory zeszpeciła, iż mi się ni na czym powodzić nie może, ale drugich czarownic po majętnościach guślic nauczyła”.

Na żądanie jegomości pana Pawła Podlowskiego urząd wójtowski, to jest sławetni: Łukasz Brewka - wójt, z ławniki swymi przysięgłymi: Janem Kobzą, Wawrzyńcem Kobzikiem, Marcinem Okrutnym, Stanisławem Śliwowskim i innymi udali się na przesłuchanie i wywiadowanie sądownie prawdziwego zeznania czarownic strony guś i czar rozmaitych, o które Zofija Filipowiczowa i z drugimi swymi pomocnicami w więzieniu, we wsi Rykowie, tegoż jegomości Pawła Podlodowskiego osadzone były.

Stanąwszy przed sądem, Filipowiczowa zeznała:

- Niczem takiego na świecie nie czyniła, a jeśliby co było i to niewiele, co mię ludzie nauczyli, ku swemu pożytkowi czyniłam, a nie ku czyjejś szkodzie.

Inne jednak guślice, przywiedzione z więzienia, przed sądem mocno Filipowiczową obciążły. Opowiedziały, jako Filipowiczowa osinowe drewnienka w kominie wędzącą widziały i jak zakopywała także drewnienka w palenisku, i jak chleb piekła, jak krwie do cynowego kufła ze swego palca serdecznego upuszczała, i jeszcze insze, nieprzystojne zgoła praktyki opisywały, które to niechybnie mogły jegomości Jana Podlodowskiego na tamten świat wyprawić. I o praktykach różnych, i pogrózkach

wobec jegomości pana Pawła Podlódowskiego także opowiadały. Nie było w tym jednak niczego, co by wskazywało, że na zdrowie młodego dziedzica i na jego dobytek Filipowiczowa nastawała.

W następnych zeznaniach przyznała się czeladnica do czynienia zarzucanych jej, ale nikomu nie szkodzących, czarowań, których nauczyła się od innych kobiet w Kozicach i we wsiach sąsiednich. Do żadnych bezecności i nastawiania na życie jegomości pana Jana ani też Pawła Podlódowskiego nie chciała się przyznać. Za to, że bydlęta w dworze padały, obwiniła pijanicę gumienego i rozleniwionego parobka, i brak czeladnej, która by wszystko na oku swoim miała.

Sąd wiary takim usprawiedliwianiem się Filipowiczowej nie dał i trzykrotnej próbie tortur poddać oskarżoną nakazał. Zapewne po odbyciu tortur i Filipowiczowa, i pozostałe guślice do wszystkiego by się przyznały, ale nastąpiły „intercessie usilne zacnych ludzi, a osobliwie duchownych osób i equestis ordinis”.

Sąd, acz bardzo niechętnie, ale w końcu do tych intercessi się przychylił i oskarżonych torturom nie poddał. Skutkiem czego i wyrok niepomiarnie łagodny w stosunku do oczywistych win oskarżonych musiał zapaść. Werdykt tego wyroku brzmiał:

„Filipowiczowa jak też i inne guślice, w pół wsi różgami u słupa bite i sieczone być mają, a potem wygnane ze wsi na mil dziesięć, a jeśliby się pojawiły, to na gardle lub na stosie karane będą”. Przed sieczeniem różgami Filipowiczowa musiała złożyć w obliczu sądu przysięgę następującą:

„Ja, Zofia Filipowiczowa, przysięgam Panu Bogu Wszechmogącemu w Trójcy Świętej Jedynemu, iż jegomości pana Pawła Podlódowskiego żadnymi czarami nie szkodzić ani domowi jego, ani paniej Zofiej Zabielskiej, ani radą, ani pomocą do złego jakimkolwiek sposobem także czeladzi poddanym jegomości i wszystkim nieprzyjaciołom swoim, co jeśliby kiedy słowem jakim się ozwała przegradzając, albo uczynkiem na nie się pokazało, tedy bez wszelkiego miłosierdzia mam być na gardle karana. Tak mi Panie Boże pomóż i święta męka Jego.”

Szklaneczka króla Stasia

Zaczęło się wszystko od bardzo nieprzyjemnego wydarzenia.

Król Stanisław Poniatowski wraz ze swym dworem przejeżdżał wczesną wiosną 1781 roku przez Lublin w drodze do Wiśniowca. Około południa słońce nieźle przygrzało i lekko ścięta w nocy mrozem droga wiodąca do miasta zupełnie rozmiękła i zaczęła przekształcać się w niebezpieczne grzęzawisko, a miejscami, tam gdzie było niżej napływała strumykami z topniejącego śniegu wodą.

Mieszczanie lubelscy, zajęci budowaniem przed miastem triumfalnej bramy dla króla, nie mieli czasu myśleć o rozmiękających drogach. Zresztą, cóż by drodze poradzili, kiedy na niej nie było ani jednego kocięgo łba. Nie, właściwie kamienie bywały porzucane w niektórych miejscach, by można było po nich, nie topiąc się w bagnie, na drugą stronę gościńca przedostać. Kamienie te należałoby teraz pousuwać, by nie podskakiwała na nich królewska kareta, ale i o tym też nikt jakoś nie pomyślał.

Najważniejsza była szeroka i wysoka powitalna brama. Zrobiono ją z żerdzi i ustrojono gałęziami choiny, bo o tej porze innej zieleni nie było też jeszcze i żadnego kwiecia, uwijali się od samego już rana cieśle i służba miejska, ciesząc się bardzo z ładnej pogody i wiosennego słońca.

Bramę stawiano na wzgórk, dobry kawałek przed miastem, gdzie było nieco więcej miejsca. Dalej droga, wiadomo, grząska była i rozjeżdżona.

Ciężkie wozy z królewskiego taboru idące przodem, z trudem, ale przebrnęły przez wszystkie pułapki i niebezpieczne przejścia, także przyjechała konno wyprzedzająca króla jego straż przyboczna.

Teraz to już nie było nawet czasu, by patrzeć, jak wygląda rozrobiona i rozmiękająca coraz bardziej droga.

Ludzie tutejsi pieszo i konno, ścieżkami przy rzadko rozrzuconych domach i po nabrzeżach, wiadomym sobie sposobem, wylegli na spotkanie daleko poza mury miasta. Gwarzyli na wzgórk przy wystawionej już bramie oczekując na najjaśniejszego pana, to o nagłych roztopach, a to jak przebędzie rozmiękłą drogę królewska kareta. Uspokajali się, wzajem, że przecie poczwórny albo poszóstny zaprzęg królewski bez trudu pokona wszelkie przeszkody i zdradzieckie zapadliska.

Gdy tylko ukazała się w oddali wielka królewska landara, wiwatowali na cześć monarchy, aż im chrypły gardła. Król, chociaż zmęczony podróżą, łaskawie uchylił przy oknie zasłony i życzliwie ręką pospółstwu pomachał. Wywołało to wielki wśród zebranych entuzjizm.

- Wiwat! Niech żyje najjaśniejszy pan nasz! - wrzeszczała cała zebrana przy bramie gromada.

Niektórzy z tłumu podnieceni podniosłością wydarzenia, a licząc i na to, że szcudra królewska ręka obsypie ich może garścią złota, biegli co sił w nogach za kareta i wznosili coraz to inne okrzyki na cześć najjaśniejszego pana.

Pogoń za kareta nie była jednak łatwa, bo spod kół i kopyt końskich wytryskiwały w górę całe strugi błota. Im bliżej miasta, droga stawała się coraz bardziej uciążliwa, pełna wyboi, wypełniona mazią w rozjeżdżonych koleinach.

Szeroka landara przechylała się nieprzyjemnie, to znów topiła któreś z kół w lepkiej papce grząskiego błota.

Stangret z forysiem, kierujący królewskim pojazdem, omijali, jak tylko mogli, niebezpieczne doły, ale nie znając zdradzieckich z brudną breją jam, często wprowadzali karete aż po osie w bajora. Przystojnego dla królewskiego zaprzęgu równego kłusa nie mogli mimo najszczerszych chęci i wysiłków utrzymać.

Lud zgromadzony po obydwu stronach gościńca Krakowskiego Przedmieścia ciągle wznosił okrzyki na cześć najjaśniejszego pana. Poczwórny zaprzęg królewski coraz częściej zwalniać jednak musiał.

W takich chwilach stojący wzdłuż drogi ludzie mogli nie tylko dobrze przypatrzeć się zabłoconej karecie i liberii stangreta, ale nawet przez niezbyt dokładnie zasłonięte firanki zajrzeć do wnętrza.

Ubabrany forys z stangretem byli wyraźnie niezadowoleni z ciekawości gapiów. Ich liberie wcale nie nadawały się do podziwiania, a i nieprzystojnie było podglądać siedzącego w karecie najjaśniejszego pana. Jeśli więc tylko poczuli pod końskimi kopytami chociaż kawałek twardszego gruntu, zaraz przynaglali zdrożone cugowce do biegu. Konie podrywały się, ale tylko na chwilę, bo kareta znowu zapadała się w wybojach.

Srożył się na to królewski stangret i ku forysiowi, siedzącemu na przodowym koniu, groźne gromy rzucał. Ten jednak, jak się pierwiej rzekło, niewiele mógł zdziałać, bo bliżej miasta droga była coraz bardziej zdradliwa, a tłum po obydwu stronach gęstniał, nie pozwalając sprawnie groźnych miejsc omijać.

Mimo wysiłków stangreta i forysia wjazd króla nie odbywał się z należyтым dostatkim dostojenstwa. Wiedzieli o tym obydwaj i z bezsilności krew w nich tylko kipiała. Zdenerwowanie ludzi udzielało się koniom, które albo szarpały powozem, albo z wielkim obrzydzeniem chlapiąc z góry kopytami prawie w miejscu dreptały w bajorach.

W niedalekiej odległości od kościoła Świętego Ducha, konie poczuwszy twardszy grunt pod nogami, a przynaglone lejcam i trzaskaniem stangretowego bicia, próbowały chociażby na chwilę dobyć z siebie kłusa. Stangret chciał z rozpędem przebyć widoczną naprzeciw niedalekiego już kościoła nową przeszkodę. Forys ścisnął ostrogami swego wierzchowca tak, że kareta podskoczywszy tylko na kilku rzuconych w błoto kamieniach, prawie równo już się potoczyła.

Nikt w tym miejscu nawet nie przypuszczał niezwykłej głębokości i grząskości wielkiego rozlewiska. Poprowadzone konie w sam środek nie spodziewały się grożącej pułapki i z impetem wskoczyły do bagna, ale nadzwyczajna zaraz z brzegu jego głębokość tak je przestraszyła, że zamiast do przodu rzuciły się w bok, a rozpędzona, ciężka królewska kareta, pchając przed sobą drugą parę koni, jak łódź spuszczone z brzegu chlusnęła niby do jeziora. Ani stangret, ani forys nie byli w stanie koni z rozpędzoną kareta powstrzymać. Landara gruchnęła w dół, wyrzuciła wokół siebie fontanny brudnej wody i jakby chwycona jakąś potężną łapą, w najgłębszym miejscu gwałtownie utknęła.

Wystraszone konie w splątany zaprzęg zatrzymały się natychmiast. Strzygły uszami i rozkraczone próbowały wyrwać z błota uwięzie kopyta.

Milczący dotąd stangret wrzasnął na forysia, a ten, przestraszony bardziej chyba

jeszcze niż konie, nie namyślając się zeskoczył do bagna, usiłując poplątany zaprzęg jak najszybciej uporządkować.

Gdy w należyтым porządku udało się mu w błocie rozdrażnioną czwórkę ustawić, minęła dobra chwila, a landara tymczasem razem z królem coraz głębiej w rozmiękły grunt Ignęła. Zdesperowany foryś, brnąc powyżej kolan, chwycił konie krótko przy pyskach i próbował jeszcze wyprowadzić powóz z bagna, ale daremna to była praca. Brudna woda sięgała teraz koniom niemal do brzucha, a kareta tak silnie była zaparta, że mimo końskiego wysiłku nawet nie drgnęła.

Zwabiony wypadkiem zbiegł się zaraz wielki tłum mieszczan. Ten i ów próbował doradzać, albo z tyłu karete popychać, ale wysiłek ten na nic się już nie przydał. Po kilku próbach i szarpaniach wiadomo było, że królewskiemu zaprzęgowi landary wyciągnąć się nic uda. Stangret przestał strzelać z bicia i tylko z wyraźną nienawiścią to na forysia, to znów na tłum zgromadzonych mieszczan spojierał, jakby to ich była wina. że droga tak strasznie rozmiękła.

Król, zniecierpliwiony nieoczekiwanym postojem, przez okno wyrzął. Do karety natychmiast konno podjechał dowódca straży anonsując, że kareta zupełnie w błocie uwięzła i, że już wysłał ludzi, by jakiegoś nowego zaprzęgu szukać.

O uwięzieniu w błocie króla wieść lotem błyskawicy obleciała wszystkie jurydyki, pałace i ulice miasta. Kto żyw biegł, by na własne oczy zobaczyć niezwykłość wydarzenia.

Wszyscy powtarzali, że jak Lublin Lublinem, to chyba jeszcze nie było na ulicach, i to tuż przy głównej bramie miasta, tak wielkiego bagna.

Od strony Korców swą poszóstną kareta na spotkanie króla marszałek Olizar zaraz podjechał. Swemu stangretowi i forysiom własne cugi do królewskiej landary zaprznać kazał.

Na niewiele i ta gotowość marszałka się przydała, bo jego konie, nie nawykłe przecie do brodzenia, z wyraźnym wstrętem wchodziły do zimnej wody i z wielkim trudem dały się przyprzęgać. Szarpnęły kilkakroć, ale chyba tylko po to, by landara królewska jeszcze głębiej w bagnisko zapadła.

Utyłani w błocie stangreci i forysie klęli tylko z cicha, bo wyraźnie teraz było widać, że karety cugowcom nic da się już wyrwać.

W czasie tych bezsilnych zmagania i szamotań uwięziony w swoim pojeździe król miał dość czasu, by trybunalskiemu grodowi przypatrzeć się z bliska. Bardzo nędznie wyglądało to stare, niegdyś jedno z pierwszych miast Rzeczypospolitej. Jeszcze po szwedzkich i kozackich wojnach, a i po ostatniej konfederacji barskiej, Lublin w zupełną niemal ruinę popadł. Po trzykroć spalony i spustoszony przez przeciągające wojska, okopciałymi murami i wałącymi się bramami żałośnie ku górze sterczał.

Tuż przy bramie świętoduskiej ledwie jeden dom cały, zwany kamienicą Węgrzyna, z pożogi wojennej ocalał. Dalej maleńkie kamieniczki o dwu lub trzech oknach, przyozdobione facjatami, rozrzucone były z rzadka. Między nimi wałące się drewniane rudery i to olbrzymie bajoro, pełne błota, prawie u samych wrót miasta.

Król, siedząc beczynn timer karecie, patrzył na to wszystko i głęboko rozmyślał, bo zrujnowane miasto i ta więżąca go w bagnie landara ukazały się nagle jak cała Rzeczpospolita. Nędza, ruina i niemożność królewskiego majestatu tonącego w

wielkim rozlewisku błota. Któż zdoła wyciągnąć tę pozłocaną karetę upadającego królestwa? Jacy to ludzie i siły sprzęgną się we wspólnym wysiłku? On sam niby to król wielkiego jeszcze, ale zmurszałego państwa, bezwolny jest i uzależniony od innych, zupełnie jak kukła. Ale czy nie można już w kraju tym niczego dokonać? Niczego ocalić od całkowitego zniszczenia? Czy wszystko musi zatonać na zawsze razem z nim haniebnie w tym wielkim bajorze upodlenia? A może zacząć naprawę Rzeczypospolitej od rzeczy małych, od chociażby takiego Lublina?

O zanedbaniu tu panującym donoszono już nieraz, ale król, ciągle innymi sprawami zajęty, o potrzebie trybunalskiego grodu zapomniał, a właściwie to nawet nie wyobrażał sobie, że może miastu grozić taka ruina.

Zawinił tu, jak mówiono, starosta lubelski, Jan Jakub Zamoyski, pozostający w wojnie z wojewodą, księciem Antonim Lubomirskim. Od lat swarzyli się obaj o prawo propinacji i jurysdykcji nad Żydami, a o losach miasta, jak było widać nie myślał.

- Najjaśniejszy panie - przerwał zadumę królewską kamieniecki kasztelan, Kajetan Hryniewiecki, który z dworem królewskim z Warszawy przyjechał.

- Najjaśniejszy panie - nieśmiało powtarzając zwrócił się do króla - nawet cugi marszałka Olizara landary nie mogą z błota wyrwać.

- To mam w tym bagnie na zawsze pozostać?

- Mieszczanie lubelscy radzą, ale nikt o zezwolenie najjaśniejszego pana nie śmiał zapytać.

- Co lubelscy mieszczanie?

- Mówią, że z tego błota tylko wołami karetę można wydostać.

- A niech tam roześmiał się król - toż to będzie, jak w starym przysłowiu - wół i kareta.

- Innego wyjścia nie ma.

- Ano, skoro powiadasz, nie ma, to niech i wołami, abym już w tym rozkisłym bagnisku na oczach gawiedzi nie siedział.

Po uzyskaniu królewskiego przyzwolenia rychło znalazły się przy karecie nawykłe do wielkiego wysiłku i brodzenia w mokradłach potężne woliska.

Nie przeszkadzało im, że rozrobiona breja sięgała! niemal do brzucha. Przywiązane do karety grubymi powrozami przechyliły tylko w jarzmach swoje grubachne karczyska i nawet nie poganiane powoli drugi brzeg landarę zaczęły wyciągać.

Tam do ociekającej jeszcze karocy przyprężono konie i już bez żadnych przygód dowieziono króla do domu starościńskiego na Tatarach.

Po obiedzie i wypoczynku król kazał wezwać do siebie Kajetana Hryniewieckiego i rzekł doń:

- Mości kasztelanie, pomyślałem sobie, że jeśliś mnie z przykrej opresji wyrwał, to i potrafisz znaleźć jakąś pomoc dla tego nieszczęsnego miasta. To wstyd, by gród trybunalski i królewski w takim zanedbaniu i opuszczeniu od wszystkich pozostawał.

- Ale cóż ja na to? - stropił się mocno kasztelan.

- Wierzę, że potrafisz, mości Kajetanie, tego dokonać. Mianuję ciebie od dziś prezesem Komisji Boni Ordinis, czyli Dobrego Porządku. Dobierzesz sobie do pomocy towarzystwo i myślę, że za drugim moim pobytem nie będę musiał topić karety na lubelskich ulicach.

- Ależ - próbował się jeszcze Hryniewiecki nieśmiało wymawiać.
- Taka jest moja wola, a jak się dobrze ze wszystkim uporasz, to księcia Antoniego Lubomirskiego na tym województwie nie mam chęci długo trzymać. Dość dał powodów ku temu, by go ktoś lepszy zluzował.
- Najjaśniejszy panie, ale...
- Kasztelanę kamieniecką przy sobie zachowasz, a szkatuła moja na potrzeby miasta będzie otwarta.
- Najjaśniejszy panie, toż to chyba nadmiar zaufania.
- Zaufałem, bom, wiele o tobie dobrego słyszał, a teraz idź i rozglądnij się, bo chciałbym wiedzieć, jaka to jest ta twoja komisja.

Hryniewiecki skłonił się nisko i wyszedł od króla. Oszłomiła go ta niedwuznacznie wypowiedziana obietnica. Roboty się nie bał, ale wywodząc się ze szlacheckiego ubóstwa nie mógł nawet marzyć, by kiedyś sięgnąć po godności piastowane obecnie przez księcia. Zostanie wojewodą niby jaki magnat. Postanowił sobie, że nie będzie szczędził ani wysiłków, ani serca dla tego przecie tak pięknego niegdyś, a jakżeż zaniedbanego teraz miasta.

Wkrótce Kajetan Hryniewiecki, jako prezes Komisji Boni Ordinis, zgromadził wokół siebie ludzi uczciwych i zacnych, którzy z wielkim oddaniem i chęcią garnęli się do pracy. Na pierwszych posiedzeniach Komisji wspólnie opracowali plan skutecznego działania. Postanowili, po tej przykrej z królewską karetą przygodzie, najpierw wybrukować główne ulice miasta.

Zgodnie z przyrzeczeniem król z własnej szkatuły wyłożył sporo grosza na odbudowanie chylących się ku upadkowi najważniejszych publicznych budowli. Odrestaurowana została wówczas Brama Krakowska i Brama Grodzka, a do przebudowy starego ratusza, w którym odbywał posiedzenia koronny trybunał, przysłał nawet swego nadwornego architekta Dominika Merliniego.

Prac publicznych nie przeprowadzono by tak sprawnie, gdyby nie osobiste zasługi i ofiarność Kajetana Hryniewieckiego, który już w 1782 roku został wojewodą lubelskim.

Człowiek ten zyskał pełne zaufanie i szacunek u współczesnych, a wdzięczna pamięć przetrwała o nim w Lublinie jeszcze przez długie lata.

Kajetan Koźmian w swoich pamiętnikach, pisanych w połowie XIX wieku, tak go jeszcze wspominał: „...mąż prawy, nieskażony i czynny, wielką usilnością, wytrwałością w pracy wydobył to opuszczone i nieszczęśliwe miasto z rozwalin, z popiołów i błota...”

O skuteczności poczynań Hryniewieckiego i Komisji Boni i Ordinis mógł się naocznie przekonać, w sześć lat od swego nieprzyjemnego wypadku, sam król Stanisław August Poniatowski, a towarzyszący mu Adam Naruszewicz w Diariuszu podróży J. K. Mci na Ukrainę roku 1787 tak ten pobyt monarchy w Lublinie opisał:

„Przybyliśmy do Lublina około godziny 3-ciej z południa, wjechaliśmy w miasto Przedmieściem Krakowskim, skąd potem ulicą żydowską na przedmieście Talary nazwane, do domu Starościńskiego, gdzie Najjaśniejszy Pan miał noclegować, udaliśmy się.

Wszystkie ulice, którymi Najjaśniejszy Pan przejeżdżał, napelnione były mnóstwem

ludu, z tego wielka część aż do samego domu biegła za karetami. We dworze wysiadającemu z karety Najjaśniejszemu Panu podali rękę J. Panowie: Dłuski, podkomorzy lubelski, i Stoiński, Szambelan Jego Królewskiej Mości, których Najjaśniejszy Pan na obiad zaprosić raczył.

Po obiedzie zabawiwszy się konwersacją z gośćmi i domowymi, udał się do swoich pokojów, a niektórzy z tych, którzy siej znajdują przy boku pańskim, wyjechali do miasta dla widzenia tam nowego ratusza, nowo i wspaniale wymurowanego, poteraż różnych domów świeżo pobudowanych lub poprawionych i porządnie brukowanych ulic, z należytą pochwałą Jaśnie Wielmożnego Hryniewieckiego - wojewody lubelskiego oraz jego kolegów Komisję Boni Ordinis składających: miasto to starożytne, niegdyś piękne, handlem i dawną swoją ozdobą sławne, do pierwszej okazałości przywrócone być zaczyna".

Rzeczywiście od czasów Stanisława Augusta i działalności Komisji Boni Ordinis, z Kajetanem Hryniewieckim na czele, Lublin nieustannie będzie się z upadku podnosił i rozwijał. Z 8550 mieszkańców w 1787 roku, po insurekcji Kościuszki, po trzecim rozbiore, po wojnach napoleońskich i związanych z tym wyniszczeniach w 1819 roku, posiadał już prawie dziesięć tysięcy obywateli, a przed wybuchem powstania listopadowego dobijał do czternastu tysięcy.

Wśród mieszkańców Lublina oddanie dla spraw i potrzeb ojczyzny i patriotyzm z każdym rokiem też się wzmacniały.

Podczas Sejmu Wielkiego w 1789 roku delegacja lubelska zna się wśród 141 miast królewskich, a w marcu 1791 roku mieszczenie lubelscy postanowili wysłać specjalną delegację do Stanów Najjaśniejszych Rzeczypospolitej skonfederowanych w sprawie dochodzenia praw służących miastom, a w szczególności Lublinowi. Lublin reprezentowali wówczas były prezydent miasta Jakub Lewandowski oraz ławnik Maciej Greber.

Z wielkim entuzjazmem przyjęto w Lublinie wieść o uchwaleniu przez sejm praw o miastach, a w dniu 8 maja uroczyście obchodzono imieniny królewskie. Wieczorem zorganizowano wspaniałą iluminację, a strzałami armatnimi i okrzykami entuzjazmu witano w dniu tym wiadomość o uchwaleniu Konstytucji 3-go maja.

W myśl nowego prawa Lublin stał się miastem wydziałowym apelacyjnym pełniącym zwierzchność nad innymi miastami królewskimi na terenie wykraczającym nawet poza ramy województwa.

Za wyświadczone dobrodziejstwa pamięć o łaskawości i szczelnej opiece ostatniego króla Polski przetrwała w Lublinie do dzisiejszego dnia.

Wysoko na zwieńczeniu Bramy Krakowskiej można i dziś oglądać wykuty w metalu wspaniały monogram królewski z datą 1782 roku utrwalający pamięć gruntownego remontu tej starej budowli. Podobny monogram znajduje się na Bramie Grodzkiej, nim rzymska data MDCCLXXXV świadcząca, że i ta brama trzy lata po Bramie Krakowskiej również ze szkatuły królewskiej została odbudowana.

Daty te i inicjały przypominają o ocaleniu dla potomnych przez ostatniego króla najcenniejszych budowli starego Lublina. Ale nie tylko inicjały i daty, bo też ze szczególną pieczołowitością eksponowany jest w galerii malarstwa polskiego w Muzeum na Zamku, wspaniały, oryginalny portret króla pędzla Bacciarellego.

Na tym obrazie można podziwiać stojącą, niemal naturalnej, wielkości, postać Stanisława Augusta. Nadworny malarz zadbał o, to, by przysporzyć malowanemu przez siebie królowi, jeszcze na sposób barokowy rozumianego, splendoru i dostojności.

Wprawdzie zdjął z jego głowy monarszą koronę, wyjął z rąk złote jabłko i berło, ale pozostawił niewielką pałeczkę zwaną regnium. Król lewą rękę wsparł na biodrze, a prawą z pałeczką oparł na kunsztownym stoliku, na którym spoczywają insygnia jego władzy. Gest ten monarszy potrzebny był malarzowi, by w sposób barokowy udrapować, podbity gronostajami i szlachetną czerwienią, lśniący płaszcz królewski, na którym dają się zauważyć haftowane złotem orły.

Strój króla i walory malarskie obrazu można by długo opisywać. ale zrobił to już niejeden monografista i malarza, i króla, nie ma więc powodu, by znów to samo powtarzać.

Przyglądając się portretowi, chciałem w obrazie tym odnaleźć żywego człowieka, który swą bezwonną ręką nie tylko prowadzi polskie królestwo do zupełnego rozbicia, ale wszczepił też w naród: pragnienie wolności i umiłowanie sztuki i piękna. Długo patrzyłem sam, prosiłem o pomoc historyków sztuki, ale rozmowa przy obrazie schodziła zwykle na szaty króla i umiejętności warsztatowe malarza, który na pewno dobrze opanował sztukę swego rzemiosła i wiedział jak powinno malować się postać panującego, ale nie potrafił prawie nic wydobyć z jego wnętrza.

Niewiele mówią nam dzisiaj nieco smętne, znudzone oczy niczego nie odzwierciedla wysmukła i nieco uróżowiona twarz i przyprószona pudrem gładka królewska peruka.

Poza kostiumem i teatralnym gestem postać Stanisława Augusta jak gdyby była nieobecna. Smutno zrobiło mi się, że z nieobecnym na portrecie królem nie mogę się ani poswarzyć, porozmawiać, ani też o przygody żywota zapytać. Poszedłem więc jeszcze innych pamiątek po nim w Lublinie poszukać. W wędrowce tej dotarłem do skrytych przed okiem zwykłych śmiertelników magazynów muzealnych. I tu właśnie zupełnie nieoczekiwanie dla siebie odnalazłem niewielką szklaneczkę. Kunsztownie skreślony inicjał Stanisława Augusta i nieco pociemniałe wiekiem szkło, nie zostawiały żadnej wątpliwości do kogo ta szklaneczka należała.

W porównaniu z portretem Bacciarellego wartość artystyczna materialna tego drobiazgu codziennego użycia jest zupełnie znikoma, dlatego żadnej wystawy muzealnej ona nie ozdabia. Mnie jednak dlatego, że jest taka niepozorna, krucha i mała, bardzo wzruszyła.

Właśnie tu, w ciszy i mroku magazynu, starannie przed oczami ciekawskich ukryta stała się już prawie jak symbol tamtego czasu i króla. Do rąk królewskich ponownie powraca i krążyć zaczyna z ust do ust; przyjaciół, pochlebców i szpiegów, i do tych omdlewających, a obłudnych dam, z jego otoczenia. Po kolei nakładają się na tę drobiną kształtowanego szkła dłonie i usta; Zabłocki, Trembecki, Naruszewicz i przebiegła w chytrych i obłudnych twarz Ryxa, a tu znów wezwany do stolicy Wojciech Bogusławski, czekając na posłuchanie, wodą z tej szklaneczki się ochładza.

Długi szereg cieni po szkło tym niewielkim, jak czas tamten ścieśniony w pamięci, bezszelestnie się przesuwają. Stygną dłonie, zamierają po raz ostatni otworzone usta, ale każdy z odchodzących jakby coś zostawiał. Jak testament zrastają się ze szkłem wypowiedziane po raz pierwszy słowa Krasickiego:

*Święta miłości kochanej ojczyzny,
Czują cię tylko umysły poczciwe!
Dla ciebie zjadłe smakują trucizny.
Dla ciebie więzy, pęta niezelżywe.
Kształcisz kalectwo przez chwalebne blizny,
Gnieździsz w umyśle rozkoszy prawdziwe.
Byle cię można wspomóc, byle wspierać,
Nie żal żyć w nędzy, nie żal i umierać.*

Słowa te przywarły jak zaklęcie i jak nakaz do sumień i serc kolejnych polskich pokoleń, kazały walczyć i pozwalały najcięższy czas przetrwać. Symbolem tego niech będzie ta mała szklaneczka, której nie uroniła na lśniącej posadzkę pałaców żadna opadająca w bezwładzie ręka, nikt jej w rozpacz nie rozgniół w dłoniach, nikt z kraju nie wywiózł, nie ukradł. Ocalała, bo każdy ją chronił jak wartość największą i następnym pokoleniom w testamencie przekazywał.

Może już dawno uleciała z niej materia? Bo jakżeż wytłumaczyć dzisiaj wśród nas jej obecność, skoro rozsypało się królestwo polskie, jakżeż dawno pogrzebano ostatniego króla, przeszły niszcząc kraj i niosąc nadzieję wolności napoleońskie wojska, upadły powstania, pierwsza i druga wojna światowa żelastwem krwawo przez kraj się przetoczyła. Chociaż ginęły tysiące ludzi, nie dosięgła jej żadna wystrzelona kula, nie przygniotły zamieniona na gruz zamkowe sklepienia i kolumna Zygmunta, kiedy razem z Warszawą na bruk upadła.

Jak to mogło się stać? Pytałem siebie, patrząc na tę nietkniętą czasem, kruchą odrobinę szkła. Ocalała chyba jak mit i legenda; które potrafią z czasu przeszłego tak dziwne rzeczy wybierać, ocalać i przenosić niby skarb albo nakaz w przyszłe pokolenia?

Widzący z Lublina

Kiedy minie kościół i klasztor salezjanów (dawniej franciszkanów) przy ulicy Kalinowszczyzna, ocieramy się niemal o wysoki ceglany mur. Mur ten otacza porośnięte starymi drzewami i krzewami wzgórze. Wzgórze to nazywano grodziskiem. (Wykopaliska teologiczne potwierdziły, że znajdował się tu niewielki gród). XV wieku do lat trzydziestych wieku dziewiętnastego Żydzi lubelscy grzebali na wzgórzu tym swoich zmarłych.

„Przez małą furtkę wchodzimy na właściwy cmentarz. Ścieżka wije się między darnią zacienioną zaroślami i drzewami i wspina coraz bardziej stromo ku górze. Z początku nie widzimy żadnych nagrobków, ale im wyżej wspinamy się, tym spotykamy je częściej. Jedne stoją prosto, inne krzywo, a najczęściej leżą one po prostu na ziemi przykryte w połowie kurzem i ziemią. Im wyżej, bardziej gęsty staje się las, a chaszcze bardziej nieprzenikliwe. Musimy siłą odsuwać gałęzie i odgarniać liście, aby tu i ówdzie znaleźć czytelny jeszcze napis” - tak opisał tę najstarszą lubelską nekropolię w 1918 roku Majer Bałaban, wybitny badacz historii Żydów w Polsce*.

Obecnie przechodząc obok cmentarnego muru często można spotkać zaparkowane tu autokary przywożące zagranicznych żydowskich pielgrzymów i turystów. Przyjeżdżają, by nie tylko odwiedzić groby swoich przodków, ale przede wszystkim, aby pomodlić się i złożyć wypisane na kartkach prośby do Najwyższego za pośrednictwem sławnych lubelskich rabinów i cadyków.

Najsłynniejszy wśród nich, do dziś pozostający w aurze dawnej legendy i sławy, jest rabbi Jakub Icchak Horowic - Widzący z Lublina.

„Jego oblicze [jak głosi legenda] otoczone było aureolą, gdyż dusza jego zakorzeniona była w duszy naszego nauczyciela Mojżesza, w duszy wielkiego kabalisty Lurii i w duszy Izraela Pana Dobrego Imienia. Bogato obdarzony był on, Rabbi, wszelkimi cnotami, doskonały niemal jak anioł, jak nasz prorok Izajasz. Brakło mu jedynie gruntu Ziemi Obiecanej...”

* W opowieści tej wykorzystałem m.in. pracę Majera Bałabana, „Żydowskie miasto w Lublinie”. Lublin 1991. Z niej też pochodzą prawie wszystkie cytaty.

Jakub Icchak Horowic urodził się w 1745 roku w Józefowie nad Wisłą (niektórzy przypuszczają, że w Józefowie koło Biłgoraja). Jego ojciec był rabinem. Gdy chłopiec miał dziesięć lat, odwiedził Józefów rabbi Zusja, brat słynnego cadyka Elimelecha z Leżajska (Elimolcka, bo i tak niektórzy piszą jego nazwisko).

Zauważył on, że podczas modlitwy Jakubowi Icchakowi po policzkach płyną łzy, a po jakimś czasie w jego oczach pojawia się krew. Widząc tak głębokie i niezwykle przeżycia religijne chłopca rabbi Zusja powiedział: „Do twego serca, moje dziecko, włożyłem teraz duszę. Idź do mego brata Elimelecha, on da ci ducha”.

Czczony do dziś przez ortodoksyjnych Żydów Elimelech z Leżajska (zm. w 1787 roku), był jednym z założycieli ruchu chasydzkiego, którego twórcą był słynny, świętobliwy, Baal Szem Tow. Jego doktrynę spisali Aaron ben Zebi Hirsch i Izajasz z

Janowa, a rozwinął następcą Baal Szem Towa główny teoretyk, Dom Ber tworząc centrum chasydzkie na Wołyniu.

Chasydyzm powstał w połowie XVIII wieku w wyniku protestów pobożnych przeciw oficjalnemu i sformalizowanemu rabinizmowi. Z tego powodu nie był przez uczonych rabinów przyjmowany, a nawet tolerowany.

Ruch chasydzki dążył do stworzenia lepszych warunków bytu dla uboższych Żydów. Osiągnięcie tego celu widział w upowszechnieniu Kabały, w prostej wierze i moralnej przemianie oraz modlitwie i studiowaniu Tory.

Jak zauważył rabbi Zusja, młody Horowic miał wszelkie predyspozycje, by zostać wybitnym chasydem. Był on jeszcze za młody by zostać uczniem Elimelecha. Musiał jeszcze długo się doskonalić zdobywając i pogłębiając religijną wiedzę.

Gdy Icchak dorósł do lat młodzieńczych, ojciec zaręczył go z córką bogatego szynkarza z Krasnobrodu. Jak to było w zwyczaju, narzeczony wybraną mu za żonę dziewczynę zobaczył na krótko przed ślubem. Rozczarowany jej urodą oświadczył, że się z nią nie ożeni.

Ojciec zmusił go do małżeństwa. Icchak uległ jego woli, ale bezpośrednio po ceremonii zaślubin uciekł od rodziców, weselnym gościom i od panny młodej. Od tego czasu, jak głosi legenda, towarzyszyły mu niezwykle przygody i wydarzenia.

Pewnego razu, kiedy zmęczony i głodny błąkał się po lesie, ujrzał w oddali światła pięknego domu. Wszedł do jego wnętrza. Zjawiła się przed nim niezwykle urody kobieta. Zaprosiła do suto zastawionego stołu. Podsuwała smakowite trunki, przekąski i dania. Kiedy się już dostatecznie posilił, usiadła obok niego i zaczęła go uwodzić. Przerażony Jakub Icchak zerwał się z miejsca i zaczął recytować odpowiednie nakazy i przepisy, jakimi powinni kierować się żonaci mężczyźni. Natarczywej kobiety tym nie odstraszył. Podniósł więc dłoń i wezwał na pomoc Imię Wszchemogącego. - Wówczas zagrzmiało. Piorun uderzył w dom, który się zawalił. Pod jego gruzami przepadła uwodzająca, a Icchak wyszedł z tej walki z diabłem pokusy zwycięsko.

Po wielu wędrówkach i różnych niezwykłych przygodach dotarł najpierw do słynnego cadyka Megida z Międzyrzecza, na którego „dworze” zdobywali wiedzę przyszli najwybitniejsi chasydzi. Ich mistrz, Megid, pogłębiał podstawy chasydzkiej nauki i położył podwaliny pod rozwój instytucji „dworu” cadyków.

Na „dworze” koncentrowało się życie wspólnoty. Tu dojrzewali do samodzielnego rozpowszechniania nauki mistrza w różnych skupiskach żydowskich jego uczniowie. Jednym z najwybitniejszych wśród nich był Jakub Icchak Horowic -Widzący z Lubina. Zanim jednak zdobył niezwykłą sławę, jeszcze długo pogłębiał wiedzę i doskonalił się w różnych ośrodkach i u wybitnych religijnych autorytetów.

Z Międzyrzecza udał się do Ryczy wołu koło Kozienic, do Rabbiego Szelke. Tu przez dwa lata studiował Talmud i Kabałę. Dopiero tak przygotowany postanowił spełnić polecenie rabiego Zusji i udał się do Leżajska do rabiego Elimelecha, do którego przybywały już setki pobożnych chasydów pragnących za pośrednictwem swego mistrza przybliżyć się do Boga.

Wkrótce młody Horowic swoją gorliwością i wiedzą oraz niezwykłą pobożnością przewyższył wszystkich i stał się ulubieńcem cadyka. Po uzyskaniu jego

błogostawieństwa przeniósł się do Łańcuta, gdzie założył już własny „dwór”. Skupił wokół siebie wielu uczniów i zwolenników.

Po jakimś czasie dotarło do niego „polecenie z nieba”, by udał się do Wieniawy. Z tą wiadomością zjawił się u niego prosty, pobożny Żyd. Horowic początkowo zlekceważył to polecenie, ale gdy trzykrotnie zostało powtórzone, postanowił je spełnić.

Niestety, nikt w Łańcutie nie wiedział, gdzie leży Wieniawa. Wyjaśnił to dopiero list rozwodowy, w którym podano, że Wieniawa leży koło Lublina.

Była to od dawna zamieszkała przez Żydów jurydyka, posiadająca własny niezależny od Lublina samorząd. W centrum osady wznosiła się okazała murowana synagoga. Obok niej znajdował się dom nauki i łaźnia. Wieniawa miała też własny cmentarz.

Mieszkała tu przede wszystkim biedota żydowska. Obok parterowych lichych domków ściśniętych obok drogi uprawiano warzywne ogrody. Bardziej podobna była Wieniawa do wsi, aniżeli do przedmiejskiego miasteczka.

Horowic, zgodnie z poleceniem, przybył do Wieniawy. Osiadł w jednym z niewielkich domków i założył tu swoją klauzę. Nie był jeszcze tak sławny, by osiedlić się w lubelskim żydowskim mieście. Nie pozwoliłby na to główny rabin Lublina Azril Horowic, zwany „Żelazną Głową”, który był wielkim przeciwnikiem ruchu chasydzkiego, a cadyków uważał za ludzi prostych i niedouczonej. Dla nich i ich uczniów nie było jeszcze w Lublinie miejsca.

Żydowski Lublin szczylił się bowiem wspaniałą i dawną tradycją ludzi świętych. Już nikt nie pamiętał, kiedy osiedlili się tu pierwsi Żydzi. Niektórzy utrzymywali, że zjawili się za czasów Kazimierza Wielkiego, inni twierdzili, że jeszcze dawniej.

W drugiej połowie piętnastego wieku utworzyli już własną gminę. Nie uzyskali jednak prawa zamieszkiwania w murach miasta. Korzystając z przywilejów królewskich i opieki starosty osiedlali się wokół lubelskiego zamku. Gmina żydowska rządziła się własnymi prawami. Żydzi zajmowali się przede wszystkim handlem, rzemiosłem i lichwą. Bogacili się pośrednicząc w wielkim handlu podczas słynnych lubelskich jarmarków. Na jarmarki zjeżdżali Żydzi z Korony i Litwy, a nawet z dalekich krajów. W czasie trwania jarmarków przeprowadzali nie tylko transakcje handlowe, ale debatowali nad najważniejszymi problemami nurtującymi środowisko żydowskie.

Pod koniec szesnastego wieku postanowili nawet powołać sejm, na którego obrady poszczególne gminy żydowskie delegowały do Lublina swoich przedstawicieli. Ci zajmowali się problemami gospodarczymi i prawnymi żydowskiej społeczności. Rozstrzygali spory i konflikty wybuchające między żydowskimi gminami. Podejmowane postanowienia i uchwały były obowiązujące. Starali się też przeciwstawiać uchwalaniu niekorzystnych dla Żydów ustaw ograniczających ich udział w handlu na jarmarkach i w miastach.

Gmina lubelska odgrywała w sejmie żydowskim ważną rolę. Spośród jej przedstawicieli wybierano sejmowego marszałka. W Lublinie została powołana akademia talmudyczna. Przybywali tu słynni rabini „z całego świata”, by wyklądać Talmud. Osiedlali się sławni lekarze, uczeni i bogaci kupcy. Już w szesnastym wieku otworzono w Lublinie hebrajską drukarnię. Bogaci Żydzi kupowali od starosty

parcele, na których stawiali okazałe domy i bożnice.

Nie znaczy to, że życie w rozrastającym się mieście żydowskim przebiegało bezkonfliktowo. Nadmierna handlowa aktywność wzbudzała protesty lubelskich mieszczan, którzy starali się ukroci żydowską konkurencję, a stacjonująca na zamku załoga próbowała ściągać od Żydów samowolnie daniny i kontrybucje. Domagali się też nieuzasadnionych datków żacy parafialnej szkoły. Dochodziło z tego powodu do bójek i tumultów, które musiała uśmierzać straż miejska, wsadzając najbardziej krewkich napastników do kozy.

Blady strach spadał na gminę żydowską przed otwarciem kolejnej sesji Trybunału Koronnego. Rabini nawet ogłaszali ogólny post, by nie doszło do fałszywych oskarżeń o mord rytualny.

Kiedy obyło się bez procesu, natychmiast ożywiało się całe środowisko i ogarniała wszystkich wielka radość, bo otwierały się wielkie możliwości zarobku i handlu z przybywającą licznie do Lublina procesującą się szlachtą. Wielu klientów mieli miejscowi lichwiarze, którzy wyciągali z finansowej opresji utracjuszy.

To dostatnie i w miarę spokojnie rozwijające się życie chrześcijańskiego i żydowskiego Lublina wyniszczyły w połowie siedemnastego wieku kozackie, szwedzkie i moskiewskie najazdy. Po ich przewaleniu: „Miasto żydowskie przedstawiało obraz straszliwego spustoszenia. Wszystkie bożnice, dom kahalny i akademia, łaźnia i domy mieszkalne leżały w gruzach, z których wydobyto 2700 ciał. Na miejscu Żydowskiego Miasta leżała tylko kupa gruzów, nad którymi sterczały jedynie jak widma pozostałości spalonego zamku. Śmierć i zniszczenie zapanowały tam, gdzie wartko toczyło się życie. Lubelska gmina była zniszczona na lata”.

Doroczne jarmarki przeniesiono do Łęcznej. Odroczone otwarcie Trybunału Koronnego. Nie zwoływano żydowskiego sejmku. Do kataklizmu wojny dołączyła się szalejąca w mieście zaraza, a większość domów strawił pożar. Pozostali przy życiu Żydzi próbowali osiedlić się w murach wyludnionego miasta, ale ich stąd wkrótce wypędzono. Wrócili do swoich rozwalisk, próbując powoli odbudować zrujnowane domy. Dzięki ich niespożytej energii i żywotności powstawały nowe rzemieślnicze warsztaty, ożywał handel. Powiększała się ilość mieszkańców żydowskiej dzielnicy.

W drugiej połowie osiemnastego wieku chrześcijański i żydowski Lublin powoli zablizniał odniesione w czasie wojen i najazdów rany. W 1784 roku powstała Komisja Dobrego Porządku, która podjęła starania, by w zrujnowanym i zaniedbanym mieście przywrócić jako taki ład i znośniejsze warunki egzystencji. Zarządzono, by z ulic wywożono błoto i nagromadzone nieczystości, by nie wylewano pomoy z okien na ulicę, aby woźnice „siana, trawy i obroków dla koni inaczej dawać się nie ważyli, jak tylko w workach, lub torbach na konie zawieszanych. [...] Aby nikt zdechlizn żadnych na ulicę lub w kanał wyrzucać i wywłóczyć nie ważył się... [...] Aby nikt przy ulicach publicznych kloak murować lub drewnianych stawiać i fecesów na ulicy wypuszczać nie ważył się...”

Komisja sprawy porządkowe ujęła w osiemnastu punktach. Nie wiadomo, czy obowiązywały one i w żydowskiej dzielnicy Lublina, ale zapewne nie dotarły na Wieniawę, kiedy zamieszkał tam Jakub Icchak Horowic.

Na Wieniawie otworzył swój „dwór”, ale początkowo niewielu miał zwolenników i wyznawców. Z czasem jego sława poprzez opowieści o nadzwyczajnej dobroci, pobożności i uczoności dotarła do żydowskiego Lublina. Wielu strapionych biedaków biegło ukradkiem na Wieniawę szukając dobrej rady i słów pocieszenia. Szeptem w obawie przed „Żelazną Głową” opowiadano o niezwykłych cnotach cadyka i jego „niebiańskiej dobroci”. Bano się jednak gniewu przewodniczącego lubelskiego kahału, który uważał Jakuba Icchaka za niedouczzonego mąciela umysłów prostych ludzi. Oni jednak cenili bardziej od uczoności swego rabina, dobroć i proste zasady moralne, które głosił i ukazywał Jakub Icchak. Powtarzano o tym różne opowieści. Oto jedna z nich:

„Pewnego dnia przyszedł do Widzącego z Lublina, żyjącego cicho w swojej klauzie, szeroko znany żydowski uczony. Zarzucił mu brak wykształcenia, który miał powodować niewłaściwe przekazywanie wiary ojców.

- Co rozumiesz przez pojęcie „wykształcony”? - ze spokojem zapytał pobożny mąż. Uczony w Piśmie, zanim zaczął swą odpowiedź, zastanawiał się przez chwilę:

- No... to ktoś taki, kto używa, poza ojczystym, jeszcze dwu języków o zasięgu światowym, a trzy dalsze rozumie. Do tego mówi w trzech językach starożytnych, uczy się jeszcze dwóch. Z doskonałym wynikiem ukończył uniwersytet, przeczytał pisma filozofów, potrafi przypisać właściwe miejsce różnym wydarzeniom historycznym, jest przygotowany do tego, by badać religie i świata - kto może o sobie powiedzieć to wszystko, ten, jak sądzę, jest człowiekiem wykształconym (a wszystko potrafił właśnie ten człowiek).

Wysłuchawszy tego, pobożny mąż podniósł się, wziął dziecko, postawił je przed sobą i powiedział:

- Tego, kto potrafi to wszystko, przewyższa ktoś inny: ten, kto gotów jest przygarnąć sierotę i zdoła wychować ją w żywej wierze tak, by była posłuszna przykazaniom Przedwiecznego. Błogostawione niech będzie Jego Imię!"

Przybywający coraz liczniej na Wieniawę przedstawiciele lubelskiego żydowskiego miasta namawiali cadyka, by się do nich przeniósł. On jednak nie podejmował takich starań, gdyż dobrze wiedział, że jego przeciwnik na to nie pozwoli.

Dopiero głośno opowiadany cud sprawił, że cadyk z Wieniawy mógł spełnić życzenie i prośby zwolenników. Świadkiem cudu był bogaty kupiec, który przybył wczesnym rankiem na Wieniawę, by załatwić jakieś handlowe interesy.

Zobaczył jak szames biegał od domu do domu i trzema uderzeniami młotka, budził wiernych do modlitwy. Zastukał też do drzwi cadyka i chciał biec dalej, ale z domu wyszedł rabbi i rozkazał szamesowi by zaczekał. Sam wszedł do domu i po chwili wrócił z miską i dzbankiem wody. Poleciał szamesowi umyć ręce. Przerażony szames padł na kolana i prosił o wybaczenie.

Lubelski kupiec, który był świadkiem tego wydarzenia, nic nie rozumiał. Pytał o przyczyny tego zajścia. Okazało się, że szames tego dnia zasnął. Obudził się, gdy był już najwyższy czas budzić, ludzi na modlitwa Wybiegł z domu nie zdążywszy umyć rąk, jak nakazuje prawo. Wiedział o tym Widzący. By uchronić szamesa od; grzechu, polecił mu umyć ręce.

Wiść o cudzie i jasnowidzeniu lotem błyskawicy obleciała cały żydowski Lublin. Nie zwracając uwagi na protesty „Żelaznej Głowy” prawie wszyscy lubelscy Żydzi

śpieszyli na Wieniawę, by zobaczyć i posłuchać natchnionych słów Widzącego. Icchak Horowic nie musiał się już obawiać protestów swego przeciwnika.

Przy ulicy Szerokiej 28 zakupił obszerną oficynę, w której założył swoją kluzę. Tu przeniosło się z Wieniawy duchowe centrum lubelskich chasydów.

Nie mogli oni jednak w spokoju studiować Kabały i Tory, słuchać mądrych rad i nauk swego mistrza, bo czas był bardzo niespokojny. Docierały do nich niepokojące wieści o prowadzonych przez Napoleona wojnach i podbojach, a przede wszystkim o jego nie mieszczących się w głowie hasłach i rewolucyjnych rozporządzeniach.

W klauzach dyskutowano jak należy do tych wieści się ustosunkować. Jedni potępiali Napoleona jako największego bezbożnika, inni, jak rabbi Mendel z Rymanowa, wzywali swoich zwolenników do modlitwy za jego pomyślność, gdyż pokarał on narody i władców, którzy uciskali Żydów. Ostro zaoponował rabbi Naftali z Ropczyc twierdząc, że Napoleon jest bezbożnikiem, chce dzieci żydowskie posłać do szkoły, a młodych Żydów wcielić do wojska, gdzie nie będą mogli zachować Przykazań Bożych.

Spierający się udali się o rozstrzygnięcie sporu do „Widzącego z Lublina, ale ten nie znalazł właściwej odpowiedzi. Udali się więc do Megida z Kozienic. Ten rzucił klątwę: „Niech zginą ci, co wiedą do grzechu.” Jak wiadomo, klątwa Megida po latach została spełniona.

Znacznie większe i bezpośrednie zagrożenie dla wspólnot żydowskich stworzyła ogłoszona w 1807 roku Konstytucja Księstwa Warszawskiego wprowadzająca równouprawnienie wszystkich obywateli i nakazująca zburzenie murów gett. Obawiano się, że równouprawnienie może doprowadzić nie tylko do likwidacji gmin żydowskich i organizacji kahalnej, ale wyrządzić wiele szkód moralnych. Skutków tych obawiali się przede wszystkim chasydzi. Wobec grożącego niebezpieczeństwa po raz pierwszy doszło do porozumienia zwalczających się wspólnot żydowskich. Zgodnie zjednoczyli wysiłki w dążeniu do ograniczenia skutków konstytucyjnych postanowień.

Dzięki wspólnym staraniom książe Fryderyk August zawiesił na dziesięć lat równouprawnienie Żydów.

"Chasydzi triumfowali. Jedni z nich głosili, że wielki cud zniszczenia „diabelskiej konstytucji” jest dziełem cadyka z Lublina, drudzy, że cadyka z Kozienic i innych „dobrych Żydów”.

Wkrótce trzeba było jednak na nowo „ratować Żydów spod władzy diabelskiej”. Minister wojny w Księstwie Warszawskim, książe Józef Poniatowski, kazał ogłosić w gazetach i obwieszczeniach, że wszyscy obywatele państwa bez względu na wiarę zobowiązani są służyć ojczyźnie z bronią w ręku. Znowu przerażenie ogarnęło chasydów. Z Warszawy wysyłano posłańców po radę do Lublina, a stamtąd do Kozienic, Przysuchy, Kazimierza, Izbicy i innych dworów chasydów. Najlepsze dojście do księcia Poniatowskiego miał Megid z Kozienic. Wśród Żydów powszechnie były znane jego znajomości na dworze Czartoryskich w Puławach i teraz ze wszystkich stron nalegano na niego, by użył tam swoich wpływów.

Megid zdecydowanie włączył się do działań. Również inni cadycy i przełożeni gminni czynili wszystko, co w ich mocy. Ich wspólne wysiłki przyniosły w końcu efekt i osobista służba wojskowa Żydów została zamieniona na specjalny podatek, którym obarczono całe polskie żydostwo.

Pomyślne załatwienie tej sprawy wzmocniło i tak już silne wpływy cadyków i przyciągnęło do ich obozu dużą część polskich Żydów."

Po zakończeniu wojen i klęsce Napoleona chasydzi ogłosili, że wkrótce należy spodziewać się Mesjasza. „Cadycy z Kozienic i Przysuchy zjednoczyli się w modlitwie z cadykiem z Lublina, aby zdobyć dla tej idei niebo. Rabbi Lewi Icchak z Berdyczowa przed, swoją śmiercią uroczyście obiecał, że użyje w niebie wszystkich swoich wpływów, by przekonać „niebieską rodzinę" o konieczności szybkiego zbawienia Izraela".

Niestety, siła ich modlitw nie była dostateczna. Wkrótce kolejno wszyscy poumierali.

„Podczas święta radości (simchat Tora) 1814 roku Widzący czując bliską śmierć prosił swoich stronników, by go nic opuszczali i uważnie go strzegli. Wierni byli już dobrze podchmieleni. O ich nastroju świadczyła wielka ilość butelek i szklanek stojących na stole i parapetach. Rabbi zauważył, że nie rozumieją go, więc poprosił żonę, aby go nie spuszczała z oka. Żona opiekowała się nim troskliwie i uważnie, choć także nie rozumiała jego słów. Nagle zapukano do drzwi. Żona musiała na chwilę opuścić pokój, by je otworzyć, i gdy wróciła, na łóżku nie było już męża. Dostrzegła, tylko kilka zamglonych postaci wywlekających go przez okno. Ale kiedy podbiegła do okna, było ono zamknięte, a na parapecie stały jak przedtem puste butelki i szklanki.

Żona była zrozpaczona, płakała, krzyczała, ale chasydów nie sposób było wyrwać z alkoholowego zamroczenia. W tym samym czasie przechodził niedaleko uczeń cadyka, rabbi Leizer z Chmielnika, Usłyszał on w krzakach jakieś jęki i gdy podszedł bliżej ku swemu zdumieniu zobaczył na ziemi zakrwawionego rabiego, który szeptem odmawiał modlitwy. Leizer zawołał ludzi, jego uczniowie szybko rozlosowali między sobą, kto ma trzymać rabiego za głowę, a kto za nogi. Wielki honor niesienia głowy „świętego rabiego" przypadł Szlomte z Karowa, [Kurowa? - J. Z.] a inni mu pomagali".

Jeszcze niemal rok od tego wydarzenia Widzący chorował. Zmarł 15 sierpnia 1815 roku (według żydowskiego kalendarza 9 miesiąca ab 5676 roku). Został pochowany uroczyście przy wielkim tłumie żałobników i ich płaczu na starym żydowskim cmentarzu. Na jego nagrobku uczniowie polecili wykuć następujący napis:

„Kamień zaświadcza, że ten święty Macewah jest z łaski świętości rabbim, z wzniosłości - naszą siłą, światłością naszych oczu, miłością naszego serca.

I cały Izrael plakał, gdy zaciemniło się nasze światło za dnia. tak spalony został dom naszego Pana.

To jest dzień śmierci świętego męża, chluby naszych czasów, czcigodnego rabiego, pobożnego i sławnego od krańca do krańca świata. Pana Jakuba Icchaka, syna Pana i Nauczyciela Abrahama Elizera, Lewity Horowica.

Wielu weszło do jego domu i wielu wędrowało w jego świetle, widzieli go i radowali się mężowie jego czasów, ale radość przemieniła się w żalobę tego gorzkiego dnia, to jest 9 ab tego roku. I zadrżała Ziemia".

Śmierć Widzącego nie zapowiadała jeszcze tego, co miało nastąpić ponad sto lat później, kiedy to najstraszniejszy kataklizm, gorszy od najokropniejszego trzęsienia

ziemi, od najazdów i pogromów miał pochłonać w piecu ognistym prawie wszystkich lubelskich i europejskich Żydów.

Nikt nie przeczuwał złego, kiedy w wieku dziewiętnastym i na początku dwudziestego żywo rozwijała się społeczność żydowska. Nie mogła już ich pomieścić stara żydowska dzielnica Lublina ani peryferyjna Wieniawa. Zabudowali kamienicami nowowytoczoną drogę w stronę Lubartowa. Kiedy uruchomiono połączenie kolejowe z Warszawą, na Piaskach obok dworca powstała nowa żydowska dzielnica. Po zniesieniu trwającego przez wieki zakazu osiedlania się w murach starego miasta, natychmiast wykupili prawie wszystkie kamienice.

W drugiej połowie dziewiętnastego wieku Żydzi stanowili prawie połowę mieszkańców Lublina, rozwijali handel i rzemiosło. Kwitło tu też życie intelektualne czego znakomitym dowodem było powołanie iszibotu - wyższej rabinackiej uczelni.

W czasie drugiej wojny światowej Niemcy po wymordowaniu Żydów, zrównali z ziemią otaczającą wzgórze zamkowe dzielnicę żydowską. Bez śladu znikła Wieniawa. Cudem tylko ocalał stary cmentarz żydowski z grobem Widzącego na wzgórzu zwanym grodziskiem. Pozostała też ocalająca pamięć opowieść i legenda o lubelskich Żydach, Sztukmistrzu i Widzącym z Lublina.

Twórca „Kuriera”

Był rok tysiąc osiemset dwudziesty trzeci. W pocztowym dylizansie, podążającym z Warszawy do Lublina, już kilkanaście godzin tłukł się dwudziestodwuletni magister prawa Jan Czyński.

Przez całą długą drogą gnębiły go ponure i przykre myśli. Ta najdłuższa w życiu i pierwsza zarazem samodzielna podróż w innych okolicznościach łączyłaby się z nadzieją wielkich młodzieńczych przygód, ale teraz napętniała niepokojem i przygnębieniem. Nie był to przecież zwykły wyjazd dla objęcia na prowincji stanowiska patrona przy Trybunale Cywilnym, ale po prostu zakamufLOWANA przed oczami policji ucieczka ze stolicy.

Już od końca maja zaczęły dochodzić niepokojące wieści z Wilna, gdzie Nowosilcow rozpoczął śledztwo i aresztowania w środowisku akademickim. Do cel więziennych szli po kolei filareci i filomaci. W Warszawie też czuło się na każdym kroku, jak weszli szpicle z tajnej policji.

Młodzież studencka powiązana z nielegalnymi klubami oczekiwała w napięciu jakiejś nowej większej wsypy. Zawsze mógł się znaleźć, jak w Wilnie, ktoś słabszy, kto podczas przesłuchań przestraszy się, nie wytrzyma i zdradzi. Tegoroczni absolwenci postanowili po odbyciu krótkiej praktyki rozproszyć się po kraju.

Czyński z żalem opuszczający swe rodzinne miasto liczył, że uda mu się w prowincjonalnym Lublinie przeczekać czas burzy i po jakimś czasie znowu do swojej ukochanej Warszawy powrócić. W takim nastroju dowiózł go dylizans do rogatek miasta.

W momencie pierwszego zetknięcia, Lublin na młodym absolwencie prawa przyjemnego wrażenia nie zrobił. Gdzie mu tam było równać się do Warszawy?

Miasto dopiero teraz próbowało z trudem powrócić do tej sprzed dwu wieków, jeszcze nic wymazanej z murów kamienic, niegdyś bogatej przeszłości. Tu i ówdzie poprawiano walące się mury i straszące oczodołami otworów okiennych wypalone kamienice.

Po lepszym rozejrzeniu się zaczął jednak dostrzegać, że w mieście sporo się chyba robi. Z polecenia władz zwierzchnich wytyczono nowe szlaki komunikacyjne, likwidowano strzechy i lepione z gliny i chrustu tak zwane sztagowe kominy. Dla stacjonującego w mieście polskiego wojska urządzono obszerny plac musztry, zwany dumnie Polem Marsowym. Ulice zaopatrzone w lampy łojowe, które na olejne zamierzano przemienić. Pojawiły się, rzecz tu dotąd zupełnie niezwykła i nie znana, brukowane trotuary.

Znalazł się nawet rzutki przedsiębiorca budowlany Rodakiewicz, który postanowił wystawić własnym sumptem pierwszy w mieście budynek teatralny.

I teatr, i całe miasto zaczynał jednak przytłaczać swą groźną monumentalnością ponury, w modnym neogotyckim stylu wznoszony gmach więzienny. Jak symbol terroru i prześladowań wyrastał w miejscu, gdzie stał niegdyś zamek królewski.

Lublinianie byli wyraźnie zgnębieni wznoszącym się gmachem i wzmagającym uciskiem. Stronili od wszelkich spisków, ale życzliwie przyjmowali po cichu przekazywane z ust do ust wiadomości o ruchach wolnościowych Europy i o tym, co

potajemnie dochodziło z konspiracyjnych podziemi siolicy.

Byli jednak i tacy, co ślepo wierzyli we wspaniałomyślność cara i króla Polski Aleksandra I, który z liberała zamieniał się w prawdziwego despotę swego narodu i żandarma Europy. Przewodził im prezes Komisji Wojewódzkiej, Ignacy Lubowiecki. Wierni carowi z zadyszką i zachwytem opowiadali, jaki to przed pięciu laty wielki zaszczyt spotkał Lublin. W dniu pierwszym maja 1818 roku sam cesarz i król Polski Aleksander I przez miasto przejeżdżał. Na spotkanie jego wówczas wyszły władze i cechy z chorągwiami, a duchowieństwo i zakony stały przed kościołem Świętego Ducha, prawie w tym samym miejscu, gdzie przed kilkudziesięciu laty konie nie mogły wyciągnąć z błota królewskiej karety.

W czasie przejazdu monarchy dzwoniono we wszystkie w mieście dzwony. Entuzjazm był niemal taki sam, a może nawet i większy, jak niegdyś przy powitaniu najjaśniejszego pana Stanisława Augusta. Porównywać tę uroczystość mogli wszelakoż już tylko ludzie starsi, bo młodzież zrodzona w niewoli syciła się tylko opowieściami o dawnych czasach swobody i w ukryciu próbowała śpiewać patriotyczne pieśni.

Opowiadano również Czyńskiemu, jak to jeszcze w 1817 roku poczynął sobie w Lublinie wielki książę Konstanty.

Jadąc na inspekcję twierdzy zamojskiej, naczelny wódz zatrzymał się w dniu piętnastym października w Lublinie. Jak to było w jego zwyczaju, zażyczył sobie obejrzenia w wykonaniu miejscowego garnizonu wojskowej parady. Za popis odpowiedzialny był osobiście generał Żółtowski. Widać, że uroczysta musztra nie wypadła po myśli carskiego syna, bo jeszcze w czasie jej trwania rozkazał aresztować generała i odprowadzić go na dwadzieścia cztery godziny do paki.

Naczelny wódz po dokonaniu wojskowej inspekcji udał się, tak jak uprzednio zamierzał, do zamojskiej twierdzy. Niewiele jednak czasu tam zabawił, bo już osiemnastego października wieczorem do Lublina powrócił i na dzień następny zarządził przeprowadzenie po raz drugi wojskowej parady.

Przebywający całą dobę w areszcie dowódca lubelskiego garnizonu nie mógł widać należycie wszystkiego dopatrzyć, bo znów i wolą, a może i marsową fantazją naczelnego wodza, do kozy, jaki poprzednio, prosto z placu został skierowany.

Lud lubelski słysząc o uprzejmości i fantazji Konstantego, na wszelki wypadek ukrył się w domach i swoim natręctwem majestatowi się nie narzucał, ale wielki książę dostrzegł szybko niedostatek ludzi na ulicach i zarządził, by podczas przejazdu wszystkie okna w mieście były pootwierane dla dokładniejszego widzenia jego najjaśniejszego oblicza.

Słuchając tych opowiadań, Czyński zrozumiał, że Lublin nie wiele się różni od Warszawy. Tam i tu straszył ten sam wielki książę Konstanty, a gotowych do służalczości też wszędzie można był spotkać. Nieco inne były tylko problemów tych wymiary.

Jedyną formę rozrywki i ucieczki od tej niewesołej rzeczywistości stwarzały odwiedzające Lublin prowincjonalne i wędrowne teatry. Gdy się rozeszła po kraju wieść, że Rodakiewicz zbudował nowy budynek teatralny, zaczęły tu ścierać bardziej

znane i cenione zespoły. W roku 1824 zjawił się nawet ze swym towarzystwem przybyły z Krakowa starosta brzegowski, Jacek Wincent Kluszyński.

Obejmując godność patrona Trybunału Cywilnego stał Czyński niejako automatycznie członkiem miejscowego towarzystwa. Jak inni musiał obowiązkowo każdego tygodnia chadzać do teatru i granymi sztukami się zachwycać. W niejednym zacnym domu również bywał. Tu panny i mamy zaczęły na nowego kawalera zastawiać swoje sieci licząc, że w misterną ich nić niechybnie zdoła się rychło uwikłać.

Roztropniejsi jednak ojcowie przyglądali się Czyńskiemu bardziej krytycznie stwierdzając, że młodzieniec poza swym prawniczym wykształceniem i niezbyt wysoko płatnym stanowiskiem niczego nie posiada. Do tego bardziej interesują go książki, aniżeli gotowe w każdej chwili do zamążpójścia posażne nawet jedynaczki.

Czyński, marząc o powrocie do swej rodzinnej Warszawy, rzeczywiście nie miał zamiaru więzami rodzinnymi wrastać w grunt lubelski. Spragniony wiedzy, poszukiwał przede wszystkim towarzystwa ludzi świątłych. Żałował tylko, że nie może poznać tych najwybitniejszych profesorów szkoły lubelskiej, którzy na krótko przed jego przybyciem przenieśli się do Warszawy. Znany fizyk i chemik Jan Kanty Krzyżanowski został powołany na członka Towarzystwa Elementarnego, a Antoni Woelke, profesor języka łacińskiego i greki, przeszedł na Uniwersytet Warszawski. Na miejscu pozostał Franciszek Kuberski, który wydał w Lublinie "Kalendarz polski, ruski i astronomiczno-gospodarczy na rok pański 1823" i wieloletni, ale już nieco zgorzkniały, rektor szkoły lubelskiej, Andrzej Smolikowski. Prowadzone przez nich lubelskie Towarzystwo Przyjaciół Nauk nie przejawiało już żywszej działalności.

Pozostali jeszcze młodzi oficerowie, ale ci byli tak drylem wojennym zmęczeni, że w wolnych chwilach bardziej mieli ochotę beztroskie rozrywki, aniżeli na naukowe dysputy.

Ogólnie podziwiano gruntowność i wszechstronność wykształcenia Czyńskiego, bo chociaż absolwent prawa, obeznany był świetnie z historią i literaturą. Podziw ten był jednak trochę nieufny.

Jedni boczyli się na niego za to, że jako wychrzta swego żydowskiego pochodzenia przed nikim nie ukrywał, inni znów, oskarżali go, że na studiach zbyt przesiąknął jakobińskimi myślami i z tajnymi towarzystwami w Warszawie kontakt w skrytości utrzymywał.

Nieufnym i niechętnym poza własną wiedzą i zdolnościami ukazywał postać swego ojca Józefa, który podczas insurekcji walczył pod Kościuszką dostępując się rangi kapitana. On sam w wielu okolicznościach poznać się dawał jako szczerzy Polak i gorący patriota.

Niezwykłe zdolności, doskonała znajomość prawa i sumienność; wykonywania powierzonych obowiązków sprawiały, że mimo początkowych oporów doczekał się Czyński z czasem powszechnego w Lublinie szacunku i uznania.

Powrotu do Warszawy nie mógł jednak, tak jak początkowo planował, zrealizować. Sytuacja coraz bardziej się komplikowała.

W 1825 roku, po śmierci cara Aleksandra i po objęciu władzy przez Mikołaja I, terror w całym cesarstwie i Królestwie, a zwłaszcza w stolicy, niepomierne wzrastał. W Warszawie rozpoczęły się nowe aresztowania. W więzieniach osadzono

przywódców Towarzystwa Patriotycznego.

Lepiej i bezpieczniej już było pozostawać w Lublinie i oglądać dziwactwa Lubowieckiego, który śmiercią cara Aleksandra tak przejął, że kazał we wszystkich swych pokojach zawiesić czarnej firanki, a krepą poosłaniać żyrandole i obrazy.

Po przeczekaniu naznaczonej po śmierci cara żałoby, próbował lublinian nieco rozerwać i rozweselić teatr. Gust publiczności był; jednak jakoś coraz bardziej kapryśny.

Jak zanotował w swych wspomnieniach Stanisław Krzesiński: „Niesytym nowości lublinianom trzeba było coś wynajdywać takiego, czym by ich gwałtem ściągnąć do teatru. Na najpiękniejszy komediach Fredry sala świeciła pustkami. Tragedie klasyczne jak *Edyp*, *Horacjusze*, *Koriolan*, *Cyd*, pomimo że im z zapałem przyklaskiwano, jednak nieliczną miały publiczność”.

Gwoździem teatralnym sezonu stał się dopiero sprowadzony z Warszawy na benefis Frołowicza melodramat „Żoko, mała brazylijska”.

Mała na scenie dopiero potrafiła setnie ubawić publiczne. Zyskała również życzliwą przychylność miejscowych władz, który stwierdziły, że widzowie pasjonując się teatralnymi sztuczkami mały przestawali myśleć o jakichś tam knowaniach i spiskach.

Rolę Żoko kreował Krzesiński, zyskując pełne uznanie dla gry od licznie gromadzących się w teatrze spektorów. Przyjmując tę rolę, zastrzegł sobie jednak szanujący swój zawód aktor, w zupełnej tajemnicy zachowano jego nazwisko. Nawet na afiszu teatralnym zamiast wykonawcy postawiono trzy gwiazdki. To niezmiernie zaostrzyło ciekawość widzów, bo w żaden sposób nikt nie mógł wywnioskować, kto pod charakterystyczną i kostiumem bawiącej wszystkich mały może się ukrywać. Niektórzy nawet przychodzili na dwa kolejne przedstawienia, byleby tylko grającego małą aktora rozpoznać. Mimo usilnych zabiegów ciekawskich nikt tak niepokojącej wszystkich tajemnicy nie zdradził.

Jak się jednak bardzo szybko wydało, wykorzystał tę nieświadomość publiczności sprytny dobosz trzeciego pułku ułanów, który za sownie zastawioną kolację niby w wielkim sekrecie zdradził przyjaciołom, że to właśnie on występuje na scenie w przebraniu mały. Wieść o niezwykłym talencie dobosza lotem błyskawicy obiegły całe miasto, a on sam, niezasłużonym splendorem okryty, w różnych towarzystwach z szacunkiem goszczony bywał. Niejedną szklaneczkę za cudzy trud aktorski i za cudze naiwnie wydane pieniądze bez żadnych skrpułów do swego gardła przerwał.

W krótkim czasie wiadomość o nieczym oszustwie dobosza dotarła i do teatru. Za kulisami wybuchło święte oburzenie, bo to byle intruz śmiał bezprawnie przywłaszczyć sobie należne temu aktorowi pochwały i na jego konto trunki darmowe spożywać? Koledzy zaczęli w tej sytuacji usilnie namawiać Krzesińskiego, by się wreszcie przed publicznością zdekonspirował.

Właściwy bohater całego zajścia zaczął więc rozmyślać, jak by najstosowniej widzom się przedstawić.

Na trzecim przedstawieniu, gdy publiczność wywoływała bezimiennie aktora kreującego małą, ten uczyniwszy kilka figów i kokieterijnych ukłonów, przemówił do wypełnionej po brzegi sali w te oto słowa:

- Łaskawa publiczności! Wasze względy są tak wielkimi i silnymi, że zwierzęciu

mowę przywracają.

Na pożegnanie fiknął jeszcze na scenie kilka koziołków i zniknął za kulisami. Wtedy to entuzjazm i gorącość sali doszły do zenitu.

- Krzesiński! — Zewsząd wołano — To nasz Krzesiński! Wiwatom i wielkiej radości nic było końca, aktor-mała urósł nagle w oczach wszystkich do rangi prawdziwego bohatera.

Przyjmowany był w najlepszych towarzystwach i goszczony znakomicie, jak na prawdziwego herosa przystało.

Sztukę tę jeszcze kilkakrotnie powtarzano na specjalne życzenie okolicznego ziemiaństwa, które równie silnie jak lubelscy mieszczenie zachwycało się brazylijską małą.

Nowiński z Chełchowskim, ówczesni dyrektorzy teatru, jak mogli, tak długo eksploatowali dochodowy melodramat, ale bez końca jednej i tej samej sztuki nic można było przecież pokazywać. Zaczęli więc gorączkowo poszukiwać podobnie atrakcyjnego repertuaru, ale wszelkie ich wysiłki nie dały żadnego rezultatu. Trzeba było znowu wznawiać znane już dobrze komedyjki. Nic chciano ich oczywiście w Lublinie oglądać. Po tak niedawnym wspaniałym sukcesie zbliżała się zwykłą koleją losu ku teatrowi nieodwołalnie straszliwa kłapa.

Z opresji tej wyratował lubelskich komediantów dowódca twierdzy zamojskiej, który zaprosił ich na gościnne występy. W Zamościu stacjonowała wówczas liczna wojskowa załoga. Od czasu do czasu sprowadzano tam teatr, by nieco urozmaicić oficerom monotonią koszarowego życia.

Dyrektorzy z takiego zaproszenia chętnie korzystali, bo przed nową publicznością można było w dalszym ciągu bez nowych nakładów i zbędnego wysiłku eksploatować stary repertuar.

Gdy tak ku zadowoleniu wszystkich dawano w Zamościu stare sztuki, nadeszła alarmująca wiadomość, że na inspekcję twierdzy ma wkrótce przyjechać świeżo ukoronowany najjaśniejszy pan Królestwa Polskiego Mikołaj I.

Zapowiedź wizyty wywołała wielkie poruszenie wśród dowództwa, oficerów i wojska. Na sztabowych odprawach prześcigano się w pomysłach, jak by to najokazalej powitać najdostojniejszego gościa.

Teatrowi przypadła w udziale rzecz tu chyba najważniejsza - apoteoza majestatu cara. Apoteozę monarchy przedstawiano zwykle w postaci żywego obrazu. Było to niejako specjalnością ówczesnego teatru. Nawet sarn wielki Bogusławski na cześć nie tylko Stanisława Augusta podobne widowiska wystawiał. Aktorzy chętnie w takich uroczystościach brali udział, bo wzruszony monarcha zwykle szczerze wszystkich za poniesiony trud wynagradzał.

Spodziewając się dostąpić łaskawości najjaśniejszego pana, aktorzy z Lublina z całym zapałem przygotowywali w twierdzy i zamojskiej według najlepszych i wypróbowanych reguł skomponowany żywy obraz. Jak wyglądał, Stanisław Krzesiński, jeden z twórców tego dzieła w swoich pamiętnikach dokładnie opisał:

„Była to góra Parnas, a na niej w właściwych postaciach ze stosownymi symbolami ugrupowane było dziewięć Muz otaczających Apolla promieniejącego, znajdującego się na szczycie góry. Poniżej Muz były Gracje w postaciach, jak je malują. Były nimi pani Lasocka, Zabłocka i Werecka, kobiety prześlicznie zbudowane. U stóp góry po

bokach znajdowały się cztery Kunszty. [...]

Najjaśniejszy Pan zwrócił się ku scenie i ujrzał mocno oświetlony wyżej opisany obraz. Muzyka ukryta za sceną w przyległym korytarzu odzywała się cichym, oddalonym głosem, tworząc prawdziwie melodię niebiańską. Najjaśniejszy Pan wsparłszy się na chwilę na krześle, z uśmiechem przypatrywał się obrazowi i już się poruszył do odejścia, gdy wtem zaczęły się rozstępować obłoki... Gęsta gaza, głęb jeszcze zakrywająca, dała coś ukrytego spostrzegać... Po chwili ta znikła, a przez lekszą uwidocznili się jakiś posąg... Na koniec, gdy i ta znikła, ukazał się w całym blasku światła biust ukoronowany Najjaśniejszego Pana w prześlicznym błękicie, a w tej chwili muzyka łagodną melodię zmieniła na hymn ówczesny *Boże zachowaj króla*.

Zadowolenie Najjaśniejszego Pana było widoczne.

Odchodząc, zdjęty ciekawością zbliżył się do sceny i dotknął najbliższej stojącej osoby dla przekonania, czy to są żywi ludzie, bo obraz trwał dość długo, a nikt nie okazał najmniejszego drgnięcia, choć pozycje były dość trudne, mianowicie trzech Gracji”.

Za tak wspaniałe widowisko najjaśniejszy pan cesarskim gestem rozkazał wypłacić aktorom tysiąc rubli w złocie. Przez długi więc czas mogli komedianci beztrudno opowiadać, przy suto zastawionym stole, o szczodrości i łaskawości swego króla i władcy wielkiego cesarstwa.

Gdy wojsko zgodnie z planem udało się z twierdzy zamojskiej na polowe ćwiczenia, pozostający bez widowni teatr Nowińskiego musiał powrócić do Lublina. Dyrektor cieszył się myślą, jaką to fortunę zbije pokazując lublinianom apoteozę cesarza.

Odpowiednia reklama sprawiła, że na pierwsze przedstawienie uzupełnione apoteozą przybyło sporo ciekawych. Pochłonięty swym dziełem Nowiński nie mógł zauważyć, że wielu spośród nich wychodziło z teatru z wewnętrznym oburzeniem. Odczuwający coraz większy ucisk nie mogli spokojnie patrzeć na ubóstwienie gnębiącego naród satrapy. Nikt jednak, w obawie przed aresztowaniem, swoich uczuć nie ujawnił, a naiwny Nowiński sądził, że wieść o niezwykłym wydarzeniu teatralnym rozniesie się po mieście i przysporzy mu wielu nowych widzów. Po drugim przedstawieniu strasznie się głowił, czemu to utarg w kasie nie jest tak wielki, na jaki liczył. Postanowił więc pokazać lubelskiej publiczności apoteozę po raz trzeci. Tym razem przyszli do teatru już tylko sami zaprzańcy.

Rozgoryczony Nowiński postanowił tę nielicznie przybyłą widownię srodze skarcić. Gdy nadeszła kolej na pokazanie żywego obrazu, wyszedł przed kurtynę i wyniośle oświadczył, że publiczność lubelska nie jest godna oglądać po raz trzeci tego, na co najjaśniejszy pan patrzył z dużą przyjemnością i w miejsce apoteozy zapowiedział dobrze już znaną wszystkim jednoaktówkę.

Wtedy dopiero podniósł się krzyk wielki najwierniejszych cesarskich poddanych. Oburzeni, że Nowiński jedynej w swoim rodzaju przyjemności ich pozbawił, ogłosili publicznie bojkot teatru. Z dużą ochotą, i żarliwością przyłączyli się do nich i ci, których Nowiński z zupełnie innego powodu już na pierwszym przedstawieniu oburzył. Na czoło tych ostatnich wysunął się Jan Czyński, który dopiero teraz mógł jawnie postępowanie dyrektora potępić.

Po jakimś czasie pozbawieni środków do życia bezrobotni aktorzy zaczęli głodem

przymierać. Zrozpaczeni, wymusili na Nowińskim, by swój błąd i nietakt wobec publiczności lubelskiej naprawił. Ten nie widząc innego wyjścia z trudnej sytuacji, przybrawszy pokutną minę zaczął obchodzić co znamienitsze domy, przeprasząc za swoje winy i błagając, by za jego nietaktowny wyczyn nie karcono w tak niehumaniczny sposób wszystkich aktorów.

W swej pokutnej pielgrzymce, oczywiście nie mógł pominąć i głównego przywódcy teatralnej opozycji. Gdy przyszedł do Czyńskiego, ten powitał go wielce oburzony:

- Jak to, mości Nowiński, teraz o przebaczenie prosisz?

- Ale, ale - płątał się skruszony dyrektor - co mam począć, kiedy głodni są moi aktorzy?

- Boś już przejadł i przepił judaszowskie srebrniki?

- Ale najjaśniejszy pan - próbował jeszcze usprawiedliwiać się przed Czyńskim.

- Zaprzańcem jesteś. Nie potrafisz uszanować godności zbolełej ojczyzny.

- Wybacz mi - błagał ze łzami.

- Proś o wybaczenie tę, którąś przez swój czyn haniebnym upokorzył.

- Ale przecież nikt z nas nie myślał o upokorzeniu ojczyzny.

- Podły jesteś, sprzedajny i głupi - przerwał mu wzburzony Czyński. - Największemu ciemńcy ojczyzny apoteozy czynisz. Pod jego jarzmem jęczy naród polski i rosyjski, a w obawie o swój los pozostają wszystkie ludy walczącej z despotyzmem Europy.

- Wybacz mi, bom był nieświadomy.

- A teraz już wiesz, żeś się ześwinił?

- Wiem.

- I żałujesz szczerze za uczynione wobec ojczyzny swej grzechy?

- Żałuję.

- Przyrzeknij mi tu zaraz, takich rzeczy już więcej nie robić.

- Przyrzekam z całej duszy i dziękuję ci, mości Czyński, żeś mi oczy na moje winy otworzył.

- To idź jeszcze do tych, którychś swym czynem obraził.

Nowiński aktem powszechnej pokuty publiczność na nowo zjednał. Przyrzeczone mu nawet solennie, jak dawniej, teatr jego wspomagać. Rzeczywiście przez czas jakiś stosunki widowni ze sceną układały się w Lublinie jak najlepiej, ale wszystko zostało zrujnowane, tym razem przez żonę Nowińskiego, która jako aktorka występowała w teatrze.

Na swój benefis wybrała graną z dużym powodzeniem w Warszawie sztukę „Machabeusze”. Realizacja tego utworu wymagała niezwykłego wysiłku aktorów i wielkich nakładów finansowych. Licząc na zainteresowanie publiczności i sukces sceniczny swojej żony, dyrektor nie szczędził niezbędnych środków na wspaniałą wystawę. Specjalnie do tego przedstawienia wykonano nowe dekoracje, dobrano odpowiednią garderobę.

Dla lewitów wypożyczono koszule śmiertelne żydowskie, dla kapłanów Jowisza alby z kościołów, a wszystko przyozdobiono tak zrećznie, że nikt ani śmiertelnych koszul żydowskich, ani kościelnych alb nie mógł rozpoznać. Nieliczny zespół aktorów wspomagało czterdziestu żołnierzy j na pół miesiąca uwolnionych od służby, których uczono teraz teatralnych ewolucji i bitew. Nowiński w czasie trwania prób i wszelkich przygotowań do niezwykłego widowiska prawie wychodził ze skóry, by rozpałać

ciekawość swojej publiczności. W miejscach najczęściej i najliczniej odwiedzanych niby w sekrecie, gestykując opowiadał swoim znajomym, jakich to atrakcji i niespodzianek należy się spodziewać po tym niezwykłym przedstawieniu.

Z dużą niecierpliwością oczekiwano na zapowiedzianą premierę. Nie mniej od widzów podniecona była i benefisantka, która ucząc się starannie roli przeliczała w swej głowce, jak wielkich dochodów z imprezy tej może się spodziewać.

Było bowiem w ówczesnym zwyczaju, że na benefis aktora wielbiciele jego talentu oprócz ustanowionej ceny biletów sowite naddatki składali. Czysty dochód z przedstawienia szedł do kieszeni benefisanta. W zależności od kosztów inscenizacji, od ilości widzów i od sowości naddatków kształtowała się suma, którą bohater wieczoru dla siebie inkasował.

Ze względu na wielkie wydatki poniesione w czasie przygotowania widowiska, dyrektor od razu ustanowił podwójną cenę biletów. Mimo to publiczność świetnie dopisała. Tłoczono się, gdzie kto mógł, aby tylko choć cokolwiek dojrzeć. Trzeszczały ławki, bariery i żebra. Przez szeroko otwarte drzwi patrzono z korytarzy. Nie było żadnej wątpliwości, że sztuka odniosła wielki sukces. Jednak ze względu na zdwojenie ceny biletów naddatki tylko w niewielkiej ilości do kasy, to jest rąk benefisantki, napłynęły. To strasznie zepsuło jej humor.

Wywoływana po przedstawieniu przez rozentuzjasmowaną publiczność, długo nie chciała na scenie się ukazać. Wreszcie mocno nadąsana wyszła, by z miną wyniośle kwaśną wysłuchać frenetycznych oklasków i wznoszonych na jej cześć okrzyków. Gdy po jakimś czasie wszystko ucichło, niby uprzejmie raczyła Nowińska do swych wielbicieli przemówić.

- Uszczęśliwiona jestem, że udało mi się zadowolić publiczność, ale boli mnie bardzo, że i ja nie mogę być równie zadowolona z dochodu.

Po tych słowach skłoniła się i wyszła za kulisy.

Jak grom z jasnego nieba przyjęła te słowa podniecona jeszcze przed chwilą w szczerym uwielbieniu dla talentu aktorki widowia. Najpierw jakby osłupiała i zamilkła, ale za chwilę zakipiła oburzeniem. Posypały się na całą rodzinę Nowińskich pogrożki i najgorsze wyzwiska. Przypomniano dawno już darowany afront dyrektora i ten ostatni jego żony, która publicznie o sknerostwo śmiała oskarżyć swoich szczerych wielbicieli.

Zapłacili przecie wszyscy i to bez szemrania, jak od nich żądano, podwójną cenę za bilety, a tu okazuje się, że i tego jest jeszcze za mało. Nie, tego już nikt ścierpieć nie mógł. Zaraz na sali zapadła jednomyślna i nieodwołalna decyzja: jak długo Nowiński będzie dyrektorem, a jego żona aktorką, żywa noga nie wejdzie do teatru.

Żadne prośby i błagania aktorów, by ich za postępek dyrektorowej nie karano, nie odniosły skutku. Opór publiczności był nieustępliwy.

Smutno i żałośnie zaczynał się więc dla lubelskiego teatru historyczny rok 1830. Całymi dniami błąkali się aktorzy bez celu po ulicach. Czatowali na z laski fundowane przez mniej zatwardziały wrogów teatru obiady. Ten i ów czepiał się, byle tylko jakoś przeżyć, najpodlejszego zajęcia.

Ta święta wojna lublinian z teatrem przekształciła się z czasem w stan

długotrwałego oblężenia. Pozornie nic się nie działo, a każda ze stron oczekiwała, kto kogo przetrzyma. I nie wiadomo, jak długo stan ten by się przedłużał, gdyby nie zaszły nowe, bardziej poruszające wszystkich wydarzenia.

Oto w dniu ostatniego listopada nie przybyła z Warszawy do Lublina tak systematyczna dotąd poczta. Poczta też nie przybyła pierwszego i drugiego grudnia. Fakt ten bardziej poruszał umysły ludzi aniżeli sprawa teatru. Musiało się coś stać w Warszawie, wnioskowano, ale co, tego nikt nie wiedział. Dopiero pod wieczór drugiego grudnia jakiś wystraszony człowiek przywiózł wiadomość, że w stolicy, jak powiadał, zrobiła się straszna rewolucja.

Wiadomość o tym lotem błyskawicy obiegła ulice miasta i dotarła do stacjonującego w Lublinie wojska. Cywile zaczęli się gromadzić na rynku i w domach. W trwożnym podnieceniu szeptali, oczekując na oficjalne potwierdzenie wiadomości.

Młodzi oficerowie byli w koszarach bardziej niespokojni. Na pierwszą wiadomość o wybuchu powstania wybrali spośród siebie delegację i przyszedli do generała Morawskiego, który był wówczas dowódcą brygady piechoty stacjonującej w Lublinie, i w bardzo ostry sposób zaczęli się domagać, by generał natychmiast zarządził wymarsz wojska w stronę Warszawy. Wierny naczelnemu wodzowi Morawski wydał wprawdzie rozkaz dzienny, ale nakazujący wojsku bezwzględne posłuszeństwo, utrzymywanie porządku i oczekiwanie w spokoju wyższych rozkazów. Oznaczało to, że generał nie ma wcale ochoty przystępować do powstania i gotów jest wypełniać w dalszym ciągu rozkazy Konstantego.

Ten niepatriotyczny postępek mocno rozjątrzył umysły młodzieży wojskowej. Zaczęto publicznie Morawskiemu wygrażać. Kto wie, czy nie doszłoby nawet do samosądu, gdyby pod wieczór w dniu czwartym grudnia nie przybył do Lublina z rozkazami generała Chłopickiego Andrzej Edward Koźmian.

W czerwonej konfederatce, z białymi kokardami na ramionach, uzbrojony w pałasz, szpadę i króciwą przyjechał widomy zwiastun powstania przez miasto, udając się do gmachu Komisji Wojewódzkiej, gdzie zebrała się bezowocnie obradująca rada obywatelska z udziałem generałów Weisenhoffa i Morawskiego oraz prezesa Komisji Wojewódzkiej, Ignacego Lubowieckiego.

Wiść o przybyciu herolda powstania rozeszła się szybko po ulicach miasta. Roznieśli ją uczniowie szkoły lubelskiej, którzy wracając po zakończeniu lekcji do domów pierwsi zauważyli oczekiwanego przez wszystkich gościa. W niedługim czasie przed gmachem Komisji zgromadził się wielki tłum, wrogo usposobiony do miejscowych władz wyczekujących beczynnym na wyższe rozkazy.

Gdy poseł się nie zjawił, zaczęto groźnie szemrać. Wówczas przed tłumem ukazał się z Koźmianem generał Morawski, który odczytał rozkazy Chłopickiego, donoszące o wybuchu powstania i o powołaniu Gwardii Narodowej, na czele której miał stanąć w Lublinie pułkownik Szeptycki.

Wiadomości te natychmiast rozogniły umysły i serca. Ze wszystkich stron wołano:

- Niech żyje Polska!
- Niech żyje Polska!
- Niech żyje rewolucja!

Wiwatom i okrzykom patriotycznym nie było końca. Ludzie padali sobie w objęcia, chustkami ocierali łzy radości. W mieście powstał natychmiast ruch niezwykle i wrzawa. Uczniowie lubelskiej szkoły rozbiegli się z okrzykami po ulicach. Z urzędów zdzierano znienawidzone podobizny carskiego orła. Każdy, jaką tylko miał, przypasywał broń, a w sklepie bławatnym Matuszkiewicza panny sprzedające darty na tasiemki sztuki białego perkalu robiąc narodowe kokardy. Przypinały je każdemu, kto tylko przybył do sklepu. Wieczorem na placach rozpalano ogniska i chodzono śpiewając patriotyczne pieśni. Tej nocy nikt chyba w Lublinie nie spał.

Podochoceni trunkiem odgrażali się sprzedawczykom i zaprzańcom. Przy jednym ognisku zgromadził dużą grupę młodzieży Jan Czyński. Gorąco do nich przemawiał, ucząc patriotyzmu i wolności. Inna znów grupa wdarła się do mieszkania prezesa Lubowieckiego, domagając się od niego publicznego oświadczenia, że przystępuje do powstania. Prezes Komisji Wojewódzkiej, bojąc się samosądu, na wszystko się zaklinał, że jest też gorącym patriotą. Po tych zapewnieniach zabrano go na ulicę i kazano patriotyczne pieśni śpiewać. Strwożony o swój los dygnitarz nie tylko wznosił patriotyczne okrzyki i śpiewał, ale dla udobruchania gawiedzi gorzałkę w szynku stawiał. Niby bratając się z pospółstwem, pił wódkę i po bratersku ze wszystkimi ściskał.

Tak minęła pierwsza w Lublinie noc powstania.

Następnego dnia z rana, Czyński, zebrawszy wokół siebie grupę młodzieży, jako jeden z pierwszych zgłosił się do Gwardii Narodowej. Przykład patrona Trybunału Cywilnego pociągnął wielu. Zwłaszcza młodzież szkoły lubelskiej gremialnie zgłaszała gotowość do służenia ojczyźnie. Dowódcy formujących się oddziałów z napływającymi ochotnikami mieli jednak wiele kłopotu, bo nie było na ich wyekwipowanie ani mundurów, ani broni, ani odpowiednich finansowych grodków. Ziemianie i arystokraci, którzy mogli udzielić powstańcom najwydatniejszej pomocy, obawiając się społecznej rewolucji, do wszelkich zrywów patriotycznych odnosili się z dużą niechęcią, a nawet i wrogością.

W Lublinie pierwszy Jan Czyński rozumiał, że z tej strony nie należy na nic dobrego oczekiwać. Całym wysiłkiem dążył więc do tego, by powstanie uczynić sprawą ludu. Korzystając z każdej nadarzającej się okazji wygłaszał do zebranych płomienne przemówienia. Jedną taką wielką mowę miał nawet do tłumnie zgromadzonych Żydów w słynnej lubelskiej synagodze. Nawoływał tam do solidaryzowania się i udzielania przez gminę żydowską powstańcom pomocy. Porwana jego przemówieniem młodzież żydowska wstępowała dobrowolnie do Gwardii Narodowej, a cała gmina opodatkowała się samorzutnie na fundusz narodowy.

Widząc wspaniałe sukcesy swoich wystąpień, Czyński rozumiał, że zadaniem jego jest słowem, a nie mieczem walczyć. Tylu bowiem było jeszcze w sprawach powstania zupełnie niezorientowanych. Wielu nie rozumiało, o co właściwie powstańcom chodzi.

Ludzie prości przyzwyczajeni byli do tego, że wszystko w kraju rozstrzygało się dotąd bez nich, oni mieli tylko pracować, słuchać i wykonywać ślepo rozkazy. Czegóż więc mogła jeszcze żądać od nich ojczyzna?

Teraz należało wszystkich przekonać, że sprawa wyzwolenia od najliczniejszych w

kraju warstw zależy, od ich czynnego udziału w walce. Jeśli zbrojnie wystąpią przeciw caratowi, to wyzwolą się nie tylko od narodowego, ale i społecznego ucisku.

Trzeba było o tym ludziom codziennie mówić, tłumaczyć i przekonywać. Bez przerwy wieców nie można było przecież organizować. Należało więc szukać innego, bardziej skutecznego niż żywe słowo środka, takiego, który by potrafił docierać systematycznie i bezpośrednio do rąk bardzo szerokiego kręgu odbiorców. Czyński już w pierwszych dniach powstania zrozumiał, że środkiem tym może być ukazująca się systematycznie gazeta.

Dotychczas w spokojnym i niewielkim Lublinie nie było tak ważnych spraw, by je za pomocą druku przekazywać. Bęben woźnego i jego donośny głos wystarczały w zupełności, resztę załatwiały plotki.

Jak zbędne były dotąd mieszkańcom Lublina i województwa lokalne czasopisma, mogły świadczyć zapędy redaktorskie i wydawnicze Jana Kantego Pruskiego. Jego tygodnik „Dostrzegacz Ekonomiczny i Polityczny Lubelski” upadł w 1816 roku po czterdziestu siedmiu numerach, a miesięcznik „Pamiętnik Gospodarczy i Naukowy Lubelski” z braku prenumeratorów po pierwszym numerze przestał wychodzić. Na łaskawego odbiorcę, starym zwyczajem, mogli liczyć tylko autorzy i wydawcy kalendarzy.

Obecnie czasy się zmieniły. Każdy z niecierpliwością oczekiwał nowych wiadomości, każdy chciał się dowiedzieć o przygotowaniach do wojny o poczynaniach władz powstańczych i o nastrojach wśród ludności.

Czyński postanowił rozbudzoną ciekawość wykorzystać do kształtowania czynnej postawy społeczeństwa wobec dziejących się wydarzeń decydujących o losach narodu i ojczyzny. Jako człowiek czynu nie zastanawiał się zbyt nad trudnościami, ani nad niezbędnymi środkami potrzebnymi do samodzielnego redagowania gazety. Wiedział, że pismo codzienne jest Lublinowi i województwu niezbędnie potrzebne, a jeśli tak, to należy je stworzyć. Nie zastanawiał się zapewne długo i nad tym, jakim to tytułem ten pierwszy lubelski dziennik ozdobić. Tytuł powinien być najprostszy, może nawet swym brzmieniem przypominać nazwę znanej warszawskiej gazety. I tak z potrzeby chwili, niecierpliwości i impulsywności działania jednego człowieka ukazał się w Lublinie po raz pierwszy w dniu dziewiątym grudnia 1830 roku „Kurier Lubelski”.

Skromny był to, jak na dzisiejsze gusta, dziennik, ale niewiele się różnił od ówczesnych gazet warszawskich. Miał przede wszystkim informować i komentować aktualne wydarzenia, wychowywać swoich czytelników i zachęcać ich do czynnego udziału w ruchu patriotycznym. Widać to wyraźnie, że Czyńskiemu zależało na pozyskaniu dla powstania najszerszych kręgów społecznych. Z tego zapewne powodu odnotowywał na łamach swego Kuriera wszelkie patriotyczne gesty ludzi zwykłych.

„Zacne Polki codziennie nadsyłają szarpie, oto i w tej chwili: p. Marianna Bogdanowicz ofiarowała szarpie funtów 5, Elżbieta Jaskuldowa funtów 3 szarpie i bandaży 10, p. Bibinek, były sierżant Wołyżerów z 3 batalionu piechoty, nie mogąc teraz wejść do szeregów dla słabości z odniesionych ran, cały swój majątek, to jest dwa dukaty złotem i konia ofiarował na potrzeby kraju.”

Gorącym sprzymierzeńcem Czyńskiego w oddziaływaniu patriotycznym na mieszkańców Lublina okazał się odrodzony teatr. Po pamiętnej rozmowie Nowiński rzeczywiście się nawrócił czekał tylko sposobności, by swój haniebny czyn wymazać z ludzkiej pamięci. Miał do poprawienia jeszcze i swej żony grzechy. Zrozumiał, że w tak niezwykłej chwili publiczność gotowa jest mu wszystko wybaczyć, jeśli tylko zdoła jakimś wymownym gestem za dawne i nowe swe winy zadośćuczynić.

Od pierwszej chwili opowiedział się zdecydowanie po stronie rewolucji. Odnotował to w swoim „Kurierze” w stosowny sposób Czyński.

„Patriotyczny sposób myślenia p. Nowińskiego dyrektora tutejszego teatru jest zapewne powodem, że publiczność licznie się teraz na widowiska sceniczne zgromadza. Wiersze przez niego deklamowane są pełne czucia i mocy. P. Nowińska przez staranną grę i stosowny ubiór dla Polki zasłużyła kilkakrotnie na wywołanie. Prosimy tylko Pana Nowińskiego o regularniejsze rozpoczynanie sztuk i przybranie chociaż jednej jeszcze aktorki... do ludzi podobnej”.

Opóźnienia i ten brak „drugiej podobnej do ludzi aktorki” publiczność Nowińskiemu wybaczyła, gdy ten oświadczył, że cały uzyskany dochód z pierwszego przedstawienia przeznaczy na umundurowanie ochotniczo zaciągającej się do wojska młodzieży z lubelskiej szkoły.

Po długim poście spowodowanym bojkotem teatru gest ten wymagał od dyrektora i aktorów iście heroicznego poświęcenia. Nowiński zdawał sobie jednak sprawę, że tylko niezwykłym czynem patriotycznym może zmasać dawniej popełnione winy. Aktorzy jego zamiar gorąco poparli.

Widok pokaźnej sumy uzyskanej z pierwszego przedstawienia przemógł jednak chwiejny jeszcze patriotyzm jego współnika. Chełchowski domagał się, by tylko połowę pieniędzy ofiarować na cele społeczne, a resztę podzielić między dyrekcję i aktorów. Ci ostatni opowiedzieli się za Nowińskim.

- Parę dni czekania do następnego widowiska - tłumaczyli - toć przecie nie wieki, a przetrzymaliśmy tyle, to i ten czas przetrzymamy.

Na te słowa zaperzył się Chełchowski wykrzykując, że dla ojczyzny nie zamierza z głodu zdychać.

- Niech kto chce, daje - wrzeszczał - a ja swojej połowy nie odstąpię.

Wywiązała się z tego między dyrektorami straszliwa awantura, a gdy arsenał wyzwisk i obelg obydwu się wyczerpał, zwaśnieni przypadli do siebie i jako ostatecznego argumentu użyli pięści.

Obecnym przy zajściu aktorom z wielkim trudem udało się walczących rozdzielić. Bójka wypadła zapewne nieco i za sprawą aktorów na korzyść Nowińskiego, chociaż było widać, że i on solidnie od swego współnika oberwał.

Przy zwycięzcy stanął cały zespół, wyrzucając Chełchowskiemu sknerstwo, chciwość i brak miłości ojczyzny. Po tej potyczce rozbrat między dyrektorami nastąpił stanowczy. Pokonany Chełchowski musiał teatr opuścić, a aktorzy razem z Nowińskim, dumni ze swego szlachetnego czynu, złożyli całą przyrzeczoną sumę jako dar dla ojczyzny.

Ten szlachetny gest wszystkie nagromadzone u wrót teatru w dawnych latach lody przełamał.

Widząc to Nowiński uniósł się duchem patriotyzmu i w ciągu jednej zaledwie nocy napisał pół wierszem, pół prozą, poemat sceniczny w dwu odsłonach, któremu nadał porywająco aktualny tytuł „Orzeł Biały”. Zaraz na drugi dzień aktorzy wraz ze swym dyrektorem przystąpili do przygotowywania jego inscenizacji. Nowiński zarezerwował dla siebie rolę najważniejszą - Jeniusza powstania, żona jego była Polką, inni przedstawiali Kościuszkę, Poniatowskiego, Dąbrowskiego, Jasińskiego odzywających się ze stosownymi przemówieniami z obłoków do narodu.

Po pierwszym przedstawieniu „Orła Białego” jego autora uznano za nowego bohatera powstania. Żaden występ teatru nie mógł I się odtąd odbyć bez dodania tego utworu. Nawet, gdy zapowiedziany program tego nie przewidywał, zgromadzona w teatrze publiczność głośno domagała się jego odegrania.

Kulminacyjny punkt powodzenia teatru przypadł na dzień Nowego Roku, kiedy to wystawiono dla licznie zgromadzonej publiczności nie tylko „Orła Białego”, ale jeszcze uzupełniono to widowisko, zgodnie z ówczesnym zwyczajem, stosownymi piosenkami i wierszowanymi życzeniami zapowiadającymi nadejście lepszych czasów i zupełnego zwycięstwa.

Entuzjazm sali był nie do opisania. Brawom nie było końca, wszyscy wznosili patriotyczne okrzyki, przywoływano kilka razy na scenę dyrektora teatru i jego aktorów, uznając ich za wróżbitów, wieszczów i zwiastunów przyszłego szczęścia. Jeszcze przez dni kilka po tym podniosłym wydarzeniu zapraszano ich do zamożnych domów na przyjęcia, schlebiano we wszystkim i otaczano nie tylko najwyższym szacunkiem, ale prawie uwielbieniem.

Doznając na każdym kroku tylu dowodów uznania, sami aktorzy gotowi byli uwierzyć, że są natchnieni i obdarzeni nadziemską siłą wieszczów. Utrwalała ich w tym błogim przeświadczeniu każdego wieczoru, jak nigdy dotąd, zdawało się w sposób cudowny w niebywalej obfitości zapełniona kasa.

Zazdroszcząc powodzenia Nowińskiemu, Chełchowski stał się też patriotą i skłeciwszy mały zespół, zadeklarował przeznaczyć na cele formującego się w Lublinie pułku Złotej Chorągwi połowę dochodu z przygotowanego przez siebie przedstawienia. Była to komedioopera pod zachęcającym tytułem: „Siedem razy jeden, kosynier na baterii i mogiła Kościuszki, czyli Polska powstająca”.

Długość tytułu miała się akurat odwrotnie do składu osobowego zespołu i czasu trwania imprezy. Zespół Chełchowskiego składał się bowiem z dyrektora i dwu miernych aktorek, ale piętrowy i patriotyczny tytuł zwabił i na to przedstawienie sporą widownię.

Punktem kulminacyjnym przedstawienia była melorecytacja wiersza „Powstań Polsko, zrzuć kajdany, dziś twój triumf albo skon”. W czasie tej recytacji z ustawionej pośrodku sceny mogiły unosił się Orzeł Biały, trzymający w szponach wykaligrafowany na amarantowej wstędze napis: „Polska powstająca”. W tym samym momencie przy blasku bengalskiego ognia, okryta płaszczem ukazywała się kobieta w wieńcu na głowie trzymająca w ręku sztandar. Widzowie bez trudu domyślali się, że kobieta ta przedstawia powstającą Polskę. I za to przedstawienie Chełchowski zasłużył też na powszechne uznanie publiczności.

Niestety, niedługo dane było cieszyć się lublinianom uniesieniami patriotycznymi i pozorami wolności, bo pod koniec stycznia nadeszła wiadomość o zbliżaniu się do granic Królestwa armii carskiej. W dniu 5 lutego 1831 roku ukazał się ostatni numer

„Kuriera Lubelskiego”, a jego redaktor udał się z grupą najbardziej czynnych działaczy powstania do Warszawy. Tu został mianowany referendarzem w Ministerstwie Wojny, a następnie wstąpił do Towarzystwa Patriotycznego i od razu wysunął się na czoło lewego skrzydła jego przywódców. Prowadził ostrą walkę z Rządem Narodowym, domagał się pełnej równości obywatelskiej i sprawiedliwości społecznej, wzywał do szybkich i zdecydowanych działań, nawoływał do walki z carem, a nie z uciemiężonym narodem rosyjskim. Głosił:

„Pod równą opieką praw, niechaj każdy pojedynczy mieszkaniec drogą miłości kraju, drogą poświęceń, zyskuje wdzięczność narodową, wówczas każdy swój honor, swój osobisty interes połączy z wywalczeniem niepodległości, wówczas walka krwawa stanie się nie pohamowaną wojną narodową. Będziemy walczyć z carem, nie z Rosją ...”

Tego głosu Jana Czyńskiego nie mogli już usłyszeć, pozostający pod czułą opieką generała Kreutza, lublinianie. W momencie zajmowania miasta ci, co pozostali na miejscu, w obawie przed prześladowaniami poukrywali się w różnych dziurach.

Nowiński znalazł dla siebie schronienie w grobach dominikańskich, a Chełchowski trzy dni nie opuszczał własnego mieszkania.

Generał Kreutz po zajęciu Lublina wydał manifest uspokajający jego mieszkańców. Zapewniał przy tym, że przybył walczyć z wojskiem i uśmierzyć powstanie, a nie robić krzywdy spokojnym obywatelom. Wezwał jednocześnie wszystkich urzędników do zajmowania opuszczonych stanowisk.

Prezydentem miasta został znowu Kossakowski, który, chcąc ratować własną skórę i uchronić innych od spodziewanych prześladowań, całą winę za rozniecenie zapału patriotycznego w województwie lubelskim złożył na Jana Czyńskiego. Wówczas generałowie carscy Kreutz i Rudiger wyznaczili 1000 czerwonych złotych nagrody dla tego, kto by redaktora „Kuriera Lubelskiego” żywego lub umarłego dostarczył.

Starając się zapewnić w mieście pozory normalizacji życia i zjednać przychylność społeczeństwa, nakazał Kreutz wznowić teatralne przedstawienia.

Najpierw z ukrycia wyszedł Chełchowski, ale aktorzy go zbojkotowali. Nowiński jeszcze kilka dni w podziemiach przesiedział i dopiero, gdy go zapewniono, że nie musi obawiać się żadnego niebezpieczeństwa, opuścił kryjówkę.

Zgodnie z poleceniem władz postanowił uruchomić teatr. Na pierwsze przedstawienie wybrał jakąś obojętną, błahą i dawno już oklepaną sztuczką. Z duszą na ramieniu udał się z prośbą o podpisanie afisza do kancelarii Kreutza. Tu sam generał raczył przyjąć struchlałego ze strachu Nowińskiego. Niby żartem zapytał go, czy by nie zechciał zagrać i teraz „Orła Białego”, bo on sam chętnie obejrzy to widowisko.

Dyrektorowi teatru ścierpła skóra. Zaczął się wykręcać i tłumaczyć, że nie może tego zrobić, bo spalił rękopis poematu.

- To wielka szkoda - sztychł generał i jakby dobrodusznie przebacząc dawne winy, uspokajał Nowińskiego - ale mój dyrektorze - mówił protekcjonalnie - nie obawiaj się niczego, bo my z aktorami ani poetami nie walczymy. My teraz potrzebujemy innej zabawy, to nas baw.

Zaczął więc Nowiński z aktorami, chociaż nie było im wcale wesoło, bawić carskich oficerów, którzy chętnie odwiedzali teatr. Jedyłą pocięgą aktorów było to, że nie

muszą się zbyt wysilać. Wznawiali stare ograne komedyjki, a ciągle przemieszczające się wojska w razie postojów w Lublinie po brzegi zapełniały teatr.

Po niedawnych uwielbieniach publiczności, za każdym razem, gdy aktorzy mieli wychodzić na scenę, robiło się im jakoś bardzo smutno i gorzko. Zdawało się, że czas jakby do tyłu się cofnął, a oni robili się coraz bardziej ociężali i starsi.

Jedynym jasnym promieniem nadziei na odzyskanie wolności była wizyta korpusu Dwernickiego, który w drodze na Wołyń zatrzymał się dwa dni w Lublinie. Teatr tylko raz zdołał wówczas pokazać „Orła Białego”. Potem już naprawdę tekst tego scenicznego poematu zaginął.

Jan Czyński działał jeszcze wówczas w Warszawie. W dniu 15 sierpnia stanął na czele ludowej manifestacji, którą poprowadził przed gmach rządu, domagając się ukarania nieudolnych dowódców i zdecydowanych działań wojennych. Zwiedziono go wykrętnymi wypowiedziami o wyższych racjach stanu. Nie brał więc udziału w nocnych rozruchach zakończonych aktami samosądu nad nieudolnymi, uwięzionymi w zamku generałami.

Jako przywódca manifestacji został następnego dnia aresztowany, ale z braku dowodów uniewinnił go po jakimś czasie Sąd Wojskowy. Po klęsce powstania razem z resztkami korpusu generała Rybickiego przedostał się w początku września do Prus, skąd przez Niemcy dotarł do Paryża. Do końca życia pozostał jednym z najczynniejszych działaczy lewicowych emigracji. Do śmierci nie wypuścił też z rąk swego najskuteczniejszego oręża - pióra.

W sposób nieraz gwałtowny i impulsywny wstępował w szranki polemik z obozem prawicy. Interesował się ideami socjalizmu utopijnego Saint-Simone'a. Był wyznawcą i propagatorem koncepcji Fouriere'a. Wydał cały szereg artykułów i broszur na tematy społeczne. Pisał w języku polskim i francuskim. Za swą działalność pisarską został przyjęty do Francuskiego Towarzystwa Literackiego.

W swoich artykułach głosił, że „Najnieszczęśliwszą i najzacniejszą częścią narodu polskiego są chłopcy. Chłopcy nie są ludem, są częścią ludu. Interes mieszczański należy pogodzić z interesem rolników”.

Należał do zaciętych przeciwników Adama Czartoryskiego i umiarkowanych demokratów. Najpierw bliski współpracownik Joachima Lelewela, oskarżył go w końcu o mało radykalne poglądy i nieudolność działania. Polemizując z przeciwnikami nie uznawał żadnych autorytetów.

Po ukazaniu się „Książki narodu polskiego” odważył się nawet zaatakować uwielbianego przez wszystkich Adama Mickiewicza, zarzucając mu „mieszanie najwznioślejszych prawd z najobrzydliwszymi przesadami”.

Dotknięty do żywego wieszcz zareagował na ten atak w sposób nie mniej gwałtowny, pisząc na Czyńskiego taki oto paszkwil:

*Wpół jest Żydem, wpół Polakiem
Wpół jakubinem, wpół żakiem.
Wpół cywilnym, wpół żołdakiem.
Lecz za to całym łajdakiem.*

Syn poety, Władysław Mickiewicz, w napisanym przez siebie żywocie ojca nazwał Czyńskiego „piątą plagą egipską tułactwa”.

Dziś z perspektywy lat zajmujący się biografią Czyńskiego zgodnie stwierdzają, że był on indywidualnością nieprzeciętną.

„Energiczny, a nawet czasem gwałtowny w działaniu, publicysta utalentowany, polemista pierwszorzędny, bez wątpienia najwybitniejszy pisarz polityczny emigracji .” Był człowiekiem oddanym całym sercem i umysłem sprawie wyzwolenia Polski i warstw uciskanych. Zwalczał wszelki despotyzm. Poza wieloma artykułami i broszurami o charakterze politycznym w swoim dorobku twórczym pozostawił kilka bardzo interesujących powieści.

Lublin może się poszczycić tym, że właśnie tu rozpoczęła się burzliwa droga tego społecznego i patriotycznego działacza powstania listopadowego i wielkiej emigracji. Miastu, w którym przeżył porywy lat młodości, pozostawił nie tylko tytuł ukazującej się obecnie gazety ale i pamięć czasów, w których rodziły się w mroku niewoli patriotyzm i odpowiedzialność za losy własnej ojczyzny.

Sienkiewicz w Lublinie czyli pierwsze prawdziwe tchnienie wolności

W roku 1903 nawiedziła okolice nieuregulowanej Wisły klęska powodzi. Rozmiary klęski były tak wielkie, że ani lokalne, ani gubernatorskie władze nie potrafiły zapewnić poszkodowanym pomocy. W prasie ogłaszano artykuły i reportaże o tragicznym losie powodzian. Poruszyły one serca i inicjatywę różnych kół i towarzystw dobroczynności. W akcję tą postanowili się też włączyć literaci i dziennikarze zrzeszeni w Warszawskiej Kasie Przezorności i Pomocy dla Literatów i Dziennikarzy. Była to pierwsza w zaborze rosyjskim organizacja skupiająca ludzi pióra. Oprócz obrony interesów pisarzy, kasa reprezentowała na zewnątrz działalność całego literackiego i dziennikarskiego środowiska. Poza tym organizowała spotkania autorskie i imprezy literackie oraz występowała z inicjatywami natury społecznej, co już wykraczało poza jej zadania statutowe.

Pierwszym prezesem Kasy Literackiej, która powstała w roku 1899, był Henryk Sienkiewicz. Działalność tej organizacji, zwłaszcza ta pozastatutowa, spotykała się z dużymi trudnościami piętrzonymi przez władze zaborcze. W okresie natężającej się rusyfikacji przede wszystkim wzbraniano pisarzom polskim spotykać się z czytelnikami na prowincji. Ludzie pióra ze swej strony wykorzystywali wszelkie okazje, by zakazy te ominąć.

Pod koniec 1903 roku Henryk Sienkiewicz wystąpił z inicjatywą, by korzystając z akcji niesienia pomocy powodzianom zorganizować na prowincji szereg odczytów i spotkań autorskich. Oprócz zdobycia pieniędzy na cele społeczne, może ważniejszym, ale skrytym przed władzami zamierzeniem było ożywienie ducha narodowego zagrożonej rusyfikacją prowincji. Przy okazji odczytów można też było spopularyzować działalność powstałej przed kilku laty Kasy Literackiej. Oczywiście o tych ubocznych celach nie należało nawet wspominać, bo władze zaborcze natychmiast stłumiłyby całą inicjatywę w zarodku.

Akcje zaplanowano bardzo szeroko zamierzając dotrzeć z odczytami do niemal wszystkich znaczniejszych miast Kongresówki. Zarząd Kasy zwrócił się do generał-gubernatora z prośbą o zezwolenie. Namiestnik cesarski łaskawie wyraził zgodę, ale pod warunkiem, by wystąpienie jednej osoby nie trwało dłużej niż dwadzieścia minut. Władze zaborcze obawiały się bowiem, by przy okazji dłuższych odczytów i przemówień prelegenci, a zwłaszcza pisarze i poeci, nic przemycili między wierszami jakichś zakazanych treści.

Powstała grupa prelegentów z Henrykiem Sienkiewiczem na czele. Oprócz autora Trylogii w jej skład wchodził: poeta Ignacy Baliński oraz dwaj dziennikarze - Henryk Radziszewski i Witold Lewicki. Przedstawione tematy zostały zatwierdzone przez cenzurę i nic wolno było ich zmienić. Najważniejszą osobistością w tym gronie był oczywiście Henryk Sienkiewicz, autor niemal już wszystkich z zapartym tchem czytanych w kraju i przekładanych na wiele języków historycznych powieści. Społeczeństwo polskie uczciło pisarza przed trzema laty wspaniałym jubileuszem, a komitet organizacyjny tych obchodów ofiarował mu dar narodowy w postaci majątku wraz z pałacykiem w Oblęgorku. Od tego czasu uznawano powszechnie Henryka Sienkiewicza za duchowego przywódcę polskiego narodu.

Dla tak szacownego grona zarząd kolei oddał do dyspozycji specjalny wagon. Prelegenci mieli dotrzeć nim do Piotrkowa, Kielc, Radomia, Lublina, Siedlec, Łodzi, Kalisza, Kutna, Włocławka, Płocka, Łomży, Suwałk, Sosnowca i Tomaszowa. Objazd miał się zakończyć dwudziestego siódmego stycznia w Warszawie.

Przed rozpoczęciem tak wielkiego przedsięwzięcia zorganizowano w prasie warszawskiej i prowincjonalnej szeroką akcję propagandową. W miastach, które miała grupa odwiedzić, powstawały komitety organizacyjne złożone z najdostojniejszych i najbardziej szanowanych obywateli. Wszyscy prześcigali się w pomysłach, by jak najgodniej przyjąć nigdy nie widzianych na prowincji tak dostojnych gości.

Objazd rozpoczęto w dzień Niepokalanego Poczęcia Najświętszej Marii Panny, to jest ósmego grudnia, od Częstochowy. Częstochowa nie zawiodła. Już na dworcu oczekiwała prelegentów licznie zgromadzona publiczność. Były gromkie oklaski i serdeczne słowa powitania. Goście warszawscy po powitaniu udali się najpierw na Jasną Górę, by pomodlić się przed Cudownym Obrazem o łaskę pomyślnego spełnienia podjętego dzieła. W ten sposób chcieli dać przykład i jeszcze raz przypomnieć narodowi polskiemu, że właśnie tutaj ma swoją Królową, do której powinien zwracać się o pomoc i orędownictwo w najtrudniejszych życiowych sytuacjach.

Po nawiedzeniu Cudownego Obrazu prelegenci udali się do teatru. Oczekiwał tu już na nich wielki tłum słuchaczy. Wchodzącym urządzono owacyjne przyjęcie. Po wystąpieniu Henryka Sienkiewicza oklaskom nie było końca. Wręczono mu naręczą kwiatów. Po spotkaniu komitet organizacyjny złożony z przedstawicieli miasta i okolicznego ziemiaństwa zaprosił warszawskich gości na uroczystą ucztę. Informację o tym przekazała w dniu jedenastego grudnia „Gazeta Lubelska”. W trzy dni później zapowiedziała na dwudziestego grudnia przyjazd Sienkiewicza do Lublina wraz z rodziną i towarzyszącymi mu osobami.

Rozpoczęły się gorączkowe przygotowania. Powołano komitet organizacyjny, na którego czele stanął powszechnie szanowany i ceniony prezes Towarzystwa Kredytowego Ziemskiego, właściciel Ujazdowa, pan Władysław Gorzkowski. Powołano go na to zaszczytne stanowisko, gdyż oprócz spełnianych gorliwie swoich obowiązków społecznych, był wielkim entuzjastą twórczości Henryka Sienkiewicza. Mawiał, że największym jego marzeniem byłoby uścisnąć dłoń pisarza, która w tak cudowny sposób potrafiła skreślić chwalebne dzieje naszego narodu. I oto teraz marzenie pana prezesa miało się spełnić.

Czasu było niewiele. Pan Gorzkowski dwoił się i troił. Odbywał rozmowy z panem Juliuszem Myszkowskim, dyrektorem lubelskiego teatru, z prezesem Towarzystwa Muzycznego i z redaktorem Gazety Lubelskiej, panem Zdzisławem Piaseckim. Osobiście udał się do hotelu, gdzie wybrał najlepsze i najwygodniejsze apartamenty. Zmartwiony był tylko, że czas adwentu nie pozwala wydać na cześć przybyłych balu.

Szesnastego grudnia „Gazeta Lubelska” sprostowała poprzednią wiadomość informując, iż przyjazd Sienkiewicza nastąpi nie w niedzielę dwudziestego, ale w sobotę dwudziestego grudnia o godzinie ósmej minut czterdzieści dziewięć wieczorem. Dokładna godzina przyjazdu pociągu była podana dla publiczności, by

licznie stawiała się na dworcu i entuzjastycznie powitała pisarza. W sposób bezpośredni nie można było do tego zachęcać, gdyż władze uznałyby to za nawoływanie do nielegalnych zgromadzeń i manifestacji, których nie wolno było urządzać. Oczywiście mieszkańcom Lublina nie trzeba było wszystkiego tłumaczyć, znali swój społeczny i patriotyczny obowiązek. Wybierali się licznie na spotkanie z pisarzem.

Tym, których może w mieście nie było, Gazeta jeszcze raz przypomniała godzinę przyjazdu pociągu uzupełniając poprzednie wiadomości informacją, iż Sienkiewiczowi oprócz prelegentów będą towarzyszyli syn i córka oraz jej przyjaciółka panna Abakanowiczówna. W przeddzień zapowiedzianego przyjazdu na pierwszej stronie „Gazety Lubelskiej” ukazał się wiersz Stanisławy Dąbrowskiej: „Henrykowi Sienkiewiczowi”.

Prezes Gorzkowski chociaż zadowolony z przebiegu przygotowań, bardzo był podniecony i zaniepokojony. Martwił się na zapas, by przypadkiem nie wystąpiły jakieś nieprzewidziane okoliczności, które wywarłyby na gościach niemiłe wrażenie. Lublin, jako jedno z największych miast Kongresówki, nie mógł gorzej zaprezentować się od pozostałych. W ostatniej jeszcze chwili, powóz przewidziany do przewiezienia Henryka Sienkiewicza z dworca kolejowego do hotelu, polecił zamienić na zaprzężoną w cztery karę konie okazałą kareta.

Kiedy kareta wraz z towarzyszącymi powozami zajęła na plac dworcowy, oczekiwał tu już na pisarza i jego towarzystwo tłum lublinian. Prezes Gorzkowski wraz z komitetem organizacyjnym zajął wyznaczone przez służby kolejowe miejsce na peronie, gdzie przewidziano zatrzymanie się specjalnego wagonu. Woźny dworcowy dzwoniąc trzymanym w rękę dzwonkiem zapowiadał przybycie pociągu. Wśród oczekujących powstało podniecające poruszenie. Wszyscy parli w stronę, gdzie stał komitet organizacyjny by lepiej widzieć wysiadającego z wagonu pisarza.

Ledwie pociąg wtoczył się na peron, a już publiczność urządziła Sienkiewiczowi spontaniczną owację. Okrzyki, wiwaty i oklaski, którym nic było końca, nie pozwoliły nawet niezmiernie wzruszonemu prezesowi Gorzkowskiemu wygłosić wyuczonego na pamięć kwiecistym słowem przybranego powitalnego przemówienia.

Sienkiewicz wyciągnął na powitanie ku niemu rękę. Spełniało się najważniejsze marzenie prezesa. - Chwyć wyciągniętą dłoń pisarza i pochylił się, by ją ucałować.

- Nie trzeba, nie trzeba - autor *Trylogii* zrećcznie wyzwolił się z uścisku gospodarza - Nie trzeba. Nie jestem biskupem - powiedział nieco rozbawiony z łagodnym uśmiechem. Prezes zrozumiał, że niechcący popełnił nietakt.

- Ten, tego, przepraszam - zaczął się usprawiedliwiać.

Na szczęście prawic nikt tego nie dostrzegł, bo na peronie panował półmrok. Słów Sienkiewicza też nikt poza prezesem nie usłyszał, bo ciągle rozentuzjasmowany tłum wiwatował. Dostojny gość pozdrowił wszystkich w górę podniesioną ręką, co wywołało jeszcze gorętszy entuzjazm.

Towarzyszący Gorzkowskiemu członkowie komitetu organizacyjnego zaraz zrobili wśród zebranych przejście i doprowadzili pisarza i towarzyszące mu osoby do karety i stojących za nią powozów. W karecie obok Sienkiewicza zajął miejsce prezes Gorzkowski. Kiedy kawalkada pojazdów ruszyła, słychać jeszcze było wznoszone okrzyki i brawa. Jowialny i umiejący zwykle wybrnąć nawet z najtrudniejszej towarzyskiej sytuacji prezes Gorzkowski tak był wewnętrznie poruszony, że nie tylko

nie potrafił przypomnieć sobie żadnego dowcipu, ale nawet z sensem sklecić porządnego zdania.

- Ten, tego - strapiony powtarzał - Przepraszam... Nie tak to miało być, ale tłum... Przepraszam... Uchybienia... Ten, tego...

- Niech się pan nie frasuje. Gorącość powitania wskazuje, że i w Lublinie na naszych odczytach też będzie pełna sala.

- A tak, tak, wszystk... - nie dokończył rozpoczętego słowa. Gwałtowniej zaczerpnął powietrza i osunął się z siedzenia.

Sienkiewicz widząc, że Gorzkowski zaniemógł, polecił zatrzymać się przed najbliższą apteką. Nie dającego znaku życia prezesa wniesiono do apteki pana Szanajcy. Natychmiast wezwano najznakomitszych lubelskich lekarzy. Panowie Jaczewski, Rudzki i Tymiński stwierdzili zgon, a za jego przyczynę uznali aneuryzm serca. Dzisiaj powiedzieliby po prostu — zawał.

Wrażliwe, a może już nieco nadwyreżone serce pana prezesa, nie było w stanie znieść tak wielkiego napięcia. Na jego pogrzebie mówiono, że miał piękną śmierć oddając ostatnie tchnienie u stóp uwielbianego pisarza.

Wobec zgonu prezesa Gorzkowskiego zapowiedziane na dzień dwudziestego grudnia odczyty i wieczór sienkiewiczowski zostały odwołane i przeniesione na dwudziestego czwartego stycznia. Sienkiewicz wraz z towarzyszącymi mu osobami przenocował w hotelu. W niedzielę z rodziną wziął udział we mszy świętej w katedrze, a następnie złożył wizytę Jego Ekscelencji księdzu biskupowi Jaczewskiemu i tegoż dnia o godzinie pierwszej i pół po południu odjechał do Warszawy.

To pierwsze niefortunne spotkanie z Lublinem postanowiono pisarzowi i towarzyszącym mu osobom sownie wynagrodzić. Do komitetu organizacyjnego dołączono znanego z dobrych pomysłów miejscowego plastyka i regionalistę pana Kietlicz-Rayskiego.

Usilnie radzono jak przygotować powtórne przyjęcie, by już w niczym dostojnym gościom nie uchybić. Zgodnie stwierdzono, że w programie musi się znaleźć punkt, który wywrze zarówno na przybyłych jak i na mieszkańcach Lublina wielkie i niezatarte wrażenie. Zobowiązani do tego zostali panowie Julian Myszkowski, dyrektor lubelskiego teatru i dokoptowany do komitetu Kietlicz-Rayski.

Zadanie nie było łatwe, gdyż wszędzie, gdzie się Sienkiewicz pojawił, podejmowano go z objawami najwyższej czci i uwielbienia.

Zaraz po Nowym Roku grupa prelegentów zaczęła kontynuować przerwany w Lublinie objazd. Czwartego stycznia przybyła do Łodzi. Po uroczystym powitaniu na dworcu, o godzinie dwunastej odbyło się przyjęcie w sali towarzystwa „Lutnia”, podczas którego chór odśpiewał na cześć autora „Krzyżaków” kantatę. Teatr, gdzie się odbyły odczyty i spotkania, był przepelniony, a witający Sienkiewicza redaktor Czajewski wręczył mu pióro ozdobne.

O godzinie szóstej wieczorem odbył się na cześć pisarza i towarzyszących mu osób w ekskluzywnym Grand Hotelu uroczysty bankiet przy udziale stu dwudziestu osób. Po bankiecie o dziewiątej wieczorem rozpoczęło się z udziałem Henryka Sienkiewicza przedstawienie teatralne. Dla autora Trylogii przygotowano ubraną kwiatami łożę. Kiedy się w niej pojawił, publiczność wstała z miejsc i witała go oklaskami.

Przed kościołem w Lubieniu sześć kujawianek sypało Sienkiewiczowi kwiaty pod nogi. We Włocławku witały Sienkiewicza chóry wioślarzy, które śpiewały następnie podczas uczyty wydanej na cześć przybyłych gości.

W Łomży z kolei, komitet organizacyjny witał Sienkiewicza na stacji w Czerwonym Borze. Następnie karetą i kilkoma powozami całe towarzystwo udało się w stronę miasta. Pod Wygodą na drodze między Czerwonym Borem i Łomżą na przejeżdżających oczekiwali włościanie i szlachta zagrodowa. Pisarza powitano tradycyjnie chlebem i solą. W upominku wręczono mu piękny samodziół kurpiowski. W sali Towarzystwa Muzycznego, gdzie miały się odbyć odczyty, witali przybyłych przedstawiciele różnych stanów, a wśród nich i włościanie - czytelnicy sienkiewiczowskich powieści. Chór odśpiewał specjalnie na tę okazję napisaną kantatę.

O tych wszystkich spotkaniach i uroczystych powitaniach donosiła w kolejnych numerach „Gazeta Lubelska”. W ten sposób przygotowywała swoich czytelników do godnego i uroczystego przyjęcia pisarza. Wprawiała jednocześnie w duże zakłopotanie organizatorów, gdyż trudno już było wymyśleć coś nowego i niezwykłego. Na kolejnym zebraniu organizacyjnym Kietlicz-Rayski zaproponował, by przygotować przy udziale aktorów żywe obrazy. Pomysł ten wszystkim bardzo się spodobał, gdyż jeszcze nigdzie żywych obrazów nie było. Z kolei dyrektor teatru, Myszkowski, przypomniał, jak to przed laty Nowiński w Zamościu witał cara Mikołaja I - Pan Henryk Sienkiewicz to naszego narodu duchowy przywódca - dowodził - Powinniśmy go w Lublinie podjąć z honorami cesarza.

W przeddzień przyjazdu warszawskich gości „Gazeta Lubelska” zamiast artykułu zapowiadającego wizytę opublikowała wiersz Emila Tańskiego: „Do Henryka Sienkiewicza”. Zaczynał się strofą następującą:

*Tyś wielki w swym czynie.
W swej pieśni kochanej!
Bo piękno krainie
Swej dajesz znękaniej.*

Nie było to wielkie artystycznie dzieło, ale w pełni wyrażało stosunek lublinian do podziwianego i uwielbianego przez wszystkich pisarza.

W sobotę dwudziestego trzeciego stycznia wieczorem powitało Sienkiewicza na dworcu grono obywateli miasta. Nie było jak przed miesiącem rozentuzjasmowanych tłumów, by nie przypominać gościom tragicznego zdarzenia. W imieniu komitetu organizacyjnego krótką ale serdeczną przemowę wygłosił redaktor „Gazety Lubelskiej” pan Zdzisław Piasecki.

Henryk Sienkiewicz przybył do Lublina z córką Jadwigą i jej dwiema przyjaciółkami: panną Abakanowicz i panną Gardinet. Tym samym, co przed miesiącem prelegentom, towarzyszył redaktor „Kuriera Codziennego”, wiceprezes Kasy Literackiej, pan Libicki. Całe towarzystwo kilkoma oczekującymi przed dworcem powozami udało się na krótki odpoczynek do Hotelu Polskiego.

Wkrótce wszyscy zostali zaproszeni do Towarzystwa Muzycznego na bal zorganizowany na cele Lubelskiego Towarzystwa Dobroczynności.

Już wcześniej było wiadomo, że w balu weźmie udział Henryk Sienkiewicz i przybyłe z nim towarzystwo. Wiadomość ta sprawiła, że z rozprawdzeniem zaproszeń i drogich kart wstępu nie było żadnych trudności. Panie szykowały najmodniejsze toalety, a panowie - smokingi i fraki. Nie zbrakło też panien i kawalerów z okolicznych rodzin ziemiańskich.

Kiedy na salę weszli warszawscy goście, powitano ich wielką owacją. Jadwigę Sienkiewiczównę natychmiast obwołano królową balu. „Sala balowa literalnie natłoczona, galerie przepełnione. Do pierwszego kontredansa stanęło dziewięćdziesiąt par”. Uwaga wszystkich skierowana była w stronę Henryka Sienkiewicza, który pozostawał w ściślejszym kółku przedstawicieli prasy miejscowej i korespondentów pism warszawskich. Pisarz ujmował wszystkich niezwykłą prostotą i serdecznością.

Pierwszy toast na jego cześć wznosił redaktor „Dziennika Lubelskiego” Zdzisław Piasecki. W krótkich słowach wyraził uczucia wszystkich, nazywając autora Trylogii „największym z żyjących Polaków”. Gdyby nie obawiał się carskiej ochrony, powiedziałby, iż jest „Królem Duchem polskiego narodu”. I nie byłoby w tym nawet wielkiej przesady, gdyż Polacy w okresie niewoli tak zaszczytne zadanie powierzali swoim pisarzom, a zwłaszcza poetom.

Bal był tylko prologiem właściwych uroczystości. W niedzielę o godzinie drugiej i pół po południu w bardzo gustownie przystrojonej zielenią i kwiatami sali teatralnej rozpoczęły się odczyty. Widownia zapchana, scena też, w orkiestrze postawiono szereg dodatkowych krzesel.

Prelegenci powtarzali te same jak i w innych miastach, zatwierdzone przez generał-gubernatora tematy. Pan Radziszewski mówił o handlu i przemyśle w zarysie historycznym zwracając uwagę na rozwój tych dziedzin gospodarki za czasów Rzeczypospolitej. Słuchacze w lot zrozumieli, czego prelegent nie mógł głośno powiedzieć, iż obecne zacofanie i ubóstwo Kongresówki w dużej mierze wynika z rabunkowej polityki władz zaborczych. Nagrodzono więc go serdecznymi brawami, podobnie jak Ignacego Balińskiego, który deklamował dwa swoje wiersze „Nieszczęśliwi, którzy chcieć nie umieli” i „Mazur”. Oklaskiwano też i pana Lewandowskiego, który opowiadał o wspianym rozkwicie Warszawy i Łodzi.

Sienkiewicz z całą świadomością przyjmował ten obywatelski i patriotyczny obowiązek, ale ponad swoich, nawet tych prowincjonalnych, rodaków się nie wynosił. Podczas balu prowadził ożywione rozmowy z wieloma paniami i panami. Z zachwytem podziwiał dziarskiego mazura, w którym pokazały swoją krasę i wdzięki najpiękniejsze lublinianki. Dopiero o trzeciej po północy goście warszawscy po spożyciu wystawnej kolacji udali się na spoczynek.

Od tych gospodarczych przyziemności w zupełnie inną krainę przeniósł słuchaczy Henryk Sienkiewicz. Kiedy wszedł na scenę, powitały go grzmiące oklaski, bo wszyscy przecież z niecierpliwością na ten najważniejszy moment oczekiwali. Autor z życzliwym uśmiechem odczekał, aż się sala uspokoi i zaczął łagodnym, nieco monotonnym, ale pełnym nastrojowości głosem:

„Były dwie krainy, leżące obok siebie niby dwie łąki niezmierne, przedzielone tylko jednym strumieniem. - Zapadła wielka cisza. Słuchacze wyjęzali słuch i wstrzymywali oddechy, byle nie uronić żadnego cennego słowa. Sienkiewicz czytał dalej - Brzegi tego strumienia rozchyłały się w jednym miejscu łagodnie na dwie strony, tworząc bród miałki w kształcie jeziora o wodach cichych i przezroczyстых. Pod błękitną tonią widać było dno złote, z którego wyrastały łodygi lotosu, rozkwitającego nad wodną szybą kwieciami różowym i białym; tęczowe łątki i motyle wiły się wokół kwiatów, a wśród palm nadbrzeżnych i wyżej, w promiennym powietrzu, dzwoniły, jak srebrne dzwonki, ptaki.

I to było przejście z jednej krainy do drugiej. Pierwsza zwała się łąką Życia, druga łąką Śmierci”.

Ta stylizowana na indyjską baśń o krainie łagodności i o spokojnym przechodzeniu na drugi brzeg może dlatego, że była tak bardzo odległa od brutalnej i szarej rzeczywistości, wyzwalała tęsknotę za światem idealnej doskonałości. Wszyscy poczuli się nagle uduchowieni i trwali tak w podniosłym nastroju jakby słuchali postać niebios - proroka odsłaniającego rąbek najbardziej skrytych boskich tajemnic.

Kiedy ucichły łagodne słowa pisarza, zapanowała na moment zupełna cisza. Zebrani nie mogli wyzwolić się z roztoczonej przed nimi wizji. Nie trwało to jednak długo. Tamto subtelne uczucie zostało pokonane przez spontaniczny entuzjazm. I zerwał się nagle jak w czasie nadchodzącej burzy wielki grzmot. Oklaskami huczała sala, odpowiadały jej echem przepiękne galerie i balkony.

W czasie tego huraganu zaczęły podchodzić do pisarza delegacje z wypełnionymi kwieciami koszami. Za nimi ustawiła się długa kolej miłośników i entuzjastów jego twórczości. U stóp pisarza, nie - największego z żyjących Polaka - składano wieńce i wiązanki kwiatów. Powstał z nich żywy kobierzec. Sienkiewicz przyjmował te objawy szczerego i spontanicznego hołdu i uwielbienia z nieukrywanym wzruszeniem.

Kiedy oklaski wreszcie ucichły i kwietny korowód zbliżał się ku końcowi, pisarz jeszcze raz przemówił z wyraźnym rozrzewnieniem dziękując publiczności za tak gorące i entuzjastyczne przyjęcie. W odpowiedzi widownia zagrzmiiała spontanicznymi brawami.

Bezpośrednio po uroczystości goście warszawscy zostali zaproszeni do sali Towarzystwa Muzycznego, gdzie byli podejmowani ucztą. Niestety nie zachował się zapewne długi i wymyślny jadłospis podawanych dań i towarzyszących im trunków. Jedynie wiadomo, że na cześć Sienkiewicza i jego towarzystwa wygłoszono kilkanaście kwiecistych i wzniosłych przemówień, „na które wszyscy prelegenci odpowiedzieli bądź prozą, bądź wierszem”.

Po przeżyciach wyniesionych z sali teatralnej, po wysłuchaniu tak wielu przemówień i spożyciu wyśmienitych dań, goście poczuli się nieco znużeni. Udali się więc do pobliskiego hotelu na krótki odpoczynek, gdyż nie był to jeszcze koniec sienkiewiczowskich uroczystości.

Na ósmą wieczorem zostali zaproszeni do teatru, jak zapowiadały afisze, na „uroczyste przedstawienie ku uczczeniu pobytu Henryka Sienkiewicza w Lublinie”, Program wieczoru składał się aż z trzech części. Pierwszą wypełniła czteroaktowa sztuka „Pani Wołodyjowska czyli Azya-Tuchaj-Bejowicz”, Była to inscenizacja

fragmentów „Ogniem i mieczem”.

W części drugiej wystawiono pierwszy akt opery Kurpińskiego do słów J. N. Kamińskiego „Krakowiacy i Górale”. Atrakcją tej części były tańce góralskie, polonez i krakowiaki.

Część trzecia przedstawienia była najważniejsza. Składały się na nią żywe obrazy i „Apoteoza”. Apoteoza, to prawdziwy gwóźdź całego wieczoru. Apoteozę urządzano dla publicznego składania wyrazów czci i uwielbienia osobom panującym. Obecnie miał być uhonorowany jak król lub cesarz Henryk Sienkiewicz. Było to ryzykowne przedsięwzięcie, gdyż czujni czynownicy miejscowej ochrony gotowi byli uznać, iż Polacy w Lublinie obwołują swego władcę. Dyrektor Myszkowski znalazł sposób, by czujność tę zmylić.

W głębi sceny kazał ustawić na postumencie rzeźbę przedstawiającą biust pisarza, którą odpowiednio podświetlił, by wyglądało, że otacza ją nimb i aureola. Po podniesieniu kurtyny na pierwszym planie ukazywał się żywy obraz przedstawiający znaną scenę z powieści Sienkiewicza. Aktorzy ubrani w historyczne kostiumy zastygali w wyszukanych pozach, jakby ich za chwilę miał malarz malować. I trwali tak w bezruchu przez kilka minut, by widownia mogła scenę rozpoznać i swój wzrok dowoli obrazem takim nasycić. Każdy żywy obraz nagradzany był wielkimi brawami. Uradowany Sienkiewicz oklasków również nie szczędził.

Na zakończenie pokazu aktorzy po skłonieniu się pisarzowi i publiczności, podeszli do stojącego w głębi sceny posągu i z najwyższym szacunkiem uwieńczyli biust Sienkiewicza. Wywołało to niebywały entuzjazm widowni. Wszyscy natychmiast należycie ten gest odczytali. Wiwatowali na cześć siedzącego w pierwszym rzędzie pisarza. Dając w ten sposób wyraz, iż uznają go za swego duchowego przywódcę i króla. Sienkiewicz wstał i skłonił się poruszonej jak wulkan w czasie erupcji publiczności.

- Niech żyje! Niech żyje! - wołano z balkonów i galerii. Publiczność niechętnie opuszczała teatr. Rozchodzący się do domów przy pożegnaniu ściskali się serdeczniej.

- Oby jak najrychlej spełniły się nasze nadzieje - życzyli sobie szeptem. Nikt nie dopowiadał, bo wszędzie można się było spodziewać czujnych uszu szpicla carskiej ochrony, ale w domach i ścisłych, zaufanych gronach i towarzystwach jeszcze długo mówiono, że sienkiewiczowski wieczór był w ponurych latach powojennych pierwszym prawdziwym tchnieniem wolności.

Lublinianie jeszcze prawie piętnaście lat musieli czekać na spełnienie swoich najgłębszych pragnień i marzeń, ale dzięki takim przeżyciom łatwiej było czas ten przetrwać.

Kiedy pan Belina

Jak to było ładnie,

*kiedy pan Belina
na kątkach Moskali
wjechał do Lublina
(z piosenki legionowej)*

Gdzieś od połowy lipca w sennym o tej porze i wyludnionym ze względu na przygotowania do żniw i wakacje Lublinie napięcie potęgowało się i rosło. Wiadomości o zamachu w dalekim Sarajewie na księcia Franciszka Ferdynanda, o czym donosiły gazety, początkowo nikogo nie poruszyły. Letni teatr przy ul. Zamojskiej zapraszał na pełen humoru wodewil „Królowa przedmieścia”. Powtarzające się depesze ze świata zawierające coraz ostrzejsze wypowiedzi przedstawicieli cesarskich dworów, zaczęły zastanawiać. Stali czytelnicy gazet dowodzili chłodząc się lodami lub krzepiąc mocną kawą w ogródku kawiarni Semadeniego, że nic dobrego z tego nie wyniknie.

Dalekie światowe niepokoje zupełnie przyćmiła wiadomość o ciężkiej chorobie księdza biskupa Franciszka Jaczewskiego. Po sześciogodzinnej agonii biskup zmarł o godzinie 13.40 w dniu 23 lipca. Śmierć poruszyła wszystkich, gdyż biskup był szanowany i ceniony nie tylko jako duszpasterz, ale jako patriota.

Pogrzeb wyznaczony najpierw na 27, został przesunięty na 28 lipca. Przybyło czterech biskupów, dwudziestu ośmiu prałatów i kanoników z Królestwa i Cesarstwa. Uroczystości pogrzebowe zgromadziły ponad dwadzieścia pięć tysięcy osób. Zjechały delegacje parafii z Podlasia i Lubelszczyzny. Uczestniczyli przedstawiciele redakcji wielu czasopism, władz państwowych i wojska. Ze sztandarami stawiły się cechy. Przybyli przedstawiciele książęcych i hrabiowskich rodów. Czas żałoby po zmarłym biskupie zakłóciły poruszające wszystkich kolejne wydarzenia. Oto 30 lipca o godzinie jedenastej wieczorem rozlepiono na ulicach Ukaz Najwyższy o mobilizacji w Lublinie i powiecie lubelskim.

Ukaz wzywał, by wszyscy rezerwiści stawili się w sobotę, pierwszego sierpnia, w punktach zbornych. 31 lipca ogłoszono w guberni lubelskiej stan wojenny. Pierwszego sierpnia ukazał się w „Ziemi Lubelskiej” artykuł „Przed burzą”, w którym już jawnie donoszono, iż: „Wielka burza dziejowa się zbliża”.

W poniedziałek, 3 sierpnia, „Życie Lubelskie” pisało: „[...] w miesiąc zaledwie po owym dniu, wybranym przez Fatum, wojna powszechna jest faktem dokonany. Cała Europa połyska stałą bagnetów, olbrzymie lawiny ludzkie toczą się ku sobie - lada moment zagrzmia armaty i rozpoczną się boje, wobec których dawniejsze „bitwy narodów” będą się nam wydawały dziecinną igraszka”.

Te groźne doniesienia zaniepokoiły wszystkich, ale w kręgach patriotycznych i niepodległościowych budziły nadzieję na uwolnienie spod zaborczej niewoli. Wojna między sprzymierzonymi dotąd cesarstwami nadzieje te potęgowała. Bardziej ostrożni mówili jedynie o jakiejś formie autonomii na wzór Galicji, gdzie za wiernopoddańczą deklaracją: „przy Tobie Najjaśniejszy Panie stoimy i stać chcemy”, uzyskano większe swobody.

Nie pochwalano poczynań Józefa Piłsudskiego, który tworzył w Galicji strzeleckie oddziały i sposobił młodzież do zbrojnej walki. - To nowe szaleństwo! - mówiono - Znowu powtórzy się rok sześćdziesiąty trzeci! Znowu przeciw armatom młokosi wystąpią z myśliwskimi strzelbami.

- Dość przelanej krwi, zsyłek i katongi! - oburzali się starzy pamiętający dobrze czasy prześladowań popowstaniowych.

W kręgach niepodległościowych widziano w oddziałach strzeleckich zaczątek przyszłego polskiego wojska, z którym wiązano wielkie nadzieje. W sumie było co niemiara sporów i dociekań. Przy kawiarnianych stolikach nikt się już nie nudził. Każdego dnia z niecierpliwością oczekiwano, co nowego przyniosą gazety. Nie ulegało wątpliwości, wojna lada dzień musi wybuchnąć. Szeptano nawet, że już kordon przekroczyły jakieś dywersyjne oddziały. W kręgach niepodległościowych powtarzano, że są to Piłsudskiego strzelcy. Podobno zajęli Słomniki, Jędrzejów i kilka przygranicznych miejscowości.

Wyolbrzymiona pogłoska miała swoje uzasadnienie. Rzeczywiście, drugiego sierpnia 1914 roku przekroczył austriacko-rosyjską granicę siedmioosobowy patrol ubrany w mundury strzeleckie pod dowództwem Władysława Prażmowskiego „Beliny”. Patrol miał dokonać napadu na lokal rosyjskiej komisji poborowej, rozpędzić carskich czynowników, a mobilizowanych Polaków rozesać do domów.

Patrol swego zadania nie wykonał, bo wieść o wkroczeniu na tereny przygraniczne austriackich „sokołów” (tak nazywali Rosjanie strzelców) rozniosła się błyskawicznie. Komisje poborowych w kilku miejscowościach przerwały pracę, a stacjonujące na pograniczu niewielkie oddziały wojskowe zaczęły się wycofywać.

Siódemka Beliny zaopatrzona w pięć zarekwirowanych wierzchowców wróciła do Krakowa, by 6 sierpnia już jako patrol konny na czele Pierwszej Kompanii Kadrowej wyruszyć z krakowskich Oleandrów w stronę granicy.

Kierowali się na Słomniki, Miechów, Jędrzejów. W Michałowicach zarekwirowali dwa konie i patrol Beliny stał się oddziałem kawalerii. Na drodze do Słomnik napotkali jadących bryczką carskich policjantów. Nastąpiła wymiana strzałów, po której policjanci w popłochu uciekli.

Piechurzy teraz z podziwem patrzyli na kawalerzystów, którzy jako pierwsi przeszli chrzest ogniowy. Do patrolu napływali nowi ochotnicy. W dniu 11 sierpnia oddział składał się już z dwunastu jeźdźców i w Kielcach stoczył pierwszą potyczkę z kawalerią rosyjską.

W Lublinie jeszcze nic pewnego o tych poczynaniach nie wiedziano. Dopiero siódmego sierpnia „Ziemia Lubelska” zamieściła terminowy telegram własnego korespondenta wysłany z Petersburga donoszący, iż w dniu poprzednim, to jest 6 sierpnia 1914 roku o godzinie 6.15 po południu Austria wypowiedziała wojnę Rosji.

Wiadomość ta już nie zaskoczyła nikogo, ale poruszyła wszystkich.

- Wojna! Wojna! - powtarzali ludzie spotykający się na ulicach. Bardziej przezorni czynili zapasy. Zaczęły dochodzić bulwersujące wieści o wkroczeniu wojsk austriackich na przygraniczne tereny południowej Lubelszczyzny. Opowiadali o tym przybyli z tamtych stron pierwsi uciekinierzy. Prasa o tym nie informowała, bo otrzymała surowy zakaz rozpowszechniania jakichkolwiek wiadomości wojennych poza oficjalnymi komunikatami. Komunikaty z Petersburga nie nadchodziły. Przez Lublin

przeciągały kierując się na Południe sotnie kozackie, artyleria, piechota i objuczone wojskowe tabory.

Widząc to lublinianie próbowali wyrokować o przyszłych losach wojny. Wszyscy byli zgodni, że przy obecnej technice wojna potrwa niedługo. Moskalofile wierzyli w niezwyciężoną potęgą Rosji. Niepodległościowcy przepowiadali zwycięstwo Austrii. Zdawały się to potwierdzać wieści o posuwaniu się w kierunku Lublina wojsk austriackich. O tym, że z Rosjanami nie jest najlepiej, mogła też świadczyć opublikowana 16 sierpnia Odezwa do Polaków wielkiego księcia Mikołaja Mikołajewicza, który był głównodowodzącym wojsk rosyjskich. Zapowiadała, że pod berłem carów odrodzi się Polska „w wolności swej wiary, języka i samorządu”. I dalej górnolotnie: „Z sercem otwartym i po bratersku wyciągniętą ręką zbliża się ku wam Rosja. Ona wierzy, że nie zardzewiał miecz, który gromił wroga pod Grunwaldem.”

Tylko zaślepieni i niepoprawni moskalofile wierzyli w te gołosłowne i wzniosłe deklaracje. W Lublinie pamiętano bowiem dobrze, jak to przed czterema laty w pięćsetną rocznicę zwycięstwa pod Grunwaldem wystawiono obok kościoła wizytok niewielki cokolik. Za ten czyn Polacy musieli zapłacić pięćset rubli kary.

Moskalofile twierdzili, że czasy się już zmieniły i po zwycięstwie Rosji, zjednoczone ziemie polskie pod berłem carskim uzyskają autonomię. Pogląd ten propagowali narodowi demokraci i tak zwani „realiści”, którzy natychmiast wystosowali do Mikołaja Mikołajewicza telegram życząc pełnego triumfu na polu chwały i prosili, by życzenia te wraz z uczuciami wiernopoddańczymi złożył u stóp Jego Cesarskiej Mości Najjaśniejszego Pana.

W kręgach niepodległościowych z obrzydzeniem czytano te wiernopoddańcze deklaracje. Z radością przekazywano podniecające wieści o zajęciu Kielc przez strzelców i polskich ułanów. Krótka to była jednak radość, bo już 18 sierpnia „Życie Lubelskie” podało oficjalny komunikat wojskowy donoszący, iż 15 sierpnia oddziały kawalerii rosyjskiej wyparły nieprzyjaciela z Kielc i zajęły je na stałe. Ta sama gazeta, będąca organem narodowej demokracji, przytoczyła w przeglądzie prasy za warszawskim „Dziennikiem Polskim” komentarz o wypadkach kieleckich. Cytowano: „Zjawiły się tam (w Kielcach) oddziały strzeleckie uformowane przez niedobitki najostrzej potępianej przez opinię narodową „Komisji Tymczasowej”. Do drużyn tych wstąpili małoletni, nieodpowiedzialni młodzieńcy w wieku 14-18 lat, bo kwiat młodzieży zabrała mobilizacja austriacka.

Za podszeptem Prus na życzenie Austrii rzucono w walkę tych szaleńców. Odpowiedzialność przed sądem Boga poniosą ci, którzy pchnęli w wir walki te nieopatrne drużyny.”

Nadchodzące wieści o zbliżaniu się ku Lublinowi frontu i te paskudne komentarze prasowe wprowadzały ogół w stan zdenerwowania i podniecenia. O nastrojach tych cenzura nie pozwalała pisać „Ziemia Lubelska” doniosła jedynie, iż: „W aptekach od tygodnia jest bardzo duży popyt na brom, krople laurowe i walerianowe oraz podobne środki uspokajające.”

Sytuacja na froncie nie była jasna. Z oficjalnych komunikatów niewiele można się było dowiedzieć. Jedynie uciekinierzy opowiadali o krwawych walkach koło Kraśnika, o parciu Austriaków na Wysokie. Obeznani z wojskiem twierdzili, że Austriacy zapewne zamierzają przeciąć linię kolejową w okolicach Trawnik i w ten sposób

Lublin od wschodu oskrzydlić. Z każdym dniem oczekiwano zajęcia przez Austriaków miasta. Cieszyli się z tego niepodległościowcy, moskalofilom rzedły miny. Wielu zbierało już manatki i wyjeżdżało w głąb Rosji. Komitet Obywatelski zwrócił się do wszystkich mieszkańców Lublina z prośbą o zachowanie spokoju i równowagi oraz o nie przerywanie zwykłego biegu życia.

„Ziemia Lubelska” sprzyjająca kręgom patriotycznym i niepodległościowym doniosła 28 sierpnia o ponownym zajęciu Kielc przez wojska austriackie. Podano, że do Kielc weszło kilkuset austriackich „Sokołów” uzbrojonych w rewolwery i karabiny. Czytelnicy wiedzieli, że pod oficjalną nazwą „Sokoły” kryją się Józefa Piłsudskiego strzelcy.

Była to jednak ostatnia pomyślna dla niepodległościowców wiadomość. Na przełomie sierpnia i września rozpoczęła się bowiem zakrojona na wielką skalę rosyjska kontrofensywa. Jak donosił z dużym opóźnieniem wojenny komunikat: „Bitwa generalna miała miejsce 21-23 sierpnia pod Krasnymstawem, Trawnnikami i Kraśnikiem. W ciągu dwóch dni 20 i 21 sierpnia Rosjanie wzięli 10 000 jeńców. Jeden z korpusów austriackich usiłował przerwać front rosyjski w celu zawładnięcia koleją żelazną pomiędzy Lublinem i Chełmem, lecz został pobity. Dostało się do niewoli 6000 żołnierzy i przeszło 100 oficerów. W rezultacie dziesięciodniowej bitwy Rosjanie odparli armią austriacką daleko od Lublina na linię Józefów-Zawichost-Janów-Rawa Ruska”.

Teraz już każdego dnia pojawiały się w prasie oficjalne komunikaty donoszące o sukcesach wojsk rosyjskich. 7 września - atak wojsk austriackich na linii Lublin-Chełm został odparty, 12 września - wojska cofają się, 17 września - Lwów zdobyty.

Z Petersburga donoszono, iż: „Posuwające się w dalszym ciągu naprzód wojska rosyjskie z wielkim powodzeniem nacierają na ariergardy austriackie na całym froncie. Wzięty został Sandomierz. W okolicy Jaworowa zagarnięto obozy 6 i 14 korpusów austriackich, z górą 20 dział, 5000 jeńców i wielkie zapasy ładunków. Wojska nasze zbliżyły się do ufortyfikowanych: Sieniawy, Jarosławia i Przemyśla. Wspólna akcja piechoty i artylerii w ubiegłych rozstrzygających walkach w Galicji i na południu lubelskiej i chełmskiej guberni nie pozostawia nic do życzenia.”

Wkrótce władze carskie ogłosiły triumfalnie o przyłączeniu Galicji do prawosławia i państwowości rosyjskiej. Już zupełnie zapomniano o niedawnej Odezwie Mikołaja Mikołajewicza obiecującej Polakom wolność wiary, języka i samorządu.

W gazetach opisywano bohaterskie wyczyny carskich żołnierzy, dzięki którym zostało odniesione zwycięstwo. Oto jeden przykład takiego bohaterstwa.

25 sierpnia, podczas odwrotu wojsk rosyjskich spod Kraśnika miał miejsce bohaterski czyn lotnika Tkaczewa. Wracając z wywiadu powietrznego został ostrzelany przez nieprzyjaciela. Kula przebiła w aparacie bak z oliwą. „Tkaczew nogą zatkał dziurę i dalej leciał z wielkim wytężeniem, aby dolecieć do swoich cofających się szeregów piechoty”.

Wreszcie udało się Tkaczewowi wysiąść pomiędzy szeregami swoich i nieprzyjaciół. Nic chcąc porzucić aparatu, lotnik przy pomocy kilku żołnierzy ze swoich szeregów, wynalazł biedkę, przywiązał do niej aparat pod ogniem zbliżających się Austriaków i w oczach ich wywiózł szczęśliwie swój aparat.”

Wśród tych podnoszących na duchu moskalofilów wiadomości znalazło się też coś pocieszającego i dla niepodległościowców. Zza linii frontu dochodziły pogłoski o formowaniu dwu polskich Legionów i o utworzeniu pierwszego szwadronu ułanów. Młodzi przepytawali nawet jak się można do nich przedostać. Jednak wiadomości z pola walki nie były najlepsze. Pod koniec października Polacy bili się jeszcze w okolicach Dębłina, ale wkrótce nastąpił ogólny odwrót wojsk austriackich i niemieckich. Wyglądało to nawet na klęskę.

- Austria, jeśli jeszcze walczy - mówili moskalofile - to już chyba tylko o jakie takie zakończenie wojny.

Prasa doniosła z Warszawy, iż: „Polscy działacze społeczni zwrócili się do Piotrogradu z prośbą o pozwolenie na zorganizowanie w Polsce „komitetu narodowego, [...] który miałby wywierać wpływ w duchu państwowości rosyjskiej na ludność polską w Galicji.”

Front się oddalił i lublinianie przestali pasjonować się wojną. Bardziej niepokoiły wszystkich skutki postępującej drożyzny. W gazetach pytano:

„Czemu w różnych sklepach sprzedaje się chleb po 12 kopiejek, a nawet drożej, zamiast 11 kopiejek według taksy?”

Było to retoryczne pytanie, bo wszyscy dobrze wiedzieli, że drożyzna jest skutkiem wojny. Mimo dotkliwie odczuwanej drożyzny życie w mieście jakby się powoli normalizowało. Świadectwem normalności miała być uruchomiona właśnie między Lublinem i Zamościem stała komunikacja samochodowa. Od 5 listopada codziennie o godzinie czwartej po południu wyruszał spod hotelu Polskiego w Lublinie autobus, który wracał następnego dnia z rana z Zamościa zabierając pasażerów sprzed hotelu Lwowskiego. Bilet pierwszej klasy z Lublina do Zamościa kosztował 7 rubli i 5 kopiejek, a w klasie drugiej 6 rubli i 20 kopiejek.

Ostatecznym potwierdzeniem zwycięstwa Rosji nad Austrią stała się, jak twierdzili niektórzy, wizyta w Lublinie cara Mikołaja II. Ze względu na toczącą się jeszcze wojnę była utrzymywana początkowo w wielkiej tajemnicy. Poza wąskim gronem najbardziej zaufanych osób nikt o przyjeździe monarchy nie wiedział. Nie powiadomiono nawet miejscowej polskiej prasy.

Władze rosyjskie zadbały jednak o uroczyste powitanie jedynowładcy z zachowaniem etykiety i obowiązującego rytuału. O przebiegu wizyty lublinianie dowiedzieli się dwa dni po wyjeździe cara z „Ziemi Lubelskiej”, która opublikowała sprawozdanie przetłumaczone z „Lublińskich Gubernskich Wiedomości”. Oto jak rosyjski redaktor opisywał to wydarzenie:

„Dnia 12 b.m. Najjaśniejszy Pan raczył odwiedzić Lublin. Pociąg cesarski przybył o godzinie 9 rano. Na stacji spotkali Najjaśniejszego Pana gubernator lubelski, dowódca załogi, wyższe władze wojskowe i cywilne, administrator diecezji rzymskokatolickiej, deputacje: 1) miasta, 2) obywateli ziemskich będących członkami gubernialnego komitetu obywatelskiego, 3) ludności wiejskiej i 4) gminy żydowskiej.

Najjaśniejszy Pan przyjąwszy chleb i sól od deputacji miejskiej, podziękował jej za wyrażone uczucia i wyraził swoje zadowolenie z powodu tego, że Lublin wytrwale przetrwał nieszczęścia, będące skutkiem wojny. Zwróciwszy się do wójtów gmin, Najjaśniejszy Pan, polecił im zakomunikować ludności guberni, że Jego Cesarska Mość wierzy wypowiedzianym Mu przez deputacje uczuciom wiernopoddańczego

oddania się dla Niego i Rosji. [...]

Ze stacji Najjaśniejszy Pan z ministrem wojny i w otoczeniu świty pojechał do soboru, gdzie był spotkany przez episkopa chełmskiego i lubelskiego Anastazja, który powitał Jego Cesarską mość przemową. [...] Po odwiedzeniu rannych Najjaśniejszy Pan pojechał do miejscowego kościoła [katedry - J. Z J], gdzie spotkany został przez duchowieństwo katolickie z administratorem diecezji rzymsko-katolickiej na czele, który odmówił krótkie modlitwy, Z kościoła Najjaśniejszy Pan odjechał na stację. O godz. 1 po pół. pociąg cesarski wyruszył w dalszą drogę."

By dobrze wspomniano krótki pobyt Jego Cesarskiej Mości: „Najjaśniejszy Pan raczył Najmiłościwiej ofiarować ludności polskiej guberni lubelskiej poszkodowanej z powodu działań wojennych 10 000 rubli"

Nie zapomniał też o uczącej się młodzieży. Wiedział, co uczniowie lubią najbardziej, więc: „Najmiłościwiej rozkazać raczył uwolnić od lekcji na 3 dni młodzież szkolną w Lublinie."

Dary te winne były zaskarżyć długą i wdzięczną pamięć, a także przywiązanie do rosyjskiego cesarskiego tronu wszystkich Polaków. Okazało się jednak, że niektórzy mimo wiernopoddańczych oficjalnych deklaracji swych przedstawicieli, nie potrafili docenić carskiej wspaniałej szczodrości. Wkrótce po wyjeździe z Lublina Najjaśniejszego Pana zaczęli spiskować tworząc podziemne komórki Polskiej Organizacji Wojskowej. Organizację tę powołał Józef Piłsudski.

Na jesieni powstała Komenda Obwodu Lubelskiego. Formowały się oddziały męskie a nawet kobiece. Pierwszy oddział męski został zaprzysiężony w mieszkaniu znanego lubelskiego lekarza, Marka Arnsztajna. Jego żona, poetka, Franciszka Arnsztajnowa, prowadziła i przechowywała archiwum POW. Ich syn, Jan, bez reszty oddał się pracy konspiracyjnej. Mieszkanie Arnsztajnow doskonale nadawało się do takiej roboty. Wizyty w gabinecie lekarskim obcych ludzi nie budziły podejrzeń. Z piwnic ich domu lochami można się było przedostać do kilku staromiejskich kamienic. W podziemiach gromadzono i przechowywano broń i amunicję.

Wkrótce po powołaniu oddziału męskiego został zorganizowany oddział kobiecy. Pierwsza odprawa i zaprzysiężenie odbyły się w mieszkaniu adwokata Iwańskiego przy ul. Krakowskie Przedmieście 49. Wieczorem w pokoju przy szczelnie zasłoniętych oknach zebrało się jedenaście panien. Wszystkie gotowe były złożyć swoje młode życie w walce o niepodległość.

Kiedy do przyciemnionego pokoju wszedł Komendant Obwodu Lubelskiego, „Andrzej” stały już w wojskowym szeregu. Komendant jednym spojrzeniem zlustrował oddział. Następnie przedstawił Halinę Chełmicką, siostrę pani Iwańskiej, jako „Halinę” wyznaczoną na komendantkę.

Przed złożeniem przysięgi „Halina” zwróciła się do zebranych stanowczym, choć nieco przytłumionym z podniecenia głosem.

- Uprzedzani was, w razie wykrycia, narażacie się na najcięższe prześladowania. W tajnej, konspiracyjnej organizacji, może być tylko taka osoba, która pracuje z prawdziwym zaparciem się siebie i raczej sama poświęci swoje życie, niż przez słabość charakteru, chwilowe załamanie, lub przez zwykłe tchórzostwo miałyby narazić innych, a tym samym organizację. Musicie wiedzieć, że organizacja nie wybacza zdrady.

Wzywam was do zastanowienia. Jeszcze każda z was może opuścić ten pokój, jeśli nie czuje się na siłach sprostać tej dobrowolnej, trudnej i odpowiedzialnej pracy.

Po tych słowach zapadła grobowa cisza. Komendantka patrzyła kolejno każdej w oczy. Dziewczęta stały wyprężone jak na apelu. Minęła dłuższa chwila, ale żadna nie wystąpiła z szeregu. Komendantka przerwała wreszcie to pełne napięcia milczenie.

- Czy gotowe jesteście złożyć przysięgę?

- Jesteśmy - odpowiedziały zgodnie stanowczym przytłumionym szeptem.

„Halina” wraz z „Andrzejem” podchodzili kolejno do stojących i z wielką powagą odczytywali rotę peowiackiej przysięgi. Dziewczęta z najwyższym przejęciem powtarzały za nimi:

„W pełni świadomości wstępuję w szeregi organizacji, składam wieczystą przed Bogiem przysięgę, że władzom swoim bezwzględnie posłuszna będę, wszystkie włożone na mnie obowiązki i wszystkie wydane rozkazy z całą gotowością zawsze sumiennie spełniać będę, że tajemnic mi powierzonych co do istnienia, składu i pracy organizacji wiernie strzec będę i że wolności Polski wszystkie swe siły, krew i życie poświęcę.”

Tak w okresie zewnętrznych niepowodzeń rozpoczęła się w Lublinie konspiracyjna peowiacka praca. Oddziały męskie gromadziły broń, przeprowadzały wojskowe ćwiczenia i zbierały wywiadowcze informacje.

Panie, skupione w oddziale kobiecym, odbywały po kilka razy w tygodniu szkoleniowe i organizacyjne odprawy. Uczyły się terenoznawstwa, sygnalizacji, rozpoznawania szarż wojskowych i różnych rodzajów broni, rysowały mapy sztabowe i plany.

Pod kierunkiem doktora Jasińskiego odbywały w szpitalu praktyki sanitarne. Kolportowały niepodległościową bibułę, szyły chlebaki i tornistry wojskowe. W mieszkaniu jednej z członkiń urządzono laboratorium chemiczne i biuro fałszywych paszportów, w które zaopatrywano wybierających się do Legionów. Dezerterom z armii rosyjskiej dostarczały cywilne ubrania i niezbędne dokumenty. Wyposażały kurierki przedzierające się przez linię frontu do Głównej Komendy. Nosiły meldunki wywiadowcze i wracały z otrzymanymi rozkazami.

Jedna z członkiń POW pracowała na poczcie jako telefonistka. Podśluchiwała prowadzone przez wojskowych rozmowy, wychwytywała informacje o ruchach wojsk i zaopatrzeniu stacjonujących w Lublinie jednostek. Na skrawkach bibułki sporządzała wywiadowcze notatki, które przekazywała po zakończeniu dyżuru w kruchcie katedry oczekującemu tam na nią „Arturowi”.

Wszystkie peowiczki miały obowiązek obserwowania na ulicach oficerów i żołnierzy i zapisywać numery ich pułków. Kolejno też pełniły dyżury na stacji kolejowej skrupulatnie obserwując przyjeżdżające i odprawiane transporty wojskowe.

Tak szeroko zakrojona działalność wywiadowcza P.O.W. nie uszła uwagi ani mieszkańców Lublina, ani tajnej policji. Lublinianie, jak mogli wspierali działalność konspiratorów. Policja stale śledziła podejrzanych. Komu już bardzo palił się grunt pod nogami, opuszczał Lublin, by na prowincji tworzyć nowe peowiackie oddziały. Mimo węszenia i tropienia szpicli w lubelskiej organizacji nie było żadnej wsypy.

Moskalofile i tzw. „realiści” z Lublina i Warszawy o konspiracyjnej działalności nie

chcieli nawet słyszeć. By ich przypadkiem nie posądzono o sprzyjanie konspiratorom, wymyślali coraz to nowe dowody swej wiernopoddańczej lojalności.

Jak doniosła „Ziemia Lubelska”, w Warszawie deputacja przedstawicieli polskiej arystokracji rodowej z księciem Czetwertyńskim na czele, ofiarowała generałowi adiutantowi Rudskiemu złotą szablę. Generał wymawiał się od przyjęcia, ale na usilne prośby przyjął ten podarunek.

Żeby czytelnicy nie mieli wątpliwości, za co wręczono generałowi prezent, sprzyjająca ruchom niepodległościowym „Ziemia Lubelska” uzupełniła wzmiankę informacją, iż generał Rudskoj za zwycięstwa w Galicji i zdobycie Lwowa otrzymał order św. Jerzego 4 i 5 stopnia. Czytelnicy już wiedzieli, co mają o tym niewymuszonym służalczym czynie sądzić.

Tak kończył się pełen nadziei i rozczarowań pierwszy rok wojny. W Lublinie nie zorganizowano ani jednego sylwestrowego balu. W gronach najbliższych przyjaciół życzo sobie, by rozpoczynający się rok 1915 przyniósł oczekiwane zmiany i spełnił najszybsze nadzieje. Peowiacy życzyli sobie, by mogli dożyć upadku carskiej Rosji i odzyskania przez Polskę niepodległości.

Początek nowego roku zdawał się jeszcze niczego nie wróżyć. Linia frontu utrzymywała się wzdłuż Bzury, Nidy i Dunajca. Oblężony był Przemyśl. Komunikaty wojenne informowały jedynie o jakichś tam działaniach na froncie zachodnim. Lublinianie przyjmowali te wiadomości obojętnie. Nie miały dla nich większego znaczenia. Z niecierpliwością oczekiwano wiosny.

- Na wiosnę wszystko musi się ruszyć - dowodzili siedzący w kawiarniach wojenni koneserzy - szala zwycięstwa albo klęski musi się wreszcie przesilić.

Niepodległościowcy ciągle wierzyli w zwycięstwo Austrii. Moskalofile i „realiści” pewni byli niezwyciężonej potęgi imperialnej Rosji. Potwierdzeniem tej potęgi miało być poddanie się 22 marca obleganej przez kilka miesięcy twierdzy Przemyśl. Sukcesowi temu nadano wiele rozgłosu. Informowano, że załoga Przemyśla liczyła 170 tysięcy żołnierzy. Z tej liczby poległo 40 tysięcy, 20 tysięcy leżało w szpitalach, 3 tysiące znajdowało się w stanie rekonwalescencji, a 107 tysięcy zdolnych do walki żołnierzy dostało się do niewoli.

Był to rzeczywisty, ale jedyny sukces armii rosyjskiej. Peowiaccy kurierzy przynosili zza linii frontu pocieszające wiadomości o rozrastaniu się polskich Legionów i o przekształceniu w dywizjon szwadronu Beliny. Dochodziły też wieści o przygotowaniach do wiosennej ofensywy.

W maju austriacka ofensywa ruszyła. Wojska rosyjskie nic były w stanie jej powstrzymać. Front został przełamany pod Gorlicami i zaczął się znowu przesuwac w stronę Lublina. Pierwszym zwiastunem zbliżającej się ofensywy był samolot, który pojawił się 25 maja nad wsią Krępiec. Doniosły o tym lubelskie gazety. Teraz już lublinianie nie przejawiali tak wielkiego zdenerwowania jak w sierpniu i wrześniu ubiegłego roku. Moskalofile mówili o chwilowych niepowodzeniach wojsk rosyjskich. W kręgach peowiackich przygotowywano się do decydujących rozstrzygnięć. Gromadzono broń i rozszerzano działalność wywiadowczą.

Ogólnie panował nastrój pogodny, a nawet niefrasobliwy. Jedni przesiadywali w kawiarniach i restauracjach, inni chodzili do teatru, gdzie dawano melodyjne

wiedeńskie operetki albo ucieszne francuskie lekkie komedyjki. W gronach zaufanych przekazywano pocieszające i krzepiące wieści o zwycięskich walkach polskich legionistów i ułanów Beliny. Front zbliżał się w stronę Wisły.

W komunikacie urzędowym przesłanym z Piotrogradu donoszono, iż: „W kierunku na Lublin nieprzyjaciół znajduje się w styczności z nami wzdłuż rzeki Wyżnicy i Por”.

Po zwycięskich walkach pod Ożarowem i Tarłowem I Brygada Legionów pod dowództwem Józefa Piłsudskiego poprzedzana przez ułanów Beliny zbliżała się ku Wiśle. Przez rzekę przeprawiono się po pontonowym moście pod Annopolem kierując się na Wyżnicę. Nad rzeką Wyżnicą Rosjanie próbowali stawiać opór, który został wkrótce przełamany.

12 lipca do Urzędowa wjechali pierwsi ułani Beliny. Nieprzyjaciół wycofując się podpalił osadę i okopał na północny - i południowy-wschód nękając ogniem nacierające wojska. Okopali się też legioniści wspierani przez miejscową ludność. 14 lipca w ocalałym domu Aleksandra Golińskiego zakwaterował się ze sztabem Józef Piłsudski. Przez cztery dni trwały zacięte walki, w czasie których poległo piętnastu legionistów.

Świtem 19 lipca Rosjanie opuścili okopy. Legioniści ruszyli w stronę Lublina. Przed wymarszem do walczących dołączył czwarty pułk piechoty III Brygady. Rosjanie kopali coraz to nowe linie okopów, ale opór ich był słaby.

W Lublinie, wśród rodzin carskich czynowników i moskalofilów zapanował popłoch. W pośpiechu ładowali dobytek na ewakuacyjne transporty i wyjeżdżali w głąb Rosji.

W oddziałach P.O.W. zarządzono ostre pogotowie. Komenda miasta otrzymała bowiem wiadomość, że Moskale przed opuszczeniem Lublina mają aresztować i wywieźć osoby politycznie podejrzane. Peowiaczy nie spali we własnych domach. W małych grupach czuwali z bronią gotową do strzału w mieszkaniu Arnsztajnow, to w składach syndykatu rolniczego, to znów na przedmieściu w opuszczonych szopach albo stodołach. Najbezpieczniej było na cmentarzu, gdzie pod strażą warty spano spokojnie między grobami. Krótką broń otrzymały nawet peowiaczki. „Artur” uczył je, jak posługiwać się rewolwerem, jak go nabijać i rozładować i jak składać do strzału.

12 lipca „Ziemia Lubelska” doniosła, że walki toczą się na południe od Urzędowa. 18 lipca autor obszernego artykułu zastanawiał się, jak daleko słychać huk armat. 19 lipca informowano, iż Austriacy kierując się w stronę Lublina próbowali natarcia w rejonie na wschód od Wilkołaza. 20 lipca - nieprzyjaciół atakował na całym froncie. Lada dzień spodziewano się zajęcia Lublina przez Austriaków.

Lublinianie zupełnie nie przejmowali się powagą sytuacji. Zamiast okazywać trwogę i ból z powodu niepowodzeń, a właściwie już klęski wojsk rosyjskich, do późnej nocy biesiadowali w restauracjach, gdzie do tańca przygrywały nawet orkiestry. Zdenerwowało to gubernatora, który zarządził, by „w restauracjach pierwszego rzędu nie grała muzyka”, i by zamykano je punktualnie o jedenastej wieczorem. Na szczęście nie zawieszono działalności teatru, gdzie 19 lipca dawano melodyjną operetkę „Wesoła wdówka” z huśtawkami w akcie drugim.

Przez miasto przeciągały oddziały wycofujących się wojsk rosyjskich. Peowiaczy wysadzili kolejowe tory. 23 lipca doniesiono w gazetach, iż rodzina cesarska wraz z duchowieństwem i wiernymi gromadzącymi się w cerkwiach i soborach Piotrogradu

zanosiła gorące modły prosząc Boga o zwycięstwo wojsk rosyjskich.

- To już koniec - cieszyli się niepodległościowcy - Jeśli Moskale proszą Pana Boga o pomoc, to już z nimi jest bardzo kiepsko.

- Za krzywdy wyrządzone Polakom Pan Bóg ich nie wysłucha - twierdzili wierzący w sprawiedliwość Boską.

- Żeby się już wreszcie od nas wynieśli - niecierpliwili się wszyscy.

Z ulicy znikli policjanci, żandarmi, a nawet tajni agenci. Peowiacy zupełnie swobodnie poruszali się po mieści nie widząc za sobą tropiących szpicli. „Artur” (Wincenty Gisges) zwołał odprawę komendantów dzielnic i oznajmił, że odwołuje na najbliższą noc pogotowie. Życzył wszystkim, by się dobrze wyspać przed czekającymi w najbliższej przyszłości trudami.

Tadeusz Korolko „Wilk” ucieszył się z tego rozkazu. Po wielu nieprzespanych, wypełnionych czuwaniem nocach, miał nadzieję porządnie wypocząć we własnym łóżku. Mieszkał w oficynie kamienicy przy ulicy Okopowej. Przed wieczorem dostarczono do jego mieszkania kilkaset karabinowych naboji. Należało przenieść je do składnicy na cmentarzu. Jeden z peowiaków przyniósł do naprawy nagan, łączniczki dostarczyły kilka wywiadowczych meldunków. Normalnie takich materiałów nie przechowywało się w domu, ale teraz, gdy Rosjanie w pośpiechu szykowali się do odwrotu, wydawała się już zbędna tak wielka ostrożność. Jedyne naboje przeniósł do piwnicy.

Ledwie ucho przyłożył do poduszki, a już spał snem kamiennym. Ze snu wyrwał go krzyk matki i walenie o drzwi karabinowymi kolbami. Oprzytomniał natychmiast. Spojrzał w okno. Na podwórzu stało kilkunastu żołnierzy z połyskującymi na lufach bagnietami. Ucieczka była niemożliwa. Obrona w mieszkaniu, gdzie przebywała matka, młodszy brat i trzy młodsze siostry, była szaleństwem. Nie było wyjścia. Należało się poddać.

W ostatniej chwili oddał siostrze, członkini żeńskiego oddziału P.O.W., dwa rewolwery. Otworzył drzwi. Oficer przystawił mu nagan do głowy. Rewizja osobista. Poszukiwanie broni. Przetrzęsanie mieszkania. W szufladzie stołu znajdują zapasowy magazynek i pudełko z nabojami. Na szczęście pod stertą zwalonej z łóżek pościeli nie odkrywają ukrytych tam rewolwerów,

Wraz z młodszym bratem, Henrykiem, zostają odstawieni pod strażą do aresztu. Wkrótce przybywają tam nowi aresztowani. Wieczorem pod silną eskortą odprowadzają wszystkich do więzienia na Zamek. Więzienie jest już prawie puste. Spotyka tu „Artura”, którego zniemacka napadli na ulicy. Jest Jadwiga Opatowiczówna, jedna z bardziej aktywnych peowiczek oraz Jaroszewicz, ojciec peowiczki „Ireny”.

Następnego dnia rano wszystkich wyprowadzają na dziedziniec. Każą przebrać się w więzienne ubrania. Kowal zakuwa na nogach żelazne kajdany. W południe, pod zbrojnym kordonem straży więziennej i kilkunastu kozaków, na koniach prowadzą więźniów w stronę dworca. Kajdany brzęczą o bruk, ocierają do krwi nogi. Idący mają nadzieję, że P.O.W. zorganizuje zasadzkę. W napięciu patrzą w każdy zaułek, w każdą mijaną bramę. Niestety, nikt uzbrojony na nich nie czekał. Ostatnim wojskowym transportem odwieźli wszystkich najpierw do Mińska, potem do Smoleńska i Moskwy. Dopiero w Tambowie, gdzie się ulokował ewakuowany z Lublina

Sąd Okręgowy, rozpoczęło się śledztwo o wysadzenie pod Lublinem torów kolejowych. Z braku winy zwolniono ich wreszcie po kilku miesiącach pod dozór carskiej policji. Jadwiga Optołowiczówna zmarła na gruźlicę w mińskim więzieniu.

Nie wszyscy mieli więc szczęście witać na ulicach Lublina polskich ułanów. Ci, co pozostali, nie mogąc doczekać się swoich, z coraz większą nienawiścią patrzyli na rosyjskie mundury. Mężczyźni nie spali w domach obawiając się nowych aresztowań.

Opowiadano o zakutych w kajdany prowadzonych na dworzec peowiakach. Grzmot dział i coraz bliższe łuny płonących wiosek wskazywały na przybliżanie się frontu.

Jeszcze 29 lipca wieczorem na ulicach, w kawiarniach i restauracjach pełno było Moskali. Gubernator, żandarmeria i policja tkwili na swych stanowiskach. Tłumy uciekinierów przewalały się i koczowały na wszystkich placach, skwerach i w bocznych ulicach.

Około północy tych, którzy zdążyli już usnąć, zbudziły ciągnące całą szerokością Namiestnikowskiej i Krakowskiego Przedmieścia tabory, artyleria i piechota. O drugiej po pomocy zwinął swój urząd gubernator. Za nim umknęła żandarmeria i policja.

O świcie seria silnych wybuchów poruszyła domy. Nad cementownią „Firlej” unosiły się dymy, płonęły koszary i poczta. Oddział saperów ścinał w pośpiechu słupy telefoniczne na Królewskiej i na Krakowskim Przedmieściu. Pociąg złożony z trzech wagonów jeździł po torach. Jego załoga wysadzała mosty i kolejowe budynki. Po wykonaniu dzieła zniszczenia pociąg z załogą popędził w stronę Bystrzycy.

Rano na ulice weszła straż obywatelska. Na rogu Lipowej i Krakowskiego Przedmieścia spali jeszcze pokodem znużeni żołnierze. Jakiś oficer kozaków budził ich nahają i przynaglał do biegu. Krzyczał, że wszystkich wystrzela jako maruderów i dezerterów. Namiestnikowską przemknęło galopem kilka lekkich baterii.

Wreszcie wszystko uspokoiło się i ucichło. Ludzie wylegli na ulice, ale gromadzących się rozpraszała straż obywatelska. Jeszcze około południa po kilku chaotycznych strzałach zza muru cmentarza i koszar wysunęły się dwa patrole Czerkiesów. Rozejrzeli się niepewnie i popędzili co koń wyskoczy w stronę lubartowskiej rogatki. Ludzie ukryli się w domach albo przyczaili w kamienicznych bramach. Czujnie obserwowali wyludnione ulice miasta.

Aż tu około drugiej na Krakowskim Przedmieściu od strony Lipowej ukazało się kilku jeźdźców. Z karabinkami gotowymi do strzału kierowali się w stronę Krakowskiej Bramy. Dojechali do Placu Litewskiego, gdzie panoszył się prawosławny sobór, symbol zniewolenia i carskiej przemocy. Stanęli. Rozejrzeli się bacznie i po chwili wrócili. Obserwujący ich nie mogli się nadziwić.

- Cóż to za wojsko? - pytali jedni drugich,
- Co za wojsko?
- Patrzcie! Mają białe orły na ułańskich czapkach. -To nasi!
- Topolscy ułani!
- Beliniacy!

I wieść lotem błyskawicy obleciała wszystkie domy i ulice miasta. Ludzie wylegli, by ich oglądać. A tu już wjeżdżają w większych oddziałach. Rozrzucili się po mieście sprawdzając, czy gdzieś nie przyczaiła się w zasadzce jakaś kozacka sotnia. Ludzie

patrzą i niedowierzają. Kobiety ocierają łzy. Dzieciom pokazują polskich ułanów.

- Nie, to niemożliwe! - powtarzają wzruszeni.
- To niemożliwe, żeby do nas?
- Beliniacy?

Oni tymczasem wrócili z patroli. Sformowali się w większe oddziały i ze śpiewem na ustach rozpoczęli triumfalny przemarsz. Ludzie płakali padając sobie w objęcia, bo oto sen o wolności tylu pokoleń się spełniał. Dziewczęta obrzucały jadących kwiatami. Wszyscy wiwatowali.

- Niech żyją polscy ułani!
- Niech żyją Beliniacy!

A oni młodzi, dziarscy weseli. Niejeden w locie uchwycił rzucony bukiet. Przesłał dziewczynie całusa.

Na spotkanie im wyszedł redaktor „Ziemi Lubelskiej”, pan Daniel Śliwicki, który tymi słowami do nich przemówił:

„Witajcie nam drodzy rodacy! Witajcie waleczni! Niesiecie nam żywy przykład świętej służby. Krwawe trudy wasze i znoje stwierdzają niespożytą moc Polski walczącej o niepodległość. Za wami tęskniły serca młode. To do was biegła myśl śmiała, niestrudzona i wolna. Radują się serca nasze na widok waszej godności. Dzielność i waleczność pierś dumą rozpiera. Przypomina nam, że przez wieki byliśmy narodem rycerskim. Jasność i pogoda oczu waszych tłumaczy ludowi, że jesteście orędownikami wielkiej sprawy.

Spójrzcie na ten tłum wydarty oprawcom, który uśmiecha się do was. Ten uśmiech mówi, że gotów rozprężyć mocarne ramiona i razem z wami przystąpić do walki o niepodległość. Otwórzmy serca przed sobą! Zjednoczmy w jednym wielkim czynie wszystkie nasze wysiłki!

Witajcie nam, zwycięscy, zwiastuni wolnej ojczyzny!”

- Witajcie! Witajcie! - wołali zgromadzeni.
- Niech żyją Beliniacy!
- Brawo Beliniacy! - wołali rozentuzjzmowani.

Ułani rozformowali się i spieszyli przy magistracie. Wokół nich potworzyły się zaraz kręgi ciekawych. Wielu odnalazło swoich znajomych. Pytali o stoczone bitwy. Beliniacy mimo wojennego znoju byli szczęśliwi, radośni. Mówili, że jeszcze nigdzie nie byli tak serdecznie i godnie witani. Młodzi zapraszali ich do kawiarni i do restauracji, rozpytywali, jak się można do nich zaciągnąć.

Na placu przed katedrą natychmiast zorganizowano punkt werbunkowy. Przy stolikach ustawiły się długie kolejki ochotników. Każdy chciał wstąpić do polskich Legionów i walczyć o niepodległość.

Pod wieczór zaczęła przeciągać Krakowskim Przedmieściem i Namiestnikowską austriacka artyleria i piechota. Kierowali się w stronę rogatki lubartowskiej. Tych wojsk już lublinianie tak serdecznie nie witali. Niektóre oddziały prowadziły po kilkunastu rosyjskich jeńców. Jeńcy szli ponurzy ze zwieszonymi ku ziemi głowami.

- W takiej roli to od stu lat Lublin ich jeszcze nie widział - z satysfakcją komentowali ten widok patrzący.

O zmierzchu w stronę koszar świętokrzyskich obok Ogrodu Saskiego szła w

zwartym wojskowym szyku grupa cywilów. Niektórzy uzbrojeni byli w karabiny. Prowadził ich w szarym strzeleckim mundurze młody peowiak. Wszyscy mieli miny poważne, marsowe. Ktoś z przechodniów zawołał.

- Niech żyją nasi ochotnicy!

Peowiak odwrócił się, uśmiechnął i zasalutował. Idący w pierwszym szeregu, chyba jeszcze uczeń, bo w gimnazjalnym mundurku, odwrócił się do swoich i coś im półgłosem powtarzał. Potem poddał prostą marszową melodię. I zaśpiewali.

*Jak to było ładnie, jak to było ładnie,
kiedy pan Belina kiedy pan Belina
na karkach Moskali na karkach Moskali
wjechał do Lublina.*

- Patrzcie, co za zuchy - podziwiali ich przechodnie - O tym, co my tu przeżywamy, oni już ułożyli i śpiewają piosenką.

Późnym wieczorem Beliniacy odjechali na krótki wypoczynek i biwak do Dąbrowicy. Czekali ich jeszcze długie marsze i niejedne boje.

Po przeżytych emocjach miasto powoli zaczęło usypiać. Nie spali tylko politycy, redaktorzy i poeci. Paweł Lubicz kończył wiersz, z którym po postawieniu ostatniego wykrzyknika pobiegł do redakcji „Ziemi Lubelskiej”. Następnego dnia z samego rana już czytelnicy mogli na pierwszej stronie gazety przeczytać

Ułani Beliny

*Nasz lot jest wichrowy - Do sławy nasz lot.
Krzyk tętni, wrywa się z krtani.
W czyn wola zakrzepła i spada jak grzmot.
Ułani, Beliny ułani!
Przez krew do wskrzeszenia ojczyzny jest szlak,
Więc oto ginie dziś dla niej.
Krwi krople zakwitły na polu jak mak.
Ułani, Beliny ułani!
My w szarych mundurach, bez krzyżów, bez kit,
Śród smutków jesteście wiośniani,
Bitw dawnych zamierzchły wskrzeszamy już mit.
Ułani, Beliny ułani!*

Kiedy poeta pisał wiersz, odbywało się zwołane przez Polską Organizację Wojskową zebranie sprzymierzonych z nią przedstawicieli stronnictw politycznych. Obradowano nad sytuacją jaka zaistniała po wyjściu wojsk rosyjskich i zajęciu miasta oraz południowej części Lubelszczyzny przez wojska austriackie. Wszyscy byli świadomi, że Austriacy, to może mniej dotkliwie uciążliwi, ale okupanci. Powołano Komitet Zjednoczonych Organizacji Niepodległościowych, który opracował i ogłosił Odezwę. Chciano w niej z jednej strony przestrzec społeczeństwo przed zbyt i bezkrytyczną euforią spowodowaną powitaniem polskich żołnierzy, z drugiej zaś wyraźnie sformułować wobec okupacyjnych władz austriackich niepodległościowe oczekiwania Polaków. Odezwa głosiła:

„Obywatele i Obywatelki

Moskale wyszli z naszego miasta i Lublin ulegnie upokarzającemu losowi całej

Polski, że będąc wolnym od swych dotychczasowych panów, nie śmie jawnie i głośno swej woli i zdania wypowiedzieć."

Kończyła się jasno i krótko sformułowanymi żądaniem:

„Chcemy Polski Całej i Niepodległej. Chcemy państwa własnego, niezależnego od któregokolwiek z państw ościennych.

Chcemy mieć rząd własny, w którym udział brać będą wszystkie warstwy narodu i który zapewni wolność i równość przed prawem wszystkim obywatelom Polski”.

By spełniły się te żądania i postulaty Polacy musieli jeszcze ponad trzy lata o nie walczyć. Już tego samego dnia rozpoczął się krwawy bój pod niedalekim Jastkowem, gdzie ginęli za przyszłą wolność Ojczyzny młodzi legionieści. Mogiły ich przypominają potomnym tamte dni krótkiej euforii, nadziei i najwyższej ofiary.

[...]

Na mocy konkordatu została podporządkowana arcybiskupowi mohylewskiemu. Car „ze swej szczodrości” ofiarował na jej działalność ponad czterdzieści tysięcy rubli rocznie. Uczelnia dysponowała własnym niewielkim dwupiętrowym budynkiem, w którym znajdowały się sale wykładowe, biura, konwikt i duża kaplica dostępna w niedziele i święta dla wiernych z miasta (adres: Wasiljewskij Ostrów I, linia 52). Mogła przyjąć tylko czterdziestu słuchaczy.

W tym czasie istniała jeszcze druga Akademia Duchowna powołana ukazem carskim czwartego października 1835 roku, po zamknięciu Uniwersytetu Warszawskiego. Działała do 1867 roku, kiedy w ramach restrykcji popowstaniowych została zlikwidowana, a alumnów skierowano do Akademii w Petersburgu. Jednocześnie zwiększono limit studentów z czterdziestu do sześćdziesięciu.

Właśnie do takiej „zjednoczonej” Akademii trafił w 1893 roku Idzi Radziszewski. Było to duże wyróżnienie, gdyż do jedynej w cesarstwie wyższej katolickiej uczelni władze kościelne kierowały najzdolniejszych seminarzystów, z którymi wiązano nadzieje, że zasilą w przyszłości elity katolickiego duchowieństwa.

Ksiądz Idzi Radziszewski nie zawiódł pokładanych w nim nadziei. Po ukończeniu w 1896 roku studiów uwieńczonych stopniem „candidatus S. Theologie” i otrzymaniu święceń kapłańskich wrócił do kraju. Na krótko został wikarym w parafii św. Mikołaja w Kaliszu. Po kilkumiesięcznej praktyce duszpasterskiej został skierowany na dalsze studia do Katolickiego Uniwersytetu w belgijskim Lowanium (1898-1900).

Wyjazd odbył się nielegalnie, gdyż uzyskanie paszportu u władz carskich było bardzo trudne, a często nawet niemożliwe. Łatwiej można było otrzymać dwutygodniową przepustkę do Galicji. Z Galicji na Zachód była już otwarta droga, gdyż nie wymagano tam żadnych paszportów. By po powrocie nie narażać się na przykre konsekwencje, ksiądz Idzi Radziszewski zapisał się na studia w Wyższym Instytucie Filozoficznym pod nazwiskiem Stephan (Etien) Vaihinger de Cracovie.

Pod kierunkiem ks. profesora Dezyderego Merciera napisał pracę doktorską, której tematem była aktualna wówczas problematyka ewolucji i poglądy filozoficzne Karola Darwina i Herberta Spencera. Promotor twierdził, że Idzi Radziszewski jest najlepszym jego uczniem, odznaczającym się pracowitością, inteligencją i nieprzeciętnymi zdolnościami.

Po uzyskaniu doktoratu Radziszewski nie wrócił bezpośrednio do kraju, ale dla rozszerzenia swojej wiedzy i poznania innych naukowych ośrodków udał się najpierw do Anglii. Kilka miesięcy pracował w bibliotece Muzeum Brytyjskiego, a następnie zatrzymał się w uniwersytetach Oxford i Cambridge. Wracając z Anglii zwiedził uniwersytety w Paryżu, Lilie, Tuluzie i Lyonie. Na jakiś czas zatrzymał się w Rzymie, a stamtąd przez Innsbruck i Wiedeń, gdzie też zapoznawał się z tamtejszymi uniwersytetami, w 1901 roku wrócił do kraju.

Carska ochrona jakoś nie dopatrzyła się przestępstwa w przedłużeniu dwutygodniowej przepustki do trzech lat. Nie został aresztowany za nielegalny pobyt na Zachodzie.

Biskup diecezji włocławskiej powołał go prawie natychmiast na wicerektora

Seminarium Duchownego. Ks. Idzi Radziszewski, pełniąc swoje obowiązki, wykładał filozofię i teologię dogmatyczną. Kilkakrotnie wyjeżdżał na Zachód. W 1905 roku przebywał w Paryżu, gdzie przez rok pracował w Bibliotece Narodowej i zapoznawał się z działalnością Sorbony, College de France i Instytutu Katolickiego. Następnie odwiedzał uniwersytety w Niemczech, Austrii, Belgii i Szwajcarii. Przed objęciem w 1907 roku stanowiska rektora Seminarium Duchownego we Włocławku jeszcze raz wyjechał za granicę, by obserwować działalność fakultetów teologicznych i seminariów duchownych.

W czasie kilkakrotnych pobytów w Europie Zachodniej zapoznawał się nie tylko ze strukturą organizacyjną poszczególnych uczelni, ale przede wszystkim wykorzystywał czas na pracę naukową, lekturę i słuchanie wykładów znanych i wybitnych profesorów.

W 1908 roku w Księgarni Gebethnera i Wolfa ukazała się jego praca zatytułowana: „Wszechnica katolicka w Lowanium (Louvain)”, w której przedstawił organizację i działalność tej wyższej uczelni. W rozprawie znalazło się smutne stwierdzenie: „Nieszczęściem dla nas jest, że wyższej własnej katolickiej uczelni w kraju nie posiadamy...”

O powołaniu katolickiej wyższej uczelni w ówczesnych warunkach trudno było nawet marzyć, ale można przypuszczać, że ta zupełnie nierealna myśl ks. Idziego nie opuszczała. W miarę możliwości coś z niej próbował wprowadzić w życie, reformując program i organizację Seminarium Duchownego we Włocławku i Akademii Teologicznej w Petersburgu.

Nie wszystkie jego „zbyt radykalne” na owe czasy pomysły i przedsięwzięcia zyskiwały uznanie i aprobatę. Dochodziło nawet do ostrych konfliktów. W 1905 roku chcąc zmienić tradycyjne metody wychowania alumnów naraził się rektorowi Seminarium Duchownego ks. Stanisławowi Chodyńskiemu i musiał zrezygnować z funkcji wicerektora.

W roku następnym, kiedy próbował podnieść kwalifikacje sióstr Szarytek obsługujących szpitale i założyć na Tamce w Warszawie szkołę pielęgniarstwa, spotkał się ze zdecydowanym sprzeciwem starszych sióstr i wizytatorki Augustyny Sikorskiej. Były one zgorszone propozycją wprowadzenia do programu wykładów z anatomii człowieka. Uważały, że jest to zupełnie zbędne, a nawet nieprzyzwoite.

Na szczęście nie wszyscy tak bardzo obawiali się „nazbyt rewolucyjnych” poglądów ks. Idziego Radziszewskiego. Ordynariusz włocławski ks. bp Stanisław Zdzitowski powołał go w 1908 r., na stanowisko rektora Seminarium Duchownego we Włocławku. Jako rektor mógł swobodniej wprowadzać zmiany, ale pole działania było niewielkie. Swoją uwagę skierował przede wszystkim na sprawy wychowawcze. Wymagał, by młody kapłan odznaczał się wysokim poziomem moralnym, posiadał gruntowne wykształcenie ogólne i specjalistyczne oraz przygotowanie teoretyczne w zakresie nauk społecznych, a także umiejętność praktycznego ich wykorzystania. W Akademii Duchownej w Petersburgu, której rektorem został w 1914 roku, na wzór Uniwersytetu Lwańskiego starał się uzupełnić program studiów wykładami z różnych dziedzin wiedzy. Wybuch wojny światowej znacznie jednak utrudnił kontakty z najnowszymi osiągnięciami nauki zachodnioeuropejskiej.

Ograniczenia te starał się ks. Idzi Radziszewski rekompensować angażując się w działalność petersburskiej Polonii. Przed wybuchem pierwszej wojny światowej mieszkało w Petersburgu ponad 37 tysięcy (niektórzy nawet twierdzą, że 50 tys.) Polaków. Działania wojenne i ewakuacje sprawiły, że liczba ta parokrotnie się powiększyła (podobno osiągnęła 250 tys.). Wśród nich znaleźli się studenci, inżynierowie, lekarze, farmaceuci, bibliotekarze, kupcy, przedsiębiorcy, finansjści, a także rzemieślnicy, robotnicy i wojskowi.

Życie społeczne i towarzyskie Polaków skupiało się głównie wokół kilku parafii, towarzystw dobroczynnych i organizacji kulturalno - oświatowych. Organizowano biblioteki, czytelnie, księgarnie. Wydawano kilka czasopism m.in. „Dziennik Petersburski”, „Nasze życie” i „Głos Młodzieży”. Istniało polskie gimnazjum żeńskie im. św. Katarzyny.

W lutym 1916 roku wśród pracowników naukowych powstała myśl powołania Towarzystwa Miłośników Historii i Literatury Polskiej. Celem Towarzystwa było organizowanie odczytów i prelekcji. Na inauguracyjne posiedzenie, któremu przewodniczył prof. Tadeusz Zieliński, przybyło siedemdziesiąt osób. Na przewodniczącego Towarzystwa wybrano ks. Idziego Radziszewskiego. Odczyty Towarzystwa cieszyły się coraz większym powodzeniem. To skłoniło Zarząd do powołania Wyższych Kursów Polskich. Program ich zaplanowano na dwa lata. Celem było uzupełnienie wykształcenia słuchaczy z zakresu historii i literatury na poziomie wykładów uniwersyteckich.

Uroczyste otwarcie kursów odbyło się we wrześniu 1916 roku. Wykłady prowadzili zgromadzeni w Petersburgu znani i wysoko cenieni profesorowie: Tadeusz Zieliński, Jan Bauduin de Coutenay, Leon Petrażycki, Marian Zdziechowski, Stanisław Ptaszycki i ks. Idzi Radziszewski, który z wielkim entuzjazmem przystąpił do realizacji programu Kursów, widząc w nich załączek uniwersytetu w niepodległej Polsce.

Nadzieja na odzyskanie przez Polskę niepodległości była rozpowszechniana w kręgach petersburskiej inteligencji przede wszystkim przez członków konspiracyjnych polskich niepodległościowych organizacji. Docierały tu wiadomości o utworzeniu i walkach legionów Piłsudskiego i o tym, że generał-gubernatorzy na okupowanych terenach Królestwa ogłosili w imieniu cesarza Niemiec i Austro-Węgier akt o powołaniu samodzielnego państwa z ziem polskich odebranych Rosjanom.

W noworocznym rozkazie cara Mikołaja II do armii i floty znalazło się też stwierdzenie, że jednym z celów wojny jest stworzenie Polski wolnej, złożonej z wszystkich trzech części, dotąd rozdzielonych. Według cara Polska miała otrzymać swój własny ustrój państwowy, z własnymi izbami prawodawczymi i własną armią.

Te deklaracje i twierdzenia skłaniały działaczy niepodległościowych do wzmożonej działalności. Jednym z najbardziej aktywnych i oddanych sprawie był Franciszek Skąpski.

Urodził się 24 lutego 1881 roku w majątku Łubna w powiecie grójeckim. W 1899 roku ukończył w Kaliszu gimnazjum i wyjechał na studia do Petersburga. Tu w 1910 roku ukończył Instytut Inżynierów Dróg Komunikacji ze stopniem magistra-inżyniera, ale już w 1905 roku, zaczął pracować w firmie budowlanej, która wkrótce przekształciła się w wielkie Towarzystwo Akcyjne „Stroitiel” z kapitałem dziewięć i pół miliona rubli. Właścicielami przedsiębiorstwa byli czterej Polacy. Wśród nich chyba

największą energią i przedsiębiorczością wyróżniał się Franciszek Skąpski, który był też bardzo zaangażowany w działalność społeczną i polityczną m.in. został naczelnikiem „Sokoła”, organizował w Petersburgu harcerstwo.

Zamierzając rozwinąć wśród skupionej w Petersburgu polskiej młodzieży konspiracyjną działalność niepodległościową w listopadzie 1914 roku wyjechał do kraju. Skontaktował się z komendantem POW (Polska Organizacja Wojskowa) Tadeuszem Żulińskim. Został zaprzysiężony, wciągnięty na listę legionistów i oddelegowany jako komendant POW w Petersburgu.

Wrócił w grudniu i rozpoczął werbunek do konspiracyjnej organizacji. Nie miał z tym wielkich trudności, gdyż cieszył się zaufaniem młodzieży. Został członkiem Komitetu Central Młodzieży Polskiej.

Dzięki jego staraniom powstały cztery sekcje POW. W 1915 roku został zatwierdzony jako komendant okręgowy dla północnej i środkowej Rosji.

Kiedy powołano Towarzystwo Miłośników Literatury, a następnie rozpoczęły się wykłady na Wyższych Kursach wśród propagatorów i organizatorów tych przedsięwzięć nie zabrakło Franciszka Skąpskiego, który w tym środowisku rozwijał niepodległościową konspiracyjną działalność. Na Kursy zapisało się najpierw trzystu słuchaczy, których liczba w pierwszym półroczu powiększyła się do 648 osób.

W tym czasie przyjechał do Petersburga Karol Jaroszyński. Dysponował poważnym majątkiem, ale w stolicy jeszcze go nie znano. Wkrótce w sposób niekonwencjonalny zdobył wielką popularność.

Otrzymał z prośbą na wentę charytatywną zorganizowaną przy współudziale najstarszej córki cara, Tatiany Nikolajewny. Uczestnicy imprezy kolejno deklarowali dość wysokie sumy na rzecz Czerwonego Krzyża. Jako ostatni do stolika z listą ofiarodawców podszedł Jaroszyński. Wystawił czek na sumę dwukrotnie przekraczającą najwyższą ofiarę. Na liście wypisał czytelnie swoje imię i nazwisko. Złożywszy szarmancki ukłon i z czarującym uśmiechem wrócił na swoje miejsce.

Hojność nieznanego dżentelmena wzbudziła wielkie zdumienie dostojnego prezydium. Córka cara pytała, kim jest tak niezwykle hojny ofiarodawca, ale nikt, nawet minister finansów, nie potrafił udzielić jej informacji.

Bezpośrednio po imprezie minister nawiązał kontakt z Jaroszyńskim. Po krótkiej rozmowie umówili się w dniu następnym w Ministerstwie. W wyniku tej wizyt Jaroszyński otrzymał kredyt z Banku Państwowego w wysokości trzech milionów rubli i zlecenie na zaopatrywanie Petersburga w cukier. Transakcje te znacznie powiększyły i tak już okazała jego fortunę.

Jaroszyński doszedł do niej również w sposób „niekonwencjonalny”. Pochodził z bardzo zamożnej kresowej rodziny. Urodził się jako siódme dziecko Józefa i Karoliny z Drzewieckich 13 grudnia 1877 roku w Kijowie. Ojciec jego na różnych transakcjach wielokrotnie pomnożył odziedziczoną fortunę. Był dziedzicem kilku majątków m.in.: Dzwonnichy, Kabatni, Babina, Kapuścian i Antopola oraz kilku cukrowni. Zmarł, gdy Karol miał dziewięć lat.

Sprawami majątkowymi i interesami do pełnoletności najmłodszych dzieci zajmował się mąż najstarszej córki Józefa, Ignacy Szczeniowski. Dzięki jego staraniom każde z dorastających dzieci otrzymywało w spadku znaczny majątek -

także Karol, choć wydawało się, że wraz ze spadkiem nie odziedziczył cech swego ojca, który był człowiekiem pracowitym, przedsiębiorczym i bardzo oszczędnym. Jako uczeń nie przejawiał wielkiego zapału do nauki. Odwiedził kilka szkół średnich, by w wieku dwudziestu dwu lat zdać z nienajlepszymi stopniami egzamin z kursu sześciu klas Szkoły Realnej w Moskwie. Odpowiadało to wykształceniu średniemu - i na tym edukacją zakończył.

Wszystko wskazywało, że Karol ma znakomite predyspozycje by zostać „złotym młodzieńcem” i wielkim utracjuszem. Z odziedziczoną fortuną wyjechał do Monte Carlo. Grał w ruletkę w sali przeznaczony dla milionerów. Zgrał się do cna i pozaciągał długi. Z opresji wybawił go starszy brat. W 1909 roku Karol jeszcze raz zaryzykował. Poszedł „na całość”. Tym razem szczęście dopisało. Opróżnił zawartość banku. Stał się milionerem. Już nie szukał szczęścia w grach hazardowych, ale w rozsądnym inwestowaniu i pomnażaniu posiadanego kapitału.

Okazało się wkrótce, że ma w tym względzie niepospolity talent. Łatwo nawiązywał kontakty wśród sfer finansowych, miał trudności w zaciąganiu wielkich kredytów, które odpowiednio zainwestowane przynosiły krociowe dochody.

Według Grażyny Karolewicz: „[...] przed rewolucją majątek Karola Jaroszyńskiego, oprócz tego, co odziedziczył po ojcu obejmował:

- w Kijowie: dwie fabryki budowy maszyn, dwa towarzystwa żeglugi po Dnieprze, dwa trzypiętrowe hotele, 13 wielopiętrowych domów mieszkalnych;
- w Petersburgu: dwa pałace (na Morskiej i Kamiennej Wyspie) osiem kamienic, jedno mieszkanie przy ulicy Morskiej;
- w Odessie: jedną willę na wybrzeżu;
- we Francji: jedną willę zwaną „Mont Stuart” w Benlieu kupił ją dla matki i zapłacił podatek na 25 lat z góry);
- w Monte Carlo: jedną willę;
- w Londynie; jeden dom [...]

Był właścicielem ponad 20 cukrowni lub rafinerii na Ukrainie i współwłaścicielem 30 [...] Stał ponadto na czele wielkiego koncernu, w skład którego wchodziły kopalnie, huty, banki, cukrownie, towarzystwa ubezpieczeniowe, towarzystwa kolejowe, hotele. Należały do niego także akcje wielu banków w imperium rosyjskim, a między innymi;

- Rosyjskiego Banku Handlu i Przemysłu,
- Rosyjskiego Banku Handlu Zagranicznego,
- Międzynarodowego Banku Petersburskiego,
- Prywatnego Banku Handlowego w Kijowie,
- Zjednoczonego Banku Moskiewskiego,
- Bank u Wschodnio-Azjatyckiego,
- Banku Syberyjskiego”.

Bez wątplenia był najzamożniejszym wśród Polaków mieszkających w tym czasie w stolicy imperium rosyjskiego.

Chętnie służył pomocą potrzebującym. Duże sumy przeznaczał na cele społeczne i dobroczynne. W Kijowie wraz z matką ufundował ochronkę dla dzieci, w Petersburgu za milion rubli zakupił dla młodzieży studenckiej okazałą kamienicę, którą nazwano „Zgoda” Przekazał 25 tys. rubli na utrzymanie bursy Żeńskiego Gimnazjum

Towarzystwa Szkoły Średniej w Petersburgu. Gdy bolszewicy cofnęli dotację, finansował działalność Akademii Duchownej.

Jak wspominał po latach ks. prof. Józef Pastuszka, który był w owym czasie studentem Akademii, dzięki funduszom Jaroszyńskiego: „Nie głodowaliśmy, nie marzliśmy, mogliśmy normalnie pracować, a nawet liczyć na pomoc materialną”.

Doraźna pomoc charytatywna i wspierania materialne osób i instytucji nie dawały Jaroszyńskiemu pełnej satysfakcji. Wierząc, że wkrótce Polska odzyska niepodległość, pragnął stworzyć w kraju trwałą instytucję, która wspierałaby materialnie niezamożną studiującą młodzież. W tym celu zamierzał zorganizować sieć domów towarowych, których dochód byłby przeznaczony na stypendia.

Na spotkaniu u ks. Czesława Falkowskiego, który był wykładowcą Akademii Duchownej, a ponadto uczył historii literatury polskiej w Gimnazjum św. Katarzyny i pełnił obowiązki Iana Wyższych Kursów Polskich, Jaroszyński zwierzył się swego zamierzenia. W spotkaniu tym uczestniczył też ks. Idzi Radziszewski. Zaproponował Jaroszyńskiemu, by zamiast sieci towarowych powołać katolicki uniwersytet. Jak pamiętamy, z myślą tą nie rozstawał się od wielu lat. Chyba doszedł do wniosku, że właśnie teraz nadarza się okazja, by dawne marzenie próbował wcielić w życie.

Jaroszyński, człowiek interesu, wcale nie zachwyił się tą propozycją. Ks. Radziszewski nie rezygnował. Użył wszelkich dostępnych argumentów, by przełamać opory i niechęć milionera. Dostarczył mu wydaną w 1909 roku własną broszurę o Uniwersytecie w Lovanium, a także obszerną monografię tej uczelni w języku francuskim.

Jaroszyńskiego bardziej przekonywała wymowa liczb, aniżeli „romantyczny entuzjazm” pomysłodawcy. Postarał się o budżety kilku wyższych uczelni rosyjskich. Po ich przeanalizowaniu doszedł do wniosku, że cały jego duży majątek nie wystarczy, by ufundować i finansować działalność nowej uczelni.

Ks. Radziszewski przekonywał go, że chodzi mu tylko o pomoc w okresie organizacji uniwersytetu, o utrzymanie przez dwa lub trzy lata wykładowców, że będzie to początkowo niewielka uczelnia, posiadająca tylko kilka wydziałów.

Siła przekonywania księdza Idziego była tak wielka, że przełamała opory fundatora. Nie pytał nawet pomysłodawcy, jak sobie wyobraża dalszą, normalną jej działalność. O tak dalekiej perspektywie jeszcze nikt chyba poza ks. Radziszewskim nie myślał, który zamierzał utworzyć w przyszłości towarzystwo o szerokim zasięgu społecznym, które wzięłoby na swe barki finansowanie uniwersytetu.

Planowana uczelnia miała poprzez wydziały kościelne ocalić Akademię Duchowną, której los pod rządami bolszewików był już przesądzony, a wydział humanistyczny miał przejąć i kontynuować dorobek Wyższych Kursów Polskich. Przeniesienie tych instytucji do kraju umożliwił zawarty przez bolszewików z Niemcami i Austriakami 3 marca 1918 roku pokojowy traktat brzeski.

W lutym 1918 roku został utworzony Komitet Organizacyjny planowanej uczelni. Jego prezesem został Karol Jaroszyński, wiceprezesem ks. Idzi Radziszewski, skarbnikiem Franciszek Skąpski a sekretarzem ks. Czesław Falkowski.

Na posiedzeniach Komitetu zastanawiano się nad siedzibą przyszłej szkoły

wyższej. Każdy proponował miasto, z którym był już wcześniej związany i mógł liczyć na znajomości parcie miejscowego środowiska. Ks. Idzi Radziszewski wysunął Włocławek, Jaroszyński sugerował, by było to jakieś miasto kresowe: Krzemieniec, Żytomierz, Łuck, Równe lub Zamość. Skąpski z kolei proponował Kalisz, z którym wiązały go związki rodzinne.

Zapewne ks. Falkowski, który był historykiem, wysunął jako najodpowiedniejsze miejsce lokalizacji uniwersytetu Lublin.

Powoływał się na dawne wspaniałe dzieje miasta, w którym zawarto unię polsko-litewską i działał Trybunał Koronny. Przywołał też tradycje, działającej niemal przez dwieście lat Akademii Zamojskiej. Lublin, jako duże wojewódzkie i handlowe miasto oddziaływał na wschodnie kresy. Za Lublinem mogła też przemawiać ciągle nieustabilizowana i niejasna sytuacja polityczna. O powrocie do przedrozbiorowych granic państwa polskiego trudno już było marzyć. Do utworzenia samodzielnych państw dążyli bowiem Ukraińcy, Białorusini, Litwini, Estończycy i Łotysze.

Marzenia Polaków ostudził też prezydent Stanów Zjednoczonych, który w orędziu wygłoszonym w styczniu 1918 roku postulował utworzenie państwa polskiego ale z ziem zamieszkanych przez bezspornie ludność polską z wolnym i bezpiecznym dostępem do morza.

W tej sytuacji Lublin okazał się najodpowiedniejszym miastem na lokalizację planowanego uniwersytetu. Zaakceptował to cały Komitet Organizacyjny, chociaż, jak się wydaje, żaden z jego członków jeszcze miasta tego nie widział. Ks. Idzi Radziszewski nie oponował, gdyż chyba już liczył na wsparcie swego profesora, ks. Mariana Fulmana, o którym mówiło się, że wkrótce ma zostać biskupem lubelskim.

Po ustaleniu lokalizacji uniwersytetu rozpoczęto w Petersburgu intensywne prace przygotowawcze. Korzystając z otwartych kont i funduszy Jaroszyńskiego i Skąpskiego zaczęto angażować profesorów. Byli to wykładowcy Akademii Duchownej i Wyższych Kursów Polskich oraz Polacy wykładający na uniwersytecie w Petersburgu i w Moskwie.

Zaczęto też gromadzić księgozbiór do przyszłej uniwersyteckiej biblioteki. Polacy przekazywali duże księgozbiory w darze. W ten sposób przejęto księgozbiory: J. Karnickiego, W. Żukowskiego, prof. St. Zalewskiego i prof. St. Ptaszyckiego.

Pozostający po rewolucji w trudnej sytuacji materialnej pozowali się też prywatnych bibliotek profesorowie Uniwersytetu petersburskiego. Nabyto księgozbiór znanego historyka i filologa Wasyla Łatyszewa, Jakuba Bartskowa i innych. Kupowano też książki w antykwariatach i księgarniach głównie z zakresu teologii, humanistyki oraz ekonomii i prawa, gdyż te wydziały miały być zorganizowane w pierwszej kolejności w planowanym uniwersytecie.

W ten sposób w przeciągu paru miesięcy zgromadzono około czterdzieści tysięcy tomów. Już w marcu 1918 roku zaproponowano słuchaczce Wyższych Kursów Polskich, Emilii Szeliga-Szeligowskiej, objęcie kierownictwa nad ich opracowaniem. Gromadzeniem księgozbioru do przyszłej uniwersyteckiej biblioteki kierował prof. Ptaszycki.

Wszystkie te poczynania organizacyjne podejmowano trochę na zasadach „romantycznego entuzjazmu”. O planach organizowanej w Petersburgu uczelni

jeszcze nie wiadomo w kraju. Jeśli miała to być uczelnia katolicka, to należało uzyskać zgodę polskiego episkopatu, który też chyba jeszcze o planach tych nie został powiadomiony. Nie było też wiadomo, jak zostanie przyjęta zrodzona w Petersburgu inicjatywa w pozostającym pod okupacją austriacką Lublinie. Wydaje się, że entuzjaści utworzenia uniwersytetu wcale się tym nie przejmowali.

Po zakończeniu roku w Akademii Duchownej i zakończeniu wykładów na Wyższych Kursach Polskich na początku lipca 1918 roku odjechał do Warszawy ks. Idzi Radziszewski z zamiarem przedłożenia projektu utworzenia katolickiego uniwersytetu na zwołanej na 26 lipca konferencji Episkopatu Królestwa Polskiego. Oprócz przygotowanych przez Komitet Organizacyjny dokumentów wiozł dwa listy fundatorów.

Karol Jaroszyński w liście skierowanym do Episkopatu pisał: „Polska po wiekowej niewoli otrzymuje nareszcie upragnioną swobodę; szereg pokoleń wzdychało do tych czasów, które obecnie przeżywamy; szczęśliwsi jesteśmy niż nasi ojcowie, ale także większa spada na nasze barki praca i większa odpowiedzialność. Obowiązkiem naszym jest dążenie do odrodzenia Polski po przebytych katuszach niewoli i okropnościach wojny wszechświatowej - a więc wyłożenie wszystkich sił w celu wykrzesania największej sumy energii narodowej. Bezwzględnie koniecznym warunkiem do osiągnięcia tego jest przygotowanie, uruchomienie i skupienie najdzielniejszych jednostek i wykorzystanie ich ku wpojeniu we wszystkie warstwy społeczne ideałów religijno-narodowych, podniesieniu Ojczyzny pod względem kulturalno-oświatowym, przyczynienia się do jej rozwoju i dobrobytu ekonomicznego. To olbrzymie zadanie spełnić może tylko wszechnica katolicka, gdyż tylko taka uczelnia może nam dać zastęp ludzi, którzy będą prowadzili nasz naród do szczytnych przeznaczeń...”.

W liście tym Jaroszyński deklarował milion rubli na zapoczątkowanie funduszu uniwersyteckiego, wybudowanie gmachów uniwersyteckich i przekazanie trzystu tysięcy rubli na utrzymanie Uniwersytetu w pierwszym roku akademickim 1918/1919.

Drugi list napisał Franciszek Skąpski. Deklarował w nim sfinansowanie instytutu pedagogicznego, „który byłby rozsądnikiem wzorowych, miłujących swój zawód, teoretycznie i praktycznie przygotowanych nauczycieli-wychowawców...”

Przekazywał na ten cel akcje Towarzystwa Akcyjnego „Stroitiel” o nominalnej wartości miliona trzystu czterdziestu dwu tysięcy rubli.

Ofiarodawcy sądzili, że po przywróceniu w Rosji względnie normalnych warunków życia ekonomicznego, sumy te niewiele stracą na swej wartości. Nie mieściło się bowiem nikomu w głowie, by na początku dwudziestego wieku w cywilizowanym świecie władze państwowe mogły się dopuścić grabieży cudzej własności.

Przedstawione przez ks. Idziego Radziszewskiego na Konferencji Episkopatu projekty utworzenia uniwersytetu katolickiego, wsparte listami fundatorów, nie wzbudziły wielkiego entuzjazmu. Obawiano się, by wkrótce cały ciężar finansowania uczelni nie spadł na barki polskiego Kościoła, który i bez tego miał wiele kłopotów po zniszczeniach wojennych kraju. Poza tym chyba już nie bardzo wierzono w realność deklaracji donatorów, gdyż docierały do kraju niepokojące informacje o poczynaniach bolszewików.

Ksiądz Radziszewski uspokajał oponentów tłumacząc, że w przyszłości sprawami materialnymi uniwersytetu będzie się zajmowało towarzystwo o szerokim zasięgu społecznym. Nalegał, by decyzję o powołaniu katolickiego uniwersytetu podjęto jak najszybciej, gdyż nie wiadomo o jakiej orientacji politycznej ukształtuje się nowy rząd polski.

Wniosek projektodawcy w zdecydowany sposób poparł wizytator Stolicy Apostolskiej kard. Achilles Ratti, późniejszy papież Pius XI, który przewodniczył konferencji Episkopatu.

Po dyskusji zaakceptowano projekt Katolickiego Uniwersytetu z siedzibą w Lublinie przekazując ks. Radziszewskiemu pełnomocnictwo do podejmowania wszelkich działań zmierzających do realizacji tego zamierzenia. Biskupi postanowili wziąć nową uczelnię „pod władzę i opiekę”, a nawet w miarę możliwości wspierać ją finansowo.

Do Lublina o planowanym uniwersytecie pierwsza wiadomość dotarła 13 sierpnia i to drogą okreśną. W tym dniu „Głos Lubelski” opublikował notatkę: „Wolna wszechnica prywatna w Lublinie”. Autor jej donosił: „Słowo Polskie”, organ duch. rz; kat. diecezji wrocławskiej, zaprzeczając wiadomości przeniesienia do Lublina lub Włocławka Akademii Duchownej z Petersburga, donosi jednocześnie, że w Lublinie będzie zorganizowana przez ks. dr 1. Radziszewskiego „Wolna wszechnica polska”, która będzie prowadzona pod powagą naszego episkopatu. Zrealizowanie tego przedsięwzięcia nastąpi stosunkowo dość rychło, dzięki zapewnionemu funduszowi i hojnej ofiarności bezimiennych, jak dotąd, fundatorów.

Na słuchaczy będą do tej uczelni przyjmowani maturzyści: Uczelnia ma wydawać stopnie naukowe (doktoraty).

Na razie będą otwarte wydziały: filozoficzny, historyczny, prawniczy i studiów biblijnych. Z czasem powstaną fakultety: ekonomii politycznej, literacki, później zaś matematyczny i przyrodniczy, a kiedyś w dalszej przyszłości i medyczny.

Pierwszym rektorem tej nowej, wolnej wszechnicy będzie ks. dr Idzi Radziszewski”.

Autor notatki zupełnie słusznie zgłaszał pretensje do organ zatorów uniwersytetu, że wiadomość do Lublina dociera poprzez czasopismo wydawane we Włocławku. W zakończeniu napisał; „Podając powyższe za wspomnianym „Słowem Polskim”, mam nadzieję, że sfery odpowiednie uznają za stosowne powiadom publiczność miejscową o zakresie swych projektów i ścisłości obiegających pogłosek.

Sądzymy bowiem, że prasa lubelska, a z nią społeczeństwo miejscowe powinni najpierw być informowani o tym, co jest zamierzone, lub co się już organizuje w grodzie nadbystrzyckim”.

Na oficjalne potwierdzenie „krążącej pogłoski” społeczeństwo lubelskie musiało jeszcze czekać cały miesiąc. Komitet Organizacyjny Uniwersytetu zapewne nie chciał podawać w Lublinie oficjalnych wiadomości, gdyż nie wystąpił jeszcze do Ministerstw Wyznań Religijnych i Oświecenie Publicznego przy Radzie Regencyjnej o pozwolenie na założenie uniwersytetu. Pismo w tej sprawie skierowano dopiero 17 sierpnia i czekano niecierpliwie na jego zatwierdzenie.

Z tego też powodu pod koniec sierpnia przyjechał do Lublina trochę incognito Franciszek Skąpski, Zamierzał rozpatrzeć się w miejscowych warunkach i wynaleźć odpowiednie pomieszczenia dla planowanego uniwersytetu. Nawiązał kontakty z

przedstawicielami okupacyjnych władz austriackich i z wpływowymi przedstawicielami miejscowego środowiska.

Zapewne po raz pierwszy odwiedził Lublin, bo w liście napisanym 30 sierpnia do ks. Radziszewskiego dzielił się na wstępie następującymi wrażeniami: „Siedzę w tym cudnym dla oka, a wielce nieprzyjemnym dla nosa (z powodu braku kanalizacji) Koźlim Grodzie...”

Ten „Koźli Gród” po niedawno opuszczonym przez Skąpskiego pięknym i bogatym Petersburgu poza „cudnym dla oka” widokiem właściwie niczym nie mógł zaimponować, chociaż nie był już tak bardzo prowincjonalnym miastem. Po niedawnym przyłączeniu przedmieść liczył już około dziewięćdziesiąt tysięcy mieszkańców.

Od pierwszego października 1915 roku stał się centrum władz okupacyjnych i stolicą części Królestwa zajętej przez Austriaków, stał się też siedzibą Generalnego Gubernatorstwa.

Niektórzy twierdzili, że nabrał nawet charakteru małego Wiednia, innym przypominał na mniejszą skalę Warszawę. Rzeczywiście Lublin był najważniejszym ośrodkiem na terenie okupacji austriackiej i drugim po Warszawie centrum politycznym Kongresówki. Sprawnie działał tu miejscowy samorząd, a powstają w 1915 roku Rada Szkolna Ziemi Lubelskiej przystąpiła do rozbudowy szkół początkowych i średnich nadając im całkowicie polski charakter. Działało już dwanaście gimnazjów, dwa seminaria nauczycielskie i szkoła muzyczna im. Stanisława Moniuszki. Dużo młodzieży marzyło o rozpoczęciu studiów wyższych. Nic dziwnego, że „Lublin -jak pisał w liście Skąpski, - przyjął z entuzjazmem wieść o uniwerku, ale koniecznie uniwerku katolickim, zęby Żydów nie przyjmować, ale ja się temu wedle możliwości opieram”.

Obawy te zapewne zgłaszali przedstawiciele Narodowej Demokracji. Były one w dużej mierze uzasadnione, bo w tym czasie prawie połowę mieszkańców Lublina stanowili Żydzi. Przejawiali wielką aktywność społeczną, polityczną i gospodarczą. Wielu chciało zdobywać wyższe wykształcenie. Społeczność polska czuła się przez żywioł żydowski nawet zagrożona. Skąpski nie podzielał tych obaw. Zwiedzał miasto wypatrując odpowiednich budynków na zlokalizowanie uniwersytetu. Stwierdził, że: „Koźli Gród zapchany przez dziadów (czytaj Austriaków - J. Z.) tak, że szpilki wsadzić trudno - pocieszał jednak adresata - ale Uniwererek pomieścić się musi, tylko, że tę operację wpychania pod dach Uniwerku trzeba będzie przez Wiedeń prowadzić... ”

Do takiego wniosku doszedł po złożeniu wizyty szefowi sztabu wojsk austriackich generałowi majorowi Hubertowi von Szekelyfoldowi, który życzliwie go przyjął, deklarował nawet poparcie przy lokalizacji uniwersytetu w jakimś gmachu rządowym zajęтым przez kwaterujące w mieście wojsko. Stawiał warunek, by wcześniej organizatorzy wybudowali odpowiednie do przekwaterowania baraki.

Skąpski śmiał się w duchu z tej propozycji licząc, że wkrótce Austriacy zostaną wykurzeni z miasta. Korzystając z pozwolenia generała zwiedził wszystkie większe gmachy rządowe, którymi okazały się budynki poklasztorne. Wytypował najodpowiedniejsze na lokalizację uniwersytetu tzw. koszary świętokrzyskie. Pisał w liście, że: „wystawienie dziadów z tych koszar na luft trzeba będzie przez Kraków (ks. b. Sapieha) i Wiedeń (Adam Tarnowski, Eks. Madejski itd.) robić”.

Przeprowadził też rozmowę z Juliuszem Zdanowskim, przedstawicielem rządu Polskiego przy Generalnym Gubernatorze. Deklarował on też poparcie przy wypożyczeniu gmachów i placów pod budowę uniwersytetu, ale zwrócił uwagę, że należy uzyskać najpierw pozwolenie na otwarcie nowej uczelni w Ministerstwie Wyznań Religijnych i Oświecenia Publicznego. Sprawę tę miał załatwić pozostający w Warszawie ks. Idzi Radziszewski, ale ze względu na ciągłe zmiany w rządzie wszystko się przedłużało. Niepokoilo to bardzo pozostającego w Lublinie Skąpskiego, który z tego powodu o swych poczynaniach nie przekazał żadnej informacji do lubelskiej prasy.

Dopiero szóstego września uzyskano w Ministerstwie wstępną koncesją na założenie prywatnego Uniwersytetu w Lublinie. Zaopatrzeni w ten dokument organizatorzy mogli przystąpić do oficjalnych poczynąń.

W dniu 13 września 1918 roku „Głos Lubelski” donosił: „W chwili obecnej bawią w naszym mieście organizatorzy uniwersytetu w Lublinie p.p. ks. rektor, prałat domu Jego Siętośliwości Idzi Radziszewski, prof. Jerzy Fedorowicz i Franciszek Skąpski. W dniu dzisiejszym panowie ci będą na audiencji u jen. gub. Liposzczaka w sprawie uzyskania odpowiednich gmachów dla nowopowstającej uczelni”.

Prasa nie podała jakie były wyniki tej wizyty. Z późniejszych informacji można się domyśleć, że Austriacy nie chcieli się zgodzić na przekazanie wytypowanego wcześniej przez Skąpskiego gmachu „koszar świętokrzyskich”, gdzie kwaterowało około trzech tysięcy żołnierzy. Zgodzili się jedynie opuścić gmach seminarium duchownego i część zabudowań klasztoru bernardynów z przeznaczeniem na lokalizację uniwersyteckiej biblioteki. Organizatorzy musieli się tym zadowolić uznając, że uzyskane warunki pozwolą na rozpoczęcie zajęć uniwersyteckich. Do prasy podano dalsze informacje dotyczące zadań, organizacji, a nawet planowanego terminu otwarcia uniwersytetu.

W dniu 14 września „Głos Lubelski” donosił: „W uzupełnieniu poprzednio podanych wiadomości - możemy dodać teraz garść nowych szczegółów. Zadania nowej uczelni określone są w §1 statutu: „Uniwersytet w Lublinie jest instytucją naukową, mającą za zadanie prowadzenie badań naukowych we wszystkich dziedzinach wiedzy, przygotowanie przyszłych badaczy naukowych oraz dawanie młodzieży bezstronnego i gruntownego wykształcenia naukowego niezbędnego do umiejętnej, samodzielnej i pożytecznej działalności zawodowej i społecznej. Rozwijając umysły studentów, uniwersytet ma zarazem na celu wyrabianie w nich silnych i szlachetnych charakterów, by przez to przysparzać krajowi dzielnych obywateli.”

W pierwszym roku akademickim uniwersytet posiadać będzie trzy następujące wydziały: 1) prawa kanonicznego i nauk moralnych; 2) prawa i nauk społeczno-ekonomicznych; 3) nauk humanistycznych.

Zajęcia rozpoczną się w pierwszych dniach listopada. Nowa placówka powstała z gorącego umiłowania ojczyzny i szerszej chęci służenia ideałom narodowym, spotka się, jesteśmy pewni, zżywa sympatią i serdecznym poparciem całego narodu polskiego”.

Jako potwierdzenie gorącego przyjęcia przez młodzież wiadomości o utworzeniu w

Lublinie Uniwersytetu opublikowano obok entuzjastyczny list Mariana Sławińskiego. Oto obszernie fragmenty tego listu:

„ Lotem błyskawicy, wstrząsającej radością umysły nasze, przyszła wieść wystanka, zwiastująca otwarcie Uniwersytetu w Lublinie. Uniwersytet w Lublinie! Więc ziszczą się fantastyczne rojenia młodzieży? Urosną więc do rzeczywistości w sferze rychłej realizacji wielkie projekty oświatowe? [...] muszę atoli dać przejawić się naszej radości, muszę wyrazić zapał, który udziela się nam, spragnionej wiedzy młodzieży z pięknej i epokowej myśli szczęśliwych inicjatorów,

Bo oto, choć nie ścichła jeszcze wrzawa bojowa, choć świat tonie w odmęcie zruszczenia, choć życie naokół kłębi się i wre w niepokoju, wśród zgiełku i nieopisanego chaosu, rodzi się siostrzyca Krakowa, Warszawy i Lwowa. [...]

Jak najprędzej więc bywaj, Przybytku wiedzy, otwórz nam twe święte podwoje, zacznij wielką, zbożną pracę, a błogostawieństwem dla niej będzie nasza, głęboka ufność i oddanie się Tobie”.

Mimo tego „nieopisanego chaosu”, a może nawet korzystając z panującej niepewności i zamieszania organizatorzy przystąpili do intensywnych przygotowań, by możliwie jak najszybciej Uniwersytet rozpoczął działalność.

W dniu 25 września na pierwszej stronie „Głosu Lubelskiego” ukazało się wielkie ogłoszenie informujące, że: „Uniwersytet w Lublinie został otwarty i przyjmuje zapisy studentów”. Podano na jakich warunkach odbędzie się rekrutacja. Poinformowano zainteresowanych, że wykłady rozpoczną się w listopadzie, a: „Zapisy przyjmuje i informacji udzielają codziennie od 10 do 1-iej z wyjątkiem niedziel i świąt:

Kancelaria Uniwersytetu w Lublinie, Krakowskie Przedmieście 41 (gmach Dyr[ekcji] Tow[arzystwa] Kred[ytowego] Ziemińskiego, Oddział Kancelarii Uniwersytetu w Warszawie, Wierzbowa 2, Oddział Kancelarii Uniwersytetu Lubelskiego w Petersburgu, Was. Ostr. 1 linia Nr, 52). (Był to adres Akademii Duchownej, która, jak z tego można wnosić, jeszcze nie zlikwidowała zajmowanego lokalu).

W tym samym numerze „Głosu Lubelskiego” ukazała się obszerniejsza notatka, informująca, że: „Wszystkie trudności z uzyskaniem gmachów zostały przełamane. Zarząd Uniwersytetu uzyskał wszystko to, co umożliwi mu prowadzenie nauki w tym roku. A więc lokale dla wykładów, mieszkań dla profesorów i słuchaczy. Wprawdzie szczerpło będzie, gdyż np. profesory otrzymają tylko po jednym pokoju w gmachu seminaryjnym. [...]

Rozwiązano też jako tako sprawę mieszkań dla słuchaczy. Akademicy mieszkać będą w gmachu muzeum przy Namiestnikowskiej (obecnie Narutowicza 4, gmach Biblioteki im. H. Łopacińskiego – J. Z.)

W całym mieście rozpoczęła się dobrowolna rekwizycja łóżek, szaf i innych niezbędnych mebli. [...] Zaangażowane zostały poważne siły profesorskie z uniwersytetów rosyjskich, lecz nie brak i sił z Królestwa. [...] Ewentualnie dzielnica uniwersytecka Lublina stanęłaby naprzeciwko Ogrodu Saskiego, na gruntach koszar po Świętokrzyskich. Plany inż. Dygata przewidują najmniejsze szczegóły, między innymi regulację ulicy Lipowej [...]. Projekt jeśli będzie wprowadzony w życie, to przyczyni się do upiększenia Lublina”. Informowano też o utworzeniu Koła Pomocy Młodzieży Akademickiej, apelowano o pomoc w zorganizowaniu kuchni dla studentów.

Jak widać, rozpoczęto bardzo intensywne i wielokierunkowe prace przygotowawcze. Intrygująca jest informacja o planach budowy całej dzielnicy uniwersyteckiej sięgającej od obecnego gmachu Katolickiego Uniwersytetu Lubelskiego, aż do ulicy Lipowej. Jak pamiętamy, jej budowę zamierzał sfinansować Karol Jaroszyński.

Realizację tych planów zniweczyli bolszewicy, grabiąc cały pozostający w Rosji jego wielki majątek. Nie udało się też w planowanym terminie otworzyć Uniwersytetu, gdyż w październiku i na początku listopada jeszcze bardziej nasilił się „nieopisany chaos”.

W zamieszaniu kończącej się wojny różne środowiska i partie polityczne podejmowały działania zmierzające do przejęcia władzy i utworzenia niezależnego polskiego rządu. Lublin znalazł się w samym centrum tego „nieopisanego chaosu”.

Ciągle nie było jeszcze wiadomo, kto przejmie władzę. Pretendowała do niej Rada Regencyjna, która w manifeście do narodu polskiego, ogłoszonym siódmego października 1918 roku, zapowiadała tworzenie niepodległego państwa polskiego.

W Paryżu działał Komitet Narodowy Polski kierowany przez Romana Dmowskiego uznany przez Ententę za rząd polski. Piętnastego października odbyło się w Lublinie „zebranie trój-dzielnicowe” obozu narodowo-demokratycznego, na którym deklarowano współpracę z regencją i wzięcie udziału w tworzonej przez nią rządzie.

Energicznie też parła do przejęcia władzy lewica niepodległościowa skupiona wokół POW. Rydz Śmigły przedstawił plan utworzenia bazy operacyjnej na terenie okupacji austriackiej. Lublin, z siedzibą Generalnego Gubernatorstwa przewidziany był na miejsce powołania nowego rządu,

W połowie października z konspiracji wyszły dwie partie rewolucyjne, SDKPiL i PPS-Lewica, wzywające robotników i chłopów do walki o władzę i tworzenie na wzór bolszewicki rad delegatów robotniczych i wprowadzenie dyktatury proletariatu.

Szesnastego października lubelski PPS zorganizował wiec, na którym przemawiał Jędrzej Moraczewski, a w dniu następnym odbyło się zebranie byłych legionistów, dowórczyków i delegatów POW, na którym uznano Józefa Piłsudskiego wspólnym komendantem i powołano komendę wojsk polskich na terenie okupacji austriackiej. W tym samym czasie lubelska endecja utworzyła Straż Bezpieczeństwa Publicznego. Dwudziestego piątego października POW zarządziła częściową mobilizację przygotowując się do rozbrajania Austriaków, których armia znajdowała się już w stadium całkowitej dezorientacji i rozkładu.

Juliusz Zdanowski, przedstawiciel Rady Regencyjnej, próbował do tego nie dopuścić. Udał się 26 października do Warszawy domagając się specjalnych uprawnień do podjęcia pertraktacji z władzami austriackimi i przysłania kilkuset żołnierzy podległych Radzie Regencyjnej w celu przejęcia w jej imieniu władzy. Poparli go endecy, którzy 28 października zorganizowali wiec. Następnego dnia wrócił z Warszawy Zdanowski już jako Generalny Komisarz Rządu Polskiego na okupację austriacką. Podjął pertraktacje z generałem Liposzczakiem w celu przejęcia władzy po ewakuacji wojsk austriackich. Wspierać go miał batalion piechoty Polskich Sił Zbrojnych podległych Radzie Regencyjnej.

POW nie chciała dopuścić do ewakuacji okupantów z bronią w rękę, 31

października wieczorem rozpoczęło się rozbrajanie wojsk austriackich. Zdemoralizowani żołnierze bez oporu oddawali broń, ale do groźnie zapowiadającej się sytuacji doszło w koszarach świętokrzyskich. Stacjonował tam 58. Pułk Piechoty i 13. Pułk Dragonów, łącznie około trzech tysięcy żołnierzy. Umocnili swoje pozycje i nie chcieli złożyć broni. Po dłuższych pertraktacjach skapitulowali w zamian za gwarancję wypłacenia żołdu i swobodnego wyjazdu z miasta. Trzeciego listopada cały garnizon austriacki został rozbrojony i obyło się bez przelewu krwi.

Czwartego listopada dotarła do Lublina wiadomość o dymisji gabinetu Świerzyńskiego, co osłabiło poczynania przedstawicieli Rady Regencyjnej przygotowujących się do przejęcia władzy. Wzmocnił ich pozycję generał Rozwadowski i przybyły z nim drugi pułk piechoty Narodowych Sił Zbrojnych.

W nocy z piątego na szóstego listopada powstała w Lublinie pierwsza w Królestwie Rada Delegatów Robotniczych, Szóstego listopada wieczorem PPS-Frakcja zorganizowała wielki wiec robotniczy, na którym przyjęto uchwałę popierającą powstanie Rady Delegatów Robotniczych i przyjęto rezolucję o obaleniu Rady Regencyjnej i powołaniu rządu Republiki Ludowej.

W nocy z szóstego na siódmego listopada utworzono rząd, który przygotował manifest. Rano siódmego listopada na ulicach miasta rozwieszono proklamację informującą o utworzeniu Tymczasowego Rządu Ludowego Republiki Polskiej.

Powstanie rządu poparła wielotysięczna manifestacja, która przeszła od Placu Bychawskiego na Krakowskie Przedmieście, gdzie z balkonu hotelu „Victoria” przemawiali do zebranych członkowie Rządu Tymczasowego. Manifestanci wrócili następnie na Plac Katedralny, gdzie się odbyło zaprzysiężenie oddziałów wojskowych. Lublin stał się w ten sposób na kilka dni pierwszą stolicą niepodległej Polski.

Trudno jeszcze dziś wyjść ze zdumienia, że w tym totalnym zamieszaniu i chaosie organizatorzy nie stracili głowy i nie zrezygnowali z powołania uniwersytetu. Ks. Idzi Radziszewski dwukrotnie wracał do Petersburga, by zlikwidować sprawę Akademii starając się przy okazji przywieźć do Lublina zgromadzony księgozbiór.

W połowie listopada podjął ryzykowną podróż, z której wrócił z walizką wypchaną carskimi banknotami, które jeszcze nie straciły całkowicie wartości.

„Głos Lubelski” z dnia dwunastego listopada informował, że: „W dniu 27 listopada r.b. rozpoczną się w Uniwersytecie wykłady i zajęcia. Uroczysta inauguracja odbędzie się w terminie, który nieco później zostanie ustalony”.

Autor notatki usprawiedliwiał opóźnienie tym, że: „Wyszukanie i skompletowanie odpowiednich sił profesorskich zajęło stosunkowo dużo czasu”. I dalej: „W warunkach, które przeżywamy, było to rzeczą trudną, tym trudniejszą, że nie chciano działających już uniwersytetów krzywdzić przez pozbawianie ich większej ilości wykładowców.”

Wyznaczony na 27 listopada termin rozpoczęcia uniwersyteckich wykładów też nie został dotrzymany, gdyż kandydaci na studentów musieli jeszcze przejść przez komisję kwalifikacyjną kierującą zdolnych do noszenia broni do armii narodowej. Jednostki wojska polskiego toczyły bowiem walki na kresach wschodnich.

Trzeciego i szóstego grudnia w „Głosie Lubelskim” ukazał się komunikat informujący, iż: „Wobec ukończenia prac komisji kwalifikującej młodzież akademicką do wstąpienia w szeregi armii narodowej, Uniwersytet Lubelski rozpoczyna w poniedziałek, dn. 9-go grudnia r. b. wykłady na wszystkich wydziałach wyłącznie dla tych, którzy zostali przez Komisję zwolnieni”.

Tym razem termin został dotrzymany, 9 grudnia 1918 roku, już w niepodległej Polsce, uroczystą mszą świętą, którą celebrował ks. biskup Marian Fulman, rozpoczęła się inauguracja działalności Uniwersytetu Lubelskiego, który dopiero w 1928 roku zmienił nazwę na Katolicki Uniwersytet Lubelski.

W nabożeństwie, które odbyło się w kościele seminaryjnym, uczestniczyli liczni przedstawiciele duchowieństwa, profesorowie uniwersytetu na czele z ks. rektorem Idzim Radziszewskim, przedstawiciele wojska z gen. Rydzem Śmigłym, władze samorządowe, ziemianie, dziennikarze i studenci.

Po zakończeniu uroczystej mszy, na której homilię wygłosił ks. bp Fulman wszyscy udali się do głównej sali wykładowej. Inaugurację poprzedziło przemówienie Jego Magnificencji ks. Rektora, który też odczytał list z błogosławieństwem biskupów i depesze nadesłane przez Naczelnika Państwa i fundatorów: Jaroszyńskiego i Skąpskiego.

Józef Piłsudski w nadesłanym telegramie pisał: „Z najgłębszą radością witam otwarcie czwartego polskiego uniwersytetu i życzę z całego serca, by nowe ognisko kultury narodowej płonęło ku pożytkowi i chwale drogiej naszej Ojczyzny”.

Ks. Rektor poinformował zebranych, że na Uniwersytet Lubelski łącznie z tymi, co poszli na szlak boju i studentami nadzwyczajnymi zapisało się 350 osób.

Niestety, już w dniu inauguracji uczestnicy musieli uczcić minutą ciszy pamięć Rudolfa Kundowskiego, który został przyjęty na pierwszy rok studiów, ale nie zdążywszy nawet wysłuchać wykładu inauguracyjnego dr Henryka Radziszewskiego, zginął na placu boju.

Wraz z rozpoczęciem działalności Uniwersytetu nie skończyły się kłopoty organizatorów. Przede wszystkim załamały się podstawy finansowe Uczelni, gdyż bolszewicy zagrabili prawie cały majątek fundatorów. W tej sytuacji nie można było zrealizować budowy ambitnie zaplanowanej dzielnicy uniwersyteckiej. Jaroszyński i Skąpski z resztek ocalałego majątku jeszcze przez jakiś czas finansowali działalność Uniwersytetu. Wkrótce ich fundusze się wyczerpały.

Kiedy sytuacja finansowa Uniwersytetu była już bardzo zagrożona ks. Rektor wysłał ks. Wacława Kneblowskiego do Polonii Amerykańskiej z prośbą o pomoc. Pomyślnie przeprowadzona kwesta uratowała budżet Uczelni.

Życzliwie, ale tymczasowo użyczony przez bpa Mariana Fulmana gmach Seminarium Duchownego nie mógł pomieścić powiększającej się liczby studentów, a poza tym niezbędny był gospodarzom. Należało szukać nowego, bardziej odpowiadającego potrzebom Uczelni lokalu.

Sprawę tę rozwiązał osobiście Naczelnik Państwa Józef Piłsudski. W czasie wizyty w Lublinie zapoznał się z działalnością i trudnościami Uniwersytetu. Uwzględnił prośbę ks. Radziszewskiego i w dniu 11 stycznia 1920 roku polecił przenieść wojskowy

szpital zakaźny z koszar świętokrzyskich do Chełma, a budynek przekazać lubelskiej Uczelni.

Niestety, nie udało się natychmiast przystąpić do odbudowy zniszczonych gmachów, gdyż rozgorzała wojna z bolszewikami. Prawie wszyscy studenci zdolni do noszenia broni wyruszyli na front. Wielu z nich nie wróciło już do ław uniwersyteckich,

Po zakończeniu działań wojennych ks. Rektor powołał Komitet Budowy Uniwersytetu. Była to stosowna nazwa, gdyż uzyskane budynki przypominały ruinę. Do generalnej przebudowy poklasztornego kompleksu został zaangażowany wybitny architekt, prof. Politechniki Warszawskiej, Marian Lelewicz. Według jego projektu w lecie 1921 roku rozpoczęto przebudowę. Pawilon wschodni oddano do użytku ósmego stycznia 1921 roku.

Ks. Idzi Radziszewski z wielką troską na co dzień, nie bacząc na mróz i słońce, w lichym obuwiu brnął po błocie nadzorując prace budowlane. Radował się, że wreszcie wymarzona Uczelnia uzyska własny lokal i będzie mogła rozwijać naukę i wychowawczą działalność.

Niestety, nie dane mu było cieszyć się z osiągniętego sukcesu. Nadmiernie eksploatowane wątle zdrowie nie mogło poddać zbyt wielkiemu wysiłkowi. Z przeziębienia wywiązało się zapalenie płuc, z którym ówczesna medycyna nie potrafiła sobie poradzić. W dniu 22 lutego 1922 roku zmarł w wieku pięćdziesięciu jeden lat twórca i pierwszy rektor, pierwszego w Lublinie i pierwszego w Europie środkowo-wschodniej katolickiego Uniwersytetu.

Lublin, dzięki pomysłowi zrodzonemu w stolicy carów i bolszewickiej rewolucji, stał się wraz z odzyskaniem przez Polskę niepodległości czwartym miastem uniwersyteckim. Dzięki temu zmieniła się jego społeczna, naukowa i kulturalna pozycja w kraju. Uniwersytet stworzył warunki kształcenia dla niezamożnej młodzieży, wpływał na kształtowanie intelektualnego środowiska miejscowej inteligencji. O tę Uczelnię otarli się, lub ją ukończyli prawie wszyscy lubelscy pisarze międzywojennego dwudziestolecia.

Jeszcze inną funkcję spełnił Katolicki Uniwersytet Lubelski po drugiej wojnie światowej. Stał się bezpiecznym azylem dla młodzieży z całego kraju, przed którą zatrzaśnięto drzwi państwowych uczelni.

Autor tej opowieści też korzystał z dobrodziejstwa tego azylu. Kiedy w 1951 roku rozpocząłem studia polonistyczne, pracowali jeszcze na KUL-u świadkowie jego narodzin, Dziekanem Wydziału Humanistycznego był wykładowca Wyższych Kursów Polskich w Petersburgu, prof. Aleksander Kossowski, a historię filozofii wykładał humanistom ks. prof. Józef Pastuszka, były student Akademii Duchownej.

Nie interesowaliśmy się wówczas początkami i przeszłością naszej Uczelni. Niepokoił nas jej przyszłość, gdyż władze komunistyczne podjęły już pierwsze działania zmierzające do likwidacji Katolickiego Uniwersytetu Lubelskiego. W 1949 roku nie pozwolono przyjmować studentów na pierwszy rok prawa. Kiedy rozpoczynaliśmy studia, uwięziony został ks. rektor Antoni Słomkowski i grupa studentów zaangażowanych w działalność Bratniej Pomocy i Sodalicji Mariańskiej. Dwa lata później aresztowano niedawnego Wielkiego Kanclerza, opiekuna i

protektora KUL, ks. prymasa Stefana Wyszyńskiego.

Mimo tych szykan i zagrożeń Uczelnia nie tylko przetrwała, ale jako jedyna w kraju przekazywała studentom wiedzę nie skażoną indoktrynacją marksistowską. Tu kształciły się przyszłe kadry polskiego episkopatu, a profesor KUL został wyniesiony na Stolicę Piotrową. Tego nawet w najskrytszych marzeniach nie mogli przewidzieć twórcy zrodzonego w stolicy carów zdawałoby się na „trzeźwy rozum” nierealnego pomysłu.

Jak to policjant Lucycypera schwytał

A wszystko się stało za przyczyną złego ducha. Jak dobrze wiadomo, diabły już nieraz hasały po rynku lubelskim. Robiły to najchętniej, gdy odbywał tu jeszcze sesje Koronny Trybunał. Jeden z czartów zostawił nawet na pamiątkę na sędziowskim stole wypalony odcisk swojej łapy. Można ją oglądać gołym okiem jeszcze i dzisiaj.

W dawnych wiekach nikt duchom tym, chociaż złe ponoć były, krzywdy wielkiej nie czynił, bo diabły lubelskie były wyjątkowo sprawiedliwe i dobre. Szczególną troską i opieką otaczały wdowy i sieroty.

Ludzie i czasy się jednak zmieniły. Zmienić się musiały i lubelskie diabły, skoro ucichł już huk dział światowej wojny, a najodważniejsi zaczęli wsiadać nawet na aeroplany. Patrząc na te latające maszyny, wydawało się nawet niektórym, że diabły już całkiem wymarły. Ależ, gdzież tam. Jakby kpiąc sobie ze wszystkich i wszystkiego za pole swych harców obrały mury niedawno utworzonej pierwszej w Lublinie wyższej uczelni.

Jak zwykle w takich wypadkach bywa, zaczęło się wszystko bardzo niewinnie. I któż by pomyślał? Od rozpalenia w sercach i umysłach młodych ludzi nadmiernej wrażliwości na piękno i złudny czar literatury. Miłość tę wprowadzie jeszcze i inny płomień podniecał. A to znów stało się za przyczyną uroczej poetessy Dzidzi.

Uroda jej i niezwykle romantyczne, tchnące zapachem kwiatów i poezji imię, Dziewanna, dopełniły reszty.

Każdy próbujący pisać, za muzę swoją ją obierał i pod jej natchnieniem wieczorami długie poematy do rymu układał. Następnego dnia snuła się za nią rozpoetyzowana i smętna gromada, a ona, niby zwiewny motyl, unosiła się na fluidach ich uczuć pod same niebiosy.

Najdziwniejsze było to, że pisaniem wierszy zaczęli się nawet zajmować ci, niby najpoważniejsi, których dotknęła swoim okrutnym skrzydłem niedawno zakończona wojna. Ledwie karabiny i mundury oddali do magazynów wojskowych, a już liryczne wiersze zaczęli pisać.

Mało tego, zły duch poezji tak ich opętał, że w Kole Akademickim Literacko-Twórczym zaczęli się zrzeszać. Na zebraniach tych płomienne, przepełnione patriotyzmem i umiłowaniem piękna wygłaszał przemówienia jego prezes, podpisujący się dumnie - Grzegorz de Navarra.

Tu czujne oko mogłoby się dopatrzeć groźącego niebezpieczeństwa, ale któż ty mógł nieco czupurnego Wacia, niedawnego absolwenta skróconej podchorążówki i legionowego ochotnika, o coś złego podejrzewać? A zły duch już wówczas zaczął mącić w nieświadomych niczego młodzieńczych umysłach i działać.

Najpierw zaczął podsuwać im złe książki do czytania. Lektura Mickiewicza, Słowackiego, Konopnickiej i Asnyka przestała ich zupełnie zadawałać. Ten i ów nawet zaczynał podkpiwać z wieszczów, przedkładając nad ich poematy „Kwiaty zła” Baudelaire’a i „Alkohole” Apolihiare’a. Do tego doszli rodzimi gorszyciele. O, chociażby taki Przybyszewski wyznający filozofię Fryderyka Nietzschego. Potem zaczęły pochłaniać ich bez reszty wiersze innego satanisty - Tadeusza Micińskiego.

Ten Miciński to już prawie ich opętał. Tomik jego poezji „W mroku gwiazd” jeden

drugiemu prawie z ręki wydierał. Czytali to z wypiekami na twarzach i uczyli się na pamięć „Szalonego Orlanda”, „Lucifera” i „Kaina”. I tak zaczęli się poddawać wpływom złego ducha.

Ze zmaconych umysłów czad się wydobywał. Niektórzy nawet w swoich wierszach otwarcie zaczęli sławić potęgę szatana. Na szczęście płodów tych żaden z lubelskich dzienników nie zamieszczał, ale taki „Dzień Polski” wyraźnie im sprzyjał. Z każdym dniem za sprawą piekła pomnażała się ta zła poezja i pęczniała w autorskich tekach niepokojem niby wulkan.

Najbardziej ze wszystkich opętany został sam prezes Koła, Wacio, czyli Grzegorz de Navarra. Przynaglany przez niewidzialne siły zła, przejęty był tylko jedną myślą, jak by tu uczynić coś takiego, co całe miasto ruszyłoby w posadach. Oczywiście zły duch mu zaraz podpowiedział.

Od tego czasu usłużna poetycka wyobraźnia spokoju mu nie dawała, roztaczając złudne miraż nieśmiertelnej sławy. I zaczął przemierzać ulice Lublina już nie zwykły Wacio, ale dumnie wyniosły i dostojny, prawdziwy Grzegorz de Navarra.

Razu jednego zawiódł tego hiszpańskiego księcia zły duch do niewielkiej drukarenki zwanej „Udziałowa”, której właściciel zszedłszy nie tak dawno z pola walki jako inwalida w randze kapitana, z braku innych środków do życia zmuszony był usłużyć klientom drukować. Jako człowiekowi obdarzonemu fantazją marzyły się mu jeszcze czasem po nocach, jak niegdyś w wojsku, zwycięskie boje u boku Napoleona, składane we własnych zakładach graficznych wielotomowe dzieła i na cały świat rozchodzące się w wielu językach, na pięknym papierze wypuszczane czasopisma.

We dnie jednak przemieniony w skromnego drukarza kapitan siedział sobie za niewielkim kantorkiem, przyjmował zamówienia, kwity wypisywał, a czasem nawet zastępował zwolnionego dla oszczędności drugiego w swoim zakładzie zecera. Do takiego to drukarza zaprowadził zły duch Wacia, czyli księcia Grzegorza de Navarra.

Zamieniony w skromnego drukarza kapitan-inwalida o wojskowej godności jakby zapomniał i każdego swego rzadkiego zresztą klienta z nadmierną uniżonością, jak to było w owym czasie we zwyczajach u rzemieślników, już od progu witał.

- Czym mogę służyć szanownemu panu? - wycierając z farby ręce, usłuźnie zapytał, a wyprzedzając spodziewaną odpowiedź pośpiesznie dodał: - Zapewne wizytowy bilecik albo ślubne zaproszonko? O tu, proszę, najnowsze wzory pisma.

Wacio na tej podsuwanej mu drobnicy drukarskiej nawet nie zatrzymał oka. Wydymając z jakąś wyniosłą wzdargą policzki, tylko jednym: - Ba - odpowiedział.

Właściciel zakładu tego tajemniczego „ba” oczywiście nie zrozumiał, ale w tonie i w sposobie wyrzucanego z ust powietrza odczuł przez skórę, że stoi przed nim nie zwyczajny klient, ale godna najwyższego szacunku osoba,

- O tu, proszę bardzo, proszę siadać - wycierając ścierką krzeselko przystawiał je do kantorka. Wyraźnie podniecony niezwykłą wizytą zaczął z szuflady różne prospekty i wzory biletów wizytowych trzęsącymi się rękami bezmyślnie wykladać.

Wacio, przepraszam, księżę de Navarra, widząc niezmierne zmieszanie usłużnego rzemieślnika, gestem wyniosłego obrzydzenia zaczął to wszystko końcami palców skórzanej rękawiczki od siebie odsuwać.

- Niech pan to schowa - raczył wreszcie przemówić ten arystokrata ducha. -

Szanowny panie, tu chodzi o pismo, o literackie pismo - wycodził z naciskiem.

Drukarz jakby zbaraniał.

- Ale, przepraszam, ale nie rozumiem, o jakim piśmie szanowny pan nadmienia?

- O piśmie literackim, które może w pana zakładzie będziemy drukować,

- W moim zakładzie? Pismo? - podniecony drukarz z niedowierzaniem pytał.

- Tak, jest taka literacka grupa, która pismo w Lublinie zamierza wydawać, a ja jako przedstawiciel tej grupy chciałem sprawdzić jakie są możliwości w pana zakładzie. Czy potrafi pan tak poważny artystyczny miesięcznik w swojej skromnej drukarni wydawać? Jakie warunki pan przedkłada? Bo jak panu wiadomo, w naszym mieście jest silna konkurencja i musimy się zastanowić, by najkorzystniejszą i gwarantującą solidność wykonania ofertę wybrać. Jako oficer rezerwista udałem się w pierwszej kolejności do pana, bom o pańskiej dzielności jeszcze w czasie służby wiele słyszał.

Ten końcowy wylew pochlebstwa ochłodził nieco drukarza. Wyczuł bowiem przez skórę, że klientowi, który się tak dobrze dotąd prezentował, na planowane wydawnictwo zapewne brakuje grosza. Podobnych amatorów wyłudzenia kredytu było już wielu. Ten jednak jakoś zupełnie inaczej od innych się zachowywał. Na wszelki wypadek nie należało go szorstkością lub niegrzecznością z zakładu wystraszać. Spokojnie więc zaczął spodziewane koszty druku solidnie wyliczać.

Jak na studencką kieszeń suma wypadła zawrotna, ale trzymającego się dzielnie Wacia w roli księcia ta kosmiczna liczba wcale a wcale nie stropiła. Lekki arystokratyczny grymas pojawił się tylko na jego ustach.

- Nooo tak, szanowny pan dość wysoko swoje usługi wycenia - nie mając zielonego nawet pojęcia o drukarskich cennikach na wszelki wypadek z udanym koneserstwem zawyrokował. - Sądzę, że inni nieco krótszym ołówkiem potrafią wyliczać. Ustaliliśmy, że tylko najbardziej korzystna oferta zostanie przyjęta - szorstko dodał.

I w tym momencie szatan znowu zaczął działać. Przez skórę drukarza jakby jakiś prąd przeleciał. Wydawało się mu, że wielka i to jedyna życiowa szansa z rąk się mu wymyka, że stacza się z niezwyklej wysokości sennego marzenia w dół, że przepaść kaszty drukarskiej się przed nim otwiera, a on do końca swego nędznego żywota będzie tylko czarne literki na nekrologi swoich najbliższych i przyjaciół mozolnie wybierał,

- Ależ, proszę pana - szybko drżącym ze wzruszenia głosem zaczął przepraszać. - Moja drukarnia, mój zakład zostaje otwarty. Jeśli panowie sobie tego życzą, kredytem mogą dysponować. Wszystko zrobimy, by jak najwspanialej wypadła szata graficzna proponowanego przez panów pisma.

Książę de Navarra uśmiechnął się życzliwie, jakby darując drukarzowi ze wspaniałą wyrozumiałością uprzednio uczyniony nietakt.

- Zastanowimy się nad szanownego pana ofertą. I nie jest wykluczone, że zjawię się jeszcze u pana za dni kilka z materiałem redakcyjnym, z winiętą i projektem okładki, która jednemu ze znanych artystów została zlecona do opracowania.

Podniósł się z krzesła i dostojnie, jako książę - demokrat, końce swoich palców drukarzowi na znak pojednania i nadziei podał. Modna bambusowa laseczka i pożyczony w teatrze melonik mignęły we drzwiach jak fatamorgana.

Zdegradowany do roli biednego właściciela drukarenki, kapitan jeszcze przez czas jakiś siedział za swoim kantorkiem i głęboko się zastanawiał, czy to była rzeczywistość, czy tylko urojenie sennego marzenia. Po dłuższej chwili, utykając na chromej nodze poszedł do kaszty, jakby tylko jeszcze mocniej pochylony ku ziemi, aby rozpoczął przed wizytą niezwykłego gościa smutny nekrolog dalej układać. I żal, i przygnębienie wielkie zaczęły go ogarniać, bo wydawało się mu, że już nigdy w życiu nie dostąpi tego szczęścia, by wspaniałe literackie czasopisma w swoim zakładzie drukować. Pozostaną mu na zawsze tylko te czarne, ponure, donoszące o cudzej śmierci obwieszczenia. Oczywiście nie ma żadnej wątpliwości, że i w te czarne myśli zły duch go celowo zapędzał.

Ten sam zły duch, bo duchy złe mają możliwość jednoczesnego i to odmiennego w dwu miejscach działania, dopadł wychodzącego z drukarni Wacia. Porwawszy go w swoje objęcia, posadził na owej modnej laseczce bambusowej i zawirowawszy przed nim tumanem spadających z drzewa liści (jesień wówczas była), w aeroplanowym locie nad dachami miasta przeniósł błyskawicznie do mieszkania Kondzia, czyli Mickiewiczowskiego Konrada, najwierniejszego z przyjaciół i najskrytszych tajemnic powiernika.

Dla ducha zła przeniesienie przez zamknięte drzwi księcia de Navarry do celi Konrada nie była to wcale trudna sztuka, zwłaszcza że i nad Kondziem w zupełności już szatan panował. Z wypiekami na twarzy dziewiętnastoletni poeta wiersz bluźnierczy „Dytyramb szatański”, wówczas prawie nieprzytomny, pisał. Zamglonymi oczami obłądnie przewracał i widać było, że nic, a nic z tego, co mu przyjaciel w podnieceniu opowiadał, nie rozumiał.

Widząc, że Kondzio pozostaje w stanie pełnego zamroczenia i sądząc, że przyczyną tego może być tylko stojąca opodał opróżniona do połowy butelka, udał się Wacio do innych przyjaciół i kolegów, obwieszczając wszystkim o powstaniu w Lublinie nowego literackiego pisma. Na dzień następny naznaczył nadzwyczajne posiedzenie Koła, przykazując, aby nikt bez wypełnionej utworami teczki nie przychodził.

Jak noc Waciowi minęła, sam nawet nie wiedział. Z przyćmionej podnieceniem pamięci z trudem wydobywał jakieś mętne obrazy, coś jakby straszne wiersze pisał i jakby w wichurze wielkiej wśród obłoków na aerpolanie latał. W takiej półświadomości minął mu czas do rozpoczęcia zebrania. Oczywiście stało się tak za przyczyną złego ducha, by łatwiej doprowadzić młodzieńca do spełnienia nałożonego nań ciemnego posłannictwa.

Na zebraniu do swych przyjaciół jak w transie przemawiał, przekonując wszystkich bez trudu o wyjątkowości chwili i o wielkości podejmowanego przedsięwzięcia.

Zgodnie z jego wolą, do komitetu redakcyjnego weszli, oprócz Wacia i Kondzia, jeszcze dwaj koledzy, no i oczywiście przez wszystkich uwielbiana Dzidzia, czyli Dzewanna. Dzidzia znalazła się w zespole nie tylko jako muza, ale jako jedyna spośród całego towarzystwa siła fachowa. Pisywała bowiem drobne artykuły i in formacje, które podobno nawet z chęcią zamieszczała na swych poczytnych łamach jedna miejscowa gazeta.

Zadanie redakcji było niemałe. Należało najpierw wymyślić szokujący tytuł pisma,

a następnie wybrać i poprawić złożone przez kolegów wiersze, a artykuły do druku dostosować. Wobec rozlicznych trudności z entuzjazmem podjęta inicjatywa szybko by się załamała, gdyby nie było tu pomocy czarta, który zaraz na pierwszym zebraniu redakcji zaczął umysłami młodymi tak kołować, że wszyscy zgodzili się na to, iż w tytule pisma koniecznie musi być szatan. Kolejno padały propozycje: „Diabeł”, „Boruta”, „Czarcia Łapa”, ale każdy z tych tytułów natychmiast odpadał, bo w mieście, w którym dzieciom opowiada się legendy o diabelskich sądach, taka nazwa mogła tylko śmieszyć.

Gdy tak nad wynalezieniem odpowiedniego tytułu dla mającego powstać pisma każdy z redaktorów, zdawało się, bezskutecznie rozmyślał, zły duch zaczął działać.

Podkraść się do siedzącego dotąd cicho, ale z wyniośle cyniczną miną Kondzia i szepnął mu coś tam do ucha. Baczny obserwator dostrzegłby wówczas jakby błysk ognia w jego oczach.

Gdy wszystkim, oczywiście oprócz Kondzia, zdawało się, że z braku tytułu ta wspaniała idea własnego literackiego pisma w przepaść się zapada, usłyszeli przytłumiony tajemniczym podnieceniem jego głos.

- A ja mam.

- Co masz?

- Tytuł dla naszego pisma.

- Mów.

- Zobaczycie, to będzie szok i prawdziwa bomba.

- No mów, mów - posypały się głosy niecierpliwych nalegań.

- Mówię wam, nasze pierwsze publiczne wystąpienie nie może minąć bez echa. Niech temu towarzyszy skandal. Musimy już samym tytułem do głębi szarpnąć ospałego i obojętnego na wszystko mieszczucha. Musi usłyszeć cała Polska. Im więcej hałasu i oburzenia będzie w gazetach, tym lepiej, tym silniejsza będzie nasza literacka pozycja.

- Każdy się przecież z tym zgadza - zniecierpliwiony Wacio przyjacielowi przerwał - ale podajże wreszcie wymyślony przez siebie tytuł pisma.

Kondzio wstał z krzesła, nieco przybladł i zmienionym głosem wymówił jakby słowa jakiegoś zaklęcia.

- Na tytuł wzywam Lu-ci-fe-ra!

Dreszcz przeniknął zebranych, ale wszyscy zrozumieli, że jest to ta jedyna, której poszukiwali, nazwa.

Po odczekaniu pierwszego wrażenia rozpoczął Kondzio długi wykład, jak dawna i jak bogata jest satanistyczna i prometejska w poezji światowej tradycja. Lucifera niekoniecznie trzeba widzieć jako diabelskiego księcia. Już sama jego nazwa jasno się wyklada, że jest on tylko czynicielem światła. Sztuka chce go widzieć jako ucieleśnienie pragnień i człowieczych dążeń do wyzwolenia. I zaczął recytować jakby specjalnie na tę okazję przygotowane o Luciferze fragmenty wiersza Tadeusza Micińskiego. Uzupełnił je „Dytyrambem szatańskim” własnego autorstwa.

Po tych podniosłych recytacjach podniecenie i entuzjazm parły już wszystkich do szybkiego i wytężonego działania. Kiedy miało się już świetny tytuł pisma, fraszka stawała się reszta.

Wybitny malarz, o którym Wacio drukarzowi wspomniał, nazywał się Jasio Wydra i mieszkał kątem na stacji u jednego z redaktorów „Lucifera”. Jako najwyższy zaszczyt i wyróżnienie uznał wybór przez kolegium swojej skromnej osoby na projektanta okładki literackiego miesięcznika. Jego wyobrażenia twórcza tak została podanym tytułem poruszona, że w bardzo krótkim czasie pojawił się na rozłożonym kartonie nie tylko Lucifer, ale najciemniejsze czeluści ekspresjonistycznego piekła.

Gdy się już miało tytuł, okładkę i czytelnie przepisany przez Dzięcę redakcyjny materiał, można było ponownie pójść do drukarza. Oczywiście nikt do tej misji nie nadawał się lepiej od Wacia. Znowu przemieniony w księcia de Navarra, raczył dostojnie przekroczyć niskie progi skromnego kantorka.

Drukacz ujrawszy po raz drugi i to z grubą teką redakcyjną wytwornego młodzieńca, jakby swym oczom nie dowierzał. Wacio położył przed nim wypchaną tekę i od niechcienia dodał:

- Jednak, mimo wszystko, panu postanowiliśmy powierzyć druk naszego pisma. Słyszając te słowa, kapitan jakby swym uszom nie dowierzał.

- Jak to? To panowie jednak - wzruszonym, trzęsącym się głosem bełkotał.

- Jest tu wszystko. Tu, widzi pan, okładka - Wacio pokazał - a tu cała zawartość pisma.

- Ależ to duża robota - z niemałym podziwem i uznaniem przeglądał złożony na jego biurku rękopis.

- Tak, ma to być dużej miary wydawnictwo - pewnym głosem potwierdził Wacio. - Nie wzgardziliśmy pana ofertą, chociaż kredyt i kto inny też nam oferował.

- Ależ, proszę pana, widzę po świetnie opracowanym rękopisie, że mam zaszczyt nawiązać współpracę z solidną redakcją.

- W takim razie zostawiam materiał pod pana opieką. Proszę się zająć stroną techniczną, a jutro zjawię się z redakcyjnym kolegą i ustosunkujemy się do pana propozycji.

- Ależ oczywiście, wszystko jak należy zrobi się do jutra, ale proszę mi jeszcze łaskawie powiedzieć, czy szanowny pan będzie podpisywał pismo, bo to jest niezbędne, kiedy się przedkłada materiał władzom do zatwierdzenia.

- Ha, dobrze że pan mi o tym przypomniał, bo sprawę tę będę musiał jeszcze uzgodnić z redakcją. Pan rozumie...

- Oczywiście, oczywiście, wiąże się to z pełną odpowiedzialnością.

- Tego to nikt z nas nie będzie się obawiał, ale nie każdy będzie mógł z różnych powodów położyć pod pismem swoje rodowe nazwisko.

- Rozumiem, rozumiem.

- No to do zobaczenia, do jutra.

I książe de Navarra znikł, jak poprzednio, ale tym razem drukarz miał na swym biurku namacalny znak, że spotkanie z nieznanym nie było czystą halucynacją.

Wacio tymczasem lotem ptaka przeleciał przez miasto i znalazł się w pokoju, gdzie go w pełnym redakcyjnym komplecie oczekiwano. W wielkim podnieceniu opowiedział krótko o pomyślnym załatwieniu sprawy.

- Teraz musimy jeszcze dość trudną sprawę rozstrzygnąć, kto spośród nas jako redaktor i wydawca ma podpisać pismo, bo władze bez tego naszego „Lucifera” nie puszcza.

Na te słowa jak latarenki błyski pożądania zaświeciły we wszystkich oczach. Widząc

to Kondzio, w obawie, by tej wielkiej szansy w niewłaściwe ręce nie przechwycono, szybko zareagował.

- Przecież wszystkim wiadomo, że ty pierwszy wystąpiłeś z propozycją i najwięcej uczyniłeś, by się ukazało nasze pismo.

- Oczywiście, że tylko Wacio - redakcyjny chór zgodnie przytaknął.

Nasz bohater tę jednomyślność słusznie uznał za dowód najwyższego zaufania. Pokornie skłonił więc głowę i aklamacyjnych oklasków z godnością wysłuchał. Nie byłby jednak prawdziwym dżentelmenem i księciem de Navarra, gdyby z udzielonych mu godności przed damą skorzystał. Dyskretnie mówiąc była to również dama jego serca. Chwilę odczekawszy wyrzekł te oto słowa:

- Jestem wdzięczny i wielce wzruszony za ten dowód pełnego zaufania, ale godności tej nie mogę sobie zatrzymać, bo jest wśród nas osoba bardziej ode mnie do piastowania tego wyróżnienia predystynowana. Nazwisko jej już kilka razy opublikowała prasa. Sądzę, że pierwszy numer „Lucifera” powinna podpisać nasza jedynaczka, Dzidzia.

Dziewczyna zapłonila się i zadrżała, a Wacio jako księżę de Navarra skłonił się lekko w jej stronę, jakby chciał powiedzieć:

- Przecież to dla mnie taka błahostka.

Nikt jednak nie mógł zajrzeć w tym momencie do jego wnętrza, żeby stwierdzić jak wielkiego wymagało to wyrzeczenia od młodego, rozpoczynającego karierę literacką człowieka. Oczywiście płocha Dzidzia nie potrafiła w należyty sposób docenić tej ofiary serca. Przyzwyczajona do wiecznych hołdów, uważała za rzecz naturalną, że się ktoś dla niej czegoś wyrzeka. I tak to Dziewanna została redaktorem i wydawcą pierwszego numeru „Lucifera”. Od tego czasu pani redaktor z Waciem wspólnie odwiedzali drukarza.

Razu jednego, gdy weszli oboje do kantoru, zastali tam mocno strapionego kapitana.

- Szanowni państwo, ja jestem tylko rzemieślnikiem i treść tego, co drukuję, nie powinna mnie interesować, ale obawiam się, że niektóre wiersze w pewnych kołach nie znajdą przychylnego przyjęcia.

- Tak pan sądzi? - uradowany Wacio niemal wykrzyknął.

- Wywołanie skandalu jest naszym zamierzeniem, jest naszą dewizą, bo i jaki byłby pożytek z pisma, którego nie chciałby nikt czytać i kupować? Niech pan sobie wyobrazi, jaka to będzie dla nas i dla pana zakładu świetna reklama, jeśli zaczną w prasie psy wieszać, wrzeszczeć i wyklinać. Jedni kupią egzemplarz z ciekawości i sensacji, inni, by skuteczniej gromy na nas rzucać i teksty nasze z oburzeniem cytować, a jeszcze inni intencje nasze artystyczne należycie odczytają i zdecydowanie nas poprą.

Wyobraź pan sobie, jak po takim hałasie będą napływały do nie znanego obecnie pana zakładu liczne zamówienia. Dla snobizmu i tylko z ciekawości każdy będzie chciał mieć jakiś druk wykonany ręką, która składała słynnego „Lucifera”.

I biedny drukarz, zwiedziony tak płomienną tyradą, zaczął sobie wyobrażać niebywały rozwój swego maleńkiego zakładu. Zobaczył jakby w cudownym śnie powstawanie na jego podstawie olbrzymiego przedsiębiorstwa drukującego gazety, albumy i wielotomowe dzieła. Widział jak on sam wychodzi z za brudnego,

cuchnącego drukarską farbą kantorka i przemienia się na oczach wszystkich w pana dyrektora.

Baczny obserwator mógłby w tym momencie dostrzec, że twarz i całą sylwetkę drukarza jakby ktoś odmienił. Poprawił się pewnie na krześle i mocno już schylone plecy na sposób wojskowy wyprostował.

Tak odmienionego drukarza pozostawiono, prosząc, by jak najszybciej wiersze i artykuły składał, a gońca zaraz wysłał, gdy tylko będzie korekta.

Okres bezrobocia, to jest czas oczekiwania na korektę, postanowiła redakcja wykorzystać na intensywne propagowanie mającego się ukazać pisma. Rozbiegli się wszyscy i gdzie kto mógł, opowiadał, jaka to eksplozja wstrząśnie niebawem spokojnymi posadami miasta. Najbardziej zainteresowanym recytowali z pamięci fragmenty mających się ukazać wierszy. Rzeczywiście tytuł pisma i kilka najsilniejszych utworów, a zwłaszcza „Dytyramb szatański”, nie przechodziły bez echa. Niektórzy słuchali tych opowieści ze zgrozą i najwyższym zgorzeniem.

Znaleźli się jednak i tacy, co z jakąś nadmierną sympatią i ciekawością przysłuchiwali się wszystkiemu, o czym opowiadali redaktorzy. Dodatkowymi pytaniami skłaniali ich do szczyrych i obszernych informacji. Wkrótce też o niezwykłym tytule i zawartości mającego się ukazać miesięcznika doniesiono miejscowym władzom.

Gdy z kilku źródeł i stron powtórzyły się niepokojące alarmy, sprawę tą oficjalnie postanowiono wyjaśnić. Drogą służbową, ze szczebla na szczebelek, to trudne zadanie spadło na niezbyt rozgarniętego, ale posłusznego i sumiennie wykonującego swoje zadania szeregowego policjanta.

Po otrzymaniu służbowego polecenia udał się natychmiast do drukarni i zaczął węszyć. Wypytywał zecera i chłopca na posyłki, bo właściciela zakładu akurat nie było, co drukują i na kiedy.

Pokazali mu robione właśnie nekrologi, ale nie mogli się go pozbyć. Zaglądał beczelnie po kątach i niemal siłą chciał się dostać do kantoru właściciela. Chłopiec pobiegł powiadomić drukarza.

Ten był już, jak pamiętamy, od dni kilku człowiekiem zupełnie odmienionym. Pełen energii i pewności, nikogo się nie obawiał. Nie mógł oczywiście znieść tego, by ktoś nieproszony buszował po jego śmieciach. Po otrzymaniu niepokojącej wieści, mocno rozgniewany, nieco utykając pędził do swego warsztatu. Ujrzawszy policjanta, zaatakował go z miejsca:

- Jakim prawem pan tu wchodzi? Co pan sobie życzy?! Jeśli nie ma pan nic do zlecenia, to proszę ten lokal natychmiast opuścić!

- Ja-a chciałem się tylko dowiedzieć, jakaś się przestraszony niespodziewaną napaścią policjant -ja tylko...

- Do kapitana pan mówi. Jeśli w sprawie służbowej, to zameldować się, jak należy.

Słowem „kapitan” policjant został jakby porażony. Odwrócił się i z przepisowej odległości trzasnąwszy kopytami, wyciągnięty jak struna, służbiście recytował.

- Panie kapitanie, melduję się posłusznie i z polecenia pana naczelnika pytam służbowo, czy będzie pan drukował tego „Lu-cypera”?

- Będę drukował. W tył zwrot! Odmaszerować! Policjant posłusznie wykonał rozkaz.

Po jego wyjściu drukarz uradowany zacierał ręce, a pomocnicy wyrażali się o jego postawie z najwyższym podziwem i uznaniem.

- Aleś pan mu bobu zadał.

- Co szarża, to szarża - kapitan dumnie podkręcił wąsa. O całym zajściu niezwłocznie powiadomił redaktorów pisma. Jak świetny kawał wszyscy potraktowali całe zajście. Oto mieli niezbity dowód, że ich „Lucifer” nie minie bez echa.

Po kilku dniach znowu zjawił się w drukarni ten sam policjant. Niczego już nie szukał, tylko zaraz od progu kapitanowi służbowo się zameldował pytając, kiedy ten „Lucyfer” ma się ukazać.

- Powiedz naczelnikowi, że pod koniec grudnia, ale niech się nie martwi. W odpowiednim czasie wyślemy, jak należy, egzemplarz do zatwierdzenia.

Policjant już więcej w drukarni się nie pokazywał. Krążył jednak w pobliżu i czasem ukradkiem przez okno do środka zaglądał. Przychodzili natomiast coraz liczniej jacyś cywile, którzy informowali się o możliwości druku biletów wizytowych, ale jakoś żadnemu proponowany papier nie odpowiadał. Ten i ów dyskretnie o postęp prac nad „Luciferem” wypytywał. Swoje zainteresowanie tłumaczył tym, że już w mieście tyle o mającym się ukazać piśmie słyhać, a oni by chcieli pierwsi do rąk własnych egzemplarz otrzymać.

Wizyty te niezmiernie podniecały naiwnych redaktorów i drukarza. W wielkim pośpiechu wykonywano więc korekty i łamano strony. Nieco więcej kłopotu było z robotą okładki, ale i z tym zdołano się przecie uporać.

Najścia policji wskazywały, że cenzura zechce interweniować, ale cenzurę można było przecież wykiwać. Wysyłało się, najlepiej pod koniec dyżuru do urzędu gońca, z pisemkiem i odpowiednią ilością egzemplarzy. Tam potwierdzano na kopii przyjęcie pisma i na tej podstawie można już było je rozprowadzać. Kilka godzin upływających od zgłoszenia do interwencji, można było wykorzystać na swobodne rozprowadzanie i ewentualnie ukrycie pewnej ilości egzemplarzy. Potem sprzedawało sieje amatorom sensacji po mocno wygórowanych cenach, jako niezwykłą bibliofilską rzadkość, i w sumie wychodziło się na swoje.

Gdy druk zbliżał się ku końcowi, umówiono na dzień 22 grudnia gazeciarzy, którzy mieli w sposób błyskawiczny roznieść pismo po ulicach miasta. W dniu tym cały zespół zjawił się w drukarni, by osobiście każdy egzemplarz „Lucifera dopieścić. W odpowiednim czasie wysłano do cenzury gońca. Oczekując na jego powrót z podstemplowanym pisemkiem, szykowano już pakiety dla gazeciarzy Tymczasem zamiast wysłańca zjawił się urzędnik z policjantem. Pierwszy bardzo szybko wszedł do wnętrza drukarni, a drugi całym swym zwalistym ciałem zastawił wejściowe drzwi.

Urzędnik, nic do nikogo nie mówiąc, wyjął z teczki urzędowe pismo i zaczął stanowczym głosem czytać. Z pisma tego wynikało, że z polecenia Komisarjatu Rządu cały nakład „Lucifera” zostaje zatrzymany, a sprawa przekazana do natychmiastowej decyzji prokuratora. Zebrani w zakładzie redaktorzy i drukarz jakby oniemieli. Nikt bowiem dotąd tak drastycznych środków represji wobec prasy nie stosował. Jeden tylko Wacio próbował jeszcze zaprotestować.

- Ależ, szanowny panie, jakim to prawem? Jest to przecież akt zupełnego bezprawia.

- Nie będę z panem na ten temat dyskutował. Wykonuję to, co mi polecono. Cały nakład pisma zostaje w zakładzie aż do sądowej decyzji. I zaczął lakować urzędową pieczęcią przygotowane już do kolportażu paczki. Na twarzy policjanta widać było szeroki, triumfujący, nieco ironiczny, ale pełen satysfakcji uśmiech - taki, jaki może się mieć tylko po solidnie wykonanej i ciężkiej pracy.

Urzędnik po zalakowaniu wszystkich paczek odczytał jeszcze właścicielowi drukarni, jakich konsekwencji może się spodziewać za złamanie urzędowej pieczęci albo za zaginięcie pozostających pod jego opieką egzemplarzy pisma. Zamknął teczkę i odwrócił się w kierunku wyjścia. Policjant salutując, przed sobą go przepuścił, a odwróciwszy się w stronę strapionego właściciela drukarni z wyraźnym triumfem i satysfakcją w głosie, ironicznie zameldował:

- Panie kapitanie, melduję posłusznie, że jednak tego Lucypera schwytałem!

Na schwytaniu „Lucypera” nie zakończyła się cała sprawa, a właściwie dopiero wówczas na dobre rozpoczęła. W dniu 23 grudnia 1921 roku Sąd Okręgowy w Lublinie na wniosek Komisarjatu Rządu z dnia poprzedniego podjął natychmiastową decyzję o skonfiskowaniu całego nakładu pisma, wytaczając jednocześnie sprawę przeciw redaktorowi i wydawcy miesięcznika. Oparł się tu na artykule 73 kodeksu karnego, dopatrując się w utworach zamieszczonych w „Luciferze” bluźnierstwa.

Biedna Dzidzia w sposób zupełnie nieoczekiwany znalazła się w bardzo trudnej sytuacji. Perspektywa uwięzienia dla młodej, ładnej i uwielbianej przez wszystkich dziewczyny była straszna. Do tego dochodziła przerwa w studiach i piętno kryminalistki pozostające na całe życie. Nic więc dziwnego, że wesółą dotąd studentka pogrążyła się w czarnej rozpacz.

Koledzy próbowali ją pocieszać, ale ich wysiłek był całkiem daremny. Widząc bezowocność swoich poczynań, udali się do zaprzyjaźnionej ze środowiskiem studenckim redakcji dziennika „Dzień Polski” i wyłuszczyli tam, w jaki okrutny sposób został zniszczony cały ich literacki i wydawniczy wysiłek.

Po wysłuchaniu skargi znalazł się dziennikarz, który postanowił sprawy ich bronić. W obszernym artykule górnolotnie i życzliwie omówił poczynania młodego środowiska literackiego wskazując, jak to niegodziwie obchodzą się z nimi niczego nie rozumiejący przedstawiciele miejscowej władzy.

Na echo tego artykułu długo nie trzeba było czekać. Za kilka dni odezwał się endecki „Głos Lubelski”. W noworocznym numerze tego dziennika ukazał się anonimowy artykuł pod tytułem: „Lucifer” skonfiskowany. Jego autor powołał się najpierw na urzędowe pismo Komisarjatu Rządu dotyczące konfiskaty „Lucifera” i tak uzbrojony przystąpił do ataku, postanawiając zniszczyć młodych redaktorów i ośmieszyć ich w opinii publicznej.

Warto przytoczyć fragmenty tego artykułu, by pokazać, jakim to orężem „Głos Lubelski” z „Luciferem” walczył. Autor tej denuncjacji niezorientowanemu dostatecznie w całej sprawie społeczeństwu lubelskiemu między innymi donosił:

„W skład komitetu redakcyjnego («Lucifera») wchodził Dzidzia, Janka, Tadzik, Kazik, czyli krótko - przeraźliwie wielcy „tfurcy”, jakich niemało z zadartymi łebkami krąży po chodnikach Lublina. I «wprowadziwszy sępowzroczne szpon owili się» we

wszystkie świętości, rwąc je na szmatki. Bzikusy - postrzeleńcy! I z hasłem «Bogów nie ma, zła nie ma, nas nie ma - Ja jestem» - zbudowali «tram foposzek głupoty», w przekonaniu, że szumem zeszli w głębię bladego oceanu wiedzy, na której nie poznają się «filistry» - boć przecie, wedle hasła organu - ich nie ma.

A tymczasem... niedojadkom zerwano z główek papierowe laury i sława ich przejdzie bez echa. Trudno! psotnym dzieciom trzeba nakazać klęczeć w kącie. Lecz należy je potraktować-jak dzieci mające zielono w głowie i mączką «Nestla» w buzi. «A takim smajkaciom niejedno się zdzi!»

Inaczej trzeba osądzić tych, którzy na taką szkodliwą zabawkę dali pieniądze i przypuszczać należy, że poza tymi dziećmiakami znajdują się wiedźmy-mamki, które je wyprowadzają na zakłète drogi - łechcąc je sławą nieśmiertelną. A któryż młodzieniec nie da się wziąć na lep takiej trucizny?"

Anonimowy autor w taki oto sposób artykuł swój zakończył. „Nie przejmujemy się «luciferowcami», a na osłodę posłuchajmy paradoksu Czarnego Johna, który tak charakteryzuje tych stojących na głowie u podnóża Parnasu.

Idą „poeci” - tra-ta-ta-ta...

*Przejdą bez echa, niewielka strata.
Kałamarz, pióro - pióro, kałamarz.
Mości poezjo, masz nowy blamaż...
Atrament, papier - papier, atrament.
Mości poeci piszcie testament...
Atrament, papier - papier, atrament.
Mości poeci piszcie testament...
Dwadzieścia cztery, dwadzieścia cztery.
Wielkie blagiery, wielkie pozery.
Taka epoka, taka epoka,
Że naśladowają zmarłego Błoka
Idą z ferworem, idą z ferworem.
Trupy z kawiozem, trupy z kawiozem.
Tra-ta-ta-ta - tra-ta-ta-ta-ta.
Oj, trzebaż, trzebaż, dobrego bata.*

Po tak obraźliwym artykule w zespole „Lucifera” zakipiło i odżył duch walki. W pierwszej chwili bardziej porywczy chcieli zorganizować bojówkę złożoną ze studentów i zdemolować lokal szmatławej gazety. Inni znów domagali się, by w sposób wypróbowany po prostu któregoś z redaktorów obić.

Wacio jednak obydwu propozycjom zdecydowanie się sprzeciwił. Nie odpowiadały mu, jako księciu de Navarra, tak prymitywne i niedżentelmeńskie sposoby walki. Stanowczo wszystkim oświadczył, że osobiście w sposób honorowy tę sprawę załatwi.

Dowiedział się, że autorem obraźliwego artykułu jest redaktor Kanarowski i, jak to było we zwyczaju w dobrych towarzystwach i wśród wojskowych, wysłał mu swoich sekundantów z wezwaniem, by osobiście spłacił honorowy dług. W takich wypadkach najlepsze usługi oddawały nie gwintowane pistolety.

Kanarowski jednak tylko gdy pisywał anonimowo swoje paszkwile, był bardzo wojowniczy, ale tak na co dzień, nie należał, jak Wacio - przepraszam - książę de Navarra, do ludzi porywczych i odważnych. Nie mając dostatecznie rozwiniętego poczucia honoru, własnej godności i zaufania do pistoletów, wołał, by sprawę sporu rozstrzygnął Sąd Rozjemczy.

Zachowało się, szczęśliwym zbiegiem okoliczności, orzeczenie tego Sądu, a że dziś już dżentelmeni zupełnie nie potrafią drogą pojedynków załatwiać swych spraw honorowych, warto chyba w całości przytoczyć ten salomonowy werdykt.

„Orzeczenie Sądu Rozjemczego w sprawie między p.p. Wacławem Gralewskim i Józefem Kanarowskim:

Sąd Rozjemczy w składzie: mjr Józefa Rucińskiego i Kazimierza Rutkowskiego - zastępców p. Józefa Kanarowskiego oraz: por. Jana Jodłowskiego i Tadeusza Jaworowskiego - zastępców p. Wacława Gralewskiego tudzież red. Aleksandra Olkiewicza jako Sędziego Rozjemczego, w myśl protokołu obu układających się stron z posiedzenia w dniu 15-ym b.m zebrany na posiedzeniu w dniu 19 stycznia 1922 roku na temat przedłożonej mu zapiski, a mianowicie: «Czy wskutek umieszczenia w dzienniku „Głos Lubelski” przez p. J. Kanarowskiego artykułu «Lucifer» skonfiskowany p. Wacław Gralewski może się czuć obrażony?», orzeka przez decyzję Sędziego Rozjemczego, co następuje:

Inkryminowany artykuł „Głosu Lubelskiego” z dn. 1 stycznia b.r. p. t. «Lucifer» skonfiskowany nie może być przedmiotem obrazy dla p. Wacława Gralewskiego. Sędzia Rozjemczy: AL Olkiewicz. Lublin 20 stycznia 1922 r.”

Po takim orzeczeniu najwyższej honorowej instancji nie mógł już Wacio z bronią w rękę swego prawa dochodzić, a wyzwany nie musiał pola dotrzymywać. W głębi serca twórca „Lucifera” nie odczuwał pełnej satysfakcji. Tylko krew przeciwnika mogła tak wielką obelgę zmazać, ale skoro okazał się on pospolitym tchórzem, to i kuli na niego szkoda. I Wacio, jako prawdziwy dżentelmen oraz książę de Navarra, na zawsze wymazał ze swej pamięci nazwisko tej nędznej kreatury.

By go nikt nie posądzał o pozostawienie sprawy tej bez honorowej satysfakcji, zachował jednak w swoich papierach Orzeczenie Sądu Rozjemczego, u którego szukał ratunku tchórzliwy Kanarowski.

Łatwiej było zapomnieć o „Głosie Lubelskim” i o jego potwarzy, kiedy niespodziewanie dla wszystkich sprawa „Lucifera” wypląnęła na gruncie warszawskim. Posłużyła ona jako klasyczny przykład pomijania obowiązującego ustawodawstwa i brutalnego stosowania represji wobec prasy. Chodziło tu już nie tylko o lubelskiego „Lucifera”, ale o setki konfiskowanych artykułów i numerów czasopism w całym kraju.

W tygodniku „Głos” wychodzącym w Warszawie w dniu 28 stycznia 1922 roku ukazał się obszerny artykuł Tadeusza Szpotańskiego pod znamienym tytułem „Represje prasowe”. Bezpośrednim bodźcem do napisania tego artykułu stała się już głośna sprawa konfiskaty „Lucifera”.

Przytoczone fakty wywołały oburzenie i protesty pozostających w opozycji wobec rządu stronnictw politycznych. W imieniu klubu poselskiego PSL Wyzwolenie złożył w Sejmie interpelację poselską znany działacz ludowy Maksymilian Malinowski. I sława

o lubelskim „Luciferze” rozeszła się po całym kraju.

Zgnębieni jeszcze tak niedawno konfiskatą swego pisma młodzi poeci zaczęli chodzić po ulicach Lublina z podniesionym czołem.

Pokazywano sobie „tych luciferystów” w kawiarniach, szeptano na ich temat mrozące krew w żyłach niesamowite plotki, a zgorszone baby i przekupki spluwały za nimi po trzykroć, szepcząc:

- Zgiń, przepadnij, pomioście diabelski!

Po takich zaklęciach nikt jednak nie ginął, ale chodził jak paw, jeszcze bardziej napuszony i dumny.

Nie ulegało żadnej wątpliwości, że zły, to znaczy dobry czart lubelski, od tego czasu jakąś szczególną troską i opieką otoczył wszystkich swoich poetyckich wyznawców i wielbicieli. Wkrótce też zaczęły się dziać z nimi jakieś dziwne i niezwykłe rzeczy.

Oto na wieść o prześladowaniu twórców „Lucifera” przyjechał z Warszawy do jednego z redaktorów, by go wesprzeć w trudnej chwili, przyjaciel, bardzo przystojny, młody, no i oczywiście dzielny porucznik. I co państwo na to powiecie? Od pierwszego wejrzenia tak się w strapionej bohaterce luciferycznej przygody zadurzył, że przebojem i namiętą gorącością swego serca we wstępnym szturmie pokonał wszystkich otaczających Dzidzię rywali i po kilku miesiącach przed ołtarz ją zaprowadził. Mało tego, miejscowe władze, grożące jeszcze niedawno sądem, tak się rozgłosem spowodowanym konfiskatą „Lucifera” strwożyły, że wołały już ze złymi duchami w konflikty nie wchodzić. Dyskretnie polecił niezawisłemu sądowi, by całą sprawę między aktami utopić. Potem została ogłoszona amnestia i przeżywająca właśnie swoje miodowe miesiące Dzidzia,, czyli Dziewanna, została oficjalnie powiadomiona, że znowu wobec groźnych paragrafów prawa jest jak łąza kryształowo czysta.

Zły, przepraszam, dobry duch spełnił również i najskrytsze pragnienia i marzenia Wacia. Ułatwił mu wejście do redakcji nowo powstałego „Ekspresu Lubelskiego”, a wkrótce utorował drogę na stanowisko redaktora naczelnego. Nie wiadomo, czy powodem tego była Dzidzia, czy dobry lubelski czart go przez całe życie ochraniał, w każdym razie Wacio nigdy swego dżentelmeństwa i arystokratyzmu ducha z żadną kobietą formalnymi więzami małżeństwa nie związał.

Lubił natomiast wszystkim opowiadać o swoich codziennych kontaktach z siłami nadziemskimi i duchami dobra. Poza tym w wieku już dojrzałym kilka książek wspomnieniowych napisał, a wspominać dawne czasy, jak nikt, przepysznie umiał.

Kondzio? Gdzieżby i o nim zły-dobry duch zapomniał? Zważywszy na ową wspaniałą przemowę, którą miał przy nadawaniu „Luciferowi” imienia, przemienił go czart po jakimś czasie w znanego nie tylko w Lublinie adwokata. Nie szczędził mu też zły duch i dóbr doczesnych, które z lubością i wielkim znanstwem przedmiotu spożywał. W dobranej kompanii przy wspaniałych trunkach o „Luciferze” i o pięknie poezji szeroko i barwnie lubił opowiadać. Można było całymi godzinami w pogodnym nastroju opowieści tych słuchać.

Dopiero po przekroczeniu sześćdziesiątki w tomiku zatytułowanym „Wczoraj i przedwczoraj” zdecydował się wreszcie podsumować swój dotychczasowy dorobek

poetycki. Tom ten otwiera oczywiście „Dytyramb szatański”.

Kapitan nie został wprowadzony na dyrektora wielkich zakładów graficznych, bo duchy opiekuńcze uchroniły go od tak wielkiego, ponad siły, ciężaru i odpowiedzialności. Pozostał nadal właścicielem niewielkiej, zwanej „Udziałowa” drukarenki. Wypuszczał jednak ze swej oficyny już nie tylko bilety wizytowe i nekrologi, ale wymyślane przez młodych literatów coraz, to nowe czasopisma i tomiki wierszy. Wkrótce też zrozumiał, że nawet taka praca może dać solidnemu rzemieślnikowi pełnię satysfakcji.

Jak się należało spodziewać, najgorszy los spotkał owego policjanta, który „Lucypera schwytał”. W pogoni za pospolitym złodziejem wpadł w dół głęboki i połamał tam obydwie dolne kończyny. Jedną z nich trzeba było amputować. Widziało się go jeszcze przez wiele lat kuśtykającego o kulach i skamlącego pod kościołem o jałmużnę. Zdarzyło się raz, że Wacio jako naczelny redaktor, przechodząc koło niego, wzruszył się kalectwem człowieka, którego oczywiście nie poznał, i wrzucił mu do poszarpanej czapki parę groszy, a dziad mu stokrotnie dziękował.

I tak zaczęła się snuć i rozwijać legenda literackiej tradycji Lublina. Każdy coś tam do niej dorzuca, uzupełnia i wzbogaca, bo zły duch poezji potrafi jeszcze i dziś opętać niejednego młodego człowieka.

Dzwoneczki Józefa Czechowicza

Wiosną 1930 roku dwudziestosiedmioletni Józef Czechowicz autor dwu wysoko ocenionych już przez krytykę literacką tomików wierszy, jako stypendysta Związku Nauczycielstwa Polskiego, wybierał się z prowincjonalnego Lublina do stolicy artystycznego świata - Paryża.

Wyjazd do Francji dla malarza lub poety w okresie międzywojennym znaczył mniej więcej tyle, co pielgrzymka do Mekki dla wyznawców Mahometa. Uważano, że każdy szanujący się artysta powinien chociaż raz dotrzeć do ojczyzny Rimbauda, Baudelaire'a, Cezanne'a, Matisse'a i Apollinaire'a.

We Francji rodziła się przecież nowoczesna sztuka. Stąd rozchodziły się najnowsze prądy i nowinki malarstwa i literatury. Do słodkiej Francji ciągnęli więc z całego świata żądni najgłębszych artystycznych wtajemniczeń kapłani i zwykli wyrobnicy sztuki.

Dla Polaków wyjazd do tego gościnnego kraju ma jeszcze inne, szczególne znaczenie. Z Francją, a zwłaszcza z Paryżem, związały się przecież tak nierozdzielnie losy Wielkiej Emigracji i koleje życia polskich romantycznych poetów. Tragiczna wielkość poznanego zaledwie przed kilkadziesiąt laty Cypriana Kamila Norwida szczególnie pociągała. Chodzić jego śladami, patrzeć na ponury dom świętego Kazimierza i w autentycznym pejzażu przeżywać piękno jego poezji i kontemplować tragizm długiego żywota.

Czechowicz jechał do Francji pociągiem przez Niemcy, z drogi wysyłał do swych przyjaciół w Lublinie listy i kartki. Podziwiał inność nieznanymi miast. Delektował się smakołykami obcej kuchni.

- Drogi Waciu! - pisał do swego przyjaciela, znanego konesera przysmaków kulinarnych. - Czy wiesz, co to jest pasztet strasburski? Katedra w Strasburgu to nic, mosty średniowieczne to zero, ale pasztet, pasztet!

W planach podróży biednego stypendysty zapewne niewiele było miejsca na podobne zachwyty. Niedostatek pieniędzy i nie zbyt biegła francuszczyzna nie pozwalały nawet na nawiązywanie żywych kontaktów literackich. Była jednak niezawodna słodka Francja, cuda jej architektury, piękne krajobrazy i nadzieja wzbogacenia poetyckiej wyobraźni i wrażliwości.

W Paryżu oczekiwali na poetę przyjaciele z Warszawy, redaktor miesięcznika „Droga” - znany reżyser i inscenizator Wilam Horzyca i jego żona. Horzycowie otoczyli troskliwą opieką przybyłego z Polski przyjaciela. Dopomogli poczynić w nieznanym mu mieście pierwsze kroki. Po kilku dniach poznał już Czechowicz na tyle Paryż, że mógł się sam po nim poruszać.

Oszalała go wieczorami nigdy dotąd nie widziana orgia kolorów i światła. Uspokajała dopiero późna nocna wędrówka po opustoszałych bulwarach i... „wyobraź sobie 3 kilometry gładkiego asfaltu, rzędy latarni...” Nawet trzy kilometry gładkiego asfaltu mogły w Paryżu zachwycić prowincjusza, skoro w rodzinnym mieście tak niedawno oglądało się na nie sprzątniętych ulicach bajora pełne błota i chłopskie wozy dudniące obręczami po kocich łbach. Lublin nie miał jeszcze w tym czasie ani metra kwadratowego asfaltu, nawet na pokaz.

Nie tylko asfaltem i orgią światła Paryż zachwycał, ale wystawami impresjonistycznego, kubistycznego i surrealistycznego malarstwa, które się znało ledwie z kiepskich reprodukcji. Wystaw tych pełno było na rue des Beaux Arts, na rue de la Seine, na rue Bonaparte w okolicy bulwaru Saint Germain.

Powielane w setkach nowoczesne obrazy i krzyżące światła paryskich ulic szybko się jednak poecie znudziły. W poszukiwaniu nowych wrażeń ciągnęło go jak i innych artystów nad Atlantyk do krajobrazów Bretanii i Normandii. Żywy jeszcze malowniczy folklor, owe stukające po bruku saboty i szeroki oddech oceanu musiały wywożonego z Francji wrażenia dopełnić.

Czechowicza nie zachwycały, jak innych awangardowych poetów, wielkie portowe miasta pełne zgiełku, dźwigów, maszyn i różnokolorowych ludzi. Wabiły go swoim urokiem maleńkie, przycupnięte nad brzegiem morza albo zatoki osady. W niewielkim Concarneau czuł się najlepiej.

Tu chmury skłębione nad zatoką mieszały się z falą zjeżonego morza. Burza nadciągająca z północy. Dudniący po dachu deszcz.

Potoki wody za oknem przesłaniające wszystko na kształt kurtyny. I zapis reportażowy, lakoniczny, przemieniony w wiersz. Odjazd.

I znów maleńkie Pontorson. Tu już pachnie tak bliską Bretanią. Ze snu w małym hoteliku budzą stukające saboty dzieci biegnących do szkoły. Pontorson rozświetlone, wiosenne, otoczone polami złotego łubinu.

pole w ciepłych okrzykach

*bo tam żółty łubin
swoim mocnym kolorem się upił
a jeszcze słońca połyka
ramieniem pijanym otacza
najmilszą zabawkę swą
miasteczko
płaskie jak taca
stare jak zgrzyt zegara
pontorson*

Stąd już na odległość wzroku jakby organicznie zrosnięte ze

obronnymi
kimi ku

górze opactwo Mont-Saint-Michel.

Tu przyciąga poetę niezwykła nawarstwiona na skale architektura i zrosnięta z murami historia, okrucieństwo i legenda. Z Pontorson do Mont-Saint-Michel prowadzi tylko jedna usypana grobla. Niegdyś suchą nogą można było dotrzeć na wyspę tylko przy odpływie morza. Romantyczna niezwykłość miejsca jak magnes przyciąga z daleka.

Niecałe dwa kilometry z Pontorson najlepiej piechotą przebyć, podziwiając coraz to nowe wyłaniające się jak ze snu fragmenty monumentalniejszej wciąż architektury. Podchodząc coraz bliżej można wyraźnie zobaczyć, jak sędziwe opactwo tu rośnie.

Założone na początku VIII wieku i poświęcone Archaniołowi Michałowi oratorium stało się wkrótce miejscem pielgrzymek wiernych. W 966 roku (jakżeż pamiętna Polakowi ta data) książę Normandii Ryszard I ufundował tu opactwo benedyktynów.

Spalone odbudował w 1203 roku król Filip August Zwycięzca i z obdarowanego hojnie klasztoru uczynił niezdobytą twierdzę.

Twierdza była rzeczywiście niezdobyta. W czasie wojny stuletniej potrafiła bronić się oblegającym ją Anglikom z małymi przerwami przez trzydzieści lat. obrońcom podobno pomagał Archanioł Michał, ale i źródło słodkiej wody wytryskające ze skały i ogrody uprawiane na południowych tarasach. Mont-Saint-Michel mogło się oprzeć w sto lat później długotrwałemu oblężeniu hugenotów, a otworzyło swoje bramy Henrykowi IV dopiero w 1595 roku po przejściu jego na katolicyzm.

Wiek XVII to powolny upadek klasztoru. Przybywa tu coraz mniej pielgrzymów, a niedostępne miejsce zaczyna zamieniać się w ciężkie więzienie. Najpierw dla opornych mnichów, a później z rozkazu Ludwika XIV utworzono tu główne więzienie stanu. Najgroźniejsi przeciwnicy monarchy więzieni byli w wykutych w skale studniach, w których nawet stać było trudno. Publicysta Wiktor Dubourg przewieziony z Holandii zginął tu w 1746 roku okrutną śmiercią, pożarty żywcem przez szczury.

W 1790 roku opactwo zostało zlikwidowane, ale jeszcze długo straszło nie tylko Francuzów grozą swych więziennych murów. Za cesarstwa trzymano tu oficerów i stronników republiki oraz trzech wziętych do niewoli rosyjskich generałów. W czasie Restauracji więziono wielu pisarzy oskarżonych o przestępstwa prasowe. W okresie międzywojennym, gdy Czechowicz odwiedził to miejsce, było tu już przyciągające licznych turystów i żądnych wrażeń artystów muzeum. Wspaniała, monumentalna architektura przypominała zwiedzającemu cudowną baśń o dawnych czasach.

Czechowicz, urzeczony niezwykłością miejsca, z daleka podziwiał piętrzące się ku górze budowle i wyłaniającą się powoli najpotężniejszą z baszt zwaną Gabriel.

Właśnie zagrały szlachetną swą barwą średniowieczne dzwony. Ich dźwięk odbijał się od murów Pontorson i tonął daleko za horyzontem w rozkołysanych falach morza. Poeta stanął i jak zaczarowany widoki i dźwięki te wchłaniał.

Wejście od wschodu przez bramę obronną Chatelet do wieży Perrine i strażnicy na sposób romański wkuć w skałę. Oto już sale, Gościnna i Rycerska otoczona potężną kolumnadą, wspaniałe krużganki wokół małego dziedzińca, stary, jeszcze z początku trzynastego wieku refektarz. Schody, dużo schodów. Wiodą do kościoła o romańskiej nawie. Tu nie wiadomo nawet, w którym miejscu kończy się naturalna skała, a gdzie z gruba ręką człowieka ociosana granitowa bryła.

Chodzić, patrzeć, podziwiać. Niezwykłością swą budowla urzeka i zachwyca. Ginę w niepamięci widma okrutnych opowieści o męczonych tu ludziach. Pozostaje melodia dzwonów, spływająca z wieżyc i wypełniająca życiem, jak przed setkami lat, klasztorne mury, refektarze, sklepienia, tarasy, dziedzińce, przejścia.

Jak w baśni z tysiąca i jednej nocy w urzeczeniu sennym można błędzić, zostawać, zapominać.

Za bramą klasztorną w południowo-wschodniej części wysepki przycupnęło maleńkie miasteczko. Uliczki tu wąskie i strome. Pełno kuszących straganów z pamiątkami dla zauroczonych turystów. Zdjęcia, kartki i inne drobiazgi. Jeden z przekupniów natarczywie zachwala maleńkie dzwoneczki zaklinając się, że dźwięk

każdego jest inny i odpowiada jednemu z wielkich średniowiecznych i renesansowych dzwonów opactwa wiszących wysoko na wieży. Każdy ma cudowną moc odstraszenia zła.

Zachęcając do kupna, potrząsa rytmicznie i jakąś sobie tylko znaną melodię wygrywa. Opowiada przy tym bez przerwy o rozlicznych cudach. Jako to w czasie trzydziestoletniego oblężenia sam Archanioł Michał w najgroźniejszych momentach na dzwonanach opactwa wydzwaniał, dodając obrońcom męstwa, a oblegającym piekielnego strachu napędzał.

Młody poeta urzeczony dźwiękiem, architekturą i opowieściami przekupnia wybiera na pamiątkę dwa niewielkie dzwoneczki. Kładzie dziesięciofrankowy banknot i uszczęśliwiony na resztę nie czeka. Niech i sprzedawca uwierzy w cud i przemożną opiekę świętego Michała.

Powrót z oszałamiającym bogactwem wrażeń pociągiem do Paryża.

„Paryż jest sobą dopiero w nocy, gdy płoną zielone i złote neonowe litery i fantazje, gdy czarny asfalt zdaje się rozwijać elastycznie, jak sprężyna spod kół samochodów, a głośniki przed gmachami kin przepętniają powietrze muzyką.

Teraz już ranek, jest półsmutne światło. I krzyki na rogach ulic: L'ami du peuple, Untransigeant. Chodniki połyskują chłodną wilgocią. Policjanci w pelerynach mieszają się z tłumem, który płynie podwójnym nurtem: w prawo i w lewo.

Przez bladą jasność, szmer gromad i turkot pojazdów przebija się śmieszny głos trąbek tramwajowych, przypominających dziecinne piszczałki.

Nieskończony potok twarzy. - Miliony odbić własnej postaci w zwierciadlanych witrynach magazynów. Chaos, nudnawe niebo i chłodne piekło Paryża”.

W mieście tym po powrocie z sennej i zadumanej w swym pięknie Bretanii trudno wytrzymać. Nie ma tu już żadnych przyjaciół, Horzycowie wyjechali przed kilkoma dniami do słonecznej Italii. Ze smutków i złych przeczuć nikomu nie można się zwierzyć. Pozostały jeszcze stare francuskie miasta z gotyckimi katedrami i niewypowiedzianym pięknem ich architektury. Rouen.

„W uliczkach okalających katedrę błądzić - to lubię. Wilgotny kościelny chłód odchodzi od zakurzonych murów, owija twarze i ręce wszystkich, którzy przechodzą tędy. Jest. jak w zapomnieniu. Jest jak w zamuleniu. Rouen. Rouen...”

W niedalekiej odległości zupełnie inny obraz miasta.

„Patrzyłem też w jednej z ulic za opactwem na to, co we wspomnieniach swoich nazywam miejscem smutku prawdziwego. W progu starej jatki, dymiącej surowym oparem, stała kobieta w białej sukni. Niewidoma. Dłoń chudą położyła na głowie dużego kudłatego psa, a ten, zamknąwszy oczy, stanął pod ostrym słońcem nieruchomo. Nie otwierał oczu. Może umyślnie. Dobry wielki pies.”

I tu smutek potrafi dopędzić. Uciekać, uciekać, jak najdalej. Chartres. Znowu gotycka katedra, rzeźby, witraże, dzwony. Ale jakby przepuszczone przez lepką zasłonę mgły. Przecierane odruchowo oczy tylko na chwilę dają obraz ostrzejszy. Pod powiekami pojawia się jakby kłujący ostrością swą aż do dotkliwego bólu piach. Przemywanie czystą wodą i ocieranie wydobywających się łez chusteczką nie przynosi ulgi. W lusterku wyraźnie widać na gałkach ocznych nabrzmiałe czerwonością pręgi.

W Paryżu okulista przepisze jakieś piekące krople i każe w przyćmionym pokoju oczekiwać na skutki zastosowanej kuracji. Ale ile dni można wytrzymać w zupełnym osamotnieniu i w beczynności? Kiedy wydaje się, że jest już nieco lepiej, można pozwolić sobie na wypad niedaleko za miasto. Zobaczyć chociaż ten smutny dom, w którym dokonał ostatnich swych lat tragiczny Norwid.

„Minęły stacje Les Halies, Palais d'Eau. Oto ludne przystanki przy dworcach kolejowych, oto przystanek Pere Lachaise. Kolejka podziemna wypada na wiadukty nad ulicami. Pejzaż miejski z lotu ptaka: dachy, kominy, dymy, pruje kolejka ostro, jak łódź motorowa falę. Wreszcie przystanek, wysoko na drugim piętrze żelaznej masywnej konstrukcji. Rue Chevaleret.

Przez chwilę stoję na tej wysokości ogłuszony ciszą. Przedmieścia nie słychać zupełnie. Łoskot pociągu zgaś w dalekim tunelu. Przez kraty, przęta, obłoki przelewa się światło łagodne, blade, jak chora dziewczyna. W ulicy Chevaleret bezbarwna pogoda i smutek. Domki przeważnie jednopiętrowe, przy oknach żaluzje szare i zielone, tynk poobijany. Takiego przedmieścia nijakie słońce nie rozweseli. Cóż, że za domami ogródki, jeśli na nich leży dym, a drzewa zza płotów wysuwają się, jak mogą. Tęsknią do ucieczki, choć nigdy nie będą zbiegami.

Zza kępy nieco większych drzew widać dzwonnice kościółka, który przypomina wioski słodkiej Francji. Podwójne oblicze zegara białe jest, jak to słońce paryskiej wczesnej wiosny. Pusto.

Postukuje sabotami po bruku ślepy dziad żebrak, prowadzony przez małą dziewczynkę. I jeszcze - ogrodnik pcha dwukołowy wózek z jarzynami. I jeszcze - duży szary kot przemyka się wzdłuż ścian. Oczy ma złe.

W głębi, na narożniku przecznicy-zaułka stoi dom trzypiętrowy. Jest jeszcze bardziej szary i surowy niż otaczające go, mniejsze budynki. Kilkadziesiąt okien zupełnie jednakowych, płaszczyzny muru koszarowe nijakie. Nad górnym gzymsem, w tympanonie, tarcze herbowe i napis «8-7-bre 1850», a ponad tympanonem, w pośrodku, symetrycznie, duży, prosty krzyż.

W tym domu pod krzyżem, w przytułku św. Kazimierza dokonał żywota tragiczny geniusz polski, Cyprian Kamil Norwid.

Stoję w ulicy zasypanej pustką i białawą, nieruchomą światłością. Patrzą, patrzą na dom bolesny. Gdzieś na piętrze miał Norwid izdebkę - a którą, już nawet nie wiadomo - i tam dogorywał na gorzkim, łaskawym chlebie.”

Spokojnie miękko świeci chwila bez godziny twarz opada nad książką rosa może granat widzę zawsze samotny łuską wód w złocie gliny bór iskrzy się sosnami patrz gwiazda źródłana gwiazda źródłana innych o wszystkie mosty Paryża serce się tłukło tłukło...

Stan zdrowia młodego poety coraz bardziej się pogarsza. Jak mu nakazują lekarze, musi przebywać w przyćmionym pokoju. Chore oczy nie pozwalają czytać książek ani pisać wierszy, ale w utrwalonej wyobraźni pamięci powstaje poemat, w którym w ostatnią drogę wyruszy ubogim karawanem za miasto do Montmorency opuszczony przez wszystkich Norwid.

Z trudem pisane do lubelskich przyjaciół alarmujące listy proszą o pomoc, o przysłanie pieniędzy, bo trzeba się poddać trudnej okulistycznej operacji. Najgorsze myśli opadają jak kruki.

- Do kraju możesz powrócić „jak ta z psem kobieta i jak ten żebrak prowadzony przez małą dziewczynkę” zupełnie ślepy.

Myślom tym nie można się poddać. Przypominają się, jak talizman, te od świętego Michała archanioła odstraszaające zło dzwoneczki. Ich jasny metaliczny dźwięk dodaje nieco otuchy. Samotność i gnębiącą ciszę za poruszeniem wyciągniętej ręki tak łatwo można rozproszyć.

Powraca drobina nadziei z telegraficznym przekazem pieniężnym przy słanym z Polski. Lubelski przyjaciel w chwili nieszczęścia jest niezawodny.

Teraz można poddać się operacji u słynnego doktora Richmana. Nie robi wielkiej nadziei, ale bolesny zabieg jest niezbędny. Naznacza trzy razy w tygodniu wizyty w swoim szpitalu. Za każdym razem dłubie pod powiekami. Straszliwy ból wkręca się wówczas we wszystkie nerwy. Obfitym zimnym potem i drżeniem mięśni kończy się pobyt w gabinecie lekarskim. Potem trzeba kilka godzin siedzieć na ławce w parku Butles Chaumonts w pobliżu szpitala.

W domu znów przyciemniony pokój i w zupełnej bezczynności oczekiwanie następnej wizyty. Tylko ten maleńki dzwoneczek potrafi złe myśli odstraszyć.

Lekarz po kilku zabiegach dostrzega objawy wyraźnie ustępującej choroby. Wówczas do pozostającego w Lublinie przyjaciela można napisać.

„Jedną z najmilszych pamiątek jest dla mnie dzwoneczek mosiężny wielkości pięści, ulany na wzór średniowiecznych dzwonów z Mont St. Michel.

Kiedy mi bardzo smutno i siedzę sam w przyciemnionym pokoju, dzwonię sobie od czasu do czasu i cisza ucieka razem z czarnymi myślami”.

Nieco podkurowany wrócił Czechowicz na początku czerwca do Lublina. W swojej podróźnej walizce oprócz sterty zdjęć, folderów i drobnych pamiątek przywiózł dwa niewielkie dzwoneczki. Jeden z nich ofiarował Waciowi, swemu wypróbowanemu koledze i przyjacielowi, który w tak trudnej chwili nie odmówił przecież pomocy.

Wacio jako dr Rafael Mabuze przed kilku laty wydał w Lublinie dzieło „Jak zostać hipnotyzerem”, a od dawna już zgłębiał skrytości wiedzy tajemnej. Oczywiście tak doskonale przygotowanego do przyjmowania wszelkich talizmanów człowieka nie musiał Czechowicz przekonywać o cudownych właściwościach przywiezionego z Francji dzwoneczka.

Znalazł się on natychmiast na biurku redakcyjnym, bo Wacio już wówczas piastował godność naczelnego redaktora „Expressu Lubelskiego”, i przez długich dziewięć lat go wspierał w najtrudniejszych chwilach. Dzwoneczek bronił Wacia w czasie licznych procesów prasowych, wytaczanych mu przez co bardziej krewkich czytelników. Nieraz też, gdy się już wydawało strapionemu redaktorowi, że w żaden sposób nie zdoła z braku materiału zatkać zionącej przeraźliwością białej nie zadrukowanej w gazecie dziury, wystarczyło tylko dzwoneczkiem poruszyć, a już sływał jakby z sufitu i to prosto na biurko artykuł stosowny.

Gdy nastał czas niemieckiej okupacji i „Express Lubelski” przestał wychodzić, jego redaktor zajął się wydawaniem prasy podziemnej. W swoim maleńkim pokoiku przy ulicy Kościuszki wiele razy musiał obdzwaniać wszystkie zakamarki i kąty, by odstraszyć od swego domu brunatne duchy zła, ubrane w mundury niemieckiej

żandarmerii.

Dzwonił również usilnie, gdy mieli się spotkać w jego pokoju dowódcy podziemnej organizacji. I tu skutek metalicznej melodii dzwoneczka był oczywisty. Nigdy bowiem nie doszło podczas spotkań do żadnego ostrego alarmu ani też do wsypy. Oczywiście tylko gospodarz mieszkania wiedział, dlaczego jego pokój, choć położony w samym centrum miasta, jest tak szczęśliwy i bezpieczny.

Po wyzwoleniu, jak się wydaje, nie miał właściciel tego dzwoneczka wielu okazji do odstraszenia zła. Gdym go na kilka lat przed śmiercią odwiedził, ujrzałem wśród tysiąca innych rzeczy stojący na honorowym miejscu dzwoneczek. Był już jednak nieco przykurzony. Gest mojej ręki, by dotknąć tej pamiątki, powstrzymał gospodarz nieco zmieszany.

- Niech tak powoli patynowieje. Nie trzeba dotykać - rzekł - w odpowiednim czasie oddam go Czechowiczowi.

Rzeczywiście po śmierci Wacia wraz z literacką jego spuścizną i książkami przywędrował dzwoneczek do Muzeum Czechowicza. Nie mógł tu jednak dostąpić pełnej muzealnej nobilitacji. Jego miejsce na wystawie zajmował już inny dzwoneczek, może mniej w wystroju swym efektowny, podobny z kształtu do lekko rozchylonego kwiatu lili. Musiał ustąpić, bo tym skromniejszym Czechowicz czarne myśli nie tylko we Francji straszyl.

Poeta w trzy lata po powrocie z zagranicy przeniósł się z Lublina do Warszawy. Tu w chwilach dla siebie bardzo trudnych, odpędzając zło, dzwoneczkiem dzwonił.

Zapomniał jednak o nim w pierwszych dniach wojny. W chaosie, zamieszaniu i popłochu zostawił wszystko w swoim mieszkaniu przy ulicy Narbutta i wraz z kolegami przybył do rodzinnego miasta. Tu w dniu dziewiątym września, zaledwie kilkadziesiąt metrów od stojącego do dziś domu przyjaciela, w gruzach walącego się od bomby hitlerowskiej budynku zginął. Jednak „non omnis moriar”, jak zwykł często powiadać. Po upływie trzydziestu lat w miejscu jego tragicznej śmierci wyrosła granitowa bryła pomnika.

Dzwoneczek?

Gdy po ucichnięciu działań wojennych dotarła wieść o śmierci Czechowicz: do okupowanej Warszawy, rękopisami, książkami i niektórymi rzeczami poety zaopiekował się Wacław Mrozowski.

Wśród nich znalazł się dzwoneczek przywieziony z Francji. W czasie warszawskiego powstania większość zachowanych dotąd pamiątek po zmarłym poecie podzieliła losy stolicy, ale ten niewielki dzwoneczek, w zupełnie cudowny jakiś sposób, nienaruszony ocalał.

Po wyzwoleniu przemierzył z nim Wacław Mrozowski kawał Polski. Parę lat mieszkał na ziemiach zachodnich, potem wrócił do Łodzi. Tu wydał kilka tomików wierszy i napisał książkę wspomnieniową o międzywojennej cyganerii warszawskiej, w której czołowe miejsce zajmuje Józef Czechowicz.

Na wiadomość, że ma się organizować w Lublinie Muzeum Józefa Czechowicza, przekazał Mrozowski niewielki dzwoneczek przywieziony przez poetę z Francji. I o dziwo, od tego momentu zaczęły ustępować jedna po drugiej trudności związane z uruchomieniem muzealnej placówki. Znalazł się mecenas, który zatroszczył się, o to,

by zabytkowy lokal doprowadzić do dawnej świetności. Fachowcy z Przedsiębiorstwa Konserwacji Zabytków zabrali się solidniej do pracy. Stolarze na oznaczony termin wykonali plansze i gabloty.

Magicznej siły dzwoneczka doznali również plastycy przygotowujący oprawę pierwszej ekspozycji. Gdy im już ze zmęczenia i nadmiernego wysiłku kleiły się oczy, a z cierpiących rąk pędzle wypadały, usłyszeli punktualnie o północy, chociaż nikt dzwoneczkiem nie poruszył, cieniutkie „dzień” i nowe siły natychmiast w zwiędłe ich członki wstąpiły, a umysł rozświetlił się błyskiem najlepszej plastycznej koncepcji.

Dzięki temu w samo południe dwudziestej dziewiętej rocznicy śmierci Józefa Czechowicza sale muzealne zostały otwarte. Zapełniły się po brzegi wielbicielami jego poezji i żyjącymi jeszcze przyjaciółmi. Przybyli na tę uroczystość i Wacio, i Kondzio, panowie mocno już dojrzały. Opowiadali znajomym swe pierwsze literackie, luciferyczne i reflektorowe przygody, i jak to oni właśnie wprowadzali dwudziestoletniego Czechowicza w tajniki współczesnej poezji i literatury.

Wieczorem, gdy już na niebie pokazał się księżyc w starych renesansowych, o bogato sztukateriami zdobionych sklepieniach, salach muzealnych, znowu zabrzmiały dzwoneczki, ale już tym razem najpiękniejszych Czechowiczowskich wierszy.

Od tego czasu w Muzeum Czechowicza zdarzają się w racjonalny sposób zupełnie niewytłumaczalne rzeczy.

Przed planszę, na której został przymocowany na kroksztynku brązowym dzwoneczek mosiężny, przychodzą jacyś dziwni ludzie, którzy są jakby przygnębieni i smutni, a kiedy tylko maleńkim serduszkim poruszą i dzwoneczek cichutko zadźwięczy, zaraz na ich twarzach pojawia się uśmiech jakby uspokojenia i nadziei, czasem nawet radości.

Są jeszcze i tacy, co lubią, jak niegdyś Czechowicz, po starym lubelskim mieście nocami się włóczyć. Ci gotowi są przysiąc, że słyszą tam pośród nocnej ciszy subtelne dzwoneczki Czechowiczowskich wierszy.

I wiele jest w tym prawdy, bo jakżeż martwe byłyby staromiejskie mury bez legend, zamierzchłych już podań, baśni, cieni niegdyś chodzących tu ludzi, dzwonów rozkołysanych i pięknej poezji?